



STUDIA ZIELONOGÓRSKIE

22



ZIELONA GÓRA 2017

Muzeum Ziemi Lubuskiej
w Zielonej Górze

STUDIA ZIELONOGÓRSKIE

pod redakcją
Andrzeja Toczewskiego

Tom XXII

Zielona Góra 2017

RADA REDAKCYJNA

Zbigniew Bujkiewicz, Stanisław Kowalski,
Czesław Osękowski – przewodniczący,
Andrzej Skibiński, Robert Skobelski

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Emilia Ćwilińska – sekretarz redakcji
Dariusz Dolański – zastępca redaktora naczelnego
Leszek Kania – członek redakcji
Anitta Maksymowicz – zastępca redaktora naczelnego
Andrzej Toczewski – redaktor naczelny

PROJEKT GRAFICZNY SERII

Witold Michorzewski

PROJEKT OKŁADKI

Igor Myszkiewicz

REDAKCJA

Anitta Maksymowicz

REDAKCJA TECHNICZNA

Emilia Ćwilińska

WYDAWCA

Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze
Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Ziemi Lubuskiej
w Zielonej Górze

PL ISSN 1233-815 X

Zrealizowano przy pomocy finansowej
Miasta Zielona Góra

www.zgora.pl/studiazielonogorskie

SPIS TREŚCI

ROZMOWY „STUDIÓW ZIELONOGÓRSKICH”

- Alicja Błażyńska
*Wywiad z dr. inż. Stanisławem Iwanem – wiceprezesem
Kostrzyńsko-Słubickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej* 9
- Aneta Kamińska
*„Teraz jest normalnie” – rozmowa z dr. Stanisławem
Kowalskim* 19

ARTYKUŁY I OPRACOWANIA

- Zbigniew Bujkiewicz
Elektryfikacja Zielonej Góry 1895-1948 37
- Robert Skobelski
*Rozwój szpitala w Zielonej Górze w dekadzie lat
70. XX wieku* 47
- Zygmunt Traczyk
Wydarzenia zielonogórskie (maj-czerwiec 1960 roku) 63
- Arkadiusz Cincio
Lubuskie winiarstwo w okresie transformacji 69
- Robert Rudiak
Lubuska Oficyna Wydawnicza w Zielonej Górze (1989-1996) 87
- Andrzej Toczewski
*Eksterminacja ludności żydowskiej na terenie Środkowego
Nadodrza* 105

MATERIAŁY I SPRAWOZDANIA

- Gerard Nowak
*Lubuski Orszak Trzech Króli – historia nie tylko sercem
pisana* 127

Małgorzata Masłowska	
<i>Ogólnopolskie Stowarzyszenie „Nerka” w Zielonej Górze 1994-2017</i>	145
Marek Budniak	
<i>Stanisław Jaborski skazany na karę śmierci za szpiegostwo w świetle dokumentów Wojskowego Sądu Rejonowego w Zielonej Górze</i>	155
Izabela Korniluk	
<i>Budowa kościoła pw. Zbawiciela (Erlöserkirche) w Zielonej Górze na nieznanymi fotografiach</i>	169
SYLWETKI	
Dawid Kotlarek	
<i>Grzegorz Chmielewski (1929-2014) – bibliofil, regionalista, dyrektor WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze</i>	183
Igor Myszkiewicz	
<i>O moim Ojcu. Wiesław Myszkiewicz (1932-2014)</i>	191
Bogdan Idzikowski, Elżbieta Kołodziejaska, Ewa Narkiewicz-Niedbalec	
<i>Dobry Człowiek – czyli o Profesorze Edwardzie Hajduku wspomnienie Jego uczniów</i>	199
Stanisław Kowalski	
<i>Jan Muszyński (1932-2017) – zielonogórski historyk sztuki, muzealnik</i>	211
Leszek Kania	
<i>Wspomnienie o Janie Muszyńskim (1932-2017)</i>	223
Mirosława Szot	
<i>Parę słów o Januszu Koniuszu, budowaniu z drewna, barach mlecznych i lokalnym terroryzmie</i>	229
Alfred Siatecki	
<i>Pozostanie po nim więcej niż „jeden wierszyk”</i>	235
Robert Rudiak	
<i>Janusz Koniusz (1934-2017). Wspomnienie o pisarzu – prywatnie i literacko</i>	243

Bogumiła Burda, Kazimierz Esmund <i>Lesław (Mirek) Batkowski (1946-2017). Polityk, działacz społeczny, pasjonat żeglarstwa, miłośnik przyrody</i>	253
Igor Myszkiewicz <i>Irena Bierwiaczonok (1951-2009). Artystka i nauczycielka artystów</i>	265
Ireneusz Habura, Kazimierz Esmund <i>Jacek Jan Felisiak (1956-2013). Człowiek – Lekarz – Humanista. Ordynator Oddziału Nefrologii ze Stacją Dializ Wojewódzkiego Szpitala Zespołonego im. K. Marcinkowskiego w Zielonej Górze w latach 2000-2013</i>	273
Idalia Błaszczuk <i>Dziadek Tadek. Wspomnienie o redaktorze Tadeuszu Cegielskim (1931-2016)</i>	279
Marek Staniszewski <i>Tadeusz Cegielski (1931-2016) – czterdzieści lat przy mikrofonie</i>	283

RECENZJE

Stanisław Palonka <i>Przemysław Karwowski i jego „Od likierów do Luksusowej”</i>	291
---	-----

ROZMOWY „STUDIÓW ZIELONOGÓRSKICH”

Alicja Błażyńska

WYWIAD Z DR. INŻ. STANISŁAWEM IWANEM – WICEPREZESEM KOSTRZYŃSKO-SŁUBICKIEJ SPECJALNEJ STREFY EKONOMICZNEJ



Stanisław Iwan, wiceprezes
Kostrzyńsko-Słubickiej Specjalnej
Strefy Ekonomicznej,
fot. archiwum K-S SSE

Alicja Błażyńska: W 1996 roku powstała pierwsza Specjalna Strefa Ekonomiczna w naszym kraju, obecnie jest ich 14. Jaka była ich geneza?

Stanisław Iwan: Po zmianach ustrojowych w 1989 roku w Polsce dokonana się rewolucja także w sferze ekonomicznej. Upadający ustroj pociągnął za sobą gospodarkę. Musimy pamiętać, że duża jej część nastawiona była do tego czasu na współpracę ekonomiczną z tzw. demoludami i Związkiem Radzieckim. Wraz z urealnieniem złotówki kooperacje ustały, gdyż poprzednie relacje zupełnie nie przystawały do zdrowego ekonomicznego świata,

a wyświechtane powiedzenie „rubel transferowy równy dolarowi” okazało się totalnym kłamstwem. Szczególnie trudna sytuacja zapanowała w miejscach monokultury przemysłowej np. w wałbrzyskim, gdzie dominowały kopalnie czy w skoncentrowanym na przemyśle włókienniczym województwie łódzkim. Nasz region także nastawiony był głównie na kooperację z krajami tzw. bloku wschodniego. Takie zielonogórskie zakłady jak Polon czy Interatominstrument produkowały elementy do radzieckich elektrowni jądrowych, Zastal – wagony do ZSRR, a Falubaz zgrzeblarki też na rynek radziecki. Na terenie województwa stacjonowały też trzy dywizje naszego wojska i jedna dywizja radziecka, na rzecz których pracowało bardzo dużo firm. Kiedy więc runął system zapanowało ogromne bezrobocie, sięgające w niektórych miastach lubuskiego około 40% (Nowa Sól, Szprotawa, Kożuchów, Krosno Odrzańskie).

Ta dramatyczna sytuacja wymusiła zapoczątkowanie przez rząd radykalnych działań. W 1995 roku parlament podjął uchwałę o powołaniu Specjalnych Stref Ekonomicznych. Wzorowano się przy tym na krajach azjatyckich, gdzie wcześniej sprawdził się taki model pobudzenia gospodarki zapewniający tworzenie nowych i utrzymanie dotychczasowych miejsc pracy.

Pierwsza strefa ekonomiczna powstała w 1996 roku w Katowicach. Rok później pojawiły się kolejne, a obecnie jest ich 14. Część z nich utworzono z inicjatywy rządu: Katowicką, Łódzką, Wałbrzyską, Mielecką czy Tarnobrzeską. Inne formowały się z kolei oddolnie: Kostrzyńsko-Słubicka, Słupska czy Kamiennogórska. Nie było jednej sztancy, jednego wzoru. Generowały je różne przyczyny: polityka państwa, inicjatywa poszczególnych samorządów czy wreszcie potrzeby regionu, np.: Słupska SSE, w której większościowy pakiet akcji ma samorząd województwa pomorskiego. Najczęściej powstawały w miejscach, gdzie niegdyś rozwijał się przemysł, a później upadł.

A.B.: Czym jest ten twór. Co strefa daje regionowi, Polsce i z drugiej strony – dlaczego jest tak pociągająca dla przedsiębiorców?

S.I.: 12 stref, w tym nasza, działa w formie spółek prawa handlowego, natomiast dwie: Mielecka i Tarnobrzeska są częścią Agencji

Rozwoju Przemysłu. Mówiąc ogólnie strefy pozostają jednym z kluczowych narzędzi zwiększania atrakcyjności inwestycyjnej Polski i poszczególnych regionów oraz rozwoju naszej gospodarki. Natomiast odnosząc pytanie do każdego z miejsc, gdzie funkcjonują – są szansą na połączenie planów i potrzeb inwestorów z oczekiwaniami i propozycjami lokalizacyjnymi konkretnych gmin.

Z kolei odpowiadając na drugą część pytania – firma inwestująca w strefie, osiągając zysk, otrzymuje ulgę w podatku CIT. Jej poziom jest różny i zmieniał się w czasie. Zależy od rozmiaru przedsiębiorstwa oraz miejsca, w którym realizowana jest inwestycja. Obecnie w lubuskim i zachodniopomorskim wynosi ona 35-55% wartości z nakładów lub dwuletnich kosztów nowych miejsc pracy, natomiast w Wielkopolsce, która jest lepiej rozwinięta od 25-45%.

W ostatnim czasie spotykamy się coraz częściej z nowym zjawiskiem. Inwestują u nas przedsiębiorcy, którzy wcale nie ubiegają się o zezwolenie, bo nie chcą lub nie mogą korzystać z ulg. Wynika to z różnych powodów. Z jednej strony są takie dziedziny gospodarki, gdzie marża jest niewielka i zysk wytwarza się tylko z dużego obrotu, z drugiej strony np. transport, logistyka, wytwarzanie energii czy generalnie produkcja pierwotna nie są objęte zwolnieniami z podatku. Jednak tereny strefowe mają też inną zaletę, są znakomitym środowiskiem dla biznesu. W tych miejscach wszystko jest dobrze zorganizowane – rynek pracy, infrastruktura oraz samorząd od lat współpracujący z firmami. Pojawiła się także dodatkowa wartość – etos pracy. Z punktu widzenia współczesnych przedsiębiorców funkcjonowanie w środowiskach przemysłowych i poprzemysłowych daje większą możliwość znalezienia i zatrudnienia wykwalifikowanych pracowników.

A.B.: Czy strefy nie zabijają przedsiębiorczości w regionie?

S.I.: Nie. Jesteśmy pewni, że najczęściej są stymulatorami rozwoju gospodarczego w miejscu swojego funkcjonowania. Nie bez powodu samorządowcy nieustannie zabiegają o objęcie ich terenów inwestycyjnych statusem specjalnej strefy ekonomicznej. Często obecność jednej firmy przyciąga następne. Znaczenie ma też rozwój kooperacji i tworzenie różnych podmiotów usługowych. Skoro funkcjonują

na terenach, gdzie było wysokie bezrobocie, to oznacza, że tam nie było konkurencji.

A.B.: A czy spółki różnią się od siebie, czy konkurują ze sobą?

S.I.: Każda ze stref ma określony profil. Wynika to z dokumentu tzw. koncepcji, opracowanego przez ministerstwo i wskazującego, jaka jest specyfika danego regionu i jakie branże w danym regionie są preferowane. Jednak w gospodarce sytuacja się zmienia – zanika bezrobocie, dlatego też potrzeba stałej aktualizacji zadań, które strefy mają realizować w regionach. Chodzi o to, by rozwój był zrównoważony. Teraz ważna jest jakość miejsc pracy i implantowanych przez inwestorów technik i technologii.

Konkurencja pomiędzy strefami istnieje, zarówno jeśli chodzi o pozyskiwanie inwestorów, jak i terenów inwestycyjnych. Problem stanowi nierównomierne rozłożenie stref. Zdarza się, że na terenie jednego województwa działają dwie, a nawet trzy strefy. Jak choćby w przypadku Dolnego Śląska, gdzie funkcjonują blisko siebie: Kamiennogórska, Wałbrzyska i Legnicka. W innych regionach: na Mazowszu, Lubelszczyźnie czy w województwie zachodniopomorskim, nie ma ich wcale. Dlatego istniejące na innych terenach strefy walczą ze sobą o utworzenie tam swoich podstref.

Warto przy tym dodać, że funkcjonują różne kanały pozyskiwania inwestorów: bezpośredni kontakt ze strefą lub z samorządami, z Centrami Obsługi Inwestorów i Eksporterów przy Urzędach Marszałkowskich, Państwową Agencją Inwestycji i Handlu. Działają też wyspecjalizowane firmy doradcze w zakresie obsługi inwestorów. Bywa i tak, że działająca już na terenie strefy firma chce się rozwijać i przychodzi po kolejne zezwolenie lub udziela rekomendacji innej. Zdarza się również, że inwestorzy z innej strefy przychodzą do nas i proszą o zezwolenie na naszym terenie.

A.B.: Kto zarządza strefami?

S.I.: Z wyjątkiem Słupskiej SSE decydujący głos ma Skarb Państwa. Natomiast jeżeli chodzi o zarządzających konkretnymi strefami i pracowników spółek, to zatrudniani są w nich menadżerowie i specjaliści wysokiej klasy o znakomitych kompetencjach

zawodowych i organizacyjnych. Obecnie w naszej spółce (K-S SSE) zatrudnionych jest 15 osób i każda z nich znakomicie poradziłaby sobie zarówno w sektorze prywatnym, jak i państwowym. Niektórzy mogą pochwalić się dyplomami MBI czy są absolwentami zagranicznych uczelni, część ma doświadczenie w pracy za granicą, a większość włada biegle językami obcymi. Jestem zachwycony tą załogą. Mają różnorodne doświadczenie biznesowe i w większości od wielu lat związani są z naszą spółką. Śmiało można powiedzieć, że Strefa jest ich dziełem.

A.B.: Skoro wspomniał Pan o ludziach kierujących dziś Kostrzyńsko-Słubicką Specjalną Strefą Ekonomiczną przypomnijmy, że w tym roku mija 20 lat od chwili jej powołania do życia. W jakich okolicznościach to się stało, kim byli jej inspiratorzy i jak przebiegał jej rozwój.

S.I.: W drugiej połowie lat 90. na północy regionu (teren ówczesnego województwa gorzowskiego) znaleźli się mądrzy ludzie, którzy zrozumieli, że odpowiedzią na nowe wyzwania gospodarcze będzie powołanie Strefy. Z inicjatywą wystąpili, nieżyjący już dziś, burmistrz Kostrzyna Marian Firszt oraz były wicewojewoda gorzowski Jerzy Korolewicz. K-S SSE została powołana na podstawie rozporządzenia z 9 września 1997 roku i składała się z dwóch podstref utworzonych na wniesionych aportem gruntach przez gminy: Kostrzyn i Słubice. Dołączył do tego ze swoim udziałem Skarb Państwa oraz prywatna firma Prochem, która wniosła kapitał (notabene ta ostatnia jest nadal mniejszościowym akcjonariuszem naszej Strefy).

Gdy za rządów Jerzego Buzka zostałem wojewodą lubuskim zrozumiałem jak cenna dla regionu była to inicjatywa. Spotykając się wówczas często z Jarosławem Barańczakiem (szefem gabinetu politycznego wicepremiera Jerzego Steinhoffa, a następnie wiceministrem gospodarki) konsekwentnie zabiegałem o uruchomienie podobnej strefy na południu. Po jakimś czasie J. Barańczak zadzwonił do mnie i powiedział, że nowych stref nie będzie, ale jest zgoda rządu na rozszerzanie stref istniejących. Wymagało to jednak zgody organów danej strefy, gdyż podmioty te działają przecież na zasadach

komercyjnych i są spółkami prawa handlowego. Zaprosiłem więc Jerzego Korolewicza (ówczesnego prezesa K-S SSE) i wspólnie rozpatrywaliśmy kierunki rozwoju Strefy. Ja optowałem za południem regionu, z kolei prezes Korolewicz podawał obraz Gorzowa też dotkniętego upadkiem przemysłu. W konsekwencji naszych starań, 21 sierpnia 2001 roku ukazało się rozporządzenie Rady Ministrów o rozszerzeniu K-S SSE o cztery podstrefy – Gorzów, Nową Sól, Bytom oraz Gubin. I podkreślę, że nie decydowały tu jakiegokolwiek zapatrywania polityczne. Rządził wówczas AWS, a prezydenci Gorzowa czy Nowej Soli byli opcji lewicowej. Wszystkim nam jednak zależało na poniesieniu jakości życia ludzi i rozwoju gospodarki w miejscach szczególnie dotkniętych bezrobociem.

W 2004 roku K-S SSE rozpoczęła ekspansję też na województwa ościennie. Wtedy powstała pierwsza podstrefa w woj. zachodniopomorskim, a rok później w Wielkopolsce. Samorządowcy zrozumieli, że warto mieć tereny w Strefie. Dodatkowo też pojawiły się fundusze unijne, które pozwoliły na uzbrajanie obszarów i przygotowywanie ich pod działalność gospodarczą.

B.A.: Zielona Góra? Nie zasłużyła wówczas na wejście do Strefy?

S.I.: To nie była kwestia sympatii czy antypatii. Zielona Góra nie miała wówczas tak dramatycznego wskaźnika bezrobocia, jak wspomniane wyżej miasta, nie była też gotowa z terenami inwestycyjnymi. Dopiero zaczynały się starania o utworzenie Strefy Aktywności Gospodarczej na tzw. spalonym lesie. My natomiast mieliśmy ograniczone możliwości ekspansji terytorialnej. Dopiero w 2005 roku powstała podstrefa w naszym mieście, właśnie na tym terenie. Jednak tam są bardzo wysokie ceny ziemi, co mocno ograniczyło jego atrakcyjność inwestycyjną. Miejscowi przedsiębiorcy, funkcjonujący wcześniej w centrum miasta, szybko wykupili ten teren i tam wybudowali zakłady produkcyjne. Dziś rozwijają się tu ważne dla miasta zakłady: Stelmet, Lumel, LUG.

Drugi kompleks podstrefy zielonogórskiej powstał kilka lat później. Droga do jego uruchomienia nie była taka prosta. Miastu funkcjonującemu na małym obszarze (57 km²) brakowało znów odpowiednich terenów inwestycyjnych. Uniwersytet Zielonogórski

posiadał około 130 ha ziemi w Nowym Kisielinie, co do której wykorzystania nie było pomysłu. Wtedy wiceprezydent miasta Zielona Góra Krzysztof Kaliszuk – będący motorem napędzającym wiele inicjatyw – zaproponował, by w tym miejscu utworzyć drugi kompleks należący do podstrefy zielonogórskiej. Miasto zawarło w porozumieniu z gminą o przygotowaniu na jej terenie obszaru inwestycyjnego, kupiło ziemię od uniwersytetu, a ówczesna wicemarszałek województwa Elżbieta Polak pomogła ze środków unijnych uzbroić ten teren i przygotować obwodnicę wiodącą do przyszłego mostu w Milsku. Gdy te wszystkie przedsięwzięcia zostały wypełnione Miasto złożyło wniosek o rozszerzenie podstrefy. K-S SSE kupiła także kilkanaście hektarów, by mieć wpływ na realizację przedsięwzięcia, a w ubiegłym roku założyliśmy też tam swoje biuro zamiejscowe.



Podstrefa Zielona Góra w Nowym Kisielinie, fot. archiwum K-S SSE

Przez jakiś czas niewiele się tam działo. Toteż zrodziła się idea utworzenia w tym miejscu przez Miasto Parku Przemysłowo-Technologicznego, a uniwersytet utworzył tam Park Naukowo-Technologiczny. Na jego terenie powstał też akademicki oraz miejskie inkubatory przedsiębiorczości. To był dobry pomysł. Już wcześniej na terenie Zielonej Góry i okolic zaczęli kreować swoje firmy

absolwenci naszego uniwersytetu. Powstawały one z chęci, umiejętności i pracowitości ludzi, którzy ukończyli tu studia i tu chcieli zaistnieć biznesowo. Niektóre z nich znalazły swoje miejsce na terenie naszej Strefy.

Gdy w Nowym Kisielinie rozpoczęła się działalność firm lokalnych, po krótkim czasie pojawiły się przedsiębiorstwa z zewnątrz. Przybywały one dzięki staraniom samorządu i zabiegom organizacyjnym K-S SSE. Obecnie na tym terenie działa już kilkanaście zakładów dających tysiące miejsc pracy. Tylko LUG Light Factory, mająca dwa obiekty w Strefie – na „Spalonym Lesie” i w Nowym Kisielinie – zatrudnia ponad 500 osób, zarówno w obszarze produkcji, jak i badawczo-rozwojowym.

A.B.: Jak wygląda pozycja K-S SSE na tle innych stref w kraju? Czy spełniła swoje zadanie?

S.I.: Nie prowadzi się jakiegoś specjalnego rankingu mówiącego o pozycji poszczególnych stref. Jednak śmiało mogę powiedzieć, że jesteśmy w czołówce, w pierwszej czwórce, nawet trójce. Kilka lat temu w rankingu międzynarodowej firmy konsultingowej KPMG wykonanym na podstawie badania przeprowadzonego wśród inwestorów działających w Strefie zajęliśmy trzecią pozycję z ogólną oceną 4,41 na 5 punktów możliwych, za Strefami: Tarnobrzeską – 4,48 i Katowicką – 4,46.

To, co osiągnęliśmy zawdzięczmy ciężkiej i systematycznej pracy wykwalifikowanego zespołu pracowników oraz znakomitej współpracy z samorządami. Tym bardziej należy to podkreślić, że nie dostawaliśmy z centralnego rozdzielnika wielkich inwestycji strategicznych pilotowanych przez państwowe instytucje typu Ministerstwo Gospodarki, Polska Agencja Informacji i Inwestycji Zagranicznych czy Agencji Rozwoju Przemysłu. Swój sukces i zainteresowanie inwestorów osiągnęliśmy – raz jeszcze to podkreślę – dzięki konsekwentnej i profesjonalnej pracy całego zespołu. To wszystko przekłada się również na sukces w tworzeniu nowych miejsc pracy. Przypomnę, że dzięki współdziałaniu z samorządami K-S SSE zarządza dziś arealem ponad 2165 ha terenów inwestycyjnych. Obszary te ulokowane są w 56 gminach na terenie trzech województw.

W ciągu minionych 20 lat wydaliśmy 322 zezwolenia na prowadzenie działalności gospodarczej, co zaowocowało utworzeniem ponad 33 tys. miejsc pracy oraz inwestycjami na ponad 7 mld zł. Tylko w 1. półroczu br. wydaliśmy 15 nowych zezwoleń, a bez zezwoleń zdecydowało się zainwestować siedem kolejnych podmiotów.

W wielu miejscach, gdzie funkcjonuje nasza Strefa, bezrobocie obecnie jest bardzo niskie, a w niektórych brakuje już rąk do pracy. Dziś zagrożenie dla gospodarczego rozwoju Polski nadchodzi z innej strony: grozi nam tzw. pułapka średniego rozwoju. Stałiśmy się zapleczem, producentem podzespołów czy montownią, za czym najczęściej idzie niska wartość dodana produkcji i niskie wynagrodzenie. Obecnie istnieje potrzeba generowania zaawansowanej gospodarki, gdzie na wykwalifikowanych pracowników czeka wysokopłatna praca związana z wytwarzaniem nowoczesnych, zaawansowanych technicznie wyrobów finalnych czy usług. Coraz większą wartością związaną z przewagą konkurencyjną stanowi wysoko wykwalifikowany kapitał ludzki.

A.B.: Jak długo będą jeszcze funkcjonowały Strefy?

S.I.: Ustawa o Strefach jest ustawą periodyczną i przewiduje funkcjonowanie SSE do 2026 roku. Więc już teraz wchodzimy w czas, gdy Strefy zaczynają dawać coraz mniej czasu na wykorzystanie przysługujących inwestorom ulg. Mniejszy niż dziesięcioletni okres inwestycyjny staje się mało atrakcyjny dla przedsiębiorców, bowiem perspektywa odzyskania ulgi jest coraz mniejsza. Aktualnie Ministerstwo Rozwoju przygotowuje nowe propozycje ustawowe mające na celu przedłużenie tej formy pomocy publicznej na czas nieokreślony. Pomoc publiczna będzie w znacznie większym stopniu zróżnicowana i nastawiona na promocję nowoczesnych, wysoko-wydajnych technologii oraz promowanie jakości pracy i wysokości zarobków, a także na współpracę inwestorów z otaczającym środowiskiem naukowym, gospodarczym i społecznym. Zapisy ustawy mają promować zrównoważony rozwój kraju, a więc również mniejsze miejscowości. Działania spółek będą odpowiadały na potrzeby współpracy z przedsiębiorstwami zaangażowanymi w rozwój nowoczesnych technologii m.in. poprzez współpracę na polu edukacji.

Już w 2010 roku nasza Strefa zaczęła inicjować programy wspomagające przygotowanie pracowników do nowych zadań. Obecnie współpracujemy z kilkoma szkołami średnimi. W Nowej Soli czy Kostrzynie mamy klasy patronackie. W projekcie tym współuczestniczą firmy działające w ramach K-S SSE zainteresowane pozyskaniem wykwalifikowanych pracowników. Dziś brakuje spawaczy z uprawnieniami, mechatroników, informatyków czy specjalistów do obrabiarek obsługiwanych numerycznie. Dużą wagę przywiązujemy także do współpracy z Uniwersytetem Zielonogórskim i Akademią im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wlkp. w zakresie przygotowania kadry dla inwestorów wprowadzających technologie 4.0.

Summa summarum jest perspektywa przed spółkami zarządzającymi obecnie strefami, choć one same będą musiały się inaczej zorganizować i odpowiadać na wyzwania nowej epoki, którą niektórzy nazywają czwartą rewolucją przemysłową.

A.B.: Dziękuję za rozmowę.

Aneta Kamińska

„TERAZ JEST NORMALNIE...” – ROZMOWA Z DR. STANISŁAWEM KOWALSKIM¹

9 września 2017 roku. Wyjątkowo ciepły dzień na tle ostatnio panującej aury. Za nami seminarium pt. *Założenia pałacowo-parkowe jako element krajobrazu Środkowego Nadodrza* zorganizowane przez Fundację Pałac Bojadła w barokowym pałacu w Bojadłach z okazji 85. urodzin doktora Stanisława Kowalskiego. Jubilat, nasz drogi przyjaciel, Członek Zarządu i sympatyk Fundacji, jak zawsze w dobrej formie. Niechętnie zgodził się na poświęconą mu uroczystość, wpisaną zresztą w obchody 25. edycji Europejskich Dni Dziedzictwa. Z wrodzoną sobie skromnością twierdzi, że bycie dinozaurem,

¹ Dr Stanisław Kowalski – historyk sztuki, znawca urbanistyki i zabytkowej architektury. Wieloletni Wojewódzki Konserwator Zabytków, dyrektor Muzeum w Międzyzrzeczu oraz zastępca dyrektora Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. Dzięki jego staraniom udało się uratować wiele cennych obiektów w województwie, przeznaczonych do likwidacji. Autor licznych artykułów, znaczących prac zbiorowych oraz książek, m.in. *Monografia Gubina po 1954 roku*, *Zabytki Środkowego Nadodrza*, *Zabytki Województwa Lubuskiego*, *Miasta Środkowego Nadodrza*, *Zabytki architektury Środkowego Nadodrza*, *Leksykon zabytków architektury Pomorza Zachodniego i ziemi lubuskiej* (współautorstwo z Józefem Pilchem). Za swoją pracę został wyróżniony przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego złotą odznaką „Zasłużony kulturze – Gloria Artis” oraz nagrodą Redakcji „Studiów Zielonogórskich”.

nie jest powodem, żeby stawiać komukolwiek pomniki. Fakt, tyle, że ten „dinozaur” ma niesłychane zasługi dla ratowania lubuskich zabytków, więc – naszym zdaniem – każda rocznica powinna stać się powodem, by o tym przypominać.

Aneta Kamińska: Stoimy właśnie przed pałacem Kottwitzów w Bojadłach. Czy pamięta Pan swoje pierwsze wrażenie, gdy go Pan zobaczył? Kiedy to było?

Stanisław Kowalski: Była to druga połowa lat 50. Służby konserwatorskie nie posiadały wówczas samochodu, więc w teren jeździliśmy najczęściej pociągami lub autobusami. Dwa razy w tygodniu udostępniano nam muzealny samochód marki Nysa. Jeździliśmy nim, żeby zrobić wykaz obiektów zabytkowych, bo przecież nie było



Dr Stanisław Kowalski i dr Aneta Kamińska, fot. z archiwum autorki

wtedy żadnych materiałów... Kiedy pierwszy raz odwiedziłem pałac w Bojadłach, był on zarządzany przez Wojewódzki Związek Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” z Zielonej Góry, który w pomieszczeniach pałacowych organizował kursy, konferencje i kolonie. Był on więc użytkowany dość sporadycznie, jednak Związek zapewnił mu całoroczny dozór. Pałac bardzo mi się spodobał. Potwierdzać to może fakt, że kiedy pisałem do wydawanego w Gorzowie „Traktu” artykuł o zabytkach województwa lubuskiego, pozwoliłem sobie wówczas zauważyć, że jest to jeden z najcenniejszych zabytków z kategorii dworskich. Warto zaznaczyć, że miałem ograniczoną ilość miejsca na

tekst, więc opisywałem, poczynając od południa w kierunku północy, wyłącznie te najcenniejsze obiekty. Całość założenia pałacowo-parkowego w Bojadłach jest bardzo piękna: brama flankowana z dwiema bardzo malowniczymi wieżami, które dodają wiele uroku zabytkowi. Wtedy nie wiedziałem o nim jeszcze zbyt dużo do czasu przygotowania dokumentacji zleconej przez PKZ-y. Wówczas opracowana została historia obiektu, dowiedzieliśmy się więc nieco więcej na temat tej rezydencji. Nie była to oczywiście wiedza pełna, bo dziś wiemy dużo więcej, m.in. z badań solidnie przeprowadzonych ostatnio przez Jacka Gernata.

A.K.: Wspólnie z Klemem Felchnerowskim i Janem Muszyńskim tworzyliście początki służb konserwatorskich. Z pewnością nie było to łatwe, biorąc pod uwagę ideologizację podejścia do „obcego” dziedzictwa...

S.K.: Było to bardzo trudne. Myślę, że gdybyśmy musieli dziś tak działać, nie bylibyśmy w stanie w naszym wieku [śmiech]. Ale wtedy wszyscy byliśmy bardzo młodzi i to była w pewnym sensie zabawa, radość, że się jeździ i ustala nieznane dotąd rzeczy... Robiliśmy po prostu spis zabytków województwa. Każda taka podróż, początkowo koleją lub PKS-em, później samochodem, owocowała ustaleniem liczby i stanu zachowania zabytków na danym obszarze, może nie całego, ale np. części powiatu albo miasta. Z czasem dało to duży procent rozeznania co do zabytków w regionie.

Jeśli chodzi o ideologizację podejścia, o którą pytasz, radziliśmy sobie, stosując różne metody obejścia. Szczególnie Janek Muszyński był w tej materii niesłychanie kreatywny. Jak wielokrotnie powtarzał, w owych czasach zawód konserwatora polegał na niestannym balansowaniu pomiędzy reżimową doktryną a niestosowaniem się do niej w praktyce. Janek znakomicie opanował tę umiejętność, dzięki czemu ocalił między innymi ponad sto obiektów sakralnych przed rozbiórką. Zasłynął także tym, że barokowe pałace nazywał piastowskimi. Wszystko co było piastowskie, polskie, narodowe, a nawet łużyckie, było według ówczesnych władz godne ratowania, więc nadużywaliśmy tych określeń, najczęściej oczywiście w sposób nieuprawniony, ale nikt się na tym nie znał. Z tymi

Łużycami wiąże się zabawna anegdota. Podczas jednej z konferencji w Lubuskim Towarzystwie Naukowym prezentowano referat z dziedziny archeologii, w którym była mowa o kulturze łużyckiej. Jan Lembas, przewodniczący Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej (dziś powiedzielibyśmy wojewoda), który był gościem spotkania, skwitował to wystąpienie słowami: „Towarzysze, ja uważam, że nie powinniście tu mieszać spraw łużyckich, nasi przyjaciele Łużycanie sami dadzą sobie radę...”.

Dzięki Janka pomysłowości udało się m.in. uratować ratusz w Kożuchowie. Wśród zainteresowanych zdania, co do jego odbudowy były podzielone mniej więcej pół na pół. Przewodniczący Prezydium Miejskiej Rady Narodowej oraz grono miłośników miasta sprzyjało pomysłowi, natomiast przeciwnikiem był wspomniany Jan Lembas. Na wizję lokalną przyjechał Mieczysław Ptaśnik, dyrektor Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków. Kiedy Janek pokazywał mu kożuchowski rynek, to zaraz przewodniczący Rady Miejskiej z grupą zwolenników wyszedł naprzeciw i zaczął podkreślać potrzeby miejskie, przemawiające za koniecznością odbudowy ratusza. Oczywiście natychmiast pojawili się przedstawiciele frakcji przeciwnej, argumentując: „po co na taką ruinę wydawać pieniądze, przedszkola są bardziej potrzebne”. Przedszkola zawsze były argumentem przeciw, trafnym zresztą, bo przedszkoli nie było... Dyskusja była bardzo zacięta, i to na rynku, nie gdzieś w gabinetach. Kiedy Muszyński zauważył, że szala ani na jedną stronę, ani na drugą stronę się nie przechyla i nawet Lembas nie był zdecydowany, powiedział: „Rozmyślałem nad tym już wielokrotnie, rozmawiałem również z przewodniczącym Miejskiej Rady. Wiem, że w Kożuchowie są problemy mieszkaniowe, to znaczy brakuje mieszkań. Z drugiej strony wiem, że w różnych willach, które mogłyby się stać mieszkaniami, ulokowano urzędy, np. Komendę Milicji Obywatelskiej. Można by przenieść te urzędy do ratusza, a willach można osadzić mieszkańców”. Użył więc tutaj socjalnego argumentu, który przekonał Lembasa, zwłaszcza, że wobec urzędnika z Warszawy tak wysokiej rangi miał on pewien respekt... Podjęto więc decyzję o odbudowie ratusza.

Innym razem przyjechał do Żagania wiceminister Kultury i Sztuki, Michał Rusinek, żeby rozstrzygnąć sprawę odbudowy rzędu kamieniczek. Był to koniec lat 60. Tu również jedni ludzie tego chcieli, inni nie. Tę wizytę oczywiście zaaranżował Janek, żeby przekonać do pomysłu przewodniczącego WRN. Nie miał aż tak wielkich wpływów w ministerstwie, ale zapewne wiceminister miał też inne sprawy w regionie, więc przyjął zaproszenie. Kamienice, które były bardzo uszkodzone, uratowano dzięki jego obecności. Nikt nie odważył się w tej sytuacji podważać sensu projektu. Z kolei kościół w Żarach uratował argumentem, że jest to najstarsza budowla bratniego narodu łużyckiego. Znowu ten argument łużycki... Natomiast kiedy pojawiła się groźba rozebrania domów otaczających żarską farę, wezwany do komitetu powiatowego Janek zapytał: „Czy towarzyszym chodzą o odsłonięcie kościoła w przestrzeni miejskiej? Bo tak się stanie po wyburzeniu kamienic otaczających go...”. Budynki nie zostały rozebrane. Ruinę pałacu w Brodach uratował argumentem, że obiekt zbudował minister króla polskiego. Brühl był faktycznie ministrem króla polskiego, ale przecież Sasa, a dorobił się rabując skarb polski, o czym już Janek nie wspominał... Kamienice, które są dziś perłą przy rynku w Bytomiu Odrzańskim też ratował najróżniejszymi sposobami. Mówił na przykład, że architektura tych budynków jest bardzo charakterystyczna i podobna do architektury polskiej, typowej dla doby renesansu... Taką bzdurę powiedział, ale nikt nie był na tyle kompetentny, żeby to podważyć. Świadomość społeczna i wiedza historyczna były na poziomie zerowym...

A.K.: O tę świadomość społeczną też chciałam Pana zapytać... Jednym z priorytetów Fundacji Pałac Bojadła jest podnoszenie świadomości nt. dziedzictwa kulturowego i edukacja estetyczna. Kieruje nami przekonanie o niskim stanie wiedzy w tej materii, czego efektem jest regularna dewastacja zabytków, w dużej części spowodowana przez okolicznych mieszkańców. Wydaje się, że ciągle mamy do czynienia z odbieraniem go jako obce. Czy jako pionierzy mieliście świadomość tego? Czy możliwe było podejmowanie działań o charakterze edukacyjnym, czy też, używając

dawnej nomenklatury, oświatowym? Jak wspomina Pan odbiór społeczny Waszych działań?

S.K.: Mieliśmy pełną świadomość tego, jak te dobra są traktowane przez społeczeństwo. A miało ono taki sam negatywny stosunek, jak władze. Wyjątkiem były pojedyncze osoby, które były przekonane, że warto chronić to „zaadoptowane” dziedzictwo, było to jednak naprawdę nieliczne grono. Panowała wówczas antyniemiecka atmosfera i trudno się zresztą dziwić. Zbrodnie niemieckie były tak dotkliwe i tak świeże w pamięci, że nie tylko władze, ale i ludność, obywatele, mieszkańcy, z nienawiścią wręcz odnosili się do wszystkiego, co było niemieckie. Władze oczywiście podsycaly te nastroje, w kręgach partyjnych i urzędniczych utrwalila się bowiem praktyka degradowania zabytków przez określanie ich jako „germańskie”, „pruskie”, „niemieckie”. Nawet nie próbowaliśmy zmieniać tego nastawienia, wiedzieliśmy, że i tak nikt by nas nie słuchał. Po prostu robiliśmy swoje.

Ta powojenna trauma szczególnie silnie odcisnęła swoje piętno w stosunku społeczeństwa do pałaców. Obiekty rezydencjonalne traktowane były jako burżuazyjne często dewastowane przez lokalne społeczności przy cichym lub wręcz otwartym przyzwoleniu władz. Dążenie do „odniemczania” przestrzeni społecznej w niektórych środowiskach partyjnych cieszyło się oficjalnym poparciem i nie było karane. Nikt nie podważał tego, że dwory i pałace są zabytkami, ale wśród społeczeństwa zadawano pytania, czy warto je chronić. W dużo lepszej sytuacji znalazły się kościoły. Mieszkańcy, którzy tu napłynęli z różnych stron, łączyli się we wspólnoty, musieli więc mieć świątynię. Oderwani od swoich stron, pozbawieni własnego dziedzictwa, zajmowali kościoły, nikogo nie pytając o zgodę. Ten pierwszy okres osadnictwa zaowocował tym, że kościoły, zarówno katolickie, jak i protestanckie, którymi opiekowali się wierni, pozostawały w dobrym stanie. Nikt może nie przeprowadzał w nich remontów, ale prowadzone były różnego rodzaju prace bieżące, polegające np. na załataniu dziury w dachu. Trudniej było w sytuacjach, kiedy w danej miejscowości były dwa lub więcej kościołów, w tym katolicki i ewangelicki. Ewangelickie, jako „element germański” na ogół zostawały opuszczone i sukcesywnie uległy dewastacji

czy nawet rozbiórkom. Wyburzanie ich, pomimo sprzeciwu służb konserwatorskich, było przeprowadzane pod pretekstem zagrożenia bezpieczeństwa. W wyniku tych działań rozebrano między innymi bardzo cenne ewangelickie kościoły w Koźuchowie, Żaganiu, Głogowie. Inne ulegały stopniowej dewastacji i dopiero dużo, dużo później zostały odbudowane. Ale generalnie kościoły były w sytuacji korzystnej, ponieważ były otoczone szacunkiem. Na początku zresztą nawet władze patrzyły na to przychylnie, widząc potrzebę integracji zróżnicowanych grup mieszkańców. Zachował się list Pełnomocnika Rządu na obwód Żary z 1945 roku, w którym prosił administrację apostolską we Wrocławiu o przysłanie duchownych, gwarantując wyżywienie i mieszkanie. Ludzie się tego domagali, ale i władze widziały taką potrzebę. W Gorzowie na przykład odnotowano nawet postulat starosty gorzowskiego, żeby budować kaplicę na wzór polskiej...

Jednak w jeszcze gorszej sytuacji niż pałace były kamienice. Spowodowane było to faktem, że w miastach było mało ludzi. W latach 50. liczyły one mniej więcej połowę mieszkańców w stosunku do okresu przedwojennego. W związku z tym kamienice w pewnej części uszkodzone nadawały się, zdaniem władz, wyłącznie do rozbiórki. Nie mówię już o tych miastach, gdzie totalnie zostały one zniszczone, jak Głogów, Krosno, Kostrzyn. Sytuację pogarszał fakt, że trzeba było wykazać się ilością cegieł dostarczanych na odbudowę Warszawy, a Ziemie Odzyskane były znaczącym źródłem pozyskiwania budulca. W Głogowie jeszcze w połowie lat 60. funkcjonował Powiatowy Komitet Odzysku Cegły, który rozbierał obiekty i zamieniał w gruz uszkodzone cegły, a te całe wysyłał na odbudowę Warszawy. Tak więc Głogów był w dużej części rozebrany w latach 50. i 60.. Również kamienice miejskie, które nie zostały uszkodzone, ulegały powolnej degradacji. Nie było mieszkańców, więc stały puste. Bardzo wyraziście ujawniła się wtedy społeczna niechęć zamieszkania w zdegradowanych, poniemieckich kamienicach. Marzeniem większości osadników było mieszkanie w bloku z betonowych elementów prefabrykowanych. Choć początkowo kamienice znajdowały się w dobrym stanie, z czasem ten stan się pogarszał, bo np. urwała się rynna lub została ukradziona, albo

dachówka spadła... Nie było pieniędzy na ich remont, więc stopniowo niszczały. Podobny los spotkał wiele kamienic w innych miastach, np. w Żaganiu. Teraz w ich miejscu stoją bloki mieszkalne, bez uszanowania ciągu ulic, układu przestrzennego.

A wracając do pałaców, początkowo ratunkiem wydawało się zagospodarowywanie założeń przez Państwowe Gospodarstwa Rolne, czyli PGR-y. W pałacach i dworach zwykle mieściła się administracja oraz mieszkania służbowe i świetlice. Potem jednak okazało się to niekorzystne dla tych obiektów, bo były mocno przebudowywane wewnątrz, nierzadko zdarzało się, że urządzano w nich magazyny zbóż czy nawet nawozów sztucznych. Administracja bardziej troszczyła się o stan obór i chlewni, nie remontując zajmowanych pałaców. Kiedy były już one mocno zniszczone, przenoszono biura i lokatorów do nowo wybudowanych obiektów. Najlepiej zachowały się pałace przeznaczone na jakieś cele społeczne, np. szkoły, sanatoria, domy dziecka. Tak było m.in. w Iłowie Żagańskiej, Chociulach, Zaborze, Trzebiechowie.

A.K.: Jak wyglądał początek prac służb konserwatorskich? Czy zostały jakieś archiwa dotyczące zabytków, czy potrzebna była inwentaryzacja? Kto określał, co jest zabytkiem, czy mieliście odpowiednio sformułowane dokumenty prawne, ustawy itp.

S.K.: Niczego nie było. Jeśli chodzi o ochronę zabytków, do roku 1962, czyli do przyjęcia ustawy o ochronie zabytków, obowiązywał dekret Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z roku 1918. Powoływanie się na niego w pracy było nietaktem. W kwestii określania obiektów mianem zabytku, sprawa była jasna: wszystko, co powstało do połowy XIX w. automatycznie stawało się zabytkiem.

Całą pracę merytoryczną rozpoczynaliśmy właściwie od zera. Istniały dwie ważne publikacje Instytutu Zachodniego – „Ziemia Lubuska” oraz „Dolny Śląsk”, które dawały pewne rozeznanie, jednak ujęte w nich były tylko najważniejsze zabytki. Ponadto pozostały również, wprawdzie przestarzałe, ale jednak – niemieckie inwentarze zabytków powiatu gorzowskiego, krośnieńskiego i żarskiego, nie działaliśmy więc zupełnie w ciemno. Poza tym, nie były znane efekty działań wojennych, więc wymagały one weryfikacji

w terenie. Musieliśmy dokonać rozpoznania zasobów zabytkowych i ich zachowania. Nie było to łatwe wobec kłopotów komunikacyjnych, o których mówiłem. Zawsze, kiedy o tym myślę, przypomina mi się pewna historia. Klemens Felchnerowski, który był moim szefem w latach 50., pewnego dnia powiedział: „Dzwonili do mnie z posterunku MO w Krzywańcu, że znaleziono garnki, które mogą być starożytnymi dwojakami. To może być cenne odkrycie archeologiczne. Pojedziesz to zobaczyć?”. Wstałem więc następnego dnia o piątej rano, dojechałem pociągiem do Krzystkowic, potem szedłem do Krzywańca przez siedem kilometrów lasem, po błocie. Kiedy dotarłem na miejsce, posterunkowy powiedział: „niepotrzebnie przyjeżdżaliście, to były dwa stojące obok siebie słoiki smalcu”. Usprawiedliwiający jednak fakt, że mnie nim nie częstuje, dodał znacząco: „zjełczały był...”.

W latach 1960-1962 rząd podjął akcję ewidencji zabytków architektury i budownictwa, prowadzoną przez grupę historyków sztuki i architektów zarówno z Zielonej Góry, jak i oddelegowanych przez Zarząd Muzeów i Ochrony Zabytków. Na podstawie sporządzonej inwentaryzacji dokonano w roku 1963 szkodliwej, w moim mniemaniu, kategoryzacji zabytków, przy czym za zabytek najwyższej, zerowej klasy uznano tylko pałac w Żaganii. Szkoda polegała na tym, że obiekty klasy III i IV uznano za mało wartościowe, nie zasługujące na ochronę.

A.K.: Poświęcił Pan zabytkom większą część swojego zawodowego życia. Co nazwałby Pan swoim największym sukcesem? Czy uznałby Pan coś za porażkę?

S.K.: Nigdy nie uważałem, że odniosłem jakiś sukces, Zawsze byłem przekonany, że to co robiłem, mogłem zrobić lepiej, więcej. Nie sądzę, że zrobiłem coś ważnego, wypełniałem po prostu obowiązki. Wykorzystałem fakt że otworzyła się przede mną możliwość ratowania zabytków... Myślę, że idea o społecznych opiekunach zabytków w pałacach była celna, bo dziś wszystkie one są w dobrym stanie i funkcjonują. Polegało to na tym, że w zamian za urządzenie w pałacu skromnego mieszkania zamieszkałe w nim osoby lub rodziny przejmowały obowiązek dozorowania. Ale na to wpadłem przez

przypadek, Edmund Szajer z Koźuchowa mi podsunął taką myśl. Nie uważam też, że odniosłem jakąś porażkę... Choć wszyscy utożsamialiśmy się z porażką Janka Muszyńskiego w sprawie odbudowy zamku w Krośnie Odrzańskim. Wówczas odbudowywało się zabytki w ten sposób, że trzeba było sporządzić plan i wstępną dokumentację określającą planowaną funkcję obiektu, potem przedłożyć ją w Ministerstwie, które przydzielało dotacje. Zamek krośnieński już w latach 60. miał taką dokumentację. W odbudowanym zamku miała się znaleźć między innymi biblioteka i dom kultury. Janek pojechał do Ministerstwa, gdzie przekonywał do realizacji planu mniej więcej tymi słowami: „Kronikarz Biskup Thietmar w 1005 roku napisał...” i tu Janek zacytował po łacinie, czym ujął Ministra. Opisał również powiązania Krosna z Bolesławem Chrobrym. Wszystko powtórzył przy komisji finansów w Prezydium WRN. Zaskoczona komisja zamilkła, jednak po chwili odezwał się przewodniczący Zygmunt Kokot: „co nam tutaj towarzyszy Muszyński gada za głupoty o jakichś sprawach za Chrobrego w Krośnie... Za Chrobrego były tam tylko bagna i lasy, nic więcej...”. Sekretarz posilony tym dodał: „Towarzyszu Muszyński, Wy nam tu nie wyjeżdżajcie z ministranturą, i nie gadajcie mi o biskupach”. No i tak się skończyło... Zamek dopiero niedawno został częściowo odbudowany.

Nie mam jakiegoś poczucia klęski, choć bardzo nieprzyjemnie wspominam pewną sytuację. Po wprowadzeniu stanu wojennego urząd wojewody zielonogórskiego objął pułkownik Wojsk Ochrony Pogranicza, Walerian Mikołajczyk z Krosna Odrzańskiego. Zaczął on poszukiwania pałacu, w którym – jak twierdził – miał utworzyć ośrodek spotkań, choć uważam, że szukał gniazdka dla towarzyszy i dla pijaństwa. Wezwał mnie i powiedział: „Jadę do Gryżyny, tam dwór zajęty przez prywaciarza, jadę do Grabina, zajęty przez prywaciarza. Naczelnik Gminy Bytnica powiedział mi, że wymusiliście na nim sprzedaż. Gdybym wiedział, że tak się stanie, rozniósłbym to czołgami kiedy byłem jeszcze dowódcą w Krośnie”. Tłumaczyłem, że ci „prywaciarze” kupili te obiekty tylko dlatego, że nikt inny nie chciał, żadne przedsiębiorstwo, żadna firma... Gdyby nie oni, dziś byłyby to ruiny, bo przed zakupem sprawowali nad nimi opiekę jako społeczni konserwatorzy zabytków. Myślałem, że na tym się

skończy. Niestety, nieustannie nawiedzały nas kontrole, które nie wykazywały żadnych nieprawidłowości, jednak skutecznie dezorganizowały pracę. Pewnego dnia wezwał mnie prokurator. Był bardzo kulturalny, godnie mnie powitał, mówiąc „przepraszam, że fatyguję, ale muszę pana przesłuchać, dlatego, że jest doniesienie na pana i to od wojewody. Zarzuty są bezzasadne, ale musimy spisać protokół”. Wtedy wyjechałem do Międzyrzecza...

A.K.: No właśnie, był Pan nie tylko Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków, ale również zastępcą dyrektora Muzeum Ziemi Lubuskiej oraz dyrektorem Muzeum w Międzyrzeczu. Z którą z tych funkcji wiąże się najwięcej dobrych wspomnień?

S.K.: Do Międzyrzecza wyjechałem w 1984 roku na prośbę ówczesnego dyrektora międzyrzeckiego muzeum, Alfa Kowalskiego, który zamierzał przejść na emeryturę. Długo namawiał mnie do tego. Bronilem się, bo mimo że byłem zmęczony pracą konserwatora i myślałem już nawet o zmianie, to obawiałem się posądzenia o kumoterstwo ze względu na takie samo nazwisko, choć żadne relacje rodzinne nas nie łączyły. Alf przekonał mnie jednak. Wyjechałem w przeświadczeniu, że zostanę tam do emerytury. To muzeum było już doskonale urządzone i znakomicie funkcjonowało, co było oczywiście zasługą mojego poprzednika. Przeprowadzone były trwające kilka lat badania archeologiczne zamku, więc archeologia była świetna, w szczególności ekspozycja. Podobnie etnografia, więc w zasadzie ja tam nie miałem co robić. Byłem zdumiony, że Alf szukał następcy w Zielonej Górze. Miał znakomicie przygotowaną kadre, wśród której były przynajmniej trzy osoby, którym mógł przekazać muzeum. Zająłem się zamkiem. W latach 50. i 60. był on odbudowany w sposób dziwny. Na bastejach artyleryjskich znajdowały się kopulaste, wielopłaszczyznowe dachy, które zniesiono i zrobiono płaskie. Mówiono, że tak było w renesansie... Dostępne wówczas materiały budowlane były kiepskiej jakości, więc te dachy nieustannie ciekły. Moja praca polegała na organizowaniu środków, aby przywrócić tym dachom pierwotny kształt.

Dobrze i spokojnie żyłem sobie w tym Międzyrzeczu, to był taki mały raj, ale Janek Muszyński nalegał bym wrócił, więc

powróciłem do Zielonej Góry po czterech latach... Pracę w Muzeum Ziemi Lubuskiej również wspominam z dużą sympatią, zwłaszcza dlatego, że mogłem pracować ze swoim przyjacielem.

A.K.: Wasza działalność, podobnie jak wszystkie dziedziny życia w komunistycznej Polsce, podlegała ścisłej kontroli ze strony państwa, często wręcz inwigilacji. Jak na tym tle wyglądała praca konserwatora i czy jakieś wydarzenia z tym związane szczególnie zapadły Panu w pamięć?

S.K.: Muszę powiedzieć, że mieliśmy to szczęście, że za bardzo nie wtrącano się do naszej pracy. Nie wiem, z czego to wynikało. Myślę, że wiele zależało od tego, jacy ludzie byli w Komitecie Wojewódzkim. Czasem przewodniczący Lembas próbował przeszkodzić w realizacji jakichś działań, ale radziłem sobie z tym. Np. kiedyś mnie wezwał, nie zaprosił, tylko wezwał i powiedział tak: „Doszły mnie słuchy, że odbudowujecie pałac w Żaganiu i chcecie tam marmury dawać. Słuchajcie, to nie na dzisiaj marmury... po co marmury... Dajmy PCW i płytki, a jak będzie lepiej, jak się gospodarka rozwinie, to wtedy wymienimy to na marmury”. A ja wiedziałem, że Adam Stawczyk, bo on był dyrektorem pałacu i koordynował prace, już kupił te marmury. Co miałem powiedzieć? Powiedziałem: „Dobrze, zrobimy jak pan przewodniczący mówi”. No i właściwie na tym się skończyła nasza rozmowa. Wiedziałem, że jeżeli ktoś doniósł, to już drugi raz nie doniesie w tej samej sprawie. No więc, kiedy połowa pałacu była już odbudowana i udostępniona, urządzono fetę. W pałacu oczywiście marmury, a przyjęcie na cześć gościa honorowego – Jana Lembasa. Prowadzący uroczystość oddał mi wszelkie honory, podkreślając wielokrotnie, że odbudowa pałacu to zasługa pana przewodniczącego. W przerwie Lembas podchodzi do mnie i mówi: „Dobrze, żeście mnie wtedy nie posłuchali”. W gruncie rzeczy pozytywnie to o nim świadczyło. Ktoś mi mówił, że dużo ryzykowałem, ale ja nie miałem takiego poczucia. Co mógł mi zrobić? Mógł mnie wezwać jeszcze raz i zrugać, no to wtedy bym powiedział, że już były kupione, więc co miałem zrobić? Jestem pewien, że nie drażyłby tego.

Inna sprawa to pojawiające się ze strony Służby Bezpieczeństwa prowokacje. Pewnego razu, podczas obsadzania społecznych opiekunów zabytków, dostałem w liście jakieś pieniądze. Zgłosiłem to natychmiast, sporządzona została stosowna notatka, a przy najbliższej okazji zwróciłem pieniądze nadawcy mówiąc, że zapewne w tym samym czasie pisał list do rodziny i pomylił koperty. Po wielu latach dowiedziałem się również, że inny opiekun pałacu w Słońsku przy okazji „opiekował się” również mną... Kiedy dowiedziałem się o tym, zacząłem kojarzyć pewne fakty, rozumiejąc, że wielokrotnie byłem poddawany nieudanym próbom skorumpowania mnie. Wtedy naiwnie nie zauważałem tego. Obecni wśród społecznych opiekunów zabytków informatorzy bezpieki mieli nie tylko donosić na mnie jako konserwatora. Zdarzało się, że dostawali za zadanie również szkodzić zabytkowi. Tak między innymi spalony został zamek joannitów w Słońsku. „Germańska rudera” wyjątkowo działała na nerwy mundurowym...

A.K.: Biorąc pod uwagę pogląd Herodota, że zmiana pokoleń następuje co 30 lat, obecnie scenę życia społecznego zajmuje trzecie pokolenie, licząc od osadników na nowych terenach. Czy dostrzega Pan wyraźne zmiany w podejściu młodych do spuścizny historycznej? Czy sądzi Pan, że utożsamiają się z lokalnym dziedzictwem?

S.K.: Myślę, że już w drugim pokoleniu ujawniły się znamiona akceptacji otoczenia, w którym ci ludzie się znaleźli. Po prostu nastąpiło przyswojenie, przyzwyczajenie się do nowego miejsca i uznanie go za swoje. Ludzie nie siedzieli już na walizkach, nie myśleli, że wrócą do Lwowa, do Wilna. Szczególnie widoczne było to w czasie odwilży lat 70., jako efekt uprawianej przez Edwarda Gierka polityki większej otwartości władzy na potrzeby społeczne. Wiele się wówczas zmieniło, coraz częściej pojawiały się postawy zaangażowania społecznego. Na przykład PTTK powoływały społecznych opiekunów zabytków. Fakt, że część komisji zabytkowych w PTTK, które funkcjonowały głównie w większych miastach, niewiele robiła, jednak wytworzył się pewien klimat zwiększonej troski o zabytki. Niestety, w praktyce opiekunowie społeczni zajmował się głównie

chodzeniem na zebrania, realnych rezultatów ich działań nie było. Na tym tle zdecydowanym wyjątkiem był Żagań. Było tam grono młodych chłopaków, którzy utworzyli niezwykle skuteczną komisję. Byli to ludzie mający rozpoznanie i świadomość wartości zabytków. Jeżeli oni interweniowali w sprawie zabytku zagrożonego zniszczeniem, można było być pewnym, że zostanie on uratowany. Tak na przykład uratowali młyn przy elektrowni. Młyn był skazany na rozebranie, dlatego tuż obok niego postawiono blok mieszkalny. Odległość między tymi obiektami była niedopuszczalna, ale postawiono blok, zakładając, że młyn będzie rozebrany. Młyn jednak ocalał, właśnie dzięki takim opiekunom społecznym.

Prawdziwa działalność opiekunów społecznych rozwinęła się jednak nieco później. Wiązało się to z pewnym szerszym zjawiskiem. Mianowicie, pod koniec lat 60. rozpoczął się dla pałaców drugi etap zagrożeń – PGR-y zaczęły opuszczać pałace. Z małych gospodarstw tworzono kombinaty czyli komasowano gospodarstwa i pałace nie były już potrzebne. Co najgorsze, ignorowano obowiązek powiadomienia o tym konserwatora zabytków, choć wówczas pałace były już wpisane do rejestru zabytków. Dowiadaliśmy się o tym zwykle przypadkowo, często po długim czasie. Wiedziałem jakim zagrożeniem jest pozostawienie pałacu bez opieki. Pomyślałem wtedy, żeby w tych opuszczonych rezydencjach urządzać mieszkania dla społecznych opiekunów zabytków. Zainspirował mnie do tego przypadek zamku w Koźuchowie, który został uratowany spontanicznie przez Edmunda Szajera. Był on ewangelickim duchownym, który przyjechał z Warszawy, a zamieszkał z rodziną w zamku. Odwiedzając go zorientowałem się, że on właściwie uratował ten obiekt przed kompletnym zniszczeniem, bo przecież w Żaganiu również stał opuszczony pałac, o wiele cenniejszy, który został niemal zrujnowany, a tam w Koźuchowie, pomimo tego, że obiekt stał przez 30 lat nieużytkowany, wszystko w porządku. Pomyślałem: „Jak to, jeden człowiek uratował to wszystko?” Ale on mi opowiadał, że kiedy dachówka spadła, to on ją umocował. Jak rynnę ktoś ukradł, to on znalazł inną i ją zamontował. Nie zwracał się do konserwatora o pomoc, wszystko robił spontanicznie z potrzeby i konieczności. Tak, z potrzeby, bo on miał świadomość wartości,

był człowiekiem światłym i szlachetnym. W tym samym czasie ujawnił się inny samorodny opiekun zabytków, Adam Wróblewski, mieszkający samotnie w pałacu w Ochli. Zainspirowali mnie oni myślą, żeby to samo robić w opuszczonych pałacach popegeerowskich. Na kolejny zjazd społecznych opiekunów, organizowany w ramach „Dni ochrony zabytków” zaprosiłem obydwu, pochwaliłem na forum ich postawę i pracę, wręczając skromne nagrody. Eugenia Pawłowska napisała o tym artykuł, który został przedrukowany w prasie ogólnopolskiej. Z całej Polski zaczęli zjeżdżać się ochotnicy do zamieszkania w rezydencji i tak około dwudziestu pałaców zostało obsadzonych. Większość z nich – jak barokowy pałac w Bogaczowie – jest dziś w bardzo dobrym stanie. Stało się tak, ponieważ opiekę nad nim objął Grzegorz Jankowski, absolwent Uniwersytetu Poznańskiego, późniejszy wieloletni burmistrz Nowogrodu Bobrzańskiego.

A.K.: Jest Pan nadal aktywny w zawodzie. Bywa Pan zapraszany jako ekspert od urbanistyki do komisji konkursowych, obecna Wojewódzka Konserwator Zabytków zwraca się do Pana z prośbą o konsultacje, jest Pan członkiem Rady Konserwatorskiej. Jak ocenilby Pan różnice w zadaniach i celach służb konserwatorskich dziś i wtedy, gdy Pan zaczynał pracę?

S.K.: Dziś konserwatorzy mają pod opieką ogrom zabytków, bo właściwie wszystko, co powstało przed wojną jest zabytkiem. My zajmowaliśmy się tylko tymi najcenniejszymi, była to nieporównywalnie mniejsza liczba. Ze względów ideologicznych, kiedy myśmy zaczęli, bardzo łatwo było chronić zabytki w Międzyrzeczu, bo tam był polski zamek i tam prowadzono prace w pierwszej kolejności; we Wschowie, Skwierzynie... To były miasta, które do drugiego rozbioru należały do Rzeczypospolitej, więc tam nie było żadnego problemu, żeby ratować zabytki. Gdzie indziej to były te okoliczności, kiedy Janek Muszyński swoimi sposobami ratował. Dziś sytuacja jest nieporównywalna, bo – jak już mówiłem – tych zabytków jest taki ogrom, że mimo, że dziś pracuje kilka razy więcej osób, nie licząc powiatowych, miejskich konserwatorów zabytków, mają bardzo dużo pracy. Muszę jednak powiedzieć, że nasza praca miała

jakieś cechy romantyzmu. Ratowanie zabytków było dla nas nie tylko pracą, ale też świetną zabawą, wyzwaniem. Po prostu lubiliśmy to robić. Natomiast dziś to głównie administracja. Pracowałem jeszcze w Urzędzie Konserwatorskim będąc na emeryturze i denerwowało mnie, kiedy musiałem człowiekowi stworzyć trzy dokumenty, zanim wydam zgodę na wymianę okien. No, ale to dzisiaj jest normalne, to jest prawdziwa ochrona zabytków, a wtedy to była trochę partyzantka. Może sytuacja poprawiła się kiedy konserwator zaczął dysponować dużymi środkami jako inwestor. Pojawiła się wtedy księgowość, nadzór budowlany, było bardziej profesjonalnie. Dziś Urząd Ochrony Zabytków jest to rodzaj policji pilnującej, by wszystko było w porządku. Poza tym dzisiaj, co mnie bardzo cieszy, prowadzi się badania. Np. przy remoncie kamienicy prowadzi się badania tynków, co za naszych czasów było nie do pomyślenia. Wtedy tynki nie były zabytkiem, nie było nawet takiej świadomości. Nie uczono tego na uczelniach, w ministerstwie nie nakazywano tego rodzaju analiz. Świadomość rosła jednak systematycznie w miarę upływu czasu. Dziś jest przeogromna w stosunku do tego, co było.

A.K.: Jest Pan członkiem zarządu Fundacji Pałac Bojadła. Wspiera nas Pan od początku swoją wiedzą, doświadczeniem i autorytetem. Pomimo przekonania o słuszności przyjętej przez nas misji, a także wsparciu wielu wspaniałych ludzi, naukowców i artystów, innych organizacji pozarządowych czy pozytywnym stosunku niektórych organów administracji publicznej, często odnosimy frustrujące wrażenie, że walczymy z wiatrakami, że trudno nam pozyskać odpowiednie zrozumienie, wsparcie finansowe, merytoryczne i organizacyjne dla naszych działań. Większość inicjatyw to efekt naszej wolontariackiej pracy i prywatnych środków finansowych, nierzadko zmagamy się przy tym z problemami natury urzędniczej. Jak widziałby Pan rolę państwa czy jednostek samorządu terytorialnego w ochronie dziedzictwa kulturowego? Wiemy, że Pan jako Wojewódzki Konserwator powoływał społecznych opiekunów zabytków, co jest doskonałym przykładem dbałości o dziedzictwo, pomimo braku możliwości finansowych...

S.K.: Kiedy myślę o was, to zastanawiam się, ile wy macie uporu, pomysłowości, ile ducha, żeby podjąć się planu odbudowy pałacu. Podziwiam upór i kompetencję Arkadiusza Michońskiego, który przecież wspaniale zajął się już szpitalem w Broniszowie. Kto pomyślałby o tym, żeby ratować wiejski szpital... Trzeba mieć dużą wrażliwość i wiedzę, żeby dostrzec piękno tego obiektu. A przecież to najstarszy zachowany szpital w województwie lubuskim, o czym nie każdy wie. I w jaki sposób został on zrewitalizowany, z jaką starannością! Arkadiusz zadał sobie trud zdobycia oryginalnej XVIII-wiecznej dachówki, chociaż przecież nie miał nawet takiego zalecenia konserwatorskiego. Pewnie zadziałała jego wiedza i pasja... Bardzo się ucieszyłem, kiedy dowiedziałem się, że dostał za to nagrodę w ministerstwie, choć wydaje mi się, że na gruncie lokalnym niewystarczająco to odnotowano. Myślę, że podobnie rozumiemy ideę działań konserwatorskich. Byłoby wspaniale, gdyby państwo bardziej wspierało takich pasjonatów, choć i tak uważam, że jest dużo lepiej niż dawniej, choćby dzięki możliwości tworzenia organizacji pozarządowych, jak właśnie fundacje. Wydaje mi się, że większą rolę w ratowaniu zabytków powinny odgrywać władze lokalnego szczebla, bo kiedy ktoś deklaruje, że zamierza ratować tak cenny dla regionu obiekt jak Bojadła, powinno się go wspierać w każdy możliwy sposób. Brakuje chyba jednak gradacji wartości, często wynika to z niewiedzy, braku świadomości w kwestii tego, co jest ważne, a co nie.

ARTYKUŁY I OPRACOWANIA

Zbigniew Bujkiewicz

ELEKTRYFIKACJA ZIELONEJ GÓRY 1895-1948

Lata 1895-1922

Zielona Góra została zelektryfikowana jako jedno z pierwszych miast regionu w 1895 roku, a źródłem, z którego popłynął pierwszy prąd trójfazowy w trakcji naziemnej była elektrownia wodna zbudowana przy młynie na rzece Bóbr w Nowogrodzie Bobrzańskim. Elektrownia ta była jedną z pierwszych na całym Dolnym Śląsku, a jedynymi wcześniej zelektryfikowanymi miastami były Wrocław (1891) i Wałbrzych (1893). W odróżnieniu od Zielonej Góry posiadały one w swoich elektrowniach wyłącznie napęd parowy. Kolejne elektrownie zasilają w prąd: Zgorzelec (1896), Legnicę (1898) i Głogów (1907).

Realizacja nowatorskiego, jak na owe czasy, przedsięwzięcia stała się możliwa dzięki wspaniałym wynalazkom – prądniczy trójfazowej i transformatorowi trójfazowemu. Duże zasługi we wdrażaniu tych urządzeń w energetyce miał działający w Niemczech elektryk i wynalazca pochodzenia polskiego Michał Doliwo-Dobrowolski (1862-1919). Przez wiele lat pełnił on funkcję kierownika technicznego w zakładach AEG, a w 1908 roku został dyrektorem berlińskiej fabryki aparatury elektrycznej tego koncernu. M. Doliwo-Dobrowolski uważany jest przez świat nauki za pioniera techniki prądu trójfazowego. W 1888 roku opracował trójfazowy układ elektryczny oraz pierwszą prądnicę trójfazowego prądu zmiennego i jako

pierwszy w 1889 roku skonstruował trójfazowy silnik indukcyjny z wirnikiem klatkowym. Był też wynalazcą innych maszyn i urządzeń elektrycznych, w tym transformatora trójfazowego. Ogromne wrażenie wywołał także w 1891 roku na Wszechświatowej Wystawie Elektrotechnicznej we Frankfurcie nad Menem, gdzie zdemontował pierwszą linię przesyłową na prąd trójfazowy z Laufen w Górnej Bawarii do Frankfurtu n/M o łącznej długości 170 km. Ta pionierska praca miała w krótkim czasie zrewolucjonizować dotychczasowe postrzeganie energii elektrycznej i możliwości jej wykorzystania, ponieważ niska moc stosowanych wcześniej generatorów prądu stałego miała ograniczony zasięg i nie pozwalała na przyłączanie odbiorców oddalonych od elektrowni.

Udane próby przesyłania prądu wysokiego napięcia na duże odległości zachęciły w 1894 roku właściciela młyna wodnego w Nowogrodzie Bobrzańskim Hermanna Saalmanna do jego przekształcenia w elektrownię wodną. W tym samym roku zawarł on z okolicznymi gminami umowy koncesyjne i przystąpił na początku 1895 roku do budowy elektrowni. Wykorzystując do tego celu będące na wyposażeniu młyna koło wodne o mocy 90 KM i wydajności 180 obrotów na minutę, które przez przeniesienie pasowe rozpedzało wał transmisyjny do 175 obrotów na minutę. Dodatkowo H. Saalman zamontował dwie nowe turbiny wodne o łącznej mocy około 250 KM, które przez koło stożkowe, względnie przekładnię pasową pozwalały na transmisję z wydajnością 500 obrotów na minutę. Jak na ówczesne warunki było to bardzo nowoczesne rozwiązanie. W przypadku transmisji kołem wodnym napęd przenoszony był na prądnicę prądu trójfazowego o mocy około 80 KM, a za pomocą turbin wodnych napędzana była prądnica prądu trójfazowego o mocy około 220 KM. Od 1896 roku w elektrowni obok napędu wodnego była również zainstalowana maszyna parowa sprowadzona z Saskiej Fabryki Maszyn w Chemnitz o maksymalnej mocy 374 KM, sprzęgnięta bezpośrednio z prądnicą. Wszystkie prądnice prądu trójfazowego zamontowane w młynie zostały wyprodukowane w firmie Siemens & Halske i były przewidziane do uzyskania napięcia 3 x 220 V. Każda z prądnic była sprzęgnięta bezpośrednio z wzbudnicą (maszyną wzbudzającą) 110 V. Uzyskiwane wówczas

napięcie robocze wynosiło 225 V i było podwyższane do 10 000 V dzięki trzem transformatorom, dwa z nich po 100 KW i jeden 50 KW¹.

Dzięki przedsięwzięciu H. Saalmanna pierwsza napowietrzna linia energetyczna prądu trójfazowego 10 000 V, długości około 25 km, została poprowadzona z Nowogrodu Bobrzańskiego do Zielonej Góry. Linia zbudowana została z trzech litych drutów miedzianych, każdy o przekroju 3,5 mm, które unieszone były na izolatorach z potrójnym płaszczem (osłoną) i wykonane zostały według projektu Królewskiej Wytwórni Porcelany w Nymphenburgu. Łukowe żelazne podpory izolatorów zostały tak skonstruowane, że przewody na planie trójkąta równobocznego były oddalone jeden od drugiego o 60 cm. Linia energetyczna została podwieszona na impregnowanych drewnianych słupach o wysokości około 14 m, a odległość pomiędzy poszczególnymi słupami wynosiła około 40 m. Na mocy ówczesnych przepisów przy takiej rozpiętości przewodów ich najniższy punkt powinien znajdować się na wysokości minimum 9 m nad ziemią. Dla uniknięcia efektu indukcyjnego nowa linia energetyczna została poprowadzona równolegle w odstępnie około 10 m od biegnącego w tym samym kierunku przewodu państwowego telegrafu. Dla ochrony przed piorunami co szósty słup był uziemiony specjalnym drutem (Stacheldraht). Ten sposób ochrony okazał się jednak nieskuteczny i został szybko rozebrany. Później zastosowano instalację odgromową w postaci zwykłego uziemionego drutu żelaznego, rozpiętego pomiędzy słupami².

21 stycznia 1895 roku H. Saalman podpisał umowę z zarządem miejskim Zielonej Góry na dostawę energii elektrycznej do miasta obejmującą budowę sieci zasilającej oraz wykonanie przyłączy domowych. W myśl zawartej umowy cała sieć elektryczna zainstalowana w mieście była jego własnością. Zakładanie samej linii oraz pierwszych przyłączy domowych było bardzo pracochłonne

¹ H. Saalman, *Elektrizitätswerke Eichdorf-Grünberg*, [w:] Schlesien. Kultur und Arbeit einer Deutschen Grenzmark, red. B. Salomon, E. Stein, Berlin 1926, s. 245.

² *Ibidem*.

i trwało od 1 lipca do połowy listopada 1895 roku. Zakończyło się jednak pełnym sukcesem, bo 28 listopada 1895 roku w podłączonym do sieci lokalu zaświeciła się pierwsza żarówka elektryczna. Wszystkie zielonogórskie transformatory zmieniając napięcie przesyłu prądu na napięcie użytkowe zamontowane zostały nad ziemią na spełniających normy bezpieczeństwa murowanych słupach ogłoszeniowych, stąd pochodził ich specyficzny cylindryczny kształt.

Termin pełnego uruchomienia sieci został jednak przesunięty na koniec roku z uwagi na nieprzewidziane trudności techniczne, jakie wystąpiły w samej elektrowni w Nowogrodzie Bobrzańskim. Wczesne nadejście zimy i pierwszy atak mrozu spowodował zamarzanie wody w rzece, co z kolei wywołało zakłócenia w pracy turbin. Dopiero zainstalowanie na początku 1896 roku maszyny parowej pozwoliło elektrowni uniezależnić się od warunków atmosferycznych. Poza Zieloną Górą w następnych latach do elektrowni Saalmanna zostały podłączone kolejne miasta Krzystkowice i Nowogród Bobrzański oraz miejscowości: Piaski, Świdnica, Jędrzychów, Ochla, Wilkanowo, a także okoliczne majątki ziemskie i zakłady gospodarcze.

Doprowadzenie energii elektrycznej do Zielonej Góry spotkało się z dużym uznaniem miejscowej ludności i przemysłowców, lecz stało się konkurencją dla oświetlenia gazowego, które było od wielu lat w powszechnym użyciu. W zielonogórskiej gazowni potraktowano H. Saalmanna jak groźnego konkurenta. W jednym z numerów gazety „Grünberger Wochenblatt” z 1895 roku ówczesny zarządca gazowni P. Aschke opublikował obszerne ogłoszenie o wyższości palnika gazowego nad światłem żarowym, przytaczając ciekawą kalkulację kosztów obu źródeł światła:

- żarówka elektryczna o mocy 15 świec na godzinę = 3,63 fenigi,
- palnik gazowy o mocy 12 świec na godzinę = 2,70 feniga,
- lampa naftowa o mocy 16,5 świec na godzinę = 1,34 feniga,
- palnik auerowski o mocy 50 świec na godzinę = 2,17 feniga³.

³ „Grünberger Wochenblatt” 9.03.1895.

Konkludując P. Aschke stwierdzał, że oświetlenie auerowskie jest zdecydowanie najtańsze i może zastąpić trzy sztuki 16-świecowych żarówek, jednocześnie do stosowania oświetlenia gazowego zachęcał klientów niską ceną gazu, przyrównując oświetlenie elektryczne do luksusu. Nie trzeba było długo czekać na reakcję dyrektora elektrowni P.W. Sothmanna, który już następnego dnia w tej samej gazecie zapewniał, że za taką samą cenę, jaką dotąd płacono za gaz, będzie można uzyskać światło elektryczne o takiej samej wartości oświetleniowej jak gazowe⁴.

Z upływem czasu i rozwoju techniki dokonywane były zmiany i liczne ulepszenia zakładu. W elektrowni zamiast koła wodnego została zainstalowana trzecia turbina, a obie stare turbiny wodne zostały zastąpione przez nowe urządzenia, tak, że łączna moc trzech turbin wodnych wzrosła do 900 KM (661,95 kW).

Zaopatrzenie Zielonej Góry w energię elektryczną z elektrowni H. Saalmanna utrzymywało się na stałym poziomie i funkcjonowało bez zarzutu do początków lat 20. XX wieku, kiedy to odnotowano znaczne jej niedobory. Jako główną przyczynę tego zjawiska wskazywano wówczas zaniedbania w utrzymaniu sieci rozdzielczej i jazu na Bobrze, ale przede wszystkim wzrost popytu na prąd elektryczny przez wzrost demograficzny i intensywnie rozwijający się przemysł. W latach 1920/1921 dostawy prądu były tak niedostateczne, że władze miejskie zdecydowały się interweniować poszukując nowych źródeł zasilania. W tym celu prowadzone były rozmowy z Powiatowym Urzędem Energetycznym z Żagania oraz z Märkische Elektrizitätswerk (MEW). Nie przyniosły one jednak wówczas żadnych rezultatów. Problem zwiększenia dostaw energii elektrycznej nie został rozwiązany. W zaistniałych okolicznościach w 1921 roku władze miejskie skorzystały z oferty dyrektora generalnego Zakładów Włókienniczych Deutsche Wollwaren Manufaktur (DWM) w Zielonej Górze dra Ostersetzera, dotyczącej zaopatrzenia miasta w tanią energię elektryczną z nowo wybudowanej elektrowni DWM o mocy 5740 kW przy al. Wojska Polskiego (dawna ul. Krośnieńska). Elektrownia ta była opalana węglem brunatnym z miejscowych złóż

⁴ „Grünberger Wochenblatt” 10.03.1895.

wydobywanych w kopalni Słone i miała dostarczać energię elektryczną głównie do będących w trakcie modernizacji i rozbudowy zakładów włókienniczych Deutsche Wollwaren Manufaktur. Jednak posiadane przez nią rezerwy produkcyjne pozwalały na pokrycie zapotrzebowania miasta na prąd bez żadnych ograniczeń⁵.

Lata 1923-1945

Władze miejskie zerwały wówczas umowę z H. Saalmanem, ale w myśl zawartego w 1895 roku kontraktu musiały one wykupić od przemysłowca elektrownię z siłą wodną i całą siecią rozdzielczą miasta. Starania władz miasta w rozwiązaniu problemu zaopatrzenia Zielonej Góry w energię elektryczną wspierał lokalny przemysł i w ten sposób w dniu 15 grudnia 1922 roku utworzona została, reprezentowana przez burmistrza A. Finke i fabrykanta E. Babrowskiego, spółka akcyjna Elektrowirtschaft G.m.b.H. Grünberg, która 18 maja 1923 roku zawarła umowę na dostawę prądu z elektrowni DWM dla całego miasta i wszystkich ważniejszych zakładów przemysłowych. Jednak już w maju 1925 roku zakłady DWM sprzedały swoją elektrownię za 700 000 marek firmie Märkische Elektrizitätswerk A.G. w Berlinie, która od 1926 roku stała się jedynym dostawcą energii elektrycznej dla miasta i powiatu Zielona Góra.

Märkische Elektrizitätswerk było przedsiębiorstwem dysponującym kilkoma elektrowniami cieplnymi i wodnymi, które zaopatrywały w energię elektryczną znaczną część prowincji Brandenburgii, łącznie z Berlinem. Wśród nich były dwie znaczące, wchodzące w skład MEW: elektrownia cieplna Heegermühle koło Eberswalde i elektrownia Finkenheerd położona na południe od Frankfurtu n/O, z której popłynął prąd do Zielonej Góry. Elektrownia ta została zbudowana w 1923 roku, a już w 1926 roku, uwzględniając nowe rynki zbytu, uległa rozbudowie. Elektrownia w Finkenheerd posiadała trzy turbiny parowe o łącznej wydajności 60 000 KW, a węgiel brunatny potrzebny do produkcji energii dostarczany był z położonej w sąsiedztwie kopalni odkrywkowej. W kolejnych latach przewidywano dalszą rozbudowę elektrowni i wzrost jej wydajności od

⁵ Verwaltungsbericht der Stadt Grünberg, 1930, s. 116.

125 do 150 tys. KW, a także przekształcenie w głównego dostawcę prądu dla MEW⁶.

Tak duże moce produkcyjne pozwoliły na elektryfikację nie tylko miasta, ale całego powiatu zielonogórskiego. Już w końcu 1921 roku władze powiatowe zawarły z MEW umowę, na mocy której powiat zielonogórski został akcjonariuszem firmy i miał zostać zelektryfikowany. Zamiar ten mógł być jednak zrealizowany dopiero latem 1926 roku po uruchomieniu rozbudowanej elektrowni Finkenheerd. Początkowo dostawy energii elektrycznej na obszar powiatu zielonogórskiego odbywały się poprzez linię średniego napięcia 15 000 V, która dochodziła do stacji transformatorowej DWM na terenie elektrowni przy ul. Wojska Polskiego, skąd prąd był rozprowadzany po okolicznych miejscowościach powiatu zielonogórskiego. Kilka lat później Zielona Góra została połączona z elektrownią Finkenheerd linią wysokiego napięcia 50 000 V, co pozwoliło na realizację postulatu powszechnej elektryfikacji regionu. Przez zaistniały terytorialny podział zasilania do 1945 roku wytwarzanie energii w elektrowni przy al. Wojska Polskiego w Zielonej Górze ograniczone zostało do poziomu rezerwowego. Zwiększone możliwości dostaw energii skłoniły władze miejskie do stopniowego zastępowania ulicznego oświetlenia gazowego oświetleniem elektrycznym. Prace w tym zakresie zostały zapoczątkowane w 1929 roku, kiedy liczba czynnych latarni gazowych zmniejszyła się z 425 do 358 sztuk, a w to miejsce zamontowane zostały 82 lampy elektryczne. Pierwsze lampy elektrycznie zostały zainstalowane przy ulicach: Kupieckiej – 17 sztuk i Sikorskiego – 14 sztuk. Po kilka lamp zainstalowano w Rynku, na placu Pocztownym i przy ulicach: Chrobrego, Niepodległości i Wrocławskiej.

Lata 1945-1948

Utrzymanie zielonogórskiej elektrowni w ruchu pozwoliło na zapopatrywanie miasta w energię elektryczną zaraz po zakończeniu działań wojennych na Ziemi Lubuskiej, kiedy dostawy prądu

⁶ Das Märkische Elektrizitätswerk, A.G. Berlin und die Elektrizitätsversorgung des Kreises Grünberg, Schlesien... *op. cit.*, s. 277-279.

z elektrowni Finkenheerd zostały przerwane. Od 14 lutego 1945 roku Zielona Góra podlegała władzy radzieckiego komendanta wojennego, a pierwszy polski burmistrz miasta Tomasz Sobkowiak objął uroczystie swój urząd dopiero 6 czerwca 1945 roku. Tego samego dnia elektrownia przeszła pod nadzór polskiego Zarządu Miejskiego w Zielonej Górze jako zakład komunalny. W tym stanie organizacyjnym funkcjonowała jednak krótko do 15 sierpnia 1945 roku⁷, po czym zmieniła przynależność w związku z reorganizacją i centralizacją polskiej energetyki.

W strukturze Ministerstwa Przemysłu został wyodrębniony Centralny Zarząd Energetyki, któremu podlegały terenowe zjednoczenia energetyczne. Ziemia Lubuska, wchodząca w latach 1945-1950 w skład województwa poznańskiego podlegała Zjednoczeniu Energetycznemu Okręgu Poznańskiego. Na obszarze tym zostały utworzone dwa oddziały, jeden w Gorzowie Wielkopolskim i drugi w Zielonej Górze, podległe bezpośrednio Zjednoczeniu poznańskiemu. Oddziałowi w Zielonej Górze podporządkowana została elektrownia ciepła w Zielonej Górze wraz z kopalnią węgla brunatnego „Słone” oraz dwie elektrownie wodne w Raduszczyku Starym i w Gubinie.

Pierwszym dyrektorem Oddziału Energetycznego w Zielonej Górze został inżynier Karol Kodym, który urodził się w 1910 roku i z wykształcenia był elektrykiem. Studia ukończył w 1934 roku na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej w specjalności wysokie napięcia. Przed wojną przez kilka lat pracował w Elektrowni Warszawskiej, a w czasie wojny – w zakładach Siemensów w Warszawie jako kierownik działu. Był również współwłaścicielem sklepu elektrotechnicznego. W latach 1944-1945 przez krótki czas był zatrudniony w Elektrowni Częstochowskiej. Funkcję dyrektora Oddziału Energetycznego w Zielonej Górze objął 1 września 1945 roku i od razu dał się poznać jako doskonały fachowiec. Jak zapisano w jego charakterystyce służbowej „W czasie swej działalności na terenie Ziemi Lubuskiej doprowadził do stanu używalności około

⁷ Archiwum Państwowe w Zielonej Górze (dalej: APZG), Zarząd Miejski w Zielonej Górze, sygn. 49. Przedsiębiorstwa gminne 1945-1946.

70% sieci wysokiego i niskiego napięcia, przy bardzo znikomych środkach materialnych, które były mu postawione do dyspozycji”⁸.

W pierwszych powojennych latach wspierali go w pracy fachowcy przybyli z różnych stron Polski: Kazimierz Buchwald – kierownik administracyjno-handlowy z Poznania, Rudolf Mirek – inspektor sieci powiatowej z Warszawy, Jan Wrzalik – kierownik sieci miejskiej z Poznania, Waław Budrewicz – mistrz ruchu z Wilna i Jan Patalas – kierownik techniczny z Wolsztyna.

W grudniu 1946 roku Oddział Zielonogórski zatrudniał 581 osób, w tym 363 pracowników fizycznych, 173 umysłowych oraz 45 Niemców⁹. Pracownicy niemieccy w większości stanowili kadrę fachową kopalni „Słone”. Produkcja energii elektrycznej z trudem pokrywała w tym czasie zapotrzebowanie miasta i okolic. Wynikało to z bardzo dużego obszaru jaki elektrownia obsługiwała, zużycia maszyn oraz nierytmicznych dostaw węgla brunatnego. Kopalnia w Słone było w stanie pokryć zaledwie połowę zapotrzebowania w węgiel. Reszta była sprowadzana z kopalń Smogóry i Konin. W 1947 roku wydobyte dziennie węgla w kopalni „Słone” nie przekraczało 100 ton, podczas gdy zapotrzebowanie elektrowni dochodziło w szczycie zimowym do 250 ton dziennie. Natomiast węgiel ze Smogór i z Konina dostarczany był nieregularnie i często w zbyt małych ilościach, co wstrzymywało pracę elektrowni. Zaległości były poważne, np. dostawy z kopalni Konin w październiku 1946 roku miały wynieść 1800 ton, a faktycznie dostarczono 194,5 tony, podobnie w listopadzie tego roku na zamówione 2400 ton zrealizowano jedynie dostawę 624 ton węgla¹⁰. Często elektrownia w Zielonej Górze mogła wytwarzać energię elektryczną jedynie w oparciu o węgiel wydobywany we własnej kopalni.

W ocenie Poznańskiego Zjednoczenia Energetycznego popyt na energię elektryczną na Ziemi Lubuskiej kilkunastokrotnie

⁸ APZG, Komitet Powiatowy Polskiej Partii Robotniczej w Zielonej Górze, sygn. 106, s. 235. Charakterystyka personelu kierowniczego Obwodu Zielona Góra 28 XII 1946.

⁹ *Ibidem*, s. 249.

¹⁰ *Ibidem*, s. 281.

przewyższał jej podaż. Poprawa sytuacji energetycznej miała nastąpić dopiero po realizacji trzyletniego planu inwestycyjnego, w ramach którego podwojeniu miała ulec moc elektrowni poznańskiej, zaplanowana została również budowa elektrowni okręgowej w Gorzowie Wielkopolskim oraz odbudowa elektrowni wodnej w Dychowie, zdemontowanej wcześniej przez Rosjan¹¹. W trzyletnim planie nie została przewidziana rozbudowa zielonogórskiej elektrowni, która zmagająca się z problemami zaopatrzenia w węgiel. Miejscowe złoża były na wyczerpaniu, a ponadto ich dalsza eksploatacja stwarzała zagrożenie dla bezpieczeństwa pracujących górników. Wobec zaistniałej sytuacji Ministerstwo Przemysłu i Handlu podjęło decyzję o zaprzestaniu wydobywania węgla z ostatniego szybu górniczego kopalni „Stone” w dniu 1 sierpnia 1948 roku. Ministerstwo stwierdziło ponadto, iż dalsza eksploatacja węgla brunatnego w rejonie Zielonej Góry jest nieopłacalna ze względu na występowanie jego pokładów w postaci mocno sfałdowanych siodeł wśród kurzawki ilastej, stwarzającej wiele zagrożeń przy wydobyciu.

Po 1948 roku elektrownia zielonogórska kontynuowała dalszą pracę w ograniczonym zakresie, korzystając z zewnętrznych źródeł zaopatrzenia w węgiel.

¹¹ O problemach związanych z elektryfikacją Ziemi Lubuskiej por. też: W. Krajnik, *Elektryfikacja Ziemi Lubuskiej 1894-1955*, „Studia Zachodnie” 17, Zielona Góra 2015.

Robert Skobelski

ROZWÓJ SZPITALA W ZIELONEJ GÓRZE W DEKADZIE LAT 70. XX WIEKU

Wojewódzki szpital w Zielonej Górze z siedzibą przy ul. Zyty był pod koniec lat 60. znaczącą placówką służby zdrowia, ale na jego działalności odbijały się wyraźnie ogólnokrajowe trudności ekonomiczne tamtego okresu związane – najogólniej rzecz ujmując – z niewydolnością centralnie sterowanej gospodarki socjalistycznej. Lecznica, którą od października 1962 roku kierował dr Czesław Strehl¹, zatrudniała 822 osoby, w tym 85 lekarzy, dysponowała 943 łóżkami (według danych z 1971 roku), a przez jej oddziały przewijało się ponad 15 tys. pacjentów rocznie². Początek tzw. dekady gierkowskiej zapoczątkował istotne zmiany w służbie zdrowia, wynikające z różnych przekształceń i dopływu potrzebnych funduszy. Etapami wprowadzono podwyżki płac, zwiększał się systematycznie import leków i aparatury medycznej z tzw. strefy dolarowej, przyspieszono większość inwestycji, a także objęto ubezpieczeniem zdrowotnym ludność wiejską³.

¹ Wcześniej dyrektorami lecznicy byli kolejno: Józef Tymiński, Zbigniew Pieniężny, Albin Bandurski oraz Zbysław Kopyś.

² Archiwum Zakładowe Szpitala Wojewódzkiego (dalej: AZSW), *Liczba łóżek rzeczywistych*; *ibidem*, *Liczba pracowników etatowych Szpitala Wojewódzkiego* (dokumenty pochodzące z AZSW nie posiadają sygnatur i paginacji).

³ T. Dzwonkowski, R. Skobelski, H. Szczegół, *Szpital Wojewódzki im. Karola Marcinkowskiego w Zielonej Górze*, Zielona Góra 2015, s. 73.

Poprawie sytuacji ekonomicznej zielonogórskiego lecznictwa towarzyszyły w tym czasie jednak również straty, związane ze śmiercią wybitnych postaci tutejszego środowiska medycznego. W styczniu 1973 roku zmarł dr Zbigniew Pieniężny, znakomity chirurg (członek Zarządu Głównego Towarzystwa Chirurgów Polskich w Warszawie), ordynator Oddziału Chirurgii II, który w latach 1946-1961 pełnił funkcję dyrektora szpitala. To dzięki inicjatywie i zabiegom dr. Z. Pieniężnego w lecznicy tworzono nowe oddziały, ściągano wysokokwalifikowaną kadrę lekarską, a w 1959 roku powołano Liceum Pielęgniarskie (później przemianowane na Liceum Medyczne). W tym samym 1973 roku odszedł również dr Zbigniew Gibayło, kierujący od 1965 roku Oddziałem Płucnym i Zakaźnym. Należy podkreślić, że dr Z. Gibayło był niezwykle zasłużonym lekarzem na polu zwalczania gruźlicy, należącej długo po wojnie do najgroźniejszych chorób. W ciągu swojej wieloletniej aktywności zawodowej wychował i wykształcił wielu specjalistów w tym zakresie⁴.

Jeszcze w roku 1968 rozpoczęto zabiegi nad stworzeniem odrębnego Oddziału Reanimacji i Intensywnej Terapii zlecając Biuru Projektów Służby Zdrowia wykonanie odpowiedniego projektu. Rozwiązaniem tymczasowym było natomiast uruchomienie w 1970 roku, w ramach Oddziału Wewnętrznego, czteroosobowej sali intensywnego nadzoru, funkcjonującej do 1 września 1974 roku. Wówczas bowiem salę zastąpił już właściwy Oddział Anestezjologii i Intensywnej Terapii, dysponujący ośmioma łóżkami, w tym jedną izolatką – pierwszego pacjenta przyjęto tutaj 4 września. Jego ordynatorem został Władysław Kościelniak (sprawował tę funkcję aż do roku 2011!), któremu podlegało kilku lekarzy, m.in Wiaczesław Filipczuk i Lech Skalski (pierwszy wyszkolony w Zielonej Górze anestezjolog) oraz zespół pielęgniarek, przygotowanych w znacznej mierze przez internistę – Antoniego Straburzyńskiego (kierującego wcześniej salą intensywnego nadzoru) i siostrę oddziałową – Leokadię Mieszkuć. Warto dodać, że organizacja, wysokiej klasy wyposażenie i aparatura (firm Hewlett-Packard, Dräger oraz Losco), jak

⁴ *Ibidem*, s. 74, 216, 222-223.

również poziom medyczny tego oddziału, pomimo odczuwalnego przez dłuższy czas deficytu specjalistów anestezjologów, przewyższały przeciętną krajową dla podobnych oddziałów w szpitalach wojewódzkich. Świadczyła o tym niska śmiertelność pacjentów oraz skomplikowane zabiegi, które tutaj wykonywano – np. w 1975 roku Władysław Kościelniak razem z internistą Jerzym Teichertem po raz pierwszy w szpitalu założyli elektrodę endokawitarną do serca i dokonali udanej stymulacji. O ile wcześniej na salach operacyjnych dominowała narkoza eterowa i maska Schimmelbuscha (rzadko stosowano pełne znieczulenie z zastosowaniem środków zwiotczających, intubację i analgezję), to obecnie zakres usług anestezjologicznych został znacznie poszerzony – wykonywano m.in. coraz więcej znieczuleń przewodowych, a także operowano bezpiecznie dzieci, w tym noworodki. Natomiast na początku 1975 roku uruchomiono pierwszą w województwie zielonogórskim karetkę reanimacyjną⁵.

W 1974 roku na terenie szpitala zbudowano lądowisko dla helikopterów, co pozwoliło na udzielanie szybkiej pomocy w trudniejszych przypadkach chorym z terenu całego województwa. Niebawem też Zespół Lotnictwa Sanitarnego w Przylepie otrzymał nowy specjalistyczny śmigłowiec MI-2, mogący zabierać na swój pokład dwóch pacjentów w pozycji leżącej, dwóch w pozycji siedzącej oraz lekarza i mechanika pokładowego. Maszyna, której producentem były Państwowe Zakłady Lotnicze w Mielcu dysponowała klimatyzowaną kabiną, została wyposażona m.in. w aparaturę reanimacyjną, mogła startować i lądować w trudnych warunkach terenowych oraz wykonywać loty nocne (załogę medyczną śmigłowca stanowili lekarze Oddziału Anestezjologii i Intensywnej Terapii)⁶.

⁵ W. Kościelniak, B. Kudliński, T. Kudliński, *Jubileusz 40-lecia pracy doktora Władysława Kościelniaka*, „Doktor” Biuletyn Informacyjny Okręgowej Izby Lekarskiej w Zielonej Górze (dalej: „Doktor”) 2011, nr 1, s. 17; W. Kościelniak, *20 lat Oddziału Intensywnej Terapii*, „Doktor” 1995, nr 3, s. 3.

⁶ *Śmigłowiec MI-2 dla lotniczego pogotowia ratunkowego w Zielonej Górze*, „Gazeta Zielonogórska” 1975, nr 219. Zespół Lotnictwa Sanitarnego w Przylepie dysponował nie tylko dobrą kadrą lekarską, ale i lotniczą. Pracował tutaj m.in. Hipolit Mikołajewski – doświadczony pilot z Kielc, który

W tym samym 1974 roku zielonogórska lecznica doczekała się pierwszych stanowisk do dializowania, w których zainstalowano dwie sztuczne nerki zakupione w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Funkcję kierownika nowo powołanego Zakładu Dializ objęła wówczas Alicja Dąbrowska-Kosińska. Nieco później do zakładu trafiły dwie sztuczne nerki „Gambro” AK 10, подарowane przez Szwedów budujących Zakłady Mięsne w Przylepie, natomiast kolejne urządzenia w latach 80. przekazał dla zielonogórskiego szpitala Zakon Kawalerów Maltańskich z Republiki Federalnej Niemiec⁷.

Istotnym przedsięwzięciem na początku dekady było rozpoczęcie budowy pawilonu położniczo-ginekologicznego, oddanego do użytku w lipcu 1974 roku. Zastąpił on dotychczasowy budynek przy al. Niepodległości, w którego wysłużonych murach przyjmowano rocznie 4,5 tys. pacjentek, w tym 2,5 tys. rodzących oraz 400 operowanych; wiele z tych kobiet, na skutek ciasnoty pomieszczeń trzeba było wypisywać przedwcześnie ze szpitala. Obecnie, wraz z otwarciem nowego obiektu, sytuacja miała ulec poprawie, natomiast w pomieszczeniach budynku przy al. Niepodległości zaplanowano otwarcie hotelu dla pielęgniarek⁸.

Koszt powstania pawilonu ginekologiczno-położniczego wyniósł ok. 50 mln ówczesnych złotych, zaś jego wyposażenia – 8 mln. W trzypiętrowym budynku o kubaturze 28 466 m³ mieściło się 171 łóżek w salach jedno- i kilkuosobowych, które urządzono – jak podkreślała „Gazeta Zielonogórska” – zgodnie z najnowszymi wzorcami szpitalnictwa. W pawilonie zlokalizowano cztery oddziały (w nawiasach ich pierwsi ordynatorzy): noworodkowy (Adela Łyszkowicz-Poprawa), położniczy (Ryszard Majchrzak), ginekologiczny (Tadeusz Zgorzalewicz) i septyczny (Czesław Strehl), a także

posiadał uprawnienia instruktorskie i prowadził szkolenia dla swoich kolegów z Zielonej Góry (*ibidem*).

⁷ K. Badach-Rogowski, *Historia Szpitala Wojewódzkiego w Zielonej Górze*, „Doktor” 2011, nr 4, s. 15. R. Dachówna, *Mamo, pożyj jeszcze trochę*, „Gazeta Lubuska” 1992, nr 69.

⁸ K. Badach-Rogowski, *op. cit.*, s. 14; A. Zatorybówna, *Otwarcie nowoczesnego szpitala w Zielonej Górze*, „Gazeta Zielonogórska” 1974, nr 167.

nowoczesne sale operacyjne, zabiegowe i położnicze wraz z bogatym wyposażeniem diagnostycznym oraz gospodarczo-socjalnym⁹. Zapewniano tutaj bardzo dobre warunki zarówno dla pacjentek i nowonarodzonych dzieci, jak i dla personelu medycznego. Realizacja tej inwestycji stanowiła kolejny etap rozbudowy zielonogórskiego szpitala i w dalszej perspektywie wpłynęła znacząco m.in. na obniżenie współczynnika umieralności niemowląt w województwie. Podczas gdy w 1979 roku współczynnik ten wynosił w całej Polsce 21,3%, to w Zielonogórskim spadł do 17% i był najniższy w kraju (taka sama tendencja utrzymywała się również w następnych latach)¹⁰.

Uroczyste przekazanie nowego pawilonu odbyło się z charakterystycznym dla lat 70. zadęciem i zostało połączone z obchodami 30. rocznicy powstania Polski Ludowej, przypadającej właśnie w lipcu 1974 roku. Z tej okazji do Zielonej Góry przyjechał ówczesny minister zdrowia i opieki społecznej Marian Śliwiński, zastępca kierownika Wydziału Administracyjnego Komitetu Centralnego PZPR Piotr Stecko, dyrektor zjednoczenia budownictwa Ludwik Śmigielski i rektor Akademii Medycznej w Poznaniu Roman Góral. Na uroczystości obecni byli również miejscowi dygnitarze – I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR Mieczysław Hebda, wojewoda zielonogórski Jan Lembas, kierownik Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, lekarz wojewódzki Stanisław Gura, a także ordynatorzy oddziałów szpitala, lekarze, pielęgniarki i inni pracownicy lecznicy. Przecięcia wstęgi dokonał jeden z budowniczych, a otwarciu placówki towarzyszyło także wręczenie odznaczeń zasłużonym pracownikom budownictwa i służby zdrowia. „Medal XXX-lecia Polski Ludowej” z rąk ministra Mariana Śliwińskiego i Mieczysława Hebdy otrzymali m.in. pracownicy szpitala – lekarze: Czesław Strehl, Stanisław Gura,

⁹ A. Zatorybówna, *ibidem*.

¹⁰ Archiwum Państwowe w Zielonej Górze (dalej: APZG), Komitet Wojewódzki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (dalej: KW PZPR), sygn. 972, *Ocena stanu bazy lecznictwa otwartego i zamkniętego województwa zielonogórskiego w świetle Uchwały Plenum KW PZPR odbytego w 1979 r.*, k. 1.

Zbysław Kopyść, Olgierd Korzeniewski, Mieczysław Michałowski, Henryk Wiśniewski, pielęgniarka Janina Pawelec, laborantka Bernadeta Dębska, portierka Irena Iwasiuk oraz pracownicy administracyjni – Jan Chromicz i Władysława Woytyniak¹¹.

W pierwszej połowie dekady lat 70., w kilku etapach, wprowadzano w Polsce reformę administracyjną, która przyniosła m.in. likwidację 17 dużych województw i utworzenie w ich miejsce 49 mniejszych. Dotychczasowe województwo zielonogórskie zostało podzielone na dwa – gorzowskie i zielonogórskie. Reformom administracyjnym towarzyszyły zmiany strukturalne służby zdrowia. W ten sposób z dniem 1 listopada 1975 roku, na podstawie zarządzenia wojewody nr 74/75, nastąpiło połączenie lecznictwa zamkniętego z lecznictwem otwartym i w Zielonej Górze powołano Wojewódzki Szpital Zespolony (WSZ). Ten rozbudowany twór, który – z niewielkimi modyfikacjami – przetrwał do roku 1990, był prawdziwym organizacyjnym molochem. W jego skład, oprócz właściwego szpitala przy ul. Zyty, wchodziły m.in. przychodnie rejonowe w Zielonej Górze, Czerwieńsku i Nowogrodzie Bobrzańskim, gminne i wiejskie ośrodki zdrowia, wojewódzkie przychodnie specjalistyczne, pogotowie ratunkowe (jako Dział Pomocy Doraźnej), domy opieki, żłobki, a także gabinety lekarskie i dentystryczne w szkołach. WSZ obejmował swoim działaniem miasto i gminę Zieloną Górę, miasto i gminę Czerwieńsk oraz gminy Nowogród Bobrzański, Świdnicę i Zabór, zamieszkiwane w sumie przez 123,5 tys. osób (stan na 31 grudnia 1976 roku). Dyrektorem placówki został Włodzimierz Barczyk, obejmując to stanowisko po Czesławie Strehlu (który zrezygnował z funkcji na własną prośbę jeszcze w 1974 roku), natomiast obowiązki zastępcy dyrektora ds. zdrowotnych powierzono Halinie Kazimierczyk¹².

Zatrudnienie w szpitalu i podległych mu jednostkach (przed wszystkim przychodniach) wynosiło na dzień 30 września 1979

¹¹ A. Zatorybówna, *op. cit.*

¹² AZSW, *Protokół kontroli NIK Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Zielonej Górze w okresie od 8 IV do 5 V 1977 r. (tylko do użytku wewnętrznego).*

roku 1806 osób, w tym 244 lekarzy, 49 osób innego wyższego personelu medycznego, 734 osoby średniego personelu medycznego, 119 osób administracji, 359 osób niższego personelu medycznego oraz 301 osób obsługi¹³. W samej lecznicy liczba lekarzy i pielęgniarek była uzależniona od wielkości danego oddziału oraz możliwości kadrowych w określonym czasie. W latach 70. na uwagę zasługuje zarówno systematyczne zwiększanie się zatrudnienia, jak również rosnące kwalifikacje szpitalnego personelu. Niektórzy lekarze, poza obowiązkami w lecznicy, byli oddelegowywani do pracy m.in. w Centralnej Izbie Przyjęć (z Oddziału Wewnętrznego), Przychodni Reumatologicznej (z Oddziału Reumatologicznego), szkołach, przedszkolach, żłobkach i poradniach rejonowych (z Oddziału Dziecięcego), a także jako wykładowcy (po kilka godzin tygodniowo) do Zespołu Szkół Medycznych (z Oddziału Noworodków i Wcześnieaków)¹⁴.

W samym natomiast szpitalu, według stanu z 31 marca 1977 roku, pracowało 103 lekarzy, z których zdecydowana większość posiadała uprawnienia specjalizacyjne pierwszego lub drugiego stopnia. Na poszczególnych oddziałach kształtowało się to następująco: Oddział Chirurgiczny – 10 lekarzy (5 z II stopniem specjalizacji, 4 – z I stopniem specjalizacji oraz 1 bez specjalizacji), Oddział Wewnętrzny – 7 lekarzy (odpowiednio: 3, 0, 4), Oddział Dziecięcy – 6 lekarzy (3, 3, 0), Oddział Ginekologiczny – 6 lekarzy (2, 1, 3), Oddział Oczny – 6 lekarzy (2, 2, 2), Oddział Intensywnej Opieki Medycznej – 6 lekarzy (2, 3, 1), Oddział Ortopedyczno-Urazowy – 5 lekarzy (4, 1, 0), Oddział Położniczy – 5 lekarzy (2, 1, 2), Oddział Septyczny – 5 lekarzy (2, 1, 2), Oddział Noworodków i Wcześnieaków – 5 lekarzy (2, 0, 3), Oddział Onkologiczny – 4 lekarzy (3, 1, 0), Oddział Zakaźny – 4 lekarzy (4, 0, 0), Oddział Chirurgii Dziecięcej – 4 lekarzy (3, 1, 0), Oddział Laryngologiczny – 3 lekarzy (2, 1, 0), Oddział Urologiczny – 3 lekarzy (3, 0, 0), Oddział

¹³ APZG, KW PZPR, sygn. 966, *Zatrudnienie według stanu na dzień 30. 09.1979 r.*, k. 118.

¹⁴ R. Szwabowski, *Służba zdrowia w Zielonej Górze w latach 1945-1994*, Zielona Góra 1994 (maszynopis pracy magisterskiej), s. 114, 124-125.

Neurologiczny – 2 lekarzy (2, 0, 0), Oddział Torakochirurgiczny – 2 lekarzy (2, 0, 0), Oddział Płucny dla Dorosłych – 2 lekarzy (1, 1, 0), Oddział Płucny dla Dzieci – 1 lekarz (1, 0, 0), Oddział Reumatologiczny – 2 lekarzy (2, 0, 0), Oddział Dermatologiczny – 2 lekarzy (1, 1, 0). Kolejnych 13 lekarzy pracowało poza oddziałami (najwięcej, bo aż czterech w Zakładzie Radiologii), z których tylko jeden nie posiadał specjalizacji. W tym samym czasie na wszystkich oddziałach zatrudniano 173 pielęgniarki, 29 położnych oraz 20 asystentek pielęgniarstwa. Należy w tym miejscu wspomnieć, że zarówno w latach 70. jak i 80. zielonogórska lecznica odczuwała znaczny niedobór pielęgniarek, położnych i salowych¹⁵.

Według stanu z marca 1977 roku, szpital dysponował 1080 łóżkami, z czego prawie połowa stanowiły łóżka oddziałów zabiegowych. Na poszczególnych oddziałach liczba łóżek kształtowała się wówczas następująco: Oddział Wewnętrzny – 75 łóżek, Oddział Neurologiczny – 35, Oddział Zakaźny – 70, Oddział Chirurgiczny – 79, Oddział Dziecięcy – 106, Oddział Chirurgii Dziecięcej – 33, Oddział Reumatologii – 35, Oddział Ortopedyczno-Urazowy – 36, Oddział Oczny – 45, Oddział Laryngologiczny – 55, Oddział Dermatologiczny – 57, Oddział Urologiczny – 27, Oddział Onkologiczny – 71, Oddział Ginekologiczny – 50, Oddział Septyczny – 45, Oddział Położniczy – 76, Oddział Noworodków i Wcześnieiaków – 80, Oddział Torakochirurgiczny – 30, Oddział Płucny dla Dorosłych – 42, Oddział Płucny dla Dzieci – 25 oraz Oddział Intensywnej Opieki Medycznej – 8. Liczba łóżek na oddziałach w kolejnych latach ulegała zmianom, głównie z powodów organizacyjnych¹⁶.

¹⁵ AZSW, *Protokół kontroli NIK Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego...*; R. Szwabowski, *op. cit.*, s. 114, 124-125.

¹⁶ AZSW, *Protokół kontroli NIK Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego...*

Liczba łóżek rzeczywistych w poszczególnych oddziałach szpitala w latach 1971-1980¹⁷

Oddział	1971	1974	1978	1980
Wewnętrzny	75	75	75	75
Chirurgiczny	84	79	79	79
Położniczo-ginekologiczny	87	171	171	171
Zakaźny	70	70	70	70
Płucny – dorośli	45	42	42	42
Dziecięcy	73	73	73	73
Ortopedyczny	36	36	36	36
Płucny– dziecięcy	30	30	25	25
Laryngologiczny	55	55	55	55
Okulistyczny	55	45	45	45
Neurologiczny	35	35	35	35
Urologiczny	27	27	27	27
Dermatologiczny	41	41	57	57
Reumatologiczny	35	35	35	35
Chirurgii dziecięcej	33	33	33	33
Biegunkowy	33	33	33	33
Onkologiczny	71	71	71	71
Torakochirurgiczny	49	49	30	30
Intensywnej Terapii	-	8	8	8
Szpital ogółem	943	1008	1000	1000

Niestety zagęszczenie łóżek na większości oddziałów, wynoszące 140%, czyli 6 m² na łóżko, daleko odbiegało od przyjętych norm i oznaczało uciążliwą ciasnotę (według danych z 1980 roku). Także wykorzystanie łóżek na niektórych oddziałach w ciągu roku dochodziło nawet do 360 dni, przy średniej wojewódzkiej 300 dni (systematycznie rosła przecież liczba pacjentów – o ile w roku 1970

¹⁷ AZSW, *Liczba łóżek rzeczywistych*.

w lecznicy hospitalizowano 15 771 osób, to w 1980 roku już 20 520). Oddziały dysponowały dziesięcioma salami zabiegowymi – trzema chirurgicznymi, trzema ginekologicznymi oraz po jednej ortopedycznej, laryngologicznej, okulistycznej i torakochirurgicznej¹⁸. W dekadzie lat 70. do szpitala napłynęła znaczna liczba nowoczesnego sprzętu i aparatury medycznej, ale sporo trudności nastęrczała różnorodność jego typów¹⁹.

Do najważniejszych problemów, jakie pod koniec lat 70. dotyczyły lecznicę przy ul. Zyty, należała niewystarczająca liczba łóżek na oddziałach zabiegowych (chirurgia, ortopedia, urologia i chirurgia dziecięca), złe warunki dla pracy Laboratorium Centralnego (zajmującego zaledwie ¼ wymaganej przepisami powierzchni i pozbawionego odpowiedniej wentylacji), apteki szpitalnej (działającej w pomieszczeniach piwnicy pawilonu „C”), Centralnej Izby Przyjęć (również zlokalizowanej w piwnicy) oraz Zakładu Anatomii Patologicznej (po zawaleniu się jego budynku w 1979 roku). Podobnie rzecz się miała z oddziałami: ortopedyczno-urazowym i dziecięcym, które znajdowały się na poddaszu. W szpitalu odczuwano ponadto niedostatek sal dziennego pobytu, pomieszczeń sanitarnych, a także wind osobowych i towarowych. Placówka pozbawiona była jednocześnie oddziałów, które zabezpieczałyby leczenie pacjentów z terenu całego województwa – neurochirurgii, chirurgii naczyniowej, kardiologii, gastrologii, endokrynologii dziecięcej, geriatry, rehabilitacji oraz chorób zawodowych²⁰.

Istniejące oddziały również borykały się z licznymi trudnościami. Onkologia, wraz z Wojewódzką Przychodnią Onkologiczną, była zlokalizowana w dwóch pawilonach (właściwie barakach) z elementów prefabrykowanych, wzniesionych w latach 1969-1970

¹⁸ APZG, KW PZPR, sygn. 972, *Ocena stanu bazy lecznictwa otwartego i zamkniętego województwa zielonogórskiego w świetle Uchwały Plenum KW PZPR odbytego w 1979 r.*, k. 6; H. Szczegółka, *Zielona Góra. Rozwój miasta w Polsce Ludowej*, Poznań 1984, s. 144.

¹⁹ APZG, KW PZPR, sygn. 966, *Teleks do Wydziału Organizacyjnego KC PZPR. Zielona Góra, dnia 3 VI 1980 r.*, k. 21.

²⁰ APZG, KW PZPR, sygn. 972, *Ocena stanu bazy lecznictwa otwartego i zamkniętego...*, k. 6.

w ramach Fundacji Sue Ryder z Anglii. Znajdowało się tutaj tylko 71 łóżek oraz wydzielone łóżka onkologii chirurgicznej. Dział terapeutyczny dysponował aparaturą do curieterapii (brachyterapii), bombą kobaltową oraz Zakładem Rentgenoterapii. Niestety w tym ostatnim przypadku, z powodu wysłużenia i wyeksploatowania aparatury, zachodziła pilna potrzeba wymiany sprzętu (szpital nie otrzymał jednak w tym czasie odpowiedniego przydziału). Na Oddziale Onkologicznym zatrudniano w połowie lat 70. dwóch lekarzy specjalistów radioterapii oraz trzech specjalizujących się (planowano zatrudnienie kolejnych pięciu lekarzy onkologów). Zabiegi onkologiczne wykonywano z konieczności na Oddziale Ginekologicznym. Pilne stało się zorganizowanie centrum onkologii z prawdziwego zdarzenia, obliczonego przynajmniej na 200 łóżek (wtedy dopiero można byłoby rozebrać użytkowane dotychczas pawilony)²¹. Również Oddział Urazowo-Ortopedyczny, znajdujący się – o czym wspomniano – w pomieszczeniach poddasza, wymagał szybkich zmian i przeniesienia do wygodniejszych pomieszczeń (w 1979 roku składał się z 42 łóżek z tego 16 przeznaczonych było dla dzieci)²².

Dzięki prowadzonym w latach 1961-1975 modernizacjom i rozbudowom, na terenie zielonogórskiego szpitala powstały pawilony zakaźny, płucny wraz z przychodnią, wspomniany ginekologiczno-położniczy oraz część pomieszczeń zaplecza techniczno-gospodarczego. Wymienione inwestycje pozwoliły jedynie na doraźną poprawę warunków funkcjonowania szpitala, zaś dla pełnego zabezpieczenia jego działalności należało jeszcze stworzyć pomieszczenia dla izby przyjęć, doraźnej pomocy, laboratorium, zakładu radiologii, zakładu elektromedycyny, przychodni, pawilonu dziecięcego, apteki i administracji. Niestety dalszą rozbudowę utrudniała niewielka powierzchnia przyszpitalnej działki oraz jej zróżnicowanie, ponieważ w centralnej części wolnego jeszcze terenu zalegały pokaźne

²¹ APZG, Urząd Wojewódzki w Zielonej Górze (dalej: UWZG), sygn. 70/1, *Program rozwoju służby zdrowia i opieki społecznej w województwie zielonogórskim do 1990 roku*, k. 14.

²² R. Szwabowski, *op. cit.*, s. 117.

pokłady nasypów śmieci i żużla – ich grubość wahała się od 2 do 15 m. Było to stare zasypane wyrobisko po przedwojennej cegielni, na które po wojnie, do 1961 roku, zrzucono również odpady komunalne! Podczas ewentualnych robót budowlanych mogło ono znacznie utrudnić i podrożyć prowadzone prace²³.

W latach 1975-1979 na różne inwestycje związane ze służbą zdrowia (modernizacje, remonty, budowę mieszkań, zakupy sprzętu) wydatkowano w skali całego województwa sumę 465 mln zł. Potrzeby były oczywiście znacznie większe, zwłaszcza w odniesieniu do lecznictwa zamkniętego. W końcu roku 1975 liczba łóżek we wszystkich jedenastu szpitalach ogólnych w Zielonogórskim wynosiła 2860. Przy ówczesnym poziomie zaludnienia województwa, który osiągnął w 1975 roku stan 580 tys. osób, na każde 10 tys. mieszkańców przypadało zaledwie 49,3 łóżka²⁴. Sytuacja pod tym względem nie zmieniła się bardzo pod koniec dekady – według stanu z grudnia 1979 roku placówki szpitalne dysponowały 3049 łóżkami²⁵. Na każde 10 tys. mieszkańców regionu przypadało zatem 50,6 łóżka, co w dalszym ciągu ujemnie odbiegało od średniej krajowej, wynoszącej w tym czasie 56,3 łóżka (optymalnym rozwiązaniem miało być osiągnięcie liczby 70 łóżek na każde 10 tys. osób, czyli w przypadku województwa zielonogórskiego należałoby dojść do poziomu 4430 łóżek). W samej Zielonej Górze utrzymywała się tendencja spadku liczby łóżek do liczby mieszkańców – od 127,1 łóżka na każde 10 tys. osób w 1970 roku – do 100 łóżek w roku

²³ APZG, UWZG, sygn. 70/1, *Charakterystyka szpitali. Wojewódzki Szpital Zespolony ul. Żyty*, k. 33-34.

²⁴ APZG, UWZG, sygn. 70/1, *Program rozwoju służby zdrowia i opieki społecznej w województwie zielonogórskim...*, k. 12. Oprócz tego w regionie funkcjonowały szpitale i placówki specjalistyczne: Neuropsychiatryczny Zespół Opieki Zdrowotnej w Ciborzu – 1,3 tys. łóżek, Wojewódzki Szpital Rehabilitacyjny w Świebodzinie – 205 łóżek, Specjalistyczny Zespół Gruźlicy i Chorób Płuc w Torzymiu – 500 łóżek, Państwowe Sanatorium Rehabilitacyjne w Wojnowie i Państwowe Sanatorium w Zaborze, dysponujące łącznie 225 miejscami (APZG, KW PZPR, sygn. 972, *Ocena stanu bazy lecznictwa otwartego i zamkniętego...*, k. 2-3).

²⁵ APZG, KW PZPR, sygn. 972, *Zakłady leczniczo-zapobiegawcze opieki zdrowotnej. Stan na 31 grudnia 1979 r.*, k. 29.

1980. Zróżnicowany był ponadto stan i funkcjonalność poszczególnych szpitali w regionie. Wymogom i warunkom leczenia na dobrym poziomie, poza Zieloną Górą, odpowiadały właściwie tylko dwie placówki – jedyny w województwie nowo wybudowany szpital w Nowej Soli (224 łóżka) oraz w Wolsztynie (240 łózek), w kolejnych czterech (dzięki remontom i modernizacjom) – w Gubinie (134 łóżka), Sulechowie (165 łózek), Szprotawie (200 łózek) i Świebodzinie (218 łózek) warunki były zaledwie zadowalające, natomiast w najtrudniejszym położeniu znajdowały się lecznice w Krośnie Odrzańskim (143 łóżka), Lubsku (110 łózek), Żaganiu (220 łózek) i Żarach (395 łózek)²⁶.

Taka sytuacja powodowała pilną potrzebę zbudowania w stolicy regionu nowego szpitala specjalistycznego, który służyłby oczywiście mieszkańcom całego województwa. Idea ta współgrała z założeniami Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej, przewidującymi, że po wprowadzeniu nowego podziału administracyjnego w 1975 roku, Zielona Góra będzie stanowić regionalne centrum powiązane współpracą z Akademią Medyczną w Poznaniu²⁷. Zresztą w dekadzie lat 70. budowano lub zamierzano budować nowe szpitale w innych miastach, które awansowały do rangi wojewódzkiej – Elblągu, Krośnie, Białej Podlaskiej, Pile, Radomiu, Siedlcach, Lesznie i Legnicy (w Ostrołęce rozpoczęto budowę na początku lat 80.). Powstające tam obiekty charakteryzowały się podobną bryłą architektoniczną, wielkością, a także – niestety – wlokącym się tempem budowy, głównie z powodu nieustannych braków materiałów budowlanych i ich słabej jakości²⁸.

W 1976 roku Minister Zdrowia i Opieki Społecznej wydał decyzję rejestracyjną na budowę szpitala wojewódzkiego w Zielonej Górze, przewidzianego na 610 łózek, włączając go do listy inwestycji

²⁶ APZG, KW PZPR, sygn. 972, *Ocena stanu bazy lecznictwa otwartego i zamkniętego...*, k. 3; J. Grzelczyk, *Rozwój infrastruktury ochrony zdrowia w Zielonej Górze w latach 1950-1980*, „Przegląd Lubuski” 1980, nr 3, s. 85.

²⁷ APZG, UWZG, sygn. 70/1, *Program rozwoju służby zdrowia i opieki społecznej w województwie zielonogórskim...*, k. 20.

²⁸ M. Mokrzanowska, Z. Budyh, *Wszystkim na zdrowie. Historia Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Legnicy*, Legnica 2009, s. 54.

oczekujących na realizację. Decyzja ta, pismem z dnia 28 grudnia 1976 roku, została zakomunikowana wojewodzie zielonogórskiemu Janowi Lembasowi. Z kolei 21 stycznia 1977 roku zastępca przewodniczącego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów powiadomił prezesa Narodowego Banku Polskiego Witolda Bienia o planach budowy szpitala. Efektem tych działań było opracowanie i przyjęcie założeń techniczno-ekonomicznych lecznicy, zakładających, że w jej składzie znajdzie się przynajmniej 16 oddziałów specjalistycznych. Do końca 1979 roku wykonano sporą część wymaganych projektów technicznych inwestycji, zaś reszta miała być gotowa rok później. Kompleks szpitalny zamierzano zlokalizować przy ul. Krośnieńskiej²⁹. W nowych obiektach, obliczonych – jak wspomniano – na 610 łóżek, planowano utworzyć następujące oddziały: wewnętrzny (36 łóżek), kardiologiczny (30), gastrologiczny (30), chorób zawodowych (30), chirurgiczny (36), chirurgii naczyń (30), neurochirurgiczny (30), urologiczny (30), ortopedyczny (33), urazowy (40), chirurgii dziecięcej (40), dziecięcy (31), kardiologii dziecięcej (25), endokrynologiczny (25), okulistyczny (76), neurologiczny (38), dermatologiczny (38), reanimacyjny (12). Dotychczasowemu szpitalowi wojewódzkiemu miała natomiast przypaść rola lecznicy miejskiej z liczbą 803 łóżek na 14 oddziałach³⁰.

Budowa, której koszt szacowano początkowo na ponad 4 mld zł, miała ruszyć pełną parą w roku 1980, ale narastający kryzys ekonomiczny i zapaść całej gospodarki pod koniec lat 70. pokrzyżowały te plany. Z dokumentacji źródłowej wynika, że inwestycję już w maju 1980 roku zamierzano najpierw umieścić w planie realizacyjnym na lata 1981-1985, a następnie na lata 1986-1990. Pogłębiające się kłopoty ekonomiczne, a także społeczno-polityczne w kraju spowodowały, że również ten drugi termin stanął pod znakiem zapytania. W 1981 roku zapadła ostatecznie decyzja o wstrzymaniu

²⁹ APZG, KW PZPR, sygn. 972, *Ocena stanu bazy lecznictwa otwartego i zamkniętego...*, k. 7.

³⁰ APZG, UWZG, sygn. 70/1, *Centrum regionalne – Zielona Góra – stan docelowy*, k. 52.

wszelkich prac projektowych nad nowym szpitalem, a do koncepcji jego budowy, zamierzano powrócić dopiero w połowie lat 80.³¹.

Chcąc zamknąć analizę dziejów zielonogórskiej lecznicy w latach 70., nie sposób nie odnieść się do wydarzeń z początku kolejnej dekady, związanych z narastającym kryzysem społeczno-gospodarczym w kraju oraz powstaniem związku zawodowego „Solidarność”. Po fali strajków w lipcu i sierpniu 1980 roku i porozumieniach, które protestujący zawarli z ówczesnymi władzami państwa, doszło do powstania niezależnych związków zawodowych. Również w zielonogórskim szpitalu, już 7 września 1980 roku, związał się Komitet Założycielski nowej organizacji pracowniczej, którego przewodniczącym został Tadeusz Zgorzalewicz (ordynator Oddziału Ginekologicznego), zaś członkami Wiesław Badach-Rogowski (chirurg z Oddziału Chirurgii Ogólnej), Janina Piotrowska (psycholog, żona przyszłego senatora RP Waleriana Piotrowskiego), Jolanta Kaszkowiak (technik RTG z Zakładu Radiodiagnostyki WSZ), Maria Maciejewska (laborantka z Zakładu Analityki WSZ), Szymon Tyliszczak (lekarz ze Świdnicy), Jerzy Woźniak (odpowiedzialny za aparaturę na onkologii), Anna Demecka-Michałowska (lekarka z Oddziału Zakaźnego) oraz Krystyna Gębała (pielęgniarka z Oddziału Zakaźnego). Już wkrótce w szeregi „Solidarności” przystąpiła większość załogi szpitala, a liczba członków związku przekroczyła 1800 osób³². Niedługo potem doszło także do kadrowych zmian na szczeblu kierownictwa lecznicy. W 1981 roku, po siedmiu latach pełnienia funkcji, odszedł ze stanowiska dyrektora Włodzimierz Barczyk, którego zastąpił Wiesław Kubacki, kierujący

³¹ APZG, KW PZPR, sygn. 972, *Ocena stanu bazy lecznictwa otwartego i zamkniętego...*, k. 18; AZSW, b.p., *Wojewódzki Szpital Zespolony – ocena w zakresie wykonywanych i nadzorowanych zagadnień*, b.p.

³² T. Zgorzalewicz, „Solidarność” w *Zielonogórskim Szpitalu – jak było naprawdę*, „Doktor” 2007, nr 1, s. 23. Według stanu z sierpnia 1981 r. w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym do „Solidarności” należało 1 655 osób spośród 1907 wszystkich zatrudnionych (*Stan osobowy naszej organizacji na miesiąc sierpień 81*, „Puls”. Miesięcznik Informacyjny Komisji Zakładowej przy Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym w Zielonej Górze, wrzesień 1981, s. 7).

dotychczas Zakładem Opieki Zdrowotnej w Wolsztynie. Jednak już po trzech miesiącach, od 20 maja 1981 roku, na dyrektorskim fotelu nastąpiła kolejna roszada – na miejsce Wiesława Kubackiego, któremu zaproponowano funkcję lekarza wojewódzkiego, powołano Czesława Wieliczkę³³. W tym czasie zielonogórski szpital, tak jak cała służba zdrowia i gospodarka kraju, znajdował się w coraz trudniejszej sytuacji. Chyba nikt wówczas nie podejrzewał, że stan permanentnego kryzysu potrwa nie tylko do schyłku istnienia PRL-u, ale przeciągnie się także na kolejną dekadę.

³³ APZG, KW PZPR, sygn. 966, *Referat Zespołu ds. Ochrony Zdrowia przy Wydziale Administracyjnym KW PZPR*, k. 52.

Zygmunt Traczyk

WYDARZENIA ZIELONOGÓRSKIE (MAJ-CZERWIEC 1960 ROKU)

W ostatnim okresie w wielu czasopismach (także w „Gazecie Lubuskiej”) ukazują się artykuły dotyczące okresu powojennego czy przyjazdu na Ziemię Lubuską. Są to ciekawe materiały, ale po ponad 70 latach wiele faktów zostało zatartych w pamięci, ewentualnie pozostały jedynie zdjęcia czy dokumenty rodzinne. Nie zawsze jest dostęp do archiwum, a szczególnie do tajnych dokumentów Służby Bezpieczeństwa (SB), które obecnie odtajnione znajdują się w Oddziałach Instytutów Pamięci Narodowej (IPN). Nie wszyscy mogą z nich korzystać, bowiem są pewne ograniczenia, mogą jednak mieć wgląd dziennikarze i choć jestem emerytem, to także członkiem posiadającym legitymację SDRP.

Przeglądając spis akt dotarłem do interesującego, dość obszernego tematu zwanego „Incydentami Zielonogóorskimi” (według SB) z okresu maj/czerwiec 1960 roku. (IPN BU 1510/340 – Dominik Kochański) dotyczącymi Domu Katolickiego przy pl. Powstańców Wielkopolskich w Zielonej Górze.

Sprawa poszczególnych wyznań, Kościołów, zakonów, stowarzyszeń, sekt religijnych i ich działalności, w tym m.in. głoszonych kazań, poglądów znajdowała się w kręgu szczególnych zainteresowań UB. Tym tematem zajmowały się poszczególne sekcje lub wydziały. Interesowano się publicznymi wystąpieniami biskupów

dotyczącymi m.in. nauczania religii, budowy obiektów sakralnych, tworzenia nowych parafii, obsady stanowisk kościelnych, posiadania i zarządzania majątkiem.

Do znaczących wydarzeń doszło właśnie w Zielonej Górze, gdzie znajdował się wymieniony budynek, który do 1945 roku zajmowało Stowarzyszenie Młodzieży Ewangelickiej, będące też jego właścicielem. Po wojnie gmach został zajęty przez parafię rzymskokatolicką i funkcjonował jako Dom Katolicki, a w 1959 roku decyzją komisji lokalowej przekazany do decyzji Miejskiej Rady Narodowej (MRN) w Zielonej Górze.

W związku z powstaniem w 1950 roku województwa zielonogórskiego miasto poszukiwało pomieszczeń dla urzędów, jak również wzrastającej liczby mieszkańców. Zajmowano wszystkie nie w pełni wykorzystane pomieszczenia, w tym również gmachy zajmowane przez parafię św. Jadwigi. Podczas przeprowadzonego przeglądu ustalono, że parafia użytkuje pięć budynków o łącznej powierzchni 2,293 m², w tym Dom Katolicki z salą widowiskową na około 400 miejsc. Trzy mniejsze sale i siedem pokoi proboszcz parafii ks. dziekan Kazimierz Michalski dzierżawił innym, pobierając wysoki czynsz.

W związku z powyższym miejska komisja mieszkaniowa przy Prezydium MRN postanowiła przejąć ten budynek i przydzielić na potrzeby zakładu gospodarki komunalnej. Decyzję o przekazaniu i opróżnieniu budynku dostarczono proboszczowi 27 lutego 1960 roku, on ją jednak wyrzucił. Jednocześnie polecił wikariuszowi ks. J. Szuścikowi, by 20 marca 1960 roku przekazał wiernym z ambony informację o decyzji władz. Sekretarz MRN przeprowadził z księdzem rozmowę.

Ks. K. Michalski składał odwołania do Kolegium Spraw Lokalowych MRN i Kolegium przy Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, podobnie Kuria – do Urzędu Spraw Wewnętrznych przy Radzie Ministrów. Wydział Spraw Wewnętrznych WRN wystąpił do Kurii Biskupiej z wnioskiem o odwołanie proboszcza, jednak władze kościelne nie widziały dostatecznych ku temu powodów.

Wydział ds. Lokalowych MRN wydał 11 maja zarządzenie egzekucyjne wzywające proboszcza do dobrowolnego opuszczenia

lokalu, w przeciwnym przypadku miało nastąpić przymusowe przekwaterowanie. O tej decyzji proboszcz powiadamiał kilkakrotnie wiernych podczas nabożeństw, prosząc jednocześnie o składanie podpisów pod petycją do Rady Państwa. Petycja z 1200 podpisami przesłana została do Kurii.

Służba Bezpieczeństwa zaproponowała przesunięcie eksmisji z soboty 28 maja na poniedziałek 30 maja. Opracowano dwa plany, jeden z nich przewidywał zabezpieczenie miasta pod względem operacyjnym, drugi – zabezpieczenie z udziałem funkcjonariuszy mundurowych. Uzgodniono też spotkania z tajnymi współpracownikami (TW).

Zgodnie z planem operacyjnym zorganizowano: sześć krytych punktów obserwacyjnych (po dwóch pracowników) wyposażonych w środki łączności, przygotowano kilka grup pracowników operacyjnych do obserwacji zgromadzeń, ujawniania prowodyrów, ustalania osób wrogo występujących. Użyto także pracowników wydziału „B” (obserwacja) i „T” wyposażonych w ukryte aparaty fotograficzne. Rozesłano pracowników operacyjnych do większych zakładów pracy i na dworce PKP i PKS, by zbierać wypowiedzi i nastroje załóg robotniczych. Opracowano plan rozmieszczenia odwodu zmotoryzowanego oraz trasy wzmoczonych patroli ulicznych. Wszelkie informacje przekazywano do instancji partyjnych. Grupy zabezpieczenia wprowadzone między 7.00 a 8.00 30 maja stwierdzały, że jest spokój. Eksmisja się jednak nie odbyła, gdyż o 8.00 do MRN przybyła delegacja kobiet z postulatem pozostawienia budynku przy parafii i członkowie Prezydium MRN zdecydowali o przełożeniu eksmisji na 10.00. O 9.30 jednej z punktów obserwacyjnych meldował, że do powyższego budynku weszła grupa kobiet z dziećmi i nadchodzą kolejne, zebrało się także około 300 przypadkowych przechodniów tworząc zgromadzenie. W międzyczasie na polecenie przedstawiciela Kuratorium przerwana została prowadzona w budynku lekcja religii.

Wobec zbliżającego się czasu przeprowadzenia eksmisji, zastępca KW MO z siedmioma funkcjonariuszami wezwał blokujących wejście do rozejścia się. Na interweniujących zgromadzeni zaczęli krzyczeć, m.in. „przecież wasze rodziny i wy jesteście

katolikami”, „wy też macie żony, dzieci, które wierzą i chodzą do kościoła”, itp. Przybyli egzekutorzy nie zostali wpuszczeni, a KW MO postanowiło: natychmiast użyć do rozproszenia tłumu ZOMO (Zorganizowanego Oddziału Milicji Obywatelskiej), który był zlokalizowany w Komendzie Miasta (200 m od zgromadzenia); wysłać z KW MO do KM MO posiłki w liczbie 60 osób; zwrócić się poprzez Komendę Główną MO do KW MO w Poznaniu o nadesłanie pomocy, celem zabezpieczenia na ewentualność poważniejszych zajęć; wysłać do miasta także dodatkowe grupy pracowników operacyjnych, pod kierownictwem Naczelnika Wydziału III, by ustalały agresywnych osobników i – przy współdziałaniu z milicjantami – zatrzymywały ich; powołać grupę śledczą złożoną z pracowników SB i Wydziału Dochodzeniowego pod kierownictwem Naczelnika Wydziału Śledczego w celu natychmiastowego podejmowania śledztwa; zabezpieczyć pocztę i zielonogórską rozgłośnię Polskiego Radia.

Kolejnej interwencji dokonali funkcjonariusze mundurowi od 10.00 do 10.30, gdy umożliwili urzędnikom MRN wejście do Domu Katolickiego i dokonanie planowanych czynności. W rezultacie odepchnięcia tłumu od wejścia do budynku, część ludzi rozbiegła się po mieście, a pozostali w mniejszych grupach pozostali w pobliżu. Przy budynku trwała również część kobiet, które klęczały i nie reagowały na żadne interwencje. Nie użyto w stosunku do nich siły.

Około godziny 11.00 z dotychczas stojących w pobliżu ludzi powstał tłum liczący około 800 osób, który wciąż narastał. Sprzyjało temu centralne położenie placu, przy którym znajdował się dworzec autobusowy, kościół i szpital. Silnie oddziaływały także rozgłaszane prowokacyjne plotki, jak np. „zajmują Dom Katolicki na potrzeby UB” czy „milicja sprofanowała ołtarz w kościele”.

W pewnym momencie zaatakowane zostały siły MO, spychające funkcjonariuszy w sąsiedztwo Domu Katolickiego. Wzmocniona posiłkami milicja utrzymała ochronę budynku, zatrzymując najbardziej agresywnych. Ten fakt spowodował ponowny atak na jednostkę MO, podczas którego usiłowano przewrócić samochód z zatrzymanymi. W tym czasie punkty sygnalizacyjne informowały o tworzeniu się większych skupisk ludzi w pobliżu miejsca wypadku. Również grupy operacyjne dokonywały pierwszych zatrzymań

przekazując te osoby do Komendy Wojewódzkiej, gdzie grupa śledcza, wspólnie z grupą prokuratorów, przystąpiła do czynności.

Wobec bezskutecznych prób usunięcia tłumu znajdującego się na placu, około godz. 12.00 został wydany rozkaz użycia środków chemicznych i uderzenia w zgromadzonych wszystkimi rezerwami funkcjonariuszy mundurowych zgrupowanych na miejscu zdarzenia. Akcja udała się tylko częściowo. Doszło wprawdzie do rozproszenia tłumu, ale ten ponownie natarł na milicjantów z taką siłą, że jednostki policyjne zostały zmuszone do wycofania się z terenu placu Wielkopolskiego do Komendy Miejskiej.

W związku z niekorzystnym rozwojem wypadków powzięto dalsze kroki: funkcjonariusze MO zabezpieczyli gmachy KW PZPR i KW MO, ponadto wzmocniono zabezpieczenie magazynów MO, w pobliże większych zakładów skierowano pracowników SB i MO oraz postawiono w stan pogotowia straże przemysłowe i pożarne, by nie dopuścić do wejścia „prowokatorów” na teren zakładów.

W dalszych działaniach między godziną 13.00 a 15.30 jednostki MO rozpraszały poszczególne skupiska tłumu, który wzrósł do kilku tysięcy osób. Zatrzymywano i „porywano” co aktywniejszych i odstawiano do KW MO. O 15.30 nastąpił bardzo silny napór tłumu tak, że siły MO zostały zablokowane w Komendzie Miasta. Obrzucano ich kamieniami, zniszczono dwa milicyjne samochody, rannych zostało kilku funkcjonariuszy. Milicja użyła działka wodne, ale nieskutecznie, bo brak było wody.

O 16.00 przyjechała do Zielonej Góry kompania Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW) obsadzając wszystkie gmachy użyteczności publicznej, a o 16.30 na uzgodnione punkty uderzyły siły ZOMO z województwa poznańskiego i do 17.30 wszystkie grupy zostały rozproszone. Po przybyciu o 17.40 kolejnej grupy ZOMO z Poznania zapanował w mieście względny spokój.

W podsumowaniu działań od 30 maja do 1 czerwca 1960 roku informowano przełożonych, że zatrzymano i aresztowano 333 osoby: 196 spraw przekazano do sądów, 48 skierowano do kolegium ds. wykroczeń, 89 osób zwolniono z braku dostatecznych dowodów.

Wśród zatrzymanych było 244 mężczyzn i 89 kobiet; 145 osób żonaty, 188 wolnych; w wieku do 17 lat – 22 osoby; od 17 do 22

lat – 97; 23-25 lat – 49; 26-30 lat – 65; 31-41 lat – 62; pow. 40 lat – 38 osób. Wykształcenie: niepełne podstawowe – 111, podstawowe – 139, niepełne średnie – 19, wyższe – 4.

Pochodzenie: robotnicze – 211, chłopskie – 97, inteligencja – 25. Zawody: uczniowie – 32, robotnicy – 204, pracownicy umysłowi – 48, inteligencja prywatna – 15, bez zajęcia – 34.

Z liczby 333 zatrzymanych aresztowano 195, z wolnej stopy – 136, odmówiono ścigania – 4, skierowano akt oskarżenia – 142, skierowano do sądu dla nieletnich – 6, umorzono – 47. Ogółem umorzono – 114.

Rozpatrywane przez sąd wyroki: do 1 roku – 38 osób, 1-2 lata – 34 osoby, 2-3 lata – 24 osoby, 3-4 lata – 18 osób, 4-5 lat – 6 osób, zakład poprawczy – 2 osoby, uniewinniono – 10 osób.

Arkadiusz Cincio

LUBUSKIE WINIARSTWO W OKRESIE TRANSFORMACJI USTROJOWEJ

Winiarstwo lubuskie przeżywa obecnie rozkwit. W odróżnieniu od innych polskich regionów winiarskich okręg, którego centrum stanowi Zielona Góra posiada bogate tradycje upraw winorośli i produkcji wina. Pierwsza pisemna wzmianka o zielonogórskim winie pochodzi z 1314 roku. W 1800 roku było 700 hektarów winnic uprawianych na 2200 działkach¹. Winorośl uprawiano także w innych miastach położonych na terenie dzisiejszego województwa lubuskiego, m.in. w Krośnie Odrzańskim, Gubinie, Lubsku, Bytomiu Odrzańskim, Sulechowie, Babimoście oraz w otaczających te miejscowości wsiach. Winnice we wspomnianych ośrodkach były stopniowo likwidowane w 2. połowie XIX w. i na początku wieku XX. Upadek winnic w regionie, który rozpoczął się w drugiej połowie XIX w., był spowodowany takimi czynnikami jak: zwiększona możliwość importu taniego wina, rozwój urbanistyczny miast czy większa opłacalność produkcji sadowniczej. Najdłużej przetrwały winnice w Zielonej Górze, choć również w przypadku tego miasta powierzchnia upraw uległa radykalnemu zmniejszeniu.

W 1945 roku w Zielonej Górze pozostało 66 hektarów winnic. W latach 1947-1952 działało tu Państwowe Liceum Sadowniczo-Winiarskie, które kształciło kadry mające pracować na lokalnych

¹ B. Kres, *Winiarstwo na Ziemi Lubuskiej*, Poznań 1972, s. 27.

winnicach. Według planów Lubuskiej Wytwórni Win z 1955 roku pięć lat później w regionie zielonogórskim miało funkcjonować 90 ha winnic. Plany te nigdy nie zostały zrealizowane. Na systematyczne zmniejszanie areалу winnic w Zielonej Górze i jej okolicach wpływał m.in.: dalszy rozwój budownictwa miejskiego, błędy w uprawie, nieprzemyślana polityka cenowa w latach 60. (winogrona były w skupie tańsze niż mniej wymagające w uprawie owoce miękkie) i niskie plony powodowane między innymi kradzieżą winogron i brakiem siły roboczej². Ostatnia winnica produkcyjna Lubuskiej Wytwórni Win położona przy ul. Krośnieńskiej przestała funkcjonować w 1977 roku. Jej likwidacja była spowodowana także odgórnymi naciskami. W ramach Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej wino miały produkować Węgry, Rumunia, Bułgaria i ZSRR. Zielonogórskie winiarstwo padło ofiarą dążenia do „racjonalizacji” i zwiększenia produkcji rolnej. Dziś w miejscu ostatniej zielonogórskiej winnicy produkcyjnej znajduje się osiedle mieszkaniowe. Podobny los spotkał wcześniej inne plantacje winorośli. Jedyne pokazowa winnica położona na Wzgórzu Ceglanyim świadczy o tym, że Zielona Góra była niegdyś miastem winnic.

Najstarszą, bo założoną już na początku lat 80., lubuską prywatną winnicą jest winnica Mieczysława Kaszuby w Droszkowie. Pierwsze gospodarstwo winiarskie, które produkuje dziś wino i prowadzi działalność agroturystyczną to Winnica Kinga w Starej Wsi koło Nowej Soli, którą w 1985 roku założyli Halina i Wojciech Kowalewscy. Początkowo w gospodarstwie uprawiano winorośl deserową pod osłonami foliowymi, ale od wielkiej powodzi, która zniszczyła winnicę zaczęto uprawiać tam także odmiany prze-robowe. Rok później swoją winnicę założył zielonogórski artysta fotografik Konrad Czapliński, który zabezpieczył wiele autochtonicznych odmian winorośli. Wymienione wyżej winnice miały niewielką powierzchnię i nie wpisywały się w powszechną świadomość³. Ogłoszenie upadłości Lubuskiej Wytwórni Win w Zielonej

² M. Kuleba, *Enographia Thalloris*, Zielona Góra 2013, s. 322, 331-336, 348-352.

³ P. Karwowski, *Winnice z okolic Zielonej Góry*, „Winiarz Zielonogórski” 2007, nr 23, s. 2-8.

Górze na początku 1999 roku wydawało się być końcem winiarskiej historii miasta

Przemiany ustrojowe uaktywniły działania oddolne lokalnych społeczności. W Zielonej Górze zaczęto coraz śmieiej wysuwać postulaty powrotu do uprawy winnej latorośli w mieście i jego najbliższych okolicach. W 1994 roku powstało Lubuskie Stowarzyszenie Winiarskie, którego celem było kontynuowanie tradycji winiarskich regionu i krzewienie wiedzy o uprawie winorośli i produkcji wina. Opracowany został program odbudowy i rozwoju lubuskich winnic. Stowarzyszenie wydawało także książki o tematyce winiarskiej. Już wówczas tworzące się zielonogórskie środowisko winiarskie lobbowało rewizję sposobu naliczania podatku akcyzowego, promującego import win. Wśród założycieli towarzystwa byli: Stanisław Ostrowski, który objął funkcję prezesa, Karol Gajewski – wiceprezes, Mieczysław Tracewski, Wiesław Lipiński, Henryk Sobczak i Wiesław Hładkiewicz. Warto podkreślić, że Stanisław Ostrowski i Karol Gajewski byli uczniami Liceum Sadowniczo-Winiarskiego⁴.

W 1999 roku z kręgu Lubuskiego Stowarzyszenia Winiarskiego wyszła inicjatywa, aby w Zielonej Górze i regionie powstawały małe amatorskie winnice⁵. Te nowe nasadzenia choć niewiele powiększały areał winnic lubuskich, miały jednak ważny wymiar symboliczny. Uprawa winorośli przestawała być czymś obcym i dalekim. Inicjatywę popularyzacji uprawy winorośli podjęły lokalne media, w tym szczególnie „Gazeta Lubuska”. W latach 2002-2006 na łamach wspomnianego dziennika publikowany był cykl artykułów autorstwa Eugeniusza Kurzawy zachęcający do zakładania przydomowych winniczek⁶.

Lubuskie Stowarzyszenie Winiarskie funkcjonowało w latach 1994-2006. W 2003 roku założono Ogólnopolskie Stowarzyszenie Plantatorów i Producentów Wina z siedzibą w Zielonej Górze. 30 czerwca 2006 roku z połączenia Ogólnopolskiego Stowarzyszenia

⁴ M. Kuleba, *op. cit.*, s. 366-367.

⁵ (pkk), [P. Kuna Kwieciński], *Winne plany*, „Gazeta Lubuska” 1999, nr 143, s. 6.

⁶ P. Karwowski, M. Kuleba, *Program Rozwoju Lubuskiego Winiarstwa na lata 2012-2022*, Zielona Góra 2012, s. 37.

Plantatorów Winorośli i Producentów Wina oraz Lubuskiego Stowarzyszenia Winiarskiego powstało Zielonogórskie Stowarzyszenie Winiarskie. Na pierwszym zebraniu nowego stowarzyszenia ustalone zostały kierunki działalności na lata 2006-2010. Większość ze sformułowanych wówczas postulatów została już zrealizowana⁷. W 2009 roku powstało Stowarzyszenie Wspólnota Kulturowa-Winnice Lubuskie. Kolejną organizacją zrzeszającą lubuskich winiarzy jest powstałe w 2013 roku Stowarzyszenie Promocji Winnic i Produktów Regionalnych.

Zielonogórskie środowisko winiarzy i osób wspierających ich działalność podjęło liczne inicjatywy, wśród których wymienić należy: wspólne wizyty u winiarzy niemieckich, czeskich, słowackich, udział w Konwentach Polskich Winiarzy i innych wydarzeniach winiarskich o randze ogólnopolskiej, organizacja szkoleń i imprez promujących lubuskie winiarstwo (m.in. fora winiarzy targi winiarskie), wydawanie książek i „Winiarza Zielonogórskiego” (od 2004 roku), organizacja konkursów winiarskich, prowadzenie stron internetowych, opracowanie Programu Rozwoju Lubuskiego Winiarstwa na lata 2012-2022⁸.

Efektom pracy społecznego ruchu winiarskiego był systematyczny wzrost liczby lubuskich winnic oraz ich areału, co ilustruje tabela 1.

⁷ Wśród sformułowanych postulatów warto wymienić następujące: założenie przy współudziale zainteresowanych plantatorów wspólnej winnicy wraz z budową Domu Winiarza w okolicach Zaboru, powstanie pomnika Bachusa w Zielonej Górze, kontynuację działalności wydawniczej. Do niezrealizowanych pomysłów należą: założenie winnicy na terenie miejskim w najstarszym rewirze winiarskim, (ul. Źródłana), utworzenie piwnic winiarskich u stóp Winnego Wzgórza oraz wydania podręcznika „Uprawa winorośli i amatorskie przetwórstwo winogron”, zob. P. Karwowski, M. Kuleba, *op. cit.*, s. 38.

⁸ M. Kuleba, *op. cit.*, s. 389-401; P. Karwowski, M. Kuleba, *op. cit.*, s. 39-44.

Tabela 1. Winnice w województwie lubuskim

Data założenia	Ilość winic	Nazwy winic
1985	1	Kinga – Stara Wieś koło Nowej Soli
1986	1	Jędrzychów
1993	1	Bachusowe Pole –Wilkanowo/Zabór
1994	1	Winnica w Muzeum Etnograficznym w Zielonej Górze z/s w Ochli
1997	1	Stara Winna Góra – Górzynkowo
1999	2	Na Leśnej Polanie – Proczki koło Zaboru, Winnica św. Jadwigi – Świdnica
2001	1	Krucza – Buchałów
2003	2	Cosel – Koźła, Julia – Stary Kisielin
2004	4	Miłosz – Łaz, Pałac Mierzęcín, Winnica w Ogrodzie – Górzynkowo, U Michała – Zielona Góra
2005	1	Winnica w Paradyżu
2006	5	Cantina – Mozów, Equus– Mierzęcín/Zabór, Hiki – Bycz, Romana – Łężyca, Senator – Niedoradz
2007	1	Pod Lubuskim Słońcem – Laski (gmina Lubrza)
2008	5	Ingrid – Łaz, Kalina – Sieniawa, Winiarka.pl – Kiełpin, Winnica Rodzinna Żelazny – Zabór, Winnica Łukasz – Wityń
2009	7	Marcus – Sterków (gmina Nowogród Bobrzański), Mozów, Pałac Wiechlice, Saint Vincent – Borów Wielki, Winnica z doliny Odry – Gostchorze, Solera – Kije (winnica została zlikwidowana), Dębogóra – Sławice koło Dobiegniewa
2013	1	Winnica samorządowa – Zabór
2014	2	Vaw Soli – Zabór, Trojan – Zabór
RAZEM	35	

Źródło: Lubuski Szlak Wina i Miodu, Zielona Góra 2009; *Smaki lubuskiego wina*, Zielona Góra 2014; <http://szlakwinaimiodu.pl/> [dostęp 31.08.2017].

Najistotniejszą przeszkodą dla szybszego rozwoju winiarstwa było skrajnie niekorzystne dla małych producentów rolnych ustawodawstwo regulujące wyrób win gronowych⁹. Duże nadzieje na rozwój winiarstwa w Polsce przyniosło przystąpienie Polski do Unii Europejskiej w 2004 roku¹⁰. Jednak do 2008 właściciele drobnych gospodarstw rolnych nie mogli w praktyce sprzedawać legalnie wyprodukowanych przez siebie win. Było to spowodowane przede wszystkim przepisami dotyczącymi nadzoru akcyzowego i warunkami uzyskania zezwolenia na prowadzenie składu podatkowego, których właściciele małych winnic nie mogli spełnić. Drugą przeszkodą była konieczność zarejestrowania działalności gospodarczej, co powodowało utratę prawa do ubezpieczenia w KRUS¹¹. Takie uwarunkowania doprowadziły do tego, że winiarze rozpoczęli ryzykowną dla siebie działalność w „szarej strefie”. Goście odwiedzający winnice płacili więc za prelekcje, degustacje lub nabywali pamiątki winiarskie. Wino stanowiło w tym modelu sprzedażowym jedynie „prezent” od winiarzy.

W styczniu 2009 roku z inicjatywy lubuskiego senatora Stanisława Iwana, przy udziale innych lubuskich polityków, wprowadzono korzystne dla winiarzy zmiany w ustawie winiarskiej¹². Pierwsze

⁹ Zob. Ustawa z dnia 22 stycznia 2004 r. o wyrobie i rozlewie wyrobów winiarskich, obrocie tymi wyrobami i organizacji rynku wina (Dz.U. z 2004 r., Nr 34, poz. 292).

¹⁰ Rozporządzeniem Rady (WE) z 20 grudnia 2005 roku (2165/2005) cały obszar Polski został zaliczony do strefy A upraw winorośli w Unii Europejskiej. Akt ten umożliwił produkowanie w Polsce wina z własnych upraw.

¹¹ R. Myśliwiec, *W polskim winie zaplątani*, „Magazyn Wino” 2006, nr 4, s. 20-21; duży rozgłos zyskało zablokowanie przez Izbę Celną produkcji wina przez Uniwersytet Jagielloński, który zamierzał wytwarzać wino upominkowe do celów promocyjnych, zob. *Izba Celna zajęła się „Winem Uniwersyteckim”*, „Świat Win” 2008 nr 1, s. 5.

¹² Ustawa z dnia 23 stycznia 2009 r. o zmianie ustawy o wyrobie i rozlewie wyrobów winiarskich, obrocie tymi wyrobami i organizacji rynku wina (Dz.U. z 2009 r. Nr 38, poz. 298). Ustawą z dnia 10 lipca 2008 r. o zmianie ustawy o podatku akcyzowym oraz ustawy o wyrobie i rozlewie wyrobów winiarskich, obrocie tymi wyrobami i organizacji rynku wina (Dz.U.

wino lubuskie do legalnej sprzedaży wprowadziła we wrześniu 2010 roku winnica Stara Winna Góra. Obecnie organizację rynku wina w Polsce określają przepisy ustawy z dnia 12 maja 2011 roku¹³. Warto w tym miejscu wspomnieć, że szereg korzystnych dla winiarzy uregulowań znalazło się w tej ustawie dzięki inicjatywie członków Zielonogórskiego Stowarzyszenia Winiarskiego¹⁴. Ustawa z 2011 roku, mimo że w dalszym ciągu nie spełnia wszystkich oczekiwań winiarzy przyczyniła się do dynamicznego rozwoju produkcji win gronowych w Polsce. Dane o wielkości winnic i produkcji wina zbiera Agencja Rynku Rolnego. Wpis do ewidencji tej agencji jest jednym z warunków legalnej sprzedaży wina gronowego w Polsce¹⁵.

Tabela 2. Winnice w Polsce w roku winiarskim 2009/2010

Lp.	Województwo	Rok winiarski 2009/2010				
		Liczba winiarzy (według miejsca zamieszkania)	Powierzchnia upraw winorośli ogółem (w ha)	Powierzchnia upraw winorośli, z której dokonano zbioru winogron	Zbiory winogron w (kwintalach)	Produkcja wina gronowego (w hl)
1.	Lubuskie	2	8,01	6,85	126,3	87,5
2.	Małopolskie	6	4,92	3,24	109,6	73
3.	Dolnośląskie	4	8,77	7,41	127,5	85,9
4.	Podkarpackie	1	0,26	0,22	7,8	4,8
5.	Mazowieckie	3	6,66	6,57	149,5	113,5
6.	Śląskie	1	0,08	0,08	6,5	4,5
7.	Wielkopolskie	3	6,65	5,24	56,0	35,6

z 2008, r., Nr 145, poz. 915) producenci wyrabiający do 1000 hl wina zostali zwolnieni z obowiązku wyrobu wina w ramach składu podatkowego.

¹³ Ustawa z dnia 12 maja 2011 r. o wyrobie i rozlewie wyrobów winiarskich, obrocie tymi wyrobami i organizacji rynku wina (Dz.U. z 2011 r. Nr 120, poz. 690).

¹⁴ P. Karwowski, M. Moszkowicz, *Ustawodawcza batalia o polskie wino*, „Winiarz Zielonogórski” 2011, nr 41/42, s.2-3.

¹⁵ Dane dotyczące wielkości winnic i produkcji win zbiera także Główny Urząd Statystyczny.

8.	Pomorskie	1	0,7	0,7	15,0	7,5
Razem		21	36	30,3	598,2	412,3

Źródło: dane Agencji Rynku Rolnego, za P. Karwowski, M. Kuleba, *Program Rozwoju Lubuskiego Winiarstwa na lata 2012-2022*, Zielona Góra 2012, s. 35.

Tabela 3. Winnice w Polsce w roku winiarskim 2010/2011

Lp.	Województwo	Rok winiarski 2010/2011				
		Liczba winiarzy (według miejsca zamieszkania)	Powierzchnia upraw winorośli ogółem (w ha)	Powierzchnia upraw winorośli, z której dokonano zbioru winogron	Zbiory winogron w (kwintalach)	Produkcja wina gronowego (w hl)
1.	Lubuskie	2	10,31	7,3	254,98	169,3
2.	Małopolskie	4	2,676	2,28	37,32	20,5
3.	Dolnośląskie	5	8,9	3,65	101,39	37,78
4.	Podkarpackie	1	1,8	1,8	70	42,45
5.	Mazowieckie	3	6,907	6,85	90,5	57,7
6.	Śląskie	2	0,28	0,14	10,7	4,2
7.	Wielkopolskie	2	5,44	6,18	131,4	97,8
8.	Pomorskie	1	0,7	0,7	15	7,4
Razem		20	37,013	28,9	711,29	437,13

Źródło: dane Agencji Rynku Rolnego, za P. Karwowski, M. Kuleba, *Program Rozwoju Lubuskiego Winiarstwa na lata 2012-2022*, Zielona Góra 2012, s. 55.

Tabela 4. Winnice w Polsce w roku winiarskim 2011/2012

Lp.	Województwo	Rok winiarski 2011/2012				
		Liczba winiarzy (według miejsca zamieszkania)	Powierzchnia upraw winorośli ogółem (w ha)	Powierzchnia upraw winorośli, z której dokonano zbioru winogron	Zbiory winogron w (kwintalach)	Produkcja wina gronowego (w hl)
1.	Lubuskie	3	14,00	4,42	26,9	15,6
2.	Małopolskie	4	3,21	3,21	153,7	86,5

3.	Dolnośląskie	5	23,00	4,46	128,25	90,0
4.	Podkarpackie	3	3,5	3,08	92,45	57,45
5.	Lubelskie	1	0,11	0	0	0
6.	Świętokrzyskie	1	0,84	0,46	3,09	1,1
7.	Wielopolskie	2	6,00	1,53	23,3	17,2
	Mazowieckie	3	5,25	3,28	221,84	142,65
8.	Śląskie	4	2,7	0,54	34,4	18,47
Razem		26	58,6	20,98	683,93	428,97

Źródło: dane Agencji Rynku Rolnego, za P. Karwowski, M. Kuleba, *Program Rozwoju Lubuskiego Winiarstwa na lata 2012-2022*, Zielona Góra 2012, s. 56.

Tabela 5. Winnice w Polsce w roku gospodarczym 2012/2013

Lp.	Województwo	Rok gospodarczy 2012/2013		
		Liczba winiarzy (według miejsca zamieszkania)	Powierzchnia uprawy winorośli, z których pozyskuje się winogrona do wyrobu wina (w ha)	Produkcja wina gronowego (w hl)
1.	Lubuskie	4	16,62	181,9
2.	Małopolskie	6	23,26	226,07
3.	Dolnośląskie	5	29,57	129,25
4.	Podkarpackie	4	4,03	40,95
5.	Lubelskie	2	0,74	13,7
6.	Świętokrzyskie	1	0,57	12,51
7.	Wielopolskie	3	5,47	15,7
8.	Mazowieckie	5	14,51	250,22
9.	Śląskie	4	1,95	32,75
10.	Warmińsko-Mazurskie	1	0,15	0
Razem		35	96,87	903,05

Źródło: dane Agencji Rynku Rolnego, informacja publiczna.

Tabela 6. Winnice w Polsce w roku gospodarczym 2013/2014

Lp.	Województwo	Rok gospodarczy 2013/2014		
		Liczba winiarzy (według miejsca zamieszkania)	Powierzchnia uprawy winorośli, z których pozysku- je się winogrona do wyrobu wina (w ha)	Produkcja wina gronowego (w hl)
1.	Lubuskie	5	21,68	529,47
2.	Małopolskie	9	25,47	512,85
3.	Dolnośląskie	6	19,67	160,99
4.	Podkarpackie	7	6,55	83,80
5.	Lubelskie	3	2,84	42,60
6.	Świętokrzyskie	3	5,57	221,98
7.	Wielopolskie	3	2,31	25,05
8.	Mazowieckie	6	11,62	321,74
9.	Śląskie	5	2,73	55,32
10.	Pomorskie	1	0,70	9,85
11.	Podlaskie	1	0,35	15,30
Razem		49	99,49	1978,95

Źródło: dane Agencji Rynku Rolnego, informacja publiczna.

Tabela 7. Winnice w Polsce w roku gospodarczym 2014/2015

Lp.	Województwo	Rok gospodarczy 2014/2015		
		Liczba winiarzy (według miejsca zamieszkania)	Powierzchnia uprawy wino- rośli, z których pozyskuje się winogrona do wyrobu wina (w ha)	Produkcja wina gronowego (w hl)
1.	Lubuskie	14	36,23	662,34
2.	Małopolskie	13	11,94	296,13
3.	Dolnośląskie	7	20,87	332,70
4.	Podkarpackie	12	11,23	245,84
5.	Lubelskie	6	5,52	72,30

6.	Świętokrzyskie	5	6,10	331,40
7.	Wielopolskie	2	2,28	40,00
8.	Mazowieckie	8	17,39	275,33
9.	Śląskie	6	4,23	80,06
10.	Pomorskie	1	0,70	7,20
11.	Zachodniopomorskie	1	17,12	376,00
12.	Podlaskie	1	0,74	17,80
	Razem	76	134,35	2737,10

Źródło: dane Agencji Rynku Rolnego, informacja publiczna.

Tabela 8. Winnice w Polsce w roku gospodarczym 2015/2016

Lp.	Województwo	Rok gospodarczy 2015/2016		
		Liczba winiarzy (według miejsca zamieszkania)	Powierzchnia uprawy winorośli, z których pozyskuje się winogrona do wyrobu wina (w ha)	Produkcja wina gronowego (w hl)
1.	Lubuskie	18	51,56	942,51
2.	Małopolskie	18	46,45	892,08
3.	Dolnośląskie	10	21,54	536,70
4.	Podkarpackie	18	14,20	409,30
5.	Lubelskie	7	4,26	96,21
6.	Świętokrzyskie	7	9,19	385,33
7.	Wielopolskie	4	1,84	67,50
8.	Mazowieckie	7	14,10	584,27
9.	Śląskie	5	3,51	172,50
10.	Pomorskie	1	0,70	9,65
11.	Zachodniopomorskie	3	20,02	891,60
12.	Kujawsko-Pomorskie	4	5,88	105,50
13.	Podlaskie	1	1,00	42,20
	Razem	103	194,24	5135,35

Źródło: dane Agencji Rynku Rolnego, informacja publiczna.

Tabela 9. Areal upraw winorośli według ich położenia w roku gospodarczym 2016/2017

Lp.	Województwo	Areal upraw winorośli (w ha)
1.	Lubuskie	57,54
2.	Małopolskie	39,14
3.	Dolnośląskie	24,61
4.	Podkarpackie	20,98
5.	Lubelskie	21,39
6.	Świętokrzyskie	13,20
7.	Wielopolskie	5,04
8.	Mazowieckie	4,28
9.	Śląskie	5,15
10.	Pomorskie	0,71
11.	Zachodniopomorskie	20,37
12.	Kujawsko-Pomorskie	3,85
13.	Podlaskie	1,00
14.	Łódzkie	3,33
15.	Opolskie	0,49
	Razem	221,94

Źródło: *Sytuacja na rynku wina w Polsce*, opracowanie elektroniczne Agencji Rynku Rolnego, Warszawa 2017.

Dane w tabelach 2-6 mogą być nieco mylące, ponieważ odnoszą się do adresu zamieszkania producenta, a nie fizycznego położenia winnicy. Wobec faktu, że coraz częściej właściciele winnic mieszkają w innym niż posiadana przez nich plantacja województwie, Agencja Rynku Rolnego zaczęła od roku gospodarczego 2014/2015 zbierać dane dotyczące areалу upraw winorośli według ich położenia.

Dane zbierane przez Agencję Rynku Rolnego dokumentują tylko winnice wpisane do ewidencji prowadzonej przez ten urząd. Część winnic, szczególnie młodych, nie zostało uwzględnionych w tych statystykach. Według szacunków Romana Myśliwca areal winnic w całej Polsce może być nawet trzy razy większy od arealu

zarejestrowanego w Agencji Rynku Rolnego¹⁶. Łączny areal lubuskich winnic można oszacować także na podstawie ulotek turystycznych. Winnice figurujące w wydanym w 2009 roku folderze *Lubuski Szlak Wina i Miodu* zajmowały ok. 20 ha¹⁷. Areal winnic opisanych w folderze *Smaki lubuskiego wina* wydanym w 2014 wynosił już 59,31 ha¹⁸. Zielonogórskiego Stowarzyszenie Winiarskie szacowało, iż w 2016 roku winnice w regionie lubuskim zajmowały już niemal 200 ha¹⁹. Do największych lubuskich winnic należą: Winnica Pałac Mierzęcin (6,75 ha), Winnica Dolina Odry (9 ha), Winnica Saint Vincent (6,5 ha), Winnica Stara Winna Góra (8 ha), Winnica Dębogóra (8 ha).

Istotnym czynnikiem wpływającym na rozwój winiarstwa w Polsce są zmiany w zakresie struktury spożycia napojów alkoholowych. Według statystyk Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych największe spożycie win i miodów pitnych w przeliczeniu na 100-procentowy alkohol na jednego mieszkańca odnotowano w Polsce w latach 1998 i 1999 (1,64 l). Udział ten systematycznie spada (najniższą wartość – 0,64 l osiągnął w 2013 roku)²⁰. Dane te nie uwzględniają jednak podziału na wina gronowe i owocowe. Za spadek ogólnej ilości spożycia win w Polsce odpowiadają głównie tracące popularność wina owocowe. Z drugiej strony dystrybutorzy win gronowych importowanych odnotowują ciągły wzrost ich sprzedaży. Także różnica pomiędzy spożyciem

¹⁶ B. Drewnowska, *Krajowe winnice ruszają na podbój rynku*, „Rzeczpospolita” 2016, nr 238, s. B9. W sezonie winiarskim, który rozpoczął się 1 sierpnia 2016 roku swoją działalność w Agencji Rynku Rolnego zarejestrowały już 152 winnice. Roman Myśliwiec szacuje, że w Polsce może istnieć nawet tysiąc winnic, ale znaczna część z nich nie jest nastawiona na wprowadzenie wina do obrotu handlowego i prowadzenie działalności agroturystycznej.

¹⁷ *Lubuski szlak wina i miodu*, Zielona Góra 2009.

¹⁸ *Smaki lubuskiego wina*, Zielona Góra 2014.

¹⁹ Zob. B. Drewnowska, *Stworzeni, by produkować wino*, „Rzeczpospolita” 2016, nr 205.

²⁰ <http://www.parpa.pl/index.php/badania-i-informacje-statystyczne/statystyki> [dostęp: 31.08.2016].

wina w Polsce i w innych krajach europejskich powoduje, że rynek wina ma w dalszym ciągu wielki potencjał rozwojowy²¹.

Wzrost popularności win gatunkowych przyczynia się do rozwoju enoturystyki. Według Wojciecha Bosaka:

turystykę winiarską definiuje się najczęściej jako wyjazdy do regionów winiarskich, podczas których turysta odwiedza przynajmniej jedno miejsce związane z produkcją wina (winnica, przetwórnia, gospodarstwo winiarskie) lub uczestniczy w imprezie o profilu winiarskim (degustacje, różnego rodzaju prezentacje win, święta winiarskie, itp.)²².

Winiarze lubuscy zaczęli prowadzić działalność enoturystyczną kilka lat przed zmianą ustawodawstwa winiarskiego. Wśród licznych inicjatyw mających na celu promocję lubuskich winnic należy wymienić: Lubuski Szlak Wina i Miodu (od 2008 roku), Weekend otwartych winnic (od 2009 roku), winobus (od 2010 roku), paszport winiarskiego odkrywcy (od 2009 roku)²³.

Ruch mający na celu odtworzenie winiarstwa w województwie lubuskim miał początkowo charakter społeczny. Nieco później działania winiarzy lubuskich były wspierane także przez parlamentarzystów i samorządowców. W latach 2002-2006, gdy prezydentem Zielonej Góry była Bożena Ronowicz, samorząd Zielonej Góry wsparł wydawanie „Winiarza Zielonogórskiego” (od 2004 r.), książek autorstwa Mirosława Kuleby: *Ampelografia Zielonej Góry* (Zielona

²¹ <http://www.kpmg.com/PL/pl/IssuesAndInsights/ArticlesPublications/Documents/2014/Rynek-napojow-alkoholowych-w-Polsce-2014-czesc-I.pdf> [dostęp: 25.08.2016], *Der Weinbau in der Welt. III. Weinkonsum 2003*, „Deutsches Weinbau Jahrbuch” 2008, s. 235-236; Drewnowska B., *Wino rozlewa się po Polsce*, „Rzeczpospolita” 2016, nr 213, s. B2-B3; Drewnowska B., *Rynek wina wciąż z potencjałem*, „Rzeczpospolita” 2016, nr 49, s. B7; A. Czerniawska, *Zakochani w winie*, <http://life.forbes.pl/rynek-wina-w-polsce-kupujemy-wiecej-i-lepiej,artykuly,170050,1,2.html> [dostęp: 25.08.2016].

²² W. Bosak, *Oplacalność produkcji wina oraz możliwości rozwoju komercyjnego rozwoju winiarstwa w Polsce*, [w:] <http://www.winologia.pl/ekonomika.pdf>. [dostęp: 28.09.2017].

²³ A. Cincio, *Paszporty winiarskie*, „Museion” 2011, nr 30, s. 37.

Góra 2005) i *Bibliografia zielonogórskiego winiarstwa* (Zielona Góra 2006) oraz pierwszego folderu winiarskiego regionu zielonogórskiego *Szlakiem zielonogórskich winnic* (Zielona Góra 2006). Obecnie winiarstwo jest stałym elementem promocji województwa lubuskiego i poszczególnych gmin, w których powstały winnice. Także kolejny prezydent Zielonej Góry Janusz Kubicki wspierał promocję tradycji winiarskich Zielonej Góry m.in. poprzez udział finansowy przy wydawaniu kolejnych publikacji związanych z historią i współczesnością zielonogórskiego winiarstwa. Miasto sfinansowało adaptację piwnicy przeznaczonej specjalnie dla winiarzy w Zaułku Artystów przy ul. Fabrycznej. Konkurs na użytkowanie tego lokalu wygrało Stowarzyszenie Wspólnota Kulturowa Winnice Lubuskie²⁴.

W lipcu 2010 roku podpisano porozumienie, którego celem było powstanie największej w Polsce winnicy. 21 czerwca 2012 roku Zarząd Województwa Lubuskiego zatwierdził Program Rozwoju Lubuskiego Winiarstwa opracowany przez Mirosława Kulebę i Przemysława Karwowskiego. Pierwsze krzewy winnej latorośli posadzono na winnicy w Zaborze w 2013 roku²⁵. 3 listopada 2014 roku marszałek Województwa Lubuskiego, Elżbieta Anna Polak podpisała umowę z Państwową Wyższą Szkołą Zawodową w Sulechowie na dzierżawę gruntów w Zaborze oraz z firmą Diament na budowę centrum winiarskiego. W tym samym dniu zostały podpisane także umowy dzierżawy z 13 winiarzami. 9 października 2015 roku uroczystie otwarto Lubuskie Centrum Winiarstwa w Zaborze. Obiekt spełnia różne funkcje, od reprezentacyjnej i turystycznej, przez rekreacyjną po dydaktyczną i muzealną. W przyszłości ma stanowić także bazę naukowo-dydaktyczną umożliwiającą kształcenie studentów na kierunku winiarskim oraz ośrodek doradztwa dla winiarzy. 17 września 2016 roku obchodzono pierwsze winobranie w Lubuskim Centrum Winiarstwa. 11 listopada 2016 roku odbyło się pierwsze Święto Lubuskiego Młodego Wina. Licząca 35 ha

²⁴ P. Karwowski, M. Kuleba, *op. cit.*, s. 37.

²⁵ Nasadzenia z 2013 roku miały charakter symboliczny. Regularne zagospodarowywanie winnic rozpoczęło się rok później.

winnica w Zaborze jest największą w Polsce winnicą, choć dzierżawi ją trzynastu winiarzy.

Działania mające na celu odrodzenie tradycji winiarskich w regionie wspierały także instytucje kultury, w tym szczególnie Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze oraz Muzeum Etnograficzne w Zielonej Górze z siedzibą w Ochli.

Analizując rozwój winiarstwa w województwie lubuskim po 1989 roku można wyodrębnić dwa etapy. Pierwszy z nich, który można nazwać „pionierskim”, trwał do 2009 roku. Okres ten charakteryzował się wielkim społecznym zaangażowaniem na rzecz odrodzenia się winiarskich tradycji regionu. Zakładanie nowych winnic zbiegło się w czasie z popularyzowaniem wiedzy o winiarskiej przeszłości województwa oraz o zasadach uprawy winorośli. Osoby zakładające wówczas winnice działały w skrajnie niekorzystnych uwarunkowaniach prawnych. Dopiero liberalizacja prawa winiarskiego umożliwiła przyspieszenie rozwoju winnic w Polsce. Momentem przełomowym dla lubuskiego winiarstwa było wprowadzenie do legalnego obrotu handlowego wina ze znakami akcyzy we wrześniu 2010 roku. Od tamtego momentu rozpoczął się nowy etap, który charakteryzuje się szybkim wzrostem areалу i liczby winnic oraz profesjonalizacją produkcji wina i oferty turystycznej. W okresie tym winiarstwo stało się dla władz samorządowych (wojewódzkich, miejskich i gminnych) istotnym elementem działań promocyjnych i wizerunkowych. W drugim etapie istotniejsze od czynników emocjonalnych stają się czynniki ekonomiczne.

Jak wynika z danych statystycznych Agencji Rynku Rolnego województwo lubuskie jest niekwestionowanym liderem w zakresie uprawy winorośli i produkcji wina gronowego w Polsce. Aby nakreślić perspektywę dalszego rozwoju winiarstwa lubuskiego należy dokonać analizy jego silnych i słabych stron oraz szans i zagrożeń.

Do silnych stron lubuskiego winiarstwa zalicza się:

- posiadanie najbogatszych w Polsce tradycji winiarskich,
- siedliska winiarskie z wielowiekową historią uprawy winorośli,
- autochtoniczne szczepy i klony winorośli,

- korzystne (w porównaniu do innych polskich województw) warunki klimatyczne,
- istnienie winnicy samorządowej – największej plantacji winnej latorośli w Polsce oraz Lubuskiego Centrum Winiarstwa
- produkcję wina musującego²⁶.

Do słabych stron lubuskiego winiarstwa należą:

- niewielkie rozmiary winnic (dotyczy to całej Polski)²⁷,
- atomizacja środowisk winiarskich,
- niewielki kapitał winiarzy,
- wysoka cena lubuskiego wina,
- słaba oferta noclegowa w pobliżu winnic.

Szansą dla lubuskiego winiarstwa może być:

- dalszy rozwój turystyki winiarskiej,
- uznanie przez znawców, jak i szeroką grupę konsumentów wina lubuskiego za produkt regionalny o wysokiej jakości,
- zachowanie statusu Winobrania jako najważniejszego święta polskiego winiarstwa,
- wykorzystanie historycznych siedlisk i odmian rosnących w regionie przed II wojną światową,
- wsparcie winiarzy przez samorządy oraz lubuskie uczelnie.

Do potencjalnych czynników mogących zagrozić lubuskiemu winiarstwu należy zaliczyć:

- zmiany prawa,
- nasycenie się rynku i spadek opłacalności produkcji wina w Polsce,

²⁶ Historia produkcji wina musującego w Zielonej Górze sięga 1826 roku, gdy założono spółkę nazwaną później Grempler & Co. A.G. Produkcję wina musującego kontynuowano w mieście do 1947 roku. W 2010 roku Mariusz Moszkowicz dokonał udanej próby wytworzenia wina musującego pozyskanego metodą szampańską. W 2014 roku Krzysztof Fedorowicz wprowadził do legalnego obrotu handlowego wina musujące *Grempler-Sekt*. Kolejnym producentem lubuskiego wina musującego jest Guillaume Dubois.

²⁷ Często średnia wielkość winnic lubuskich, wynosząca ok. 2 ha, jest postrzegana jako zaleta. Pogląd taki wynika z faktu, że w większości innych regionów winnice są jeszcze bardziej rozdrobnione.

- utrata pozycji lidera polskiego winiarstwa,
- zmiany klimatyczne,
- zagrożenia biologiczne (choroby i szkodniki)²⁸.

Biorąc pod uwagę podane czynniki należy uznać, że województwo lubuskie to region o znacznym potencjale rozwoju produkcji wina gronowego oraz prowadzenia turystyki winiarskiej. Odradzające się winiarstwo lubuskie potrzebuje jednak cały czas wsparcia instytucji samorządowych w zakresie promocji.

²⁸ Zob. także P. Karwowski, M. Kuleba, *op. cit.*, s. 73-74, gdzie została podana poszerzona analiza SWOT winiarstwa lubuskiego.

Robert Rudiak

LUBUSKA OFICYNA WYDAWNICZA W ZIELONEJ GÓRZE (1989-1996)

W pierwszym i zarazem najbardziej dzikim okresie przemian ustrojowych i gospodarczych po 1989 roku, każdy, kto czuł w sobie żyłkę do interesów, starał się rozpocząć działalność gospodarczą i pracować na własny rachunek, dążąc do zysków wzorem Rockefellera. Szybko się jednak okazało, że wolność gospodarcza w stylu amerykańskim, w myśl zasady od pucybuta do milionera, nie działa w naszym kraju i prywatne firmy, które wyrastały jak przyśłowiove grzyby po deszczu, jeszcze szybciej ogłaszały upadłość. Kapitalizm i wolnorynkowa działalność zawitała także do branży wydawniczej. Upadające państwowe wydawnictwa przekształcano i prywatyzowano lub likwidowano, aby nie stanowiły konkurencji dla nowo wchodzących na rynek. Powstawały też całkiem nowe oficyny, które zakładali zwykle ludzie zorientowani w ówczesnych realiach branżowych, znający się na handlu książką czy usługach poligraficznych.

Aby móc funkcjonować w jakimkolwiek segmencie wolnorynkowego handlu, trzeba było najpierw wykazać się jego dobrą znajomością, zarówno w skali lokalnej, jak i ogólnopolskiej. W bogatej karierze zawodowej, Ryszard Błażyński uruchamiając swoją oficynę, perfekcyjnie znał rynek wydawnictwa i handlu książkami. Pierwszą pracę par excellence z książką rozpoczął w roku 1979, właśnie

w Domu Książki¹ w Zielonej Górze. Jako zastępca dyrektora kierował promocją, kolportażem i sprzedażą książek. Tę funkcję wcześniej pełnił przez szereg lat Kazimierz Malicki – znany w regionie księgarz, a przede wszystkim pisarz – autor pierwszej książki na Ziemi Lubuskiej i zarazem twórca pierwszych baśni i legend zielonogórskich, które ukazały się drukiem w oficynie Lubuskiego Towarzystwa Kultury.

Od 1984 roku Ryszard Błazyński był dyrektorem Klubu Międzynarodowego Prasy i Książki mieszczącego się w Zielonej Górze przy ul. Bohaterów Westerplatte². Tam, oprócz pracy z książką, mógł rozwijać swoje pasje kulturotwórcze – założył „Galerię Krzywe Zwierciadło”, prowadził wystawy malarstwa, grafiki i fotografii. W 1986 roku rozpoczął organizowanie Otwartego Międzynarodowego Konkursu na Rysunek Satyryczny, który gromadził wielu wybitnych i znanych w świecie rysowników, satyryków i karykaturzystów.

O narodzinach konkursu rysunkowego i jego historii Eligiusz Podolan napisał:

Pomysł Otwartego Międzynarodowego Konkursu na Rysunek Satyryczny powstał w Klubie Międzynarodowego Prasy

¹ Dom Książki miał swoją siedzibę przy ul. Botanicznej w Zielonej Górze. Przedsiębiorstwo Państwowe Dom Książki powstało w 1950 roku, a jego centrala znajdowała się w Warszawie, w 17 miastach istniały natomiast oddziały regionalne. W 1988 roku Dom Książki posiadał ponad 2 tysiące księgarń, 11 tysięcy punktów sprzedaży książek, miał księgarnię wysyłkową, prowadził kluby książki oraz organizował targi i kiermasze. W 1989 roku przedsiębiorstwo zlikwidowano, także oddział zielonogórski. Większość oddziałów w kraju uległa jednak prywatyzacji i została przejęta przez byłych pracowników, np. w Katowicach, Gdańsku, Poznaniu, Białymstoku, Lublinie lub przeszła przekształcenia, np. Książnica Polska w Olsztynie, Polska Książka w Warszawie, bądź też została wykupiona przez inne wydawnictwa, m.in. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Matras, Nova.

² Klub MPiK w Zielonej Górze przy ul. Bohaterów Westerplatte 19 istniał do 1991 roku. Potem znajdowała się tam księgarnia multimedialna Empik (skrót od słów: elektronika, muzyka prasa i książki) i szkoła językowa Empik School (na piętrze), a od 2016 roku znajdują się tam oddziały banków.

i Książki „Ruch” w Zielonej Górze w 2. połowie lat 80. XX wieku w małym gronie: Alicji Ratajczak, Ryszarda Błażyńskiego oraz Mirosława Hajnosa. Pierwszym zamierzeniem było zorganizowanie ogólnopolskiego konkursu na rysunek satyryczny, gdyż „Napłynęły prace ze wszystkich większych ośrodków kraju, od prawie wszystkich czołowych polskich karykaturzystów”. Co ciekawe, na ów konkurs niespodziewanie wpłynęły również prace satyryków z innych krajów. Tak pozytywne odebranie inicjatywy mile zaskoczyło organizatorów, doprowadzając do przekształcenia imprezy w konkurs o randze międzynarodowej.

Tematem pierwszego konkursu była „Prasa”. Najlepszymi okazali się Henryk Cebula, Krzysztof Konopelski oraz Andrzej Pijet. (...) W roku 1987 tematem przewodnim była „Książka” (...).

Należy podkreślić, że bezdyskusyjne duże zainteresowanie w kraju i na świecie, jakim się cieszy tego typu sztuka, prowadzi do promowania kultury, upowszechniania miasta i instytucji sprawczej³.

Klub MPiK tętnił życiem, odbywały się tam spotkania autorskie i literackie, prelekcje, wernisaże i wystawy kolekcjonerskie, a nawet koncerty kameralne. Po przekształceniu – na fali prywatyzacji sieci Klubów MPiK, należących do koncernu RSW „Prasa-Książka-Ruch”⁴ – w komercyjne salony, Błażyński także postanowił wziąć sprawy w swoje ręce i rozkręcić „własny biznes” – oczywiście w branży, w której czuł się jak ryba w wodzie, a więc polegającej na produkcji i handlu książkami. Trzeba jednak zaznaczyć, że do tej idei przekonał wielu ludzi. Założyli oni Spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością o nazwie Lubuska Oficyna Wydawnicza LOW Przedsiębiorstwo Wydawniczo-Handlowo-Usługowe⁵, którą

³ E. Podolan, *Otwarty Międzynarodowy Konkurs na Rysunek Satyryczny – próba podsumowania*, „Bibliotekarz Lubuski” 2011, nr 2 (32), s. 11 i 14.

⁴ Sieć KMPiK założona została w 1948 roku przez Robotniczą Spółdzielnię Wydawniczą „Prasa”. Salony Klubu MPiK prowadziły we wszystkich dużych miastach czytelną prasę, klubokawiarnię, księgarnię, kursy języków obcych, działalność imprezowo-wystawienniczą.

⁵ Spółkę utworzono umową w formie aktu notarialnego zawartą 24 listopada 1989 roku przed notariuszem PBN w Zielonej Górze, rep. A. 3207/1989.

Ryszard Błażyński kierował jako prezes wieloosobowego zarządu. W składzie pierwszego Zarządu byli także: Alicja Karpowicz – sekretarz LTK, Kazimierz Jankowiak – późniejszy wicedyrektor Izby Skarbowej w Zielonej Górze, adwokat Jacek Kochaniak i dr Andrzej Buck – wicedyrektor Biblioteki Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Wspólnikami LOW byli m.in. późniejsi profesorowie: Jerzy Żaba i Wojciech Strzyżewski oraz wiele znakomitych osobistości naszego miasta i nie tylko, m.in. dr Andrzej Toczewski (prezes LTN i Stowarzyszenia Autorów Polskich), Zygmunt Stabrowski, Julian Dobosz (prezes LTK). Ponadto udziałowcami były trzy instytucje: Lubuskie Towarzystwo Kultury, Lubuskie Towarzystwo Naukowe i Biuro Wystaw Artystycznych. W sumie było trzydziestu trzech udziałowców, każdy z wkładem 1 miliona złotych. Kapitał spółki wynosił zatem 33 mln złotych ówczesnych pieniędzy (przed denominacją). Pierwszym prezesem Rady Nadzorczej LOW został dr A. Toczewski, ale po jego wyjeździe na stypendium do Stanów Zjednoczonych, pół roku później nowym prezesem został dr hab. J. Żaba.

Przedmiotem działalności LOW miała być „szeroko rozumiana działalność wydawnicza, związana z produkcją książek, periodyków, kartek okolicznościowych, kalendarzy, gazet; działalność handlowa związana ze sprzedażą własnej produkcji, otrzymanej z innych przedsiębiorstw, a także od osób fizycznych; działalność usługowa związana z przyjmowaniem do produkcji wydawnictw oraz różnego rodzaju, typu periodyków oraz instytucji i osób fizycznych, a także wykonywanie usług kserograficznych”⁶. W styczniu 1990 roku R. Błażyński stanął także na czele wydawnictwa LOW

Siedziba LOW Sp. z o.o. znajdowała się w Zielonej Górze w budynku przy ul. Gwardii Ludowej 14 (obecnie ul. kard. S. Wyszyńskiego). Mieściły się w nim m.in. Lubuskie Towarzystwo Kultury, Zielonogórska Telewizja Przewodowa, komisariat policji i kilka prywatnych firm. Obecnie znajduje się tam oddział banku. Wydawnictwo LOW miało również swój punkt sprzedażowy, który mieścił się przy ul. Moniuszki w Zielonej Górze (prowadził go w formie agencji Zbigniew Tchórzewski).

⁶ Postanowienie Sądu Rejonowego w Zielonej Górze z dnia 18 lutego 1989 roku, nr sygn. akt Ns-Rej. H 434/89 o wpisaniu LOW Sp. z o.o. do rejestru handlowego pod numerem RH-B.556, s. 1.

jako jego redaktor naczelny, natomiast sekretarzem wydawnictwa został dr A. Buck.

Oficina zaczęła działalność dość odważnie wchodząc na rynek, z ambitnymi planami handlowymi i pomysłami wydawniczymi. Już w 1990 roku, faktycznie w pierwszym roku swojego istnienia (bo została zarejestrowana w końcu roku 1989) wypuściła w obieg cztery pozycje książkowe – zbiór rysunków satyrycznych znanego w kraju rysownika Zbigniewa Jujki *Goło ale wesoło* z cyklu Biblioteczki Love⁷ w formacie miniaturowym A6 (10x15 cm) i nakładzie 150 tys. sztuk, turystyczne rozmówki *Porozmawiajmy po niemiecku* przygotowane przez Bogumiłę Kuczerę i Genowefę Pirus, liczące 165 stron, kieszonkowy 90-stronicowy poradnik z dziedziny chiromancji autorstwa Irminy von Kaltman⁸ *Wrózenie z ręki* (okładkę projektował Waldemar Moszkowski, opisano 152 układy linii dłoni i nadgarstków) i Zofii Błażyńskiej – matki właściciela oficyny, która przygotowała książkę kucharską *Potrawy wigilijne*.

We wstępie do książki na temat wrózenia wydawca napisał:

Umiejętność wrózenia Irmina von Kaltman tłumaczy „chirozofią”. Uważa, że samą technikę, poznawania siebie i innych poprzez układ dłoni może opanować każdy, ale nie każdemu uda się „wrózenie”. Wrózenie jest swoistą sztuką, niemożliwą do nauczenia. (...) Można jedynie nauczyć „techniki”, pewnych reguł postępowania i wyciągania wniosków, ale samo wyuczenie nie gwarantuje sukcesów w chiromancji. Chiromancja, czyli sam proces wrózenia, musi być podbudowany chirozofią, a więc nauką obejmującą swym zakresem wiedzę tajemną, doświadczenie życiowe, znajomość psychologii i filozofii⁹.

Nastawienie wydawcy w roku swojego debiutu było oczywiste – wydawanie książek komercyjnych, popularnych, w dużych

⁷ Redaktorem technicznym Biblioteczki Love była Alicja Ratajczak (później Błażyńska), która w tym czasie prowadziła Galerię Krzywe Zwierciadło w Klubie MPiK w Zielonej Górze.

⁸ Pod pseudonimem Irminy von Kaltman pisał znany zielonogórski prozaik.

⁹ I. von Kaltman, *Wrózenie z ręki*, Zielona Góra 1990, s. 3.

nakładach, skierowane do szerokich rzesz odbiorców – gospodyń domowych, ludzi zainteresowanych astrologią i ezoteryką, podróżą i nauką języków obcych, a także z dużym poczuciem humoru. Książki były kolportowane w całym kraju, a sprzedaż ich odbywała się nie tylko poprzez sieć księgarń, ale przede wszystkim w kioskach Ruchu, punktach informacji turystycznej, w pasażach handlowych, w sklepikach dworcowych, kasach biletowych itd., a więc wszędzie, gdzie najłatwiej było pozyskać potencjalnego nabywcę.

Od 1986 roku Błażyński jako miłośnik rysunku satyrycznego, organizator wielu wystaw i konkursów, szybko nawiązał osobiste kontakty ze znanymi grafikami, satyrykami i rysownikami z kraju i ze świata. Dlatego, niejako na pierwszy wydawniczy ogień LOW, „poszedł” Zbigniew Jujka, znany ze stałego cyklu rysunków „Z teki Zbigniewa Jujki” zamieszczanych w magazynowych wydaniach „Gazety Lubuskiej”, mocno związany z regionem lubuskim, ówczesny prezes Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury.

Podobnie było w drugim roku istnienia oficyny i choć ukazały się tylko trzy pozycje – to obie kontynuowały rozpoczętą linię programową. Wydano więc dwa miniaturowe zbiory rysunków satyrycznych o zabarwieniu erotycznym Tomasza Jury *Make love* i Mariana Matochy *Strzałą amora*. Obie 64-stronicowe książeczki kieszonkowego formatu powstały w serii Biblioteczka Love, a ponadto wybór frywolnych, ludowych przyśpiewek i rymowanek z regionu krakowskiego *Ej dziewczyno dajże picki...*, który przygotowali i wybrali do druku Alicja i Ryszard Błażyńscy (pozycja ukazała się pod pseudonimem Marian Rybak). Ilustracje do przyśpiewek wykonał Zygmunt Pytlik, a dodatkową obwolutę przygotowała Agata Buchalik-Drzyzga.

Rok następny nie przyniósł zasadniczych zmian. Ponownie wydano tylko dwie publikacje – 68-stronicowy poradnik kulinarny *Ciastka, ciasta i desery w naszej kuchni* Zofii Błażyńskiej oraz wówczas rzecz zupełnie nietypową – pierwszą na Ziemi Lubuskiej powieść komercyjną. Był nią wydany w nakładzie 10 tysięcy egzemplarzy i w formacie kieszonkowym, liczący 150 stron kryminał *Gość z volkswagen*a Alfreda Siateckiego, do którego kolorową okładkę zaprojektował Piotr Płotkowiak. Wszystkie publikacje

wydawane dotąd przez LOW miały zarabiać na sobie i przynosić zyski ich autorom, wydawcom i pośrednikom, ale powieść Siateckiego była pierwszą książką beletrystyczną, która miała podbić rynek wydawniczy, zwłaszcza regionalny, gdyż tematyka jej była osadzona we współczesnych realiach lubuskich. Akcja rozgrywa się bowiem w Zielonej Górze, Gubinie i wsi Raszyn koła Lubuska. W dodatku, co w tamtych czasach było jeszcze na porządku dziennym, książkę sprzedawano praktycznie bez większych wydatków na promocję, marketing i reklamę.

W roku 1993 oficyna Błażyńskiego powróciła do ambitnych założeń wydawniczych i promowania artystycznie lub naukowo ciekawych zamierzeń publikacyjnych, gdyż na rynek ponownie wypuściła cztery pozycje. Ukazały się wówczas komercyjne książki o objętości od 50 do 90 stron – Zofii Błażyńskiej poradnik kulinarny *Polska Wielkanoc* oraz *Informator zielonogórski* pod redakcją dr. Jerzego Majchrzaka, który stanowił plan miasta z aktualną siecią komunikacyjną oraz zbiór 300 dowcipów o małżeństwie i „nie tylko”, zatytułowany *Loteria*, który opracował znany lubuski satyryk i rysownik Michał Hajnos. Ostatnią pozycją o objętości ponad 190 stron, była jednak znowu rzecz dość rzadko spotykana na rynku – choć niekoniecznie przeznaczona tylko dla koneserów broni i miłośników wojska, ale dla wszystkich interesujących się historią – słownik dawnych formacji, funkcji, instytucji i stopni wojskowych *Od rycerza do wiarusa* Włodzimierza Kwaśniewicza – ówczesnego dyrektora Lubuskiego Muzeum Wojskowego w Drzonowie, honorowego obywatela Zielonej Góry. Książka była interesująca również z uwagi na bogaty zbiór ilustracji zielonogórskiej malarki Agaty Buchalik-Drzyzgi.

We wstępie do książki autor opracowania napisał:

„Słownik dawnych stopni, funkcji, formacji i instytucji wojskowych” jest ilustrowanym popularno-naukowym kompendium pojęć i terminów z zakresu danej wojskowości, odnoszących się do poszczególnych elementów zawartych w tytule pracy. Jest on próbą uporządkowania, ujednolicenia i zbiorczego przedstawienia tych pojęć i terminów (...), które odnoszą się do interesującej

nas problematyki od czasów starożytności do XIX wieku włącznie. Stąd też prezentowane hasła (363 hasła oraz 80 odnośników) dotyczą przede wszystkim armii europejskich w określonym przedziale chronologicznym – ze szczególnym uwzględnieniem polskiej historii wojska i wojskowości (ale też i w pewnym zakresie Bliskiego i dalekiego wschodu oraz Ameryki). Hasła te zilustrowane są 51 rysunkami opisanymi na odwrocie strony¹⁰.

Kolejny sezon wydawniczy LOW był zbliżony do poprzedniego, wydano bowiem sześć pozycji książkowych, w tym cztery typowo popularne, poradnik paranaukowy z zakresu chiromancji, kartomancji i astrologii Irminy von Kaltman *Wróżby, wróżby...*, do którego projekt okładki i ilustracje wykonała Alicja Lewicka-Dzięcielska oraz trzy z serii tzw. kulinarnych: Zofii Błażyńskiej *Przetwory z owoców, warzyw i grzybów*, Alicji Karpowicz *Wyczaruj coś z ziemniaka* oraz Lilianny Hajnos *Coś z ryb*. Dwie kolejne pozycje to były już pewnego rodzaju rarytasy – praca naukowa znanego lubuskiego historyka Instytutu Pamięci Narodowej, dr. Bogdana Biegalskiego (zmarł w 2010 roku) zatytułowana *Wykaz organizacji konspiracyjnych działających na terenie Środkowego Nadodrza w latach 1945-1956* oraz pierwsza książka niskonakładowa – tomik wierszy Ewy Żochowskiej *Sen na reladormie*, laureatki Ogólnopolskiego Turnieju Poetyckiego „O Pierścień Kingi” w Nowej Soli i zwyciężczyni Turnieju Jednego Wiersza w „Panopticum” w Nowej Soli w 1991 roku oraz triumfatorce w konkursie „Poezja ludzi niepełnosprawnych” w Gościmiu w 1994 roku. Poetka pochodząca z Krosna Odrzańskiego, chora na wodogłowie i schizofrenię, w połowie lat 90. ubiegłego wieku wywoływała zainteresowanie mediów i podziw krytyków, jednak – jak się wkrótce okazało – po wydaniu książki szybko zamilkła na niwie literackiej.

Wyboru wierszy do tomiku Żochowskiej dokonali wspólnie Michał Kaziów i Czesław Sobkowiak. We wstępie do niego zatytułowanym „Będzie istniała poezja” Sobkowiak zauważył:

¹⁰ W. Kwaśniewicz, *Od autora, [w:] Od rycerza do wiarusa, czyli... słownik dawnych formacji, funkcji, instytucji i stopni wojskowych*, Zielona Góra 1993, s. 5.

Poezja od najdawniejszych czasów była powierniczką udręk, samotności i wszystkich nieszczęść człowieka. (...) Wiersze Ewy Żochowskiej (...) także sytuują się po stronie owego „przekłętego” losu. Ładunek bólu fizycznego i duchowego, jaki został w nich zawarty, nie ma sobie równego – by się do środowiska lokalnego ograniczyć – wśród lubuskich poetów. (...) Poetka zмага się z jednym ciągle zdaniem. Chodzi jej o uchwycenie wszystkich treści własnego cierpienia. Jest ono tutaj jedyną realnością, którą trzeba opisać, a więc poznać, zdobyć dystans, aby w ten sposób oddalić od siebie najcięższe zagrożenia. Determinacja w ich ukazywaniu jest ogromna¹¹.

W roku 1995 ukazało się pięć publikacji książkowych sygnowanych przez LOW. Były to opowiadania *Z Orchideą* Michała Kaziowa i zbiór poetycki *Przestrzeń tęczy* Doroty Muszyńskiej-Kozy oraz publikacja okolicznościowa wydana z okazji 70. urodzin niewidomego i pozbawionego rąk znanego lubuskiego pisarza dr. Michała Kaziowa¹². Broszura pod redakcją Emilii Ćwilińskiej, licząca 50 stron, ukazała się w nakładzie 200 egzemplarzy w serii Portrety Twórców Kultury Zielonogórskiej¹³. Ponadto wyszedł opracowany przez Eugeniusza Kurzawę *Słownik polskich pisarzy współczesnych Wileńszczyzny*, dokumentujący twórczość autorów narodowości polskiej, mieszkających i tworzących na Litwie. Recenzentem słownika była Andrzej K. Waśkiewicz, a projektantem okładki Andrzej Zbrożek. Nakład pozycji wyniósł 500 egzemplarzy.

¹¹ C. Sobkowiak, *Będzie istniała poezja*, [w:] Ewa Żochowska, *Sen na reladormie*, Zielona Góra 1994, s. 5-6.

¹² Pozycja nosiła tytuł: *Michał Kaziów. W 70. rocznicę urodzin. Adnotacje do portretów twórców kultury zielonogórskiej pod redakcją Emilii Ćwilińskiej*, Zielona Góra 1995.

¹³ W serii Portretów przygotowanej pod red. Emilii Ćwilińskiej i Anity Maksymowicz ukazały się wydawnictwa jubileuszowe poświęcone dr. Wiesławowi Sauterowi (1995), Henrykowi Szyłkinowi (1998), dr. Janowi Muszyńskiemu (2000), Januszowi Koniuszowi (2003), Alfredowi Siateckiemu (2014), Zbigniewowi Czarnuchowi (2014) i dr. Andrzejowi Toczewskiemu (2015). Okolicznościowe broszury wydawały: Muzeum Ziemi Lubuskiej, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida, Stowarzyszenie Autorów Polskich i Lubuskie Towarzystwo Naukowe w Zielonej Górze.

Ostatnią wydaną wówczas publikację stanowiła książeczka z serii poradników kulinarnych Haliny Nowak *Surówki, salatk*i.

Twórczość poetycką D. Muszyńskiej-Kozy znany zielonogórski krytyk Zenon Łukaszewicz rok wcześniej scharakteryzował:

Dorota Muszyńska-Koza wzrusza nas prostotą wyznań, autentyzmem przejmujących refleksji, z jej tekstów emanuje łagodne liryczne ciepło. „Kochać to wierzyć” – konstatuje prosto i wprost. Wszystkie utwory są zresztą ujmujące w swej prostocie, niekiedy bywa, iż ocierają się o krawędź banału. Ale sądzę, że nigdy nie przekraczają tej niebezpiecznej granicy. Dodajmy, iż często ich zwięzłość ma charakter aforystyczny, czym znakomicie bronią swych artystycznych walorów¹⁴.

Natomiast o najnowszym zbiorze wierszy poetki w 1995 roku redaktor „Informatora Kulturalnego” napisał:

W rekomendowanej „Przestrzeni tęczy” Dorota Muszyńska-Koza prezentuje kilkadziesiąt swoich wierszy. Dominują wśród nich utwory krótkie, tak jakby o sprawach, o których się mówi. Trzeba powiedzieć zwięźle – od razu uderzając w sedno. (...) Tak jak cechą charakterystyczną tęczy jest wielość barw tego samego światła, tak i w tomiku wielość spraw i problemów, od tych prostych i oczywistych – aż po te filozoficzno-etyczne, to przecież jedno i to samo życie. Kurz i blask, Twarze, Przetrawanie, Nieśmiertelność, Piekło, Ziemia Niebo. Wszystko to przenika się i przecina. Tak jak w życiu człowieka, który ma oczy, by patrzeć i uszy, by słyszeć¹⁵.

Zbiór dziesięciu opowiadań M. Kaziowa *Z Orchideą*, do którego okładkę projektowała Renata Klimenko, a fotosy wykonał Czesław Łuniewicz, autor poświęcił swojej małżonce Stefanii, opatrując dedykację cytatem: „W mroku najjaśniej płonie serce”. Promocję

¹⁴ Z. Łukaszewicz, *Notes literacki*, „Regionalny Informator Województwa Zielonogórskiego” 1994, nr 4 (27), s. II.

¹⁵ *Nowości wydawnicze*, „Informator Kulturalny Województwa Zielonogórskiego” 1995, nr 12 (47), s. 23-24.

książki, w której znalazło się jedno opowiadanie pt. *Jeszcze cię nie ukarał?* dedykowane długoletniej opiekunce pisarza Halinie Lubicz, zmarłej w 1991 roku, relacjonowano następująco:

22 czerwca kolejny Czwartek Lubuski zgromadził w bibliotecnej sali „Pro Libris” niemalą gromadę czytelników i przyjaciół Michała Kaziowa. Okazją po temu stała się promocja kolejnej jego książki – zbioru opowiadań „Z Orchideą”. Przybyłych powitała, pełniąca honory domu dyrektor WiMBP Maria Wasik. Fundatorem tradycyjnej lampki wina był prezes Lubuskiej Oficyny Wydawniczej LOW Ryszard Błażyński. Oficyna świętowała pięciolecie swego istnienia i niedawne wydanie 50. z kolei książki. „Z Orchideą” to pierwsza w dziejach Oficyny pozycja wydawnicza dotowana przez Urząd Miasta i Urząd Wojewódzki. Zawarte w zbiorze opowiadania omówił Czesław Sobkowiak, zwracając uwagę na łączący je motyw cierpienia i kolokwialny język bohaterów. Taśma z autorskim nagraniem tytułowego monologu, dedykowanego małżonce, przybliżyła zebrany proces powstawania pisarstwa Michała Kaziowa, jego – jak sam określił – zmagania się ze słowem. Opowiadania „Jeszcze cię nie ukarał?” i „Twarzą do ściany” zaprezentował Roman Garbowski. O nastrojową oprawę muzyczną całości zadbał Grzegorz Więckowski. Dyskusja toczyła się w cieniu znakomitych tortów przyrządzonych własnoręcznie przez Małżonkę Autora¹⁶.

Z kolei broszura wydana z okazji urodzin doktora M. Kaziowa, do której projekt okładki wykonał Witold Michorzewski, a zdjęcia zamieścił raz jeszcze Czesław Łuniewicz, składała się z bardzo osobistej rozmowy E. Ćwilińskiej z autorem o motywacjach twórczych i warsztacie pisarskim oraz opracowań biograficzno-wspomnieniowych Czesława Sobkowiaka i Alfreda Siateckiego, a także bibliografii pisarza przygotowanej przez Marię Adamek.

W części otwierającej okolicznościową broszurę pt. *Światło jest w ludziach* C. Sobkowiak konstatował:

¹⁶ *Książki*, „Informator Kulturalny Województwa Zielonogórskiego” 1995, nr 7 (42), s. 42.

Napisałem już gdzieś, że Michał Kaziów by żyć musiał jakby drugi raz się narodzić. W jego życiu niewystarczający okazał się fakt, że przyszedł na świat 13.IX.1925 roku w Koropcu. Oto bowiem jako dwudziestoletni mężczyzna, po ustaniu zamętu drugiej wojny światowej, z nadziejami rodzącymi się w sercu na dalsze życie, w jednej chwili, 5 października 1945 roku we Wrocławiu w wyniku wybuchu miny, przekreśla się jego dotychczasowe życie. I staje zarazem na progu nieznanego, nowego życia, którego zasady funkcjonowania będzie musiał długo na własnym ciele sprawdzać, pozbawiony obu rąk i wzroku¹⁷.

Wspomniany słownik pisarzy wileńskich zredagowany przez E. Kurzawę, prezesa zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich i ówczesnego dziennikarza „Gazety Nowej”, redagującego w niej kolumnę kresową, był pierwszym tego typu opracowaniem w kraju. Biografie pisarzy polskich tworzących na emigracji, zebrane przez autora, nie ograniczały się wyłącznie do twórców z terenu Litwy, ale też przedstawiały biogramy pisarzy zamieszkałych na Białorusi i Ukrainie. Pisarze z kresów wschodnich skupieni byli w sekcji polskiej Związku Pisarzy Litewskich lub w Kole Literackim przy redakcji „Czerwonego Sztandaru” (potem „Kuriera Wileńskiego”) oraz w Towarzystwie Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej utworzonego w Zielonej Górze z inicjatywy Henryka Szylkina. We wstępie do słownika Kurzawa napisał:

Słownik obejmuje autorów mających znaczący – w kontekście współczesnej Wileńszczyzny – dorobek literacki. (...) ujęto też innych twórców ważnych dla kształtowania się powojennego środowiska literackiego Wileńszczyzny. (...) Wśród prezentowanych autorów znalazły się też postacie nie pochodzące stamtąd lub też nie mieszkające w Wilnie czy na Litwie, ale jednak przez jakiś okres z tym regionem związane: studiami, pracą, zamieszkaniami bądź przynależnością do kręgu literackiego (...) Czas, jaki uwzględniono przy konstruowaniu Słownika to okres

¹⁷ C. Sobkowiak, *Światło jest w ludziach*, [w:] *Michał Kaziów. W 70. rocznicę urodzin. Adnotacje do portretów twórców kultury zielonogórskiej pod redakcją Emilii Ćwilińskiej*, Zielona Góra 1995, s. 3-4.

powojenny, choć najwięcej dokonań datuje się dopiero po roku 1990. (...) należało opracować chociażby w tej niedoskonałej formie ów „przewodnik po autorach”, jako że dla wielu odbiorców to, co dzieje się na literackiej Wileńszczyźnie nadal jest białą plamą¹⁸.

Warto również poświęcić kilka słów pracy naukowej B. Biegalskiego, interesującej z uwagi na niewygodny i przemilczany przez okres PRL temat działalności wojskowo-operacyjnej formacji podziemnych, działających na Ziemi Lubuskiej po zakończeniu II wojny. Praca licząca 98 stron, sygnowana była przez Główną Komisję Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu i Okręgową Komisję IPN w Zielonej Górze, z ramienia których naukowiec prowadził ewidencję ugrupowań niepodległościowych. Autor opracowania monograficznego dokumentującego zbrojny ruch oporu „żołnierzy niezłomnych”, napisał we Wprowadzeniu:

Prezentowane materiały stanowią próbę przedstawienia zarysu historii powojennej konspiracji działającej w latach 1945-1956 na terenie Środkowego Nadodrza. Praca jest efektem badań przeprowadzonych (...) w archiwach znajdujących się w Okręgowych Komisjach Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu w Poznaniu, Wrocławiu i w Zielonej Górze.

Dzieje powojennej konspiracji nie doczekały się do tej pory całościowego opracowania. (...) Prezentowana praca (...) może stanowić przyczynek do dalszych badań dokumentacyjnych, a także być pomocnym materiałem dla prawników (...).

W pracy autor podaje informacje tylko o tych organizacjach, które zostały zdekonspirowane. (...) Autor zamieścił także informacje o wyrokach śmierci. Większość została wykonana (...). Także szerszego opracowania wymagają procesy, toczące się w Zielonej Górze przeciwko członkom organizacji wywiadowczych. Kary jakie zapadały w tych sprawach były bardzo wysokie, do kary śmierci włącznie (...)¹⁹.

¹⁸ E. Kurzawa, *Wstęp. Metoda*, [w:] *Słownik polskich pisarzy współczesnych Wileńszczyzny*, Zielona Góra 1995, s. 9-10.

¹⁹ B. Biegalski, *Wprowadzenie*, [w:] *Wykaz organizacji konspiracyjnych działających na terenie Środkowego Nadodrza w latach 1945-1956*, Zielona Góra 1994, s. 7-9.

Rok 1995 okazał się przedostatnim w działalności oficyny. Większość wydanych tego roku książek było publikacjami niskonakładowymi, stąd nie mogły przynieść zysków. Po chaosie początku lat 90. polski rynek wydawniczy i księgarski zaczął się powoli normalizować. Do branży księgarń książkowych, prasowych, muzycznych, filmowych i gier komputerowych zaczął napływać obcy kapitał, który skomercjalizował rynek, stworzył sieć salonów multimedialnych i przejął większość udziałów w tym segmencie handlowym, np. Empik, Ruch, Matras, Sonia Draga, Dom Książki, Książnica Polska, Inmedio sieci HDS, Nova Duo, Salonki Prasowe Top-Press i Kolporter, a następnie księgarnie internetowe np. merlin.pl, empik.com, wysylkowa.pl, inbook.pl czy gandalf.pl. Stąd w czerwcu 1996 roku rozpoczęto likwidację Spółki LOW.

Niemniej Lubuska Oficyna Wydawnicza była jedną z pierwszych prywatnych oficyn na Ziemi Lubuskiej, obok takich wydawnictw zielonogórskich, jak: Alpha, Dom Wysyłkowy Maja Mieczysława Więckowicza, Wydawnictwo Verbum Mieczysława Ostrowskiego, Dom Wydawniczy Gest Sławomira Gowina, Oficyna Wydawnicza Ziemia, Wydawnictwo PW Organon Zygmunta Rybczyńskiego i Oficyna AND Andrzeja Bucka, gorzowskich – Wydawnictwo Rolland, Gorzowska Oficyna Wydawnicza, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne Arsenał, Agencja Reklamowo-Wydawnicza Dejamir czy innych w regionie, np. Agencja Literacka Graal w Głogowie, Oficyna Wydawnicza Bliżej w Choszcznie, Wydawnictwo Akapit w Świebodzinie i Wydawnictwo WPW Woldruk w Wolsztynie. I co warto również zaznaczyć, LOW jako pierwsza na Środkowym Nadodrzu zaczęła wydawać obok publikacji komercyjnych, książki literackie, beletrystyczne i niskonakładowe pisarzy lubuskich, wzbogacając tym samym ofertę kulturalną i czytelniczną w regionie. Działania popularyzatorskie LOW w dziedzinie rozwoju literatury lubuskiej i artystyczno-wydawniczej na polu księgarskim, szybko znalazły licznych naśladowców i kontynuatorów w szeregu pojawiających się, dodajmy często efemerycznych, wydawców i zakładów poligraficznych, jakie tworzone od podstaw lub prywatyzowano na bazie państwowych drukarni w połowie lat 90.

W ciągu prawie siedmiu lat swojej działalności, wydając ponad 50 publikacji, m.in. kalendarze ścienne i kieszonkowe, malowanki dydaktyczne dla dzieci, mapy, poradniki i mini-rozmówki polsko-niemieckie, w tym 24 pozycje książkowe²⁰, LOW wypuściła na rynek ponad milion egzemplarzy różnorodnych wydawnictw. Największe nakłady osiągały opracowania popularne – książki kucharskie, poradniki kulinarne, książki o tematyce humorystycznej, pozycje z dziedziny parapsychologii, rozmówki językowe i informatory turystyczne, które rozchodziły się w nakładzie kilkudziesięciu tysięcy sztuk, a często zachodziła potrzeba ich dodrukowania. Większość zatem publikacji LOW dotyczyła regionu lubuskiego i została napisana przez miejscowych autorów.

Po zamknięciu działalności prywatnej Błażyński wraz z małżonką jakiś czas prowadził agencję reklamową. W 2008 roku powołał do życia Stowarzyszenie Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut”, na którego czele stanął jako prezes. W działalność społeczną w „Debiucie” zaangażowało się wielu znanych i cenionych zielonogórczan, m.in. artystka-plastyk Agata Buchalik-Drzyzga, wykładowca akademicki i autorka podręczników historii dr hab. Bogumiła Burda, malarz i poeta Kazimierz Wysocki, fotografik Tadeusz Kalinowski, rysownik i dziennikarz radiowy Krzysztof Rutkowski, rysownik i autor komiksów Igor Myszkiewicz, znakomita animatorka kultury, pomysłodawczyni wielu ciekawych inicjatyw kulturalnych Alicja Błażyńska czy właściciel zakładu poligraficznego Grafmar (potem Aprint) Mirosław Szafranek. Stowarzyszenie skutecznie kontynuowało (reaktywowany przez R. Błażyńskiego w Kożuchowie) wówczas Otwarty Międzynarodowy Konkurs na Rysunek Satyryczny, którego edycje trwają do dziś, a w 2017 roku odbyła się jego XIX odsłona pod hasłem „Pieniądze”. W 18 edycjach Konkursu uczestniczyło do tej pory kilka tysięcy rysowników z ponad 70 krajów całego świata.

²⁰ Redaktorem większości książek wydanych przez LOW była Alicja Karpowicz, pełniąca wcześniej funkcję sekretarza Lubuskiego Towarzystwa Kultury, rozwiązanego w 1990 roku.

W 2003 roku Ryszard Błażyński został dyrektorem Kożuchowskiego Ośrodka Kultury i Sportu „Zamek”. Tam, w scenerii komnat kasztelańskich i dziedzińca zamkowego odbywały się m.in. finały konkursów na rysunek satyryczny (odbyły się wówczas cztery edycje Otwartego Międzynarodowego Konkursu na Rysunek Satyryczny), spotkania z pisarzami, koncerty, biesiady, festiwale i prezentacje muzyki i tańca, konferencje i sympozja oraz popularne w Kożuchowie turnieje rycerskie, mające miejsce rokrocznie z okazji Dni Miasta. Błażyński uruchomił też serię wydawniczą tomików poetyckich dla młodych debiutantów. W tej serii „debiutów na zamku” ukazało się dziewięć niewielkich zbiorów. Łącznie w latach 2003-2007 KOKiS wydał dziesięć książek i osiem katalogów wystaw autorskich i pokonkursowych.

Po zaprzestaniu prowadzenia ośrodka kultury w Kożuchowie R. Błażyński został dyrektorem Oficyny Wydawniczej Uniwersytetu Zielonogórskiego, które to stanowisko zajmował już do przejścia na emeryturę w 2015 roku. W trakcie pracy w wydawnictwie uczelnianym zasiadał jako sekretarz w Radzie Wydawniczej Uniwersytetu. Za jego kadencji ukazało się kilkaset książek i rozpraw naukowych, podręczników akademickich, czasopism specjalistycznych i uniwersyteckich. Książki, które promował osobiście doczekały się szeregu nagród edytorskich, a autorzy niektórych z nich uhonorowani zostali w 2014 roku Wawrzynami – w dziedzinie literatury Czesław Sobkowiak za tom wierszy *Światło przed nocą*, który ilustrowany był akwarelami znanego malarza Adama Bagińskiego, a w dziedzinie naukowej – Małgorzata Konopnicka za publikację *Oficer-urzędnik-dworzanin. Kariery szlachty śląskiej w państwie pruskim (1740-1806)*. Dyrektor Błażyński był też współorganizatorem wydania przez Oficynę Wydawniczą UZ, dwutomowej *Historii Zielonej Góry*, która ukazała się pod redakcją prof. dr. hab. Wojciecha Strzyżewskiego w latach 2011-2012.

W 2011 roku Błażyński przestał być prezesem SMDK „Debiut”, pozostając jego członkiem honorowym, często zasiadając jako znawca i teoretyk rysunku w jury Konkursu na Rysunek Satyryczny. W 2014 roku Błażyński postanowił powołać do życia kolejne stowarzyszenie kulturalne pod nazwą – Towarzystwo

Miłośników Zielonej Góry „Winnica”, które również przyciągnęło znanych w mieście i regionie ludzi kultury i nauki. W gronie członków „Winnicy” są naukowcy, historycy, politolodzy, muzealnicy, kolekcjonerzy i artyści, m.in. prof. dr hab. Czesław Osękowski, dr hab. Ryszard Zaradny prof. UZ, dr hab. Radosław Domke, dr Alina Polak, dr Grzegorz Biszczyński, dr Sylwester Woźniak, dr Izabela Korniluk, Adam Bagiński, Czesław Sobkowiak, Barbara Konarska, Alicja Błażyńska i wielu innych. Celem działalności Towarzystwa jest wspieranie działalności kulturalnej, artystycznej i naukowej, przyczyniającej się do rozwoju Zielonej Góry, do upamiętniania jej przeszłości i tradycji.

Dzięki ogromnemu zaangażowaniu kulturalnemu Ryszarda Błażyńskiego, związanego głównie z popularyzacją miasta i regionu poprzez rysunek i książkę, Zielona Góra funkcjonuje jako ważny ośrodek kulturotwórczy, rozpoznawalny i ceniony zwłaszcza przez rzeszę rysowników i satyryków w Polsce, Europie i pozostałych kontynentach. Przez kilka ostatnich lat R. Błażyński kierował Radą Organizacji Pozarządowych przy Prezydencie Zielonej Góry, a za swoją działalność i pracę społeczną był wielokrotnie wyróżniany i nagradzany, m.in. odznaką honorową Zasłużony Dla Kultury Polskiej oraz Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Andrzej Toczewski

EKSTERMINACJA LUDNOŚCI ŻYDOWSKIEJ NA TERENIE ŚRODKOWEGO NADODRZA

Tereny Środkowego Nadodrza wchodzące w skład III Rzeszy do 1945 roku były miejscem prześladowań i eksterminacji Żydów. Terror rozpoczął się już w dwa miesiące po objęciu 30 stycznia 1933 roku władzy przez Hitlera. Sankcjonowały go dwie ustawy uchwalone 15 września 1935 roku na zjeździe Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotniczej – NSDAP (Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei) w Norymberdze. Od 1933 do 1938 roku przeprowadzono w Niemczech sukcesywną eliminację ludności żydowskiej z poszczególnych dziedzin życia. Akcję zapoczątkował bojkot sklepów żydowskich i napady grup SS-manów. Kolejnym etapem eksterminacyjnej polityki wobec ludności żydowskiej była grabież mienia i zmuszanie Żydów do opuszczenia terytorium hitlerowskich Niemiec. W wyniku przymusowej emigracji wiele żydowskich rodzin wyjechało w tym okresie z Żagania, Sulechowa, Krosna, Gorzowa, Świebodzina, Zielonej Góry i innych miejscowości dzisiejszego województwa lubuskiego.

W końcu października 1938 roku ofiarą represji władz nazi-stowskich padli Żydzi z polskim obywatelstwem. Polenaktion, akcję aresztowań i wysiedlenia 17 tys. osób, przeprowadzoną w nocy z 27 na 28 października 1938 roku, zarządził Reinhard Heydrich w imieniu Reichsführera SS i szefa niemieckiej policji

bez poinformowania polskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Policja niemiecka nagle cofnęła zgodę na pobyt w Niemczech i przetransportowała na granicę niemiecko-polską kilka tysięcy obywateli żydowskich, wśród nich osoby, które jeszcze przed I wojną światową emigrowały na teren cesarstwa niemieckiego. Ponieważ władze polskie odmówiły przyjęcia transportów, nastąpiło przepędzenie przez Niemców tysięcy przerażonych Żydów m.in. ze Zbąszynka do Zbąszynia na terytorium Polski¹.

Polski rząd od dłuższego czasu dążył do tego, by Żydom mieszkającym za granicą unieważnić obywatelstwo. Na początku 1938 roku polski parlament uchwalił odpowiedni przepis, na podstawie którego 26 października SS poleciła policji, by wszystkie osoby, których ten przepis dotyczy „przed upłynięciem terminu, 29 października wysiedlić”.

Żydzi zmuszani byli do opuszczenia Niemiec już od dłuższego czasu. Emigrowali lub byli wydalani do wszystkich krajów, gdzie mogli uzyskać prawo stałego pobytu. W latach 1935-1939 liczba Żydów zamieszkałych w Niemczech zmniejszyła się z 502 799 do 213 930. Jednak Polenaktion była jedyna w swoim rodzaju. Wysiedlanie skoncentrowano w rejonie przejścia granicznego Zbąszyń-Zbąszynek. Akcja rozpoczęła się 28 października około godziny 20. Komisariat Graniczny Policji Państwowej w Zbąszyniu w meldunku do starosty w Nowym Tomyślu informował, że o 20.30 władze niemieckie przerzuciły przez granicę szosą Zbąszyń-Rogatka 654 osoby, o godz. 21.00 grupa 300 osób przekroczyła granicę obok toru kolejowego. Dalsze zbiorowe przekroczenia granicy następowały w odstępach 30,60-minutowych szosą Chlastawa-Nądnia i wzdłuż toru kolejowego. Wydaleni przybywali do Zbąszynia pociągami. O godz. 22.13 – 900 osób, w dniu następnym o godz. 2.56 – 1056 osób, o godz. 9.00 – 800 osób, o godz. 10.53 – 500 osób, o godz. 13.03 – 500 i o godz. 17.39 – 550 osób. Kolejnego dnia do godz. 17.39 kontynuowano

¹ P. Mnichowski, A. Toczewski, *Holocaust nad Odrą*, „Nadodrze” 1988, nr 8, s. 1, 6.

wydalenia. W ciągu dwóch dni wysiedlono do Zbąszynia ponad 6 tys. osób².

Liczba mieszkańców Zbąszynia zwiększyła się do 15 tys. Przez stację przewinęła się jedna trzecia z 17 tys. wypędzonych z Niemiec. Starosta powiatu wezwał mieszkańców do pomocy uchodźcom. Niemal natychmiast zorganizowano dwa ambulatoria, szpital, polowe kuchnie i stołówki. Ciężej chorych przewieziono do okolicznych szpitali. Żydów kwaterowano gdzie się tylko dało. Częścią z nich zaopiekowała się gmina żydowska. Kilkadziesiąt osób zamieszkało w młynie braci Grzybowskich, zbąszyńskich Żydów, a kilkuset znalazło schronienie w koszarach Pułku Strzelców Wielkopolskich. Wkrótce powstał obóz przejściowy dla uchodźców. Krewni i znajomi z całej Polski przyjeżdżali odbierać swoich bliskich. W Warszawie utworzono komitet pomocy uchodźcom, którego ekspozytura działała też w Zbąszyniu. Zbierał on fundusze na pomoc Żydom. Przedstawicielstwa wybranych komitetów powstawały na miejscu i zajmowały się m.in. płaceniem Polakom za wynajem swoich mieszkań Żydom. Jednym z takich komitetów kierował Emanuel Ringelblum, w czasie wojny twórca Podziemnego Archiwum Getta Warszawskiego. Przez pewien czas mieszkał w Zbąszyniu, gdzie niósł pomoc i dokumentował to, co spotkało jego rodaków³.

Część Żydów opuściła Zbąszyń w pierwszych dniach po deportacji i wyjechała w głąb kraju, ponieważ powrót do Niemiec był niemożliwy. Swoboda opuszczania Zbąszynia trwała krótko. Po dwóch dniach, na rozkaz polskich władz, miasto zostało zablokowane. Obóz w Zbąszyniu funkcjonował kilka miesięcy. Zlikwidowany został pod koniec sierpnia 1939 roku, krótko przed wybuchem wojny. Wtedy też z miasta wyjechali ostatni deportowani z Niemiec Żydzi.

O dramatycznych wydarzeniach w Zbąszyniu mówiono w całym świecie. Pisały o nich wszystkie gazety w Polsce i Europie.

² Z. Bujkiewicz, *Obóz w Zbąszyniu dla Żydów wysiedlonych przymusowo z Niemiec w 1938 roku*, „Przegląd Lubuski” 1985, nr 3-4, s. 37.

³ J. Tomaszewski, *Preludium zagłady. Wygnanie Żydów polskich z Niemiec w 1938 r.*, Warszawa 1998, s. 220-221.

Deportację szeroko komentował „New York Times” i światowa prasa żydowska. Wypadki poruszyły opinię. Stanowiły „preludium zagłady”⁴. Polenaktion była wydarzeniem bez precedensu w najnowszej historii Europy Środkowej, a barbarzyństwo metod zastosowanych przez hitlerowców przewyższało dotychczasowy sposób traktowania Żydów w III Rzeszy, do czego po 1933 roku opinia międzynarodowa powoli się przyzwyczajała. Niemal cała polska prasa antysemitka, zaznaczając swe antyżydowskie stanowisko, potępiała niemiecką politykę.

Apogeum prześladowań nastąpiło podczas Nocy Kryształowej (Kristallnacht, Reichskristallnacht, Reichspogromnacht) z 9 na 10 listopada 1938 roku. W następstwie pogromu zniszczono i podpalono wiele synagog, zbezczeszczono kirkuty, w tym słubicki, jeden z najstarszych cmentarzy żydowskich w Europie. Spłonęły synagogi w Zielonej Górze, Gorzowie, Krośnie Odrzańskim, w Głogowie⁵. Pretekstem zakrojonej na ogromną skalę akcji było zastrzelenie 7 listopada 1938 roku w Paryżu radcy ambasady niemieckiej, von Ratha, przez 17-letniego Herszla Grynszpana, którego rodzinę wysiedlono z Hanoweru do Polski. Grynszpanowie znaleźli się w Zbąszyniu, skąd zawiadomili młodego Herszla o swoim losie. Zamachowiec przesłuchiwany przez francuską policję wyznał, że do czynu popchnęła go wiadomość o brutalnych deportacjach Żydów.

Ulice niemieckich miast zostały zasypane odłamkami szkła i kryształów ze zniszczonych mieszkań i sklepów, stąd nazwa. Druga teoria na temat nazwy mówi o „krystalizacji” czyli oczyszczeniu narodu niemieckiego z innych nacji, przede wszystkim żydowskiej. Choć gwałty na narodzie żydowskim datowane są od średniowiecza, był to pierwszy pogrom zainicjowany przez władze państwowe. Naziści nie tylko przyzwolili na prześladowanie ludności, ale nadali mu zorganizowany charakter. W Noc Kryształową na terenie Niemiec hitlerowscy funkcjonariusze SD, SS i gestapo zniszczyli 815 sklepów, 29 domów towarowych, spalili 267 synagog, 170 domów

⁴ *Ibidem*.

⁵ A. Toczewski, *Zbrodnie Holocaustu na Środkowym Nadodrzu*, [w:] *Eugenika: Obłęd udający naukę*. Zielona Góra–Berlin 2009, s. 83.

mieszkalnych. Zamordowali 36 Żydów, wielu ciężko ranili. Aresztowali 20 tys. obywateli pochodzenia semickiego.

Synagoga w Grünbergu zbudowana została na działce Adolfa Selowsky'ego w 1883 roku. Miała 200 miejsc siedzących. A. Selowsky, rodowity zielonogórzanin, ostatni przewodniczący gminy żydowskiej, handlował zbożem i paszą; firmę odziedziczył po ojcu. Był członkiem Związku Kultu Żydowskiego i jednym ze sponsorów Towarzystwa Absolwentów Gimnazjum Realnego. Po Nocy Kryształowej dwaj synowie Adolfa, Herbert i Werner, znaleźli się w obozie koncentracyjnym. Zwolnieni po roku wyemigrowali wraz z siostrą Ewą do Ameryki. Selowsky'ego zmuszono do sprzedania miastu swego domu przy dzisiejszej ul. Wrocławskiej, zaś firmy – państwowej fabryce Deutsche Wollenwaren Manufaktur. Wraz z żoną Małgorzatą wyjechał do Berlina. Oboje zginęli w Auschwitz⁶. Synagoga spłonęła podczas Nocy Kryształowej. Po zakończeniu II wojny światowej nie została odbudowana. Obecnie na jej miejscu stoi gmach Filharmonii Zielonogórskiej.

O sytuacji Żydów na terenie Środkowego Nadodrza świadczą losy żydowskich mieszkańców Zielonej Góry. Osiedlili się w Grünbergu po 1812 roku. Wcześniej obowiązywał zakaz nabywania ziemi i stałego pobytu w mieście. W 1833 roku mieszkało w Zielonej Górze 176 Żydów; ich głównym zajęciem był handel suknem. W 1905 roku było 165 Żydów, pod koniec lat 30. – tylko trzydziestu. W 1814 zakupiono grunt pod cmentarz wyznaniowy, a w 1880 roku działkę pod budowę synagogi.

Kiedy w Niemczech zaczęła się rozwijać propaganda antyżydowska inspirowana przez nazistów, także nieliczni właściciele zielonogórskich sklepów narażeni byli na szykany. Przejawy niechęci

⁶ Z zielonogórskiej synagogi zachowały się jedynie karafka liturgiczna i nadpalona Tora. Obydwa przedmioty eksponowane są w Muzeum Ziemi Lubuskiej. 9 listopada 2008 roku, w miejscu, gdzie stała synagoga, został odsłonięty obelisk upamiętniający jej zniszczenie podczas Kryształowej Nocy. Został ufundowany przez Lubuską Fundację Judaica. W uroczystości wzięli udział przedstawiciele gmin żydowskich w Polsce, Niemczech, Izraelu oraz rabin Walter Rothschild z Berlina. Na obelisku widnieje napis: „W tym miejscu stała synagoga zniszczona przez nazistów 9/10 XI 1938”.

wobec Żydów widoczne był na łamach dziennika „Grünberger Tageblatt”, który powielał liczne hasła propagandy faszystowskiej. W 1935 roku drukarnia i wydawnictwo prasowe Wilhelma Levysohna przeszły na własność Grünberger Verlagdruckerei AG. Po trzech latach drukarnię przejął Paul Kepler, a wydawnictwo prasowe – Gauverlag NS Schlesien GmbH Zweigverlag Grünberg. Dawna gazeta Levysohna ukazywała się od 1935 roku jako oficjalny organ NSDAP.

Wkrótce nastąpiły nowe prześladowania. Władze Rzeszy wydawały kolejne akty prawne godzące w ludność pochodzenia żydowskiego, ograniczające niemal całkowicie możliwość prowadzenia działalności gospodarczej. Na mocy rozporządzenia z 17 sierpnia 1938 roku (Anordnung von Familiennamen und Vornamen) wszyscy obywatele niemieccy wyznania mojżeszowego z urzędu otrzymali 1 stycznia 1939 roku drugie imię: kobiety – Sara, mężczyźni – Izrael. Akcja przypisywania imion była prowadzona w zielonogórskim urzędzie stanu cywilnego w końcu 1938 roku. Na mocy prawa o poszanowaniu rasy Żydzi otrzymali numery identyfikacyjne, np. Adolf Selowsky – numer A 00001 Grünberg/NSCH.

Rozporządzenie o majątku żydowskim wydane zostało 12 grudnia 1938 roku, przepisy następnego rozporządzenia w tej sprawie – 18 stycznia 1940 roku. Tym samym władze nazistowskie zapewniły sobie pełną kontrolę nad obrotem nieruchomościami, które były własnością obywateli żydowskich. Miało to istotne znaczenie w początkowej fazie wojny, kiedy wobec Żydów stosowano represje w postaci wypędzania z własnych mieszkań, przesiedlania do określonych domów i dzielnic. Było to zjawisko nagminne jeszcze przed utworzeniem gett w okupowanych krajach wschodnich. Brak jakichkolwiek dokumentów mówiących o tym, dokąd musieli udać się Niemcy wyznania mojżeszowego z Zielonej Góry po sprzedaży własnych domów. Wiadomo jedynie, że w warunkach wymuszenia i zastraszania swoje domy sprzedali ostatni właściciele żydowscy, w 1940 roku Sally Laufer, Friedrich Meyer, Ewald Tuch, w 1941 roku Adolf Selowsky, w 1942 – Rosa Michalsky. Własność dr. Alberta Laskaua została ostatecznie przejęta przez skarb Rzeszy w 1943 roku.

Przystąpiono również do likwidacji mienia wspólnego gminy. 22 czerwca 1939 roku rozpoczęto całkowitą likwidację synagogi. Mury spalonej świątyni rozebrano, a grunt odkupiono przez gminę miejską w 1941 roku za 2 tys. marek. Zmienił się właściciel cmentarza żydowskiego przy ul. Wrocławskiej, w 1942 roku został przejęty przez Reichsvereinigung der Juden in Deutschland we Wrocławiu. Reprezentantem społeczności żydowskiej w Zielonej Górze został Adolf Selowsky, wyznaczony odgórnie przez przedstawicieli Zjednoczenia Żydów w Niemczech, dr. Otto Izraela Hirscha i dr. Arthura Izraela Lilienthala. W ten sposób nastąpiła całkowita likwidacja żydowskiej gminy wyznaniowej w Zielonej Górze. Większość Żydów wywieziono do Auschwitz⁷. W czasie II wojny światowej Niemcy rozbudowali na terenie Środkowego Nadodrza system obozów różnego typu, w tym przeznaczonych specjalnie dla Żydów⁸.

⁷ Z. Bujkiewicz, *Gmina żydowska w Zielonej Górze*, „Studia Zielonogórskie” 1996, t. 2, s. 39-59.

⁸ W sprawie zbrodni na obywatelach żydowskich OBZpNP w Zielonej Górze prowadziła szereg dochodzeń, m.in.: Ds. 3/67 w sprawie zamordowania w styczniu 1945 roku w Jaromierzu k. Sulechowa 38 kobiet; Ds. 5/67 w sprawie zamordowania w styczniu 1945 roku w Spokojnej 19 kobiet narodowości żydowskiej; Ds. 3/68 (Sn 17/34/69) w sprawie przeciwko Kefersteinowi podejrzanemu o współudział w wymordowaniu w sierpniu 1943 roku w Świebodzinie 18 robotników żydowskich; Ds. 11/68 (Sn 17/69) w sprawie eksterminacji w latach 1941-1943 w Zbąszynku ludności żydowskiej zatrudnionej w obozie pracy przymusowej; Ds. 18/68 (Sn 17/76/68) w sprawie eksterminacji ludności żydowskiej w obozie pracy przymusowej w Zbąszynku; Ds. 34/68 (Sn 17/18/71) w sprawie eksterminacji kobiet żydowskich w Przybyzszowie w latach 1944-1945; Ds. 7/70 (Sn 17/4/71) w sprawie eksterminacji ludności żydowskiej w obozie pracy w Lubrzy, powiat Świebodzin w latach 1941-1943; Ds. 16/69 (Sn 17/15/71) w sprawie eksterminacji ludności żydowskiej i obywateli innych narodowości w latach 1940-1945 w Kostrzynie n. Odrą, Ds. 18/69 w sprawie eksterminacji ludności żydowskiej w Ciosańcu oraz w Starym Strącu powiat Wschowa w latach 1939-1945; Ds. 3/76 (Sn 17/4/76) w sprawie eksterminacji robotników żydowskich w obozie pracy przymusowej w Kreuzsee k. Rzepina w latach 1939-1942 – obecnie akta te znajdują się w zbiorach Instytutu Pamięci Narodowej w Poznaniu.

Przymus pracy stanowił jedno z ważniejszych ogniw polityki III Rzeszy wobec ludności żydowskiej. Na charakter pracy zasadniczy wpływ miały założenia ideologiczne narodowego socjalizmu. Według haseł głoszonych przez czołowych ideologów, np. Alfreda Rosenberga, jednym z czynników rozstrzygających o miejscu narodu w „nowym porządku” (Neue Ordnung), który miał zapanować w Europie, był stosunek poszczególnych nacji do pracy. Twierdzili oni, że tylko rasa niemiecka ma umiejętności pracy twórczej, obcej Żydom; tylko Niemcy mogą sprawować kierownicze zadania w przyszłej, podporządkowanej im, Europie.

Stosunek Niemców do zatrudniania Żydów wynikał ze sformułowań Adolfa Hitlera zawartych w książce „Mein Kampf”, iż ludności żydowskiej brak pozytywnego stosunku do pracy. Według obowiązującego światopoglądu pojęcie „praca” nieznanne było Żydom, „pasożytom na ciele innych narodów”. Wielu obywateli Rzeszy nabrało przekonania, że ludność żydowska nie lubi pracować, zatem zmuszanie jej do pracy jest dozwolone.

Wykorzystanie siły roboczej podbitych w przyszłości terytoriów Hitler zapowiedział już 23 maja 1939 roku na tajnej konferencji z udziałem wysokich dygnitarzy NSDAP. Stwierdził wówczas, że „ludność podbitych krajów zostanie wykorzystana w charakterze niewolniczej siły roboczej”. Podbite ziemie polskie, według przyjętych założeń, miały stanowić zaplecze taniej siły roboczej⁹.

Usankcjonowanie pracy przymusowej Żydów przez wprowadzenie nadzwyczajnego prawa pracy (Sonderarbeitsgerecht), gwarantowało ludności żydowskiej z obszaru „starej Rzeszy” wynagrodzenie, ale tylko za pracę rzeczywiście wykonaną. Oznaczało to pozbawienie Żydów jakichkolwiek dodatków oraz wypłat za nieprzepracowane dni świąteczne przypadające w ciągu tygodnia. Żydzi zobowiązani zostali do przyjmowania każdego przydzielonego zajęcia. Nadzwyczajne prawo pracy, w przeciwieństwie do zarządzenia

⁹ A. Bullock, *Hitler. Studium tyranii*, Warszawa 1975; F. Ryszka, *Państwo stanu wyjątkowego: rzecz o systemie państwa i prawa Trzeciej Rzeszy*, Wrocław–Warszawa–Katowice 1985.

o przymusie pracy, miało tymczasowo nie obowiązywać na terytoriach wschodnich, włączonych do Rzeszy¹⁰.

Pierwsze rodzaje obozów pracy przymusowej, jakie powstały w Wielkopolsce, wiązały się z budową autostrady Frankfurt n. Odrą – Poznań oraz budową nowych i modernizacją istniejących już dróg bitych. Wszystkie roboty drogowe i unowocześnianie szlaków kolejowych służyło nie tylko usprawnieniu łączności między Wielkopolską a Rzeszą, ale przede wszystkim celom strategicznym. Militarne znaczenie autostrad podkreślono 28 maja 1940 roku na posiedzeniu doradców przy Towarzystwie Autostrad Rzeszy (Reichsautobahngesellschaft), na którym stwierdzono, że „w pełnym zakresie będzie się w dalszym ciągu budować tylko odcinki [autostrad] ważne dla obrony kraju”. Już 12 października 1939 roku pojawiły się pierwsze projekty rozbudowy sieci drogowo-transportowej Kraju Warty i dotyczyły budowy następujących odcinków autostrad, wspomnianej Frankfurt n. Odrą – Poznań – Łódź i kolejnych: Gdańsk – Poznań – Wrocław, Królewiec – Górny Śląsk – Wiedeń oraz Grudziądz – Toruń – Łódź. W następnych latach władze hitlerowskie planowały przedłużenie autostrady z Frankfurtu w kierunku Warszawy. Szczególną rolę w tych projektach odegrać miał Poznań, stolica okręgu, gdzie przewidywano krzyżowanie się dróg biegnących z kierunków zachód–wschód i północ–południe na trasie Gdańsk – Poznań – Wrocław – Wiedeń i Berlin – Frankfurt n. Odrą – Poznań – Łódź – Warszawa.

Część autostrady przebiegająca przez tereny Środkowego Nadodrza została podzielona na części budowane przez różne firmy. W zależności od potrzeb na poszczególnych odcinkach zakładano małe obozy pracy, które po zakończeniu robót likwidowano i przenoszono na nowe miejsce. Pierwszy obóz powstał w końcu kwietnia 1940 roku w Glińsku (Lemnitz) koło Świebodzina. Eksploatacją żydowskiej siły roboczej zajmowały się firmy: Bartel, Koller i Schulz. 13 grudnia 1940 roku prywatna firma Hermanna Klammta z Berlina założyła obóz w Gronowie w pobliżu Świebodzina. W tym czasie

¹⁰ A. Ziółkowska, *Obozy pracy przymusowej dla Żydów w Wielkopolsce w latach okupacji hitlerowskiej (1941-1943)*, Poznań 2005.

powstały obozy należące do firm Holzmann i Drexl w Żelechowie, Otto Konrad w Pożrzadle. W Lubrzy zorganizowano dwa obozy pracy, które nazwano Liebenau I i Liebenau II.

Budowa autostrady wiąże się ściśle z wprowadzeniem 25 lipca 1940 roku przez naczelne dowództwo sił zbrojnych OKW (Oberkommando der Wehrmacht) dyrektywy Hitlera o realizacji tzw. Otto-Programm, przewidującej budowę nowych szlaków komunikacyjnych i modernizację już istniejących w związku z rozpoczęciem przygotowań do agresji na Związek Radziecki. Planem objęto wschodnie obszary III Rzeszy: Śląsk, Kraj Warty, Gdańsk – Prusy Zachodnie, Prusy Wschodnie i Generalne Gubernatorstwo.

Trudności wynikające z coraz bardziej odczuwalnego braku siły roboczej przy budowie autostrady z Frankfurtu n. Odrą w kierunku dawnej granicy niemiecko-polskiej w związku z wycofaniem pracującej tam dotychczas młodzieży niemieckiej ze Służby Pracy Rzeszy RAD (Reichsarbeitsdienst), a także wobec niepowodzeń akcji Generalnego Inspektora Niemieckiego Systemu Dróg i RSHA skierowania Żydów z Niemiec do pracy przymusowej, spowodowały, że 1 listopada 1940 roku SS-Obergruppenführer Heinrich Müller, szef służby bezpieczeństwa (Chef der Sicherheitspolizei) zawiadomił Fritza Todta, iż przy budowie autostrady mogą być zatrudniani Żydzi. Podjęcie tej decyzji niosło w sobie problem ideologiczny, wynikający z obowiązujących w III Rzeszy zasad narodowego socjalizmu. Planowana autostrada przebiegała w części przez terytorium „starej Rzeszy”, skąd wszelkimi sposobami starano się usunąć Żydów. Nie powinny zatem w tym miejscu powstawać obozy pracy, do których deportowano by Żydów. Jednakże zakrojona na szeroką skalę budowa, ważna dla celów strategicznych III Rzeszy, wpłynęła na zmianę priorytetów. Warto zauważyć, że do tej pory Todt był przeciwny zatrudnianiu Żydów przy budowie autostrad, zwanych powszechnie drogami führera (Straßen des Führers). Teraz RSHA nalegało na niego, by szybko zabezpieczył zaciąg robotników.

Do sprawy pracy Żydów przy budowie autostrad powrócono 18 lutego 1941 roku. W piśmie okólnym skierowanym do wszystkich namiestników w III Rzeszy (Rundschreiben an Reichsstatthalter),

Hermann Göring, pełnomocnik ds. planu czteroletniego, wezwał do bardziej pragmatycznego, ale przejściowego podejścia do polityki zatrudnienia Żydów i Polaków. Dotychczasowe „opory” narodowe i rasowe przy wykorzystaniu niemieckiej siły roboczej do realizacji budowy autostrady uważał za uzasadnione: „ten punkt widzenia jest sam w sobie słuszny, ale w czasie wojny, wobec gospodarczych i zbrojeniowych potrzeb, nie musi być brany pod uwagę”.

Ustawa oficjalnie sankcjonująca przymus pracy wobec ludności żydowskiej z obszaru „starej Rzeszy” i ziem zaanektowanych ukażała się 3 października 1941 roku. W paragrafie 3 zarządzenia czytamy, iż obowiązuje ona także we włączonych do Rzeszy ziemiach wschodnich („Diese Verordnung gilt auch in den eingegliederten Ostgebieten”). Ostateczne wprowadzenie aktu poprzedziły długie dyskusje toczone w kołach decydentów hitlerowskich. Efektem było wydanie przez H. Göringa aktu prawnego pozostawiającego ludność żydowską w „szczególnym stosunku zatrudnienia” („Juden, die in Arbeit eingesetzt sind, stehen in einem Beschäftigungsverhältnis eigener Art”). Została ona jednocześnie całkowicie wyjęta spod obowiązującego w III Rzeszy prawa pracy. W stosunku do pracujących Żydów nie obowiązywało już określenie „robotnik”, które zastrzeżone zostało dla pracowników niemieckich. Wobec pozostałych obowiązywać miała nazwa „siła robocza”. Określenie „żydowska siła robocza” (Jüdische Arbeitskräfte) powszechnie stosowano w korespondencji urzędowej administracji niemieckiej.

Transporty Żydów polskich kierowanych do dyspozycji RAB (Reichsautobahn) zaczęły nadchodzić z końcem 1940 roku z getta łódzkiego. Łącznie od grudnia 1940 do połowy 1942 roku wywieziono do obozów RAB około 7400 Żydów. Pewna liczba robotników przybyła spoza Łodzi. Na podstawie ustaleń Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Zielonej Górze przyjmuje się, iż w obozach związanych z budową autostrady na terenie Środkowego Nadodrza w końcu 1942 roku znalazło się blisko 12 tys. Żydów¹¹. Obozy założono w następujących miejscowościach – w nawiasach

¹¹ B. Biegalski, *Los Żydów na terenie Środkowego Nadodrza w latach 1940-1945*, [w:] P. Mnichowski, A. Toczewski, *op. cit.*, s. 4-5.

podane są liczby zatrudnionych robotników: Bielice (Bielitz) – RAB, Berlin (205); Brójce (Brätz) RAB, firma Georg Reisse (200); Brzeziak (Breisach) – RAB (210); Glińsk (Lemnitz) – RAB, firmy Bartel, Keller, Schultz (210); Gronów (Gronow) – RAB, firma Hermann Klammt, Berlin (250); Głogów (Glogau) – firma budowlana Julius Schalharn (150-200); Jordanowo (Jordan) – RAB (bez danych); Jezioro Łagowskie (Lagowersee) – RAB (bez danych); Kostrzyn n. Odrę (Küstrin a. d. Oder) – fabryka włókien sztucznych (Zellvollfabrik), RAB oraz firma Alfred Neugebauer (500); Krzystkowice (Christianstadt) – fabryka dynamitu s.a. Alfred Nobel podległa IG Farben (200); Lubrza I (Liebenau I) – RAB (200); Lubrza II (Liebenau II) – RAB (180); Nowa Sól (Neusalz) – fabryka nici (Nähgarnfabrik-Gruschwitz (100-150); Pniów (Pinnow) – RAB (200); Pożrzadło (Spiegelberg) – RAB, firma Otto Conrad, Berlin, firmy Holzmann, Drexl, Klammt oraz OT, Organizacja Todta (100-130); Przylep (Schertendorf) zakłady Beuchelt (100-150); Rogoziniec (Rogsen) – RAB (300-400); Romanówek (Hammer) – RAB (100-150), Rzepin (Reppen) – RAB, firma A. Schulz, warsztaty obuwia i cholewek (300-400); Szczaniec (Stetsch) – RAB (200-300); Toporów (Topper) – RAB (brak danych); Torzym (Sternberg) – RAB (100-200); Zbąszynek (Neu Bentschen) – RAB, firma Carl Linke, Hanower oraz Deutsche Reichsbahn (300-500); Zielona Góra (Grünberg) – Deutsche Wollenwaren Manufaktur AG (200-600); Żagań (Sagan) – fabryka tekstylna (Textilfabrik Gebr. Hoffmann) oraz budowa schronów przeciwlotniczych (150); Żelechów (Salchow) – RAB, firmy Goldmann i Drexl (200)¹².

W urzędzie Generalnego Inspektora Niemieckiego Systemu Dróg opracowano harmonogram transportów do obozów RAB na obszar „starej Rzeszy”, czyli do granicy z Polską sprzed 1 września 1939 roku. W Berlinie zakładano, że prace budowlane rozpoczną się jeszcze w październiku 1940 roku.

¹² P. Mnichowski, *Hitlerowskie obozy pracy dla Żydów na Środkowym Nadodrzu w latach 1940-1944*, [w:] *Hitlerowskie ludobójstwo w Polsce i Europie 1939-1945*, Warszawa 1983, s. 22-23.

Tabela 1. Zestawienie planowanych transportów Żydów z getta łódzkiego do obozów RAB na terenie Ziemi Lubuskiej

Termin rozpoczęcia prac	Liczba robotników	Nazwa obozu	Stacja rozładunkowa
Natychmiast	150	Rzepin	Rzepin
25 października 1940	400	Kunowice	Kunowice
10 października 1940	300	Gajec	Rzepin
30 października 1940	300	Rzepin	Rzepin
20 listopada 1940	400	Rzepin	Rzepin
25 października 1940	400	Brójce	Boczów
25 listopada 1940	400	Pniów	Torzym
20 listopada 1940	300	Pożrzadło	Torzym
1 listopada 1940	300	Pożrzadło	Toporów
15 listopada 1940	300	Bauwerk 81 (brak nazwy)	Toporów
1 grudnia 1940	400	Żelechów	Bucze
15 grudnia 1940	400	Jordanowo	Gościkowo
1 grudnia 1940	400	Brójce	Szczaniec
10 grudnia 1940	400	Rogoziniec	Rogoziniec
15 listopada 1940	100	Bauwerk 81 (brak nazwy)	Toporów
10 grudnia 1940	200	Torzym	Torzym
10 grudnia 1940	200	Pniów	Torzym
13 grudnia 1940	200	Pożrzadło	Toporów
13 grudnia 1940	200	Jeziro Łagowskie	Torzym
16 grudnia 1940	200	Żelechów	Bucze
16 grudnia 1940	200	Jordanowo	Gościkowo
2 stycznia 1941	400	Rogoziniec	Kosieczyn
2 stycznia 1941	200	Brójce	Lutol Suchy (na trasie)
6 stycznia 1941	100	Pożrzadło	Toporów
6 stycznia 1941	200	Jordanowo	Gościkowo
9 stycznia 1941	200	Pniów	Torzym
9 stycznia 1941	100	Torzym	Torzym

Źródło: A. Ziółkowska, Obozy pracy przymusowej dla Żydów w Wielkopolsce w latach okupacji hitlerowskiej (1941-1943), Poznań 2005

W początkowym okresie robotnicy żydowscy obozów podległych RAB otrzymywali pewne zryczałtowane wynagrodzenie, które nie przekraczało 30 fenigów na godzinę. Po potrąceniu kosztów za wyżywienie, zakwaterowanie oraz wpłaty na Gettoverwaltung mieli otrzymywać tzw. kieszonkowe, którego najczęściej nie wypłacano. W zasadzie 80 procent zarobków za morderczą pracę wpływało do zarządów gett, a zyski z darmowej eksploatacji żydowskiej siły roboczej zasilaty konta prywatnych firm. W 1942 roku ostatecznie zerwano z fikcją wynagradzania. Pracodawcy zobowiązani zostali jedynie do wpłacania na rzecz Gettoverwaltung tzw. Judenleihgebühr, czyli zryczałtowanej opłaty za każdego „wypożyczonego” Żyda.

Eksploatacja żydowskiej siły roboczej powodowała, w myśl hasła „wyniszczenie przez pracę”, nie tylko czasowe jej ubytki, ale i planową eksterminację biologiczną. Doraźne zyski płynące z zatrudnienia więźniów żydowskich, mimo znacznie niższej wydajności osiąganey przez robotników cywilnych sprawiały, że programowo nie zapewniano więźniom żydowskim podstawowych świadczeń socjalnych.

Osadzano ich w tzw. obozach autostradowych i zatrudniano przede wszystkim przy robotach ziemnych, gdzie ogół prac budowlanych prowadziły wyspecjalizowane niemieckie przedsiębiorstwa budowy dróg. Zabiegały one bardzo zarówno o otrzymanie koncesji na budowę poszczególnych odcinków, jak i skierowanie do ich firm jak największej liczby więźniów, co gwarantowało, przy założeniu taniości siły roboczej, ogromne korzyści finansowe. Zyski były o tyle znaczne, że zakres prowadzonych robót wymagał zaangażowania niefachowej siły roboczej w dużej liczbie, a tę zapewniały stale przysyłane kontyngenty żydowskich więźniów. Terminowa realizacja robót zależała od regularnych dostaw materiałów budowlanych najwyższej jakości. Prace na całej długości od Frankfurtu do Poznania obejmowały m.in. budowę 80 nowych mostów i wiaduktów. Elementy nieukończonych wiaduktów można do dzisiaj oglądać w wielu miejscach, np. w Gościkowie.

Tabela 2. Stan liczbowy więźniów żydowskich zatrudnionych przy budowie autostrady Frankfurt n. Odrą – Poznań od grudnia 1940 do sierpnia 1942

Rok	Miesiąc											
	I	II	III	IV	V	VI	VII	VIII	IX	X	XI	XII
1940	-	-	-	-	-	-	-	-	-	-	-	1263
1941	1689	1689	2117	2803	3359	3356	3350	3098	3084	3716	4838	4830
1942	4803	4780	4780	4740	5453	6073	6012	6003	-	-	-	-

Źródło: A. Ziółkowska, Obozy pracy przymusowej dla Żydów w Wielkopolsce w latach okupacji hitlerowskiej (1941-1943), Poznań 2005

W obozach RAB więźniów osadzano w znormalizowanych drewnianych barakach, których wielkość określały specjalne przepisy, podobne jak przy tworzeniu obozów związanych z budową autostrady Szczecin – Wschód. Baraki o wymiarach 8,14 m x 27,85 m budowano z gotowych elementów drewnianych. Składano je na miejscu, niekiedy zatrudniano miejscową ludność polską. Dzieliły się na kilka izb, w każdej umieszczano od 18 do 20 osób.

Zgodnie z regulaminem, baraki otaczano rzędem drutów kolczastych. W obozach założonych na Pomorzu był to podwójny rząd drutów, dochodzący do 2,5 m wysokości. Dostępne źródła niemieckie i relacje powojenne nie pozwalają dowiedzieć, że taki podwójny system zabezpieczenia obowiązywał również w obozach na trasie Frankfurt n. Odrą – Poznań.

Druga część obozu, także oddzielona wewnątrz drutami kolczastymi, była przeznaczana dla załogi obozowej. Znajdowała się w niej kuchnia, oddzielna dla więźniów i personelu wartowniczego, wraz z jadalnią, pomieszczenia dla załogi i administracji obozu. Centralną część obozu zajmował plac apelowy.

Dzienny stan osobowy każdego z obozów RAB stanowiło zazwyczaj kilkuset Żydów. Liczba ta wskazuje, że przy zasiedlaniu pomieszczeń nie przestrzegano norm określających maksymalną liczbę umieszczonych w nich osób, co powodowało znaczne zagęszczenie.

Wyposażenie baraku stanowiły piętrowe prycze, na które rzucono sienniki wypchane słomą. Warunkowo zaopatrywano więźniów w inne niezbędne przedmioty, które były wydawane w zależności od stanu zapasów, jakimi dysponowało kierownictwo obozu. Do przykrycia przydzielano jeden koc, rzadziej dwa, które w żaden sposób nie zabezpieczały więźniów przed zimą.

Łącznikiem między komendantem a więźniami był Starszy Żydów (Judenälteste). W niektórych obozach odnotowano żydowską służbę porządkową. Do zadań „samorządu” żydowskiego należało głównie nadzorowanie prac porządkowych wewnątrz miejsca zakwaterowania. Z żydowskich więźniów rekrutowali się sanitariusze obozowi.

Powszechnym „środkiem wychowawczym” dla podniesienia efektów pracy więźniów żydowskich były kary dyscyplinarne, psychiczne i fizyczne dotkliwie odczuwane. Już instrukcja o „traktowaniu Żydów” w dążeniu do osiągnięcia wysokiej wydajności pracy dopuszczała wszystkie środki, przede wszystkim wymierzanie chłosty. Ostrzegano jednocześnie, by stosowanie kar nie powodowało utraty zdolności do pracy. Zalecano kary cielesne i to tak wymierzane, by wskutek uszkodzenia ciała nie powodować nieobecności w pracy. Cywilny personel niemiecki wielokrotnie był sprawcą nieszczęśliwych wypadków, których ofiarami stawali się żydowscy pracownicy. Mimo potwierdzenia winy, Niemców nie pociągano do odpowiedzialności. Znane są również przypadki znęcania się dozoru polskiego nad więźniami żydowskimi. Do wymierzania kar cielesnych zmuszano też członków żydowskiej służby porządkowej.

Najcięższą karą w obozach pracy była kara śmierci przez powieszenie – za ucieczkę z obozu, próbę oddalenia się z miejsca pracy, niepodporządkowanie się regulaminowi. Publiczne egzekucje miały odstraszać od nieprzestrzegania przepisów obozowych. Egzekucje osiągnęły jeszcze jeden zamierzony przez administrację niemiecką cel: „Kierownictwo obozu [w Poznaniu] ustaliło, że Żydzi starają się możliwie największym wysiłkiem nie podpaść w złym sensie, i że ich wydajność w pracy poprawiła się.”¹³

¹³ A. Ziółkowska, *op. cit.*

Zapotrzebowanie na robotników było powodem, dla którego powstało wiele obozów przy różnych zakładach, np. przy fabryce nici Gruschwitz w Nowej Soli, fabryce dynamitu spółki akcyjnej Alfred Nobel w Krzystkowicach, zakładach tekstylnych Hoffmana w Żaganiu, przy węźle kolejowym w Zbąszynku. Położenie żydowskich robotników przymusowych w specjalnych obozach pracy ZALFJ (Zwangsarbeitslager für Juden było wyjątkowo ciężkie. Z góry skazani na wyniszczenie, póki starczy sił mieli pracować na rzecz niemieckiej gospodarki. Oblicza się, że na terenie Ziemi Lubuskiej w obozach przyfabrycznych i kolejowych znalazło się co najmniej 6 tys. robotników żydowskich. Znęcanie się i mordowanie było na porządku dziennym. Śledztwa i prace badawcze prowadzone przez OKBZH w Zielonej Górze ujawniły tylko niewielki procent dokonanych zbrodni. W 1941 roku strażnicy obozu w Lubrzy zastrzelili pięciu więźniów, w Zbąszynku w obozie podległym Deutsche Reichsbahn 9 lipca 1942 roku powieszono pięciu młodych robotników żydowskich, w tym 13-letniego chłopca. Śmierć groziła za podniesienie kromki chleba lub niedopalonego papierosa. Za podobne przestępstwo 17 kwietnia 1943 roku w obozie w Zbąszynku zginęli Mordka Berliński i Dawid Eckstein. W obozie w Kostrzynie n. Odrą 25 lipca 1942 roku zastrzelono dziewięciu więźniów¹⁴.

Wykonując rozkaz Reichsführera SS Heinricha Himmlera o „uwolnieniu” terenów Rzeszy z Żydów, 31 sierpnia 1943 roku gestapo rejencji frankfurckiej przekazało do obozu koncentracyjnego w Auschwitz 18 młodych robotników żydowskich zatrudnionych w fabryce gumy „Rekord” Herberta Lindemanna w Świebodzinie celem „potraktowania specjalnego” (Sonderbehandlung). Najmłodszy na liście transportowej był 17-letni Rubin Lewkowicz. W związku z zaprzestaniem budowy autostrady, dyrekcja RAB przystąpiła do likwidacji podległych obozów pracy i przekazała robotników żydowskich innym zakładom, np. kopalni węgla brunatnego w Brieskow-Finkenheerd, zaopatrującej miejscową elektrownię. W tamtejszym obozie zmarło 99 robotników, głównie z województwa

¹⁴ A. Toczewski, *Zbrodnie Holocaustu na Środkowym Nadodrzu (mashynopsis)*.

łódzkiego. W 79 przypadkach zgony spowodowane były, jak zapisano w aktach stanu cywilnego, osłabieniem serca lub osłabieniem fizycznym.

Żydowski obóz pracy przymusowej w Zielonej Górze został założony w sierpniu 1941 roku przy zakładach Deutsche Wollenwaren Manufaktur GmbH. Pierwszy transport, składający się z około 60 Żydówek, przywieziony został z innego obozu w Żaganiu. Następne transporty z kobietami i dziewczętami nadeszły w 1942 roku. Obozy tego typu podlegały placówce we Wrocławiu; była ona w bezpośredniej dyspozycji Himmlera, przyjmowała zgłoszenia na zapotrzebowanie robotników żydowskich od niemieckich firm, następnie w drodze łapanek, aresztowań i innych form terroru kompletowała transporty i wysyłała przyznaną danej firmie liczbę robotników. Kolosalne zyski z tych transakcji wpływały do kasy państwa, bowiem każdy robotnik żydowski musiał oddawać 30 procent swego zarobku, tzw. Judenabgabe¹⁵.

Obóz żydowski (Judenlager) w Grünbergu obejmował dwie duże hale oddziału B w zakładach Deutsche Wolle Manufaktur, w których stan zatrudnienia 26 października 1942 roku wynosił 412 robotnic. Praca przy maszynach tkackich i w grupie remontowo-budowlanej trwała od 8 do 10 godzin dziennie. Na początku, mimo głodowych racji żywnościowych, warunki były znośne. Kobietom zezwalano na korespondencję i otrzymywanie paczek. W latach 1942-1943 przeciętny stan kobiet polskiej narodowości żydowskiej wahał się od 500 do 600. W kwietniu 1944 roku w obozie zaszły zmiany, bowiem dotychczasową funkcję nadzorczą pełnioną przez miejscowy Arbeitsamt przejęła administracja obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen. 9 maja 1944 roku zakłady Deutsche Wolle Manufaktur skierowały 48 niemieckich pracownic, przeważnie członkiń BDM (Bund Deutscher Mädel – Związek Niemieckich Dziewcząt), by przeszły odpowiednie przeszkolenie w charakterze strażniczek. Po ich powrocie nastąpiło formalne przekazanie obozu żydowskiego władzom obozu w Gross-Rosen, od tej pory obóz

¹⁵ *Ibidem*, s. 86.

w Zielonej Górze stanowił jego filię, Aussenkommando¹⁶. W lipcu, przy ogólnym stanie 794 pracowników niemieckich zatrudnionych w zakładzie, liczba więźniarek wynosiła 923 osoby i pod koniec roku wzrosła do 971. Gdy obóz przejęło SS, warunki znacznie się pogorszyły. Pracowano w systemie dwuzmianowym po 12, 14 godzin dziennie. Na skutek niedożywienia, ciężkiej pracy, braku odpowiednich warunków sanitarnych i opieki lekarskiej wśród więźniarek szerzyły się różne choroby i infekcje. Chore i niezdolne do pracy kobiety wysyłano do obozu macierzystego celem likwidacji. Pod koniec stycznia 1945 roku Żydówki zostały ewakuowane w dwóch grupach do KL Bergen-Belsen i do filii KL Flossenbürg w Helmbrechts. W trakcie ewakuacji życie straciły co najmniej 104 więźniarki.

Na terenie Środkowego Nadodrza filie obozu Gross-Rosen zlokalizowane były w Zielonej Górze, Przylepie, Kożuchowie, Nowej Soli, Gubinie i Krzystkowicach. Pod koniec wojny przebywali w nich Żydzi, głównie kobiety z Niemiec, Polski, Węgier, Czech, Austrii i Holandii. Zatrudniano je w zakładach przemysłowych produkujących na potrzeby wojska. W Krzystkowicach w Fabryce Dynamitu AG Nobel więźniarki napełniały granaty materiałem wybuchowym¹⁷.

Obozy pracy przymusowej dla Żydów oraz filie obozów koncentracyjnych zorganizowane przez hitlerowców na Środkowym Nadodrzu w latach II wojny światowej nie były jedynymi miejscami, gdzie katowano i mordowano bezbronną ludność żydowską. Terror i biologiczne niszczenie narodu miało swoje miejsce również w policyjnych więzieniach oraz tzw. wychowawczych obozach pracy (Arbeitserziehungslager), które powstały z inicjatywy rejencyjnej placówki gestapo we Frankfurcie n. Odrą. Zlokalizowano je w Świecku i w Brójcach.

Obóz w Brójcach należał do miejsc o szczególnym rygorze. Dokonano w nim wielu mordów na więźniach żydowskich. Obrazu

¹⁶ A.Toczewski, *Filia obozu koncentracyjnego Gross-Rosen w Zielonej Górze*, „Studia Zielonogórskie” 2010, t. 16, s. 61-79.

¹⁷ *Ibidem*, s. 87-88.

hitlerowskich zbrodni dopełnia gazowanie chorych Żydów w szpitalu przy obozie pracy w Rzepinie. Jak wykazało prowadzone śledztwo, było to celowe działanie na masową skalę, bynajmniej nieod osobnione. Gdy w maju 1943 roku padły ostatnie reduty powstańcze warszawskiego getta, hitlerowcy mieli już gotową koncepcję „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”, także na Środkowym Nadodrzu.

Listę zbrodni na narodzie żydowskim popełnionych na Ziemi Lubuskiej zamyka eksterminacja żydowskich więźniarek w czasie tzw. marszu śmierci. Wiąże się on z likwidacją obozu niemieckiego koło Starego Strącza i Neuvorwerk 20 stycznia 1945 roku. Obóz ten tworzyły kobiety przetransportowane w 1944 roku z Gross-Rosen. Podczas likwidacji formowano kilkusetosobowe grupy, które prowadzono polnymi drogami wzdłuż szlaków komunikacyjnych. Marsz trwał ponad trzy miesiące, więźniarki przeszły setki kilometrów, przemieszczając się przez wsie i miasta niemieckie: Świętno, Jaromierz Stary i Nowy, Kargowę, Wojnowo, Sulechów, Zieloną Górę, Nową Sól, Zwickau, Drezno i Helmbrechts w Bawarii. Do celu doszła mniej niż połowa skrajnie wyczerpanych kobiet. Trasa marszu śmierci usiana była licznymi mogiłami. Więźniarki, które z powodu wycieńczenia pracą, chorób, niskiej temperatury, osłabienia nie mogły dalej iść, były izolowane i mordowane.

Jeden z takich przypadków związany jest z miejscowością Stary Jaromierz. Grupa przechodziła przez wieś 25 stycznia 1945 roku. Kolumna licząca 700-800 kobiet zatrzymała się poblizu szkoły. W czasie postoju nakazano niemieckiemu sołtysowi zorganizowanie posiłku dla więźniarek. W międzyczasie wyselekcjonowano 39 najsłabszych kobiet z odmrożonymi nogami i polecono sołtysowi, aby podstawił trzy furmanki w celu transportu więźniarek, rzekomo do szpitala w Konotopie. Wywieziono je do lasu w kierunku Nowego Jaromierza pod eskortą siedmiu pijanych oprawców. Kilo metr od miejscowości i 200 m od szosy kobiety zostały rozstrzelane. Świadek egzekucji podał, że do konwoju dołączono dwie uciekinierki złapane w okolicy Nowego Jaromierza. Przyprowadził je sołtys Gutsche. Także zostały rozstrzelane.

Na podstawie zeznań naocznego świadka, w sierpniu 1960 roku ekshumowano szczątki 41 więźniarek i pochowano na cmentarzu w Kargowej. 6 marca 1945 roku 621 zdolnych do marszu kobiet dotarło do obozu koncentracyjnego w Helmbrechts. Od zachodu zbliżały się wojska amerykańskie, dlatego hitlerowcy zdecydowali się na ewakuację obozu w kierunku południowo-wschodnim do Zwodu, gdzie wcześniej trafiły współwięźniarki z nad Jeziora Sławskiego. 13 kwietnia obóz Helmbrechts opuściło 581 Żydówek. Po przybyciu 17 kwietnia do Zwodu pozwolono wycieńczonym kobietom odpocząć dwie noce i jeden dzień. Obóz ewakuowano 19 kwietnia. Kolumna ruszyła na południowy wschód. Każdego dnia likwidowano najslabsze więźniarki, codziennie ginęło od 20 do 25 kobiet. Do Walern (Volary) w Czechach 4 maja dotarło 350 ocalałych kobiet. Gdy oddziały amerykańskie oddalone były zaledwie pół dnia drogi od obozu, pędzono pozostałe przy życiu więźniarki do odległych o 18 km Prachatic. Piechota armii amerykańskiej odnalazła tam 138 kobiet. W kolejnych dniach, mimo wysiłków lekarzy, zmarło jeszcze 40 kobiet. Wśród 98, które ocalały, znalazło się tylko kilka z nad Jeziora Sławskiego. Marsz śmierci trwał 126 dni. Pochłonął setki ofiar¹⁸.

Zbrodnie na Żydach na terenie Ziemi Lubuskiej składają się na obraz hitlerowskiej polityki eksterminacji. Naziści uśmiercili 5-6 milionów osób tej narodowości, czyli 80-90 procent Żydów zamieszkujących przed wojną Europę Środkową. Na podstawie badań prowadzonych przez Okręgową Komisję Badań Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Zielonej Górze ustalono, iż na Ziemi Lubuskiej w różnych obozach pracy znalazło się około 20 tys. Żydów. Według relacji i zeznań świadków można zakładać, iż co najmniej 10 procent zostało zamordowanych lub zmarło w wyniku strasznych warunków bytowych. Pozostali zostali skierowani do obozu koncentracyjnego w Auschwitz, gdzie zginęli. Pobyt w obozach dla Żydów na terenie Ziemi Lubuskiej przeżyło niewiele.

¹⁸ T. Czyżniewski, *Zimowy marsz śmierci*, „Tygodnik Zielonogórski” 2009, 24-25 stycznia, s. 8; A. Kubrak, *Ewakuacja fili obozu koncentracyjnego Gross-Rosen*, „Studia Zielonogórskie” 2013, t. 19, s. 191-197.

MATERIAŁY, SPRAWOZDANIA

Gerard Nowak

LUBUSKI ORSZAK TRZECH KRÓLI – HISTORIA NIE TYLKO SERCEM PISANA...

Panią Eleonorę Szymkowiak, pomysłodawczynią Lubuskiego Orszaku Trzech Króli, poznałem w latach 90. ubiegłego wieku. Jej niespożyte siły służące ludziom w potrzebie budziły już wówczas mieszane uczucia: podziw i niedowierzanie, wątpliwości w skuteczność i sens jej aktywności. Wielokrotnie zwracała się do mnie (wówczas dyrektora Regionalnego Centrum Animacji Kultury w Zielonej Górze) o współudział, o pomoc w organizacji przedsięwzięć na rzecz ubogich rodzin. Były to na przykład obfite w prezenty coroczne bale choinkowe, na których z Elżbietą Anną Polak, wtedy szefem Gabinetu Prezydenta Miasta, Aleksandrą Sztukowską, wykładowcą UZ, w mikołajowych kostiumach, bawiliśmy się z dziećmi w Sali Kolumnowej Urzędu Marszałkowskiego, rozdawaliśmy prezenty: szaliki, czapki, rękawiczki, słodkie owoce, konserwy, wędliny i olej rzepakowy. Ale były też zabawki, balony i wiele innych niespodzianek. W okresie Świąt Wielkanocnych pani Eleonora zwróciła się z kolejnym pomysłem: z tysiącem przedszkolaków szukaliśmy ukrytego zajęczka wielkanocnego wokół zielonogórskiego Ratusza. Dołączyła do nas kreatywna aktorka Małgorzata Wower, nie odmówiła wzbogacenia swym talentem.

Jest polskie przysłowie: „Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle”. W przydomowym, obszernym garażu, po latach współpracy

z panią Eleonorą, zobaczyłem „róg obfitości Eleonory”, czyli nieprawdopodobną ilość dóbr wszelakich, codziennie przekazywanych rodzinom, osobom samotnym, ubogim lub dzieciom szczególnej troski oraz ludziom starszym. Każdego też dnia ten róg był uzupełniany dzięki ludziom nieodmawiającym bezinteresownego wsparcia. Mimo dojrzałego wieku i nekających chorób, nikt i nic pani Eleonory nie powstrzyma w pasji czynienia dobra. Nawet wspomagający, nade wszystko cierpliwy głos rozsądku mądrego i dobrego człowieka, męża Stanisława Szymkowiaka.

Niekonwencjonalną aktywność kwiaciarki z zielonogórskiej starówki można opatrzeć refleksją H. Jacksona Browna: „Najpewniejszym sposobem, by czuć się szczęśliwym, to sprawić, by ktoś inny był szczęśliwy”.

Stowarzyszenie „Ludzie dla Ludzi” Mecenat Złotego Serca to organizator generalny Lubuskich Orszaków Trzech Króli. Jego prezesem jest Eleonora Maria Szymkowiak, radna miasta Zielona Góra od 2002 roku. Była Przewodniczącą Komisji ds. Rodziny. W czasie kolejnych kadencji, m.in. we współdziałaniu ze swoim prawnym klubem, wprowadziła oczekiwane przez zielonogórczan następujące innowacje: w 2008 roku poparła budowę basenu i hali widowiskowo-sportowej przy ulicy Sulechowskiej. Popierała też remont i przebudowę stadionu żużlowego. Była i jest gorącą zwolenniczką tzw. zadań wspólnych. Pomoc Miasta dla parafii, spółdzielni mieszkaniowych, wspólnot mieszkańców. Jej zaangażowanie pozwoliło na zrealizowanie wielu, tak potrzebnych, choć drobnych inwestycji, np.: parkingów, remontów chodników, osiedlowych schodów. Popierała inicjatywy klubu radnych w zakresie poprawy bezpieczeństwa mieszkańców, w ramach Komisji ds. Rodziny, prócz inicjowania i opiniowania uchwał Rady Miasta, walczyła o wspieranie w życiowych, skomplikowanych sprawach rodzinnych. Doprowadziła do tego, że nie rozłączono młodocianej matki z nowonarodzonym dzieckiem, znalazła dla nich dom dziecka i matki, gdzie mogą przebywać razem. Zgłosiła do organów ścigania fakt wyłudzenia mieszkania od niepełnosprawnej umysłowo kobiety – sprawa trafiła do sądu i znajdzie tam rozwiązanie. Przez dwa lata pomagała młodej matce w czasie ciężkiej choroby nowotworowej, a po jej śmierci dalej

wspiera i interesuje się losem osieroconych dzieci. Na bieżąco pomaga matce niepełnosprawnej dziewczynki w jej walce o poprawę stanu zdrowia córki – np. znajduje sponsorów, którzy nieodpłatnie zawożą je do Kliniki Ortopedycznej w Zakopanem. Zorganizowała, dzięki życzliwości europosła Artura Zasady, wyjazd na zachód Europy dla grupy niepełnosprawnych mieszkańców Zielonej Góry. Zwiedzili Brukselę, Amsterdam i inne miasta Belgii i Holandii.

Bardzo ubogie i pokrzywdzone przez los osoby i rodziny mogą liczyć na pomoc pani Eleonory. Przez wszystkie mroźne dni, od wielu lat, z własnej diety radnej oraz poszukując sponsorów przygotowywała jedzenie dla bezdomnych, koczujących na zielonogórskich dworcach (codziennie dowoziła gorącą zupę). Co roku wspiera wolontariuszy Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy – zapewnia im ciepłe posiłki i gorące napoje w czasie zbiórek pieniędzy. Organizuje różne akcje z okazji świąt, np. zbiórki odzieży i przyborów szkolnych, paczek żywnościowych i upominków świątecznych. Jej dziełem są wspomniane wyżej bale i zabawy integracyjne dla dzieci zdrowych i niepełnosprawnych, zabawy kultywujące tradycje jak choćby „szukanie zajączka” dla dzieci z zielonogórskich przedszkoli i żłobków. Za swój sukces uważa to, że wspólnie z mieszkańcami ulicy Braniborskiej nie pozwoliła na wybudowanie wysokiego budynku zakłócającego ład urbanistyczny w tej części miasta. Chcąc czuć się prawdziwie spełnioną wymyśliła Lubuski Orszak Trzech Króli, którego pierwsza edycja odbyła się w 2011 roku.

W tym miejscu przytoczę fragmenty wywiadu z panią Eleonorą zatytułowanego *Ty pomożesz innym, oni pomogą Tobie...*, co przybliży jej sylwetkę.

Nasza parafianka Eleonora Szymkowiak, „jednosobowa deptakowa pomoc społeczna”, ekonomistka, zielonogórska kwiaciarka, ceniony od wielu lat opiekun ludzi potrzebujących wsparcia. Pomaga szczególnie rodzinom wielodzietnym i osobom niepełnosprawnym. Organizatorka Lubuskich Orszaków Trzech Króli w Zielonej Górze. „Głos z Winnicy” – gazeta parafii pw. Podwyższenia Krzyża Świętego. Rozmowa w redakcji:

Red.: Eleonoro. Co daje Pani siłę do trwania w trudnej wieloletniej charytatywnej działalności?

Eleonora Szymkowiak: Wiara w Boga jest wartością, z której czerpiemy wszelkie dobra. Moje próby dzielenia się dobrem z ludźmi będącymi w potrzebie zawdzięczam wierze i to jest świadectwo prawdy, że wiara ma potężny wpływ na pozytywną przemianę naszej codzienności. Od 52 lat, kierując się tą prawdą, staram się pomóc w rozwiązywaniu problemów każdego człowieka, który przyjdzie do mojego kwiatowego kiosku na Starym Rynku. Myślę zwłaszcza o emerytach, rencistach, rodzinach wielodzietnych, osobach przewlekle chorych i niepełnosprawnych.

Red.: Przyjęła Pani za życiowe motto: „Ty pomożesz innym, oni pomogą Tobie...”. Ta piękna idea, która towarzyszy Pani przez całe dorosłe życie, jest bardzo bliska naszej wspólnocie parafialnej. Proszę się podzielić z czytelnikami jej praktycznym utożsamieniem.

E.S.: Pani Redaktor, moje motto jest jak Gwiazda Betlejemaska. Kieruje mną od dziesiątków lat do celu, jakim jest bezinteresowne czynienie dobra potrzebującym. Pomagałam w trudnych czasach zniewolenia, pomagam w wolnej Polsce i pomagać będę nadal w miarę sił i zdrowia. Jako niepokorna i bezkompromisowa osoba mam przez te cechy i trochę przeciwników i wielu sprawdzonych przyjaciół – darczyńców, których produkty wypełniają, np. świąteczne paczki żywnością, zabawkami, odzieżą. To praktyczne stosowanie słów: „Ty pomożesz innym...”. W wielu najtrudniejszych momentach mojego życia gromada ludzi bezinteresownie przyszła z pomocą; lekami, dobrą radą, wsparciem duchowym. Tak rozumiem słowa „... oni pomogą Tobie”. Wspierając potrzebujących, wiem, że nie zostaną pozostawiona sama sobie w kolejnym, życiowym dramacie. Tak też rozumiem wieloletnie więzi w działaniu naszej parafialnej wspólnoty.

Red.: Jest wielu członków naszej wspólnoty wspomagających rodziny wielodzietne żyjące na skraju ubóstwa. Proszę podzielić się Pani doświadczeniem..

E.S.: Wokół nas jest wiele osób wielce skromnych, które często są anonimowe, wstydzą się siebie. Po prostu los wykluczył je ze społeczności lokalnej. Bywa, żyją w skrajnym ubóstwie. Takim

ludziom musimy i chcemy pomagać. Nie wyobrażam sobie, że człowiekowi, który przyjdzie do mnie, który nie ma co jeść – nie udzielię wsparcia. Zawsze mam coś pod ręką. Czasami dam kilka złotych, częściej kupię coś do jedzenia. Nawet nie za ciche: „Bóg zapłać”. To jest kwestia stopnia wrażliwości ludzi pomagających i podejścia indywidualnego do każdego potrzebującego człowieka. Czym się kieruję? Widzę w ich twarzach ból, cierpienie, beznadziejność. To ludzie, którzy w pewnym momencie swojego życia, po prostu się zagubili. (...)

Red.: Zawsze broni pani swoich spraw w sposób niestandardowy. Nawet potrafiła pani przebrać się za... anioła. Oczywiście przed organizowanymi przez panią Lubuskimi Orszakami Trzech Króli.

E.S.: To prawda! Wygrywałam z obojętnością, prywatą, bufonadą i bywało pospolitą podłością lub bezinteresowną zawiścią! Zawsze dążyłam do tego, aby wszyscy widzieli, że sprawy, którymi się zajmuję pochłaniają mnie bez reszty. Nie zrażałam się wyboistą drogą do osiągnięcia celu. Nadal w najbliższej przyszłości zrobię wiele, aby pomóc ludziom i przeforsować niezbędne rozwiązania ich problemów. Jeśli pani zauważyła uskrzydloną kobietę, to z pewnością wielu ludzi także ją spostrzegło. I zapewne obdarzy mnie zaufaniem, przychodząc po wsparcie materialne okraszone serdecznością...

Red. Dziękujemy za spotkanie...

Eleonora Szymkowiak bez instytucji kultury, etatowych animatorów kultury, dysponując nader skromnymi finansami podjęła się premierowego przedsięwzięcia w bogatej historii wydarzeń kulturalnych Zielonej Góry – Lubuskiego Orszaku Trzech Króli. Dlaczego Lubuskiego? Pretensjonalność Eleonory? Skądże! To wizja. Bowiem już od pierwszej edycji Orszaku udział w nim biorą mieszkańcy Lubuskiego Trójmiasta: Nowej Soli (wpierw miasta, a po wycofaniu wsparcia jego Prezydenta, od czwartej edycji Orszak wzbogacają; starosta powiatu nowosolskiego Józef Suszyński i kolejni Starostowie), Uniwersytet Trzeciego Wieku z Sulechowa i liczne rodziny z Zielonej Góry. Ważnym, w kontekście regionalnym, stały się patronaty honorowe biskupów Zielonogórsko-Gorzowskich: ks. dr. Stefana Regmunta i ks. Tadeusza Lityńskiego, prezydenta

Zielonej Góry Janusza Kubickiego, marszałek województwa lubuskiego Elżbiety Anny Polak oraz posłów na Sejm RP – Marka Asta, prof. Jacka Kurzępy, Jerzego Materny i Artura Zasady. Pozyskanie przez panią Eleonorę dostojnych patronów znacznie pomogło w rozwiązywaniu problemów organizacyjnych i finansowych.

Grono przyjaciół szefowej orszakowego sztabu już od pierwszej edycji mogło liczyć na Agatę Miedzińską, dyrektor Zielonogórskiego Ośrodka Kultury, dr. Andrzeja Toczewskiego, ówczesnego dyrektora Muzeum Ziemi Lubuskiej, Roberta Czechowskiego, dyrektora Lubuskiego Teatru, Tomasza Furtaka, dyrektora Sulechowskiego Domu Kultury, reżysera i znakomitego aktora Sławomira Krzywiźniaka z firmy artystycznej „Guliwer”, małżeństwa Małgorzaty (aktorki) i Piotra (scenografa Orszaku) Wowerów, menedżera Doroty Stelmach (RCAK), a nade wszystko komendanta zielonogórskiej policji. Eleonora i jej sztabowe grono mogli liczyć na życzliwość ks. Mirosława Maciejewskiego, proboszcza parafii pw. Najświętszego Zbawiciela. Wymienionych współtwórców ulicznego przemarszu uzupełnili anonimowi sponsorzy.

Podjąwszy się napisania artykułu umówiłem się z Eleonorą Szymkowiak na retrospektywną rozmowę.

Podjeżdżam pod dom państwa Szymkowiaków. Wyżej, na skarpie potężna bryła oświetlonego hojnie kościoła parafialnego pw. Podwyższenia Krzyża Świętego. Dzwonię. W drzwiach domostwa pojawia się pan Stanisław. Serdeczny uścisk dłoni i zaproszenie.

Staszek. Mój Przyjaciel i w trudnych chwilach cichy sojusznik. Wieloletni promotor – mąż wszelakich realnych i karkołomnych pomysłów kreatywnej żony. Umówiłem się na wspólną kawę i (okazało się po chwili) emocjonalną rozmowę z panią prezes. Okrągły stół – antyk, fotele też historyczne, na ścianach kolekcja starych zegarów ściennych odliczających czas cudownymi kurantami. Z tym, że grającymi o różnych porach. W narożnikach dostojnie grają zegary stojące. Na różnych powierzchniach saloniku stado kilkuset słoni z podniesionymi trąbami, na szczęście, którego w tym domu nie brakuje. Obok w drugiej części salonu komputerowe stanowisko orszakowych druków pana Stanisława. Na stole pojawia się kawa, specjalność Staszka, dobrego ducha tej skromnej posesji. To mój

kolejny pobyt wśród niezliczonych bibelotów. Szefowa przed każdym orszakiem (z trzymiesięcznym wyprzedzeniem) zwołuje cotygodniowe, niedzielne sztabowe odprawy, bez których zapewne nikt by nie oglądał drewnianych i żywych wielbłądów.

W związku z zamówieniem dr. Andrzeja Toczewskiego pytam o historię pierwszych dwóch Orszaków. Na twarzy Eleonory pojawia się szelmowski uśmiech... Słuchaj na ty!!! (figura językowa używana często na sztabowych odprawach w celu skupienia uwagi na szczególnie ważnym komunikacie szefowej):

Eleonora Szymkowiak: W 2010 roku, będąc z mężem w sanatorium w Kołobrzegu, usłyszeliśmy wiadomość o Orszaku Trzech Króli w Koszalinie. Zamierzaliśmy pojechać, zobaczyć... Szyki pomieszała jednak niesprzyjająca pogoda, więc Orszak obejrzelismy w lokalnej telewizji. Zrobiło to na mnie duże wrażenie i postanowiłam zorganizować podobne wydarzenie w Zielonej Górze. Mąż bardzo się zdziwił, chyba pobladł, nie bardzo wierząc w powodzenie tego zamierzenia. Od czerwca tego roku (2010) rozpoczęłam przygotowania. Pierwszą osobą, która mi bardzo pomogła była Iwona Jodkowska. Prowadziła wcześniej własny impresariat i od razu zrozumiała o co mi chodzi. Przydały się bardzo jej kontakty w kręgach kultury (pracowała potem z nami podczas pierwszych czterech Orszaków). W tym też roku pojawiła się przeszkoda... Przeszłam poważną operację (endoproteza) kolana. Poprosiłam więc Iwonę o kontakt z Fundacją Orszaku Trzech Króli w Warszawie. Do współpracy z tą Fundacją nie doszło, Wszystko jednak skończyło się dobrze i Orszak, który z założenia miał mieć nasz lubuski, regionalny charakter takim pozostał. Początki nie były łatwe, ale entuzjazm, pomysłowość i pracowitość zespołu partnerskiego pozwoliły rozwiązać wiele trudnych problemów, np. korony: jako że były robione przez dzieci z zielonogórskich szkół – miały więc bardzo indywidualny charakter i nie były drukowane według jednego wzoru. Diabełki ubraliśmy w plastikowe worki na śmieci, wycinając w nich otwory na głowę i ręce. Zamiast kolorowych peleryn były barwne plastikowe płaszcze przeciwdeszczowe. Dużym sprzymierzeńcem, sprawdzonym od lat Przyjacielem, również od początku Orszaku była i jest do tej pory pani Elżbieta Anna Polak,

marszałek województwa lubuskiego. Cały czas Urząd Marszałkowski jest jednym ze sponsorów naszych Orszaków. Tych sponsorów trzeba było intensywnie szukać. Ale znali oni moją i Stowarzyszenia działalność i być może dlatego było mi łatwiej uzyskać wsparcie finansowe. Z wdzięcznością tu ich wymienię. Głównym sponsorem jest Miasto Zielona Góra. Do stałych sponsorów zaliczyć należy również: Spółdzielnię Mieszkaniową KISIELIN z prezesem Jerzym Biczyskiem, firmę LUG państwa Wtorkowskich, firmę Catering „Palce lizać” pani Bożeny Krupko z Drzonkowa, „Jeffersons” Roberta Walczaka, Hurtownię Kwiatów Magdaleny i Andrzeja Muszyńskich oraz wielu innych anonimowych darczyńców.

W tym momencie przerwailiśmy rozmowę. W poczcie komputera pojawiła się notatka Małgorzaty Wower. Staszek wydrukował Gosi wspomnienia o pierwszych Orszakach. Czytam:

Pierwszy Lubuski Orszak Trzech Króli odbył się 6 stycznia 2011 roku z inicjatywy Eleonory Szymkowiak zielonogórskiej radnej. Wraz z Iwoną Jodkowską postanowiły znaleźć reżysera całego przedsięwzięcia, którym ostatecznie został aktor Sławomir Krzywiński wspomagany przez Małgorzatę Wower. Ponieważ Lubuski Orszak z założenia nie miał być kalką warszawskiego, trzeba było stworzyć oryginalny scenariusz, określić trasę przemarszu, znaleźć miejsca do odegrania scen: Herodowej i pokłonu Trzech Króli. Pierwsza została odegrana przed wejściem do Muzeum Ziemi Lubuskiej. Dzięki uprzejmości dyrektora Andrzeja Toczewskiego mogliśmy skorzystać ze sprzętu nagłaśniającego i ozdobić miejsce akcji. Drugą przedstawiliśmy na scenie przy ratuszu. Trzej Królowie podróżowali otwartym samochodem elektrycznym, przystrojonym ogromną koroną. Orszakowi towarzyszyły dwie orkiestry dęte: wojskowa z Żagania i „Zastalowska”. Szło w Orszaku bractwo rycerskie, a młodzież z Domu Harcerza przedstawiała podczas przemarszu walkę dobra ze złem. Orszak poprzedziła Msza Święta w świątyni parafii pod wezwaniem Najświętszego Zbawiciela pod przewodnictwem Biskupa-seniora ks. dr. Adama Dyczkowskiego, który po liturgii towarzyszył Orszakowi do udostępnionej przez Agatę Miedzińską,

dyrektorkę Zielonogórskiego Ośrodka Kultury mobilnej sceny przy ratuszu. Tam na zakończenie uroczystości ksiądz biskup wygłosił Słowo Boże i pobłogosławił tłum wiernych i artystów tworzących widowisko pt. „Pokłon Trzech Króli”. Orszakowa idea Eleonory w lubuskich mediach uznana została jako niewątpliwy sukces. Dla Eleonory ważniejsze stało się rozwianie wątpliwości męża. Do swoich sztabowców rzekła; „Robimy drugi Orszak”. Jestem pewna – kontynuuje Gosia Wower, że spontaniczny udział tłumów, całych rodzin z gromadą dzieci uskrzydlił Eleonorę, budząc przekonanie co do sensu organizacji kolejnego, Lubuskiego Orszaku Trzech Króli w roku 2012.

(...) Pijemy już trzecią kawę. Eleonora z szafy przyniosła dokumentację drugiego Orszaku. Oto ta energiczna postać realizująca kilka spraw na raz, spontaniczna, pełna emocji i cholerycznych reakcji, zaskakuje mnie nie znanym obliczem zorganizowanego szefa. Przynosi wzorowo uporządkowaną dokumentację szczegółowo opisaną, z bogatą fotograficzną ikonografią. Z zainteresowaniem prześledziłem wszystkie punkty scenariusza II Orszaku.

Eleonora, kończąc nasze spotkanie rzekła: „Słuchaj no: – Co roku Orszak ma bogatszy scenariusz, piękniejsze stroje i bardziej masowy charakter”.

Ja w gronie organizatorów, jako kolejny reżyser i autor ubogaczonego scenariusza, pojawiłem się nieco później, bo w roku 2012. Na pierwszym spotkaniu ze sztabem zaproponowałem modyfikację programu w stosunku do poprzednich dwóch edycji Orszaku i tak zaczęła się „orszakowa” współpraca z Eleonorą.

W 2013 roku Eleonora zaproponowała mi napisanie nowego scenariusza i inscenizację kolejnego Orszaku. Sławomir Krzywiński podpisał kontrakt artystyczny z producentem teatralnym w Niemczech i zwolnił „krzesło” reżysera. Podjąłem się zatem tego zadania, które dla mnie było nie tyle reżyserią widowiska słowno-muzycznego, ile artystyczną wizją pod nową nazwą „Misterium Pokłonu Trzech Króli” – w święto Objawienia Pańskiego. Na współpracę artystyczną wyraziła zgodę Małgorzata Wower. Razem pracowaliśmy nad scenariuszem, reżyserią i jej pierwszoplanową rolę Archaniola Pierwszego – moderatorką dwóch scen-przystanków. Po

obejrzeniu wideo i kilkudziesięciu zdjęć poprzednich dwóch Orszaków zaproponowałem Eleonorze i nowym partnerom modyfikację artystyczną i organizacyjną trzeciego Orszaku.



III Lubuski Orszak Trzech Króli, Zielona Góra 2014,
fot. Władysław Czulak „Gazeta Wyborcza”



Ks. dr Stefan Regmunt, Biskup Zielonogórsko-Gorzowski,
obok poseł na Sejm RP Jerzy Materna, Agata Miedzińska,
dyrektor ZOK oraz mieszkańcy Zielonej Góry podczas
V Lubuskiego Orszaku Trzech Króli, Zielona Góra 2016,
fot. Mariusz Kapała „Gazeta Lubuska”

Oczekiwałem od Eleonory zgody na moje propozycje. Polemice na temat zmian towarzyszyły jednak emocje, próby przeforsowania lub wyjaśnienia celów innowacji, niekiedy w atmosferze szorstkiej przyjaźni. Z trudem, ale skutecznie osiągnęliśmy kompromis. Nie udało się w trzeciej edycji zamiana małej, mobilnej sceny ZOK na zdecydowanie większą, profesjonalną estradę będącą w dyspozycji Stowarzyszenia działającego w strukturach Diecezji Zielonogórsko-Gorzowskiej. Zdecydowane „nie” Eleonory odłożyło użycie tej sceny na rok następny. Orszak otwierał okazały powóz ze wspartą parą koni, wypożyczony dzięki życzliwości Bogusława Sułkowskiego dyrektora WOSiR w Drzonkowie. Na nim posadziliśmy uskrzydloną anielsko Eleonorę z dwoma aniołami. Widownia była zachwycona, konie pewnie też. Przerażona Eleonora, debiutująca w roli szlachetnie urodzonej – pewnie by nie obrazić koni – wyszepiała: „Nigdy więcej koni w orszaku!!!”. Na tym etapie rozwiązań nieocenioną pomoc i merytoryczne wsparcie wobec wahań Eleonory, otrzymałem od Gosi i Piotra Wowerów.

Kolejna czwarta edycja Lubuskiego Orszaku Trzech Króli przebiegła w kreatywnej aurze, bowiem wsparta została po sukcesie trzeciej wersji, względny zaufaniem szefowej wobec jej sztabu, w którym i ja się znalazłem. Pojawiła się nieodpłatnie Biała Scena dzięki wstawiennictwu biskupa diecezjalnego ks. dr. Stefana Regmunta, Patrona Honorowego Orszaku.

MOSiR Roberta Jagiełowicza wypożyczył płoty ochronne. Waclaw Hansz dodał drugie tyle. Aleja Niepodległości, dzięki strażakom ochotnikom i ich komendantowi Janowi Rusakowi, podzielona została na widownię i scenę plenerową. Państwowa Straż Pożarna przy scenie obok ratusza postawiła namioty-garderoby dla artystów i smaczną grochówkę lub żurek dla obsługi Orszaku i artystów. Na rynku Eleonora zaordynowała darmową strawę dla zziębniętych rodzin. Nadal jednak króli woziły drewniane wielbłądy...

6 stycznia 2016 roku odbyła się piąta edycja, jubileuszowa. Mszy św. przewodniczył i uczestniczył w Orszaku ks. biskup dr Stefan Regmunt. Mimo przebytej choroby nie zostawił w potrzebie Eleonory i jej przyjaciół. Nadal miałem zaszczyt wraz z Gosią reżyserować *Misterium Pokłonu Trzech Króli*. Eleonora za punkt

honoru wzięła postanowienie, aby w Orszaku szły prawdziwe wielbłądy. Obszukała w Polsce, Czechach i w Niemczech cyrki, ogrody zoologiczne. Nawet znalazła wielbłąda w zoo safari w Świerkocinie. Tam zdecydowana odmowa: bez miesięcznej kwarantanny nie wypożyczymy. Wspomina prezesowa z satysfakcją: „dwa lata, bez rezultatu, szukałam ich wszędzie. Znalazłam je, Tamarę i Alladyna, w prywatnej zagrodzie u kowala pod Legnicą”. Trzeba było teraz znaleźć dla nich i ich opiekunów noclegi w Zielonej Górze. Miejscowe stadniny odmówiły gościny, słusznie bojąc się stresu koni. Ze wspaniałomyślną pomocą przyszła Irena Lew, dyrektor Muzeum Etnograficznego w Ochli. Hotelik skansenowski i luksusowa noclegownia w zabytkowej stodole sprawiła, że para wielbłądów czuła się jak u siebie w Mongolii.



VI Lubuski Orszak Trzech Króli, Zielona Góra 2017. Scena Pasterska – tancerze Lubuskiego Zespołu Pieśni i Tańca im. L. Figasa i uczennice Gimnazjum nr 6, fot. Mariusz Kapała „Gazeta Lubuska”

Szósty Orszak wzbogacił się o trzeciego, nowonarodzonego wielbłąda Kaspra. Towarzyszył matce przez cały Orszak. Jeszcze za młody na przyjęcie króla Melchiora, który i tym razem wieziony był na „starożytnym rydwanie” przez uczniów Zespołu Szkół Budowlanych im. T. Kościuszki. Oni też stanowili ochronę widzów przed niecierpliwością wielbłądziej rodziny. W naszej reżyserskiej robocie niezwykle pomocnymi okazali się (już od czwartego Orszaku)

inspicjenci, uczniowie Trzeciego LO. Oczywiście pod opieką katechety Zbyszka Żołądziejewskiego i za zgodą dyrektora szkoły dr. Zbigniewa Kościka.

W imieniu Komitetu Organizacyjnego VI Orszaku Eleonora Szymkowiak zwróciła się z listowną prośbą do ks. bpa Tadeusza Lityńskiego o przewodniczenie Mszy św., uczestnictwo w Orszaku oraz objęcie go swoim patronatem. W tej sprawie z organizatorami przedsięwzięcia biskup spotkał się osobiście. Z radością odniósł się do treści listu. Zapewnił, że możemy liczyć na jego i kapłanów wsparcie organizacyjne, finansowe wraz z czynnym uczestnictwem. Szósty Lubuski Orszak Trzech Króli zmodyfikowany został znaczącymi zmianami. Biskup zaakceptował propozycję intensywniejszej współpracy kościoła lokalnego z organizatorką przedsięwzięcia Eleonorą Szymkowiak.



Baltazar – radny Krzysztof Machalica, Melchior – Ireneusz Gorzelanny nauczyciel, reprezentował Sulechowski Dom Kultury, Kacper – reżyser Edward Gramont – Teatr Terminus A Quo z powiatu nowosolskiego, jako Trzej Królowie z Trójmiasta. VI. Lubuski Orszak Trzech Króli, Zielona Góra 2017, fot. Władysław Czulak „Gazeta Wyborcza”

Od tego roku, na prośbę ks. biskupa Lityńskiego koordynatorem wsparcia orszaku przez zielonogórskie wspólnoty parafialne wraz z ks. kan. Tomaszem Gierasimczykiem został ks. kan. Robert Patro, dyrektor wydziału duszpasterskiego Kurii Biskupiej. Owocem

życzliwości ks. Roberta jest element szczególny odróżniający lubuski orszak od pozostałych ponad trzystu polskich orszaków: czytanie stosownych fragmentów Ewangelii przed każdym przystankiem. Misji ewangelizacji podjęli się księża dziekani: ks. dziekan, prałat Jan Pawlak przed sceną pasterką, ks. dziekan kan. Mirosław Donabidowicz, przed wydarzeniami na dworze króla Heroda oraz ks. dziekan kan. Zygmunt Zimnowoda w Stajence Betlejemskiej.

W Orszaku uczestniczyło liczne duchowieństwo, Rodzina Rada Maryja, lubuskie wielopokoleniowe rodziny, którym w VI edycji rozdano prawie 14 tysięcy koron. Ponadto zmieniliśmy miejsce formowania Orszaku na Plac Bohaterów i nieco skorygowaliśmy trasę procesji. Precyzyjnie ustaliliśmy obecność policji i żandarmerii wojskowej. Wspierało nas ratownictwo medyczne. Pięknie towarzyszyła nam Orkiestra Dęta „Zastał”, młodzież z Orkiestry Janusza Zająca, filharmonika i dyrygenta grupy perkusyjnej z ZSB, brat Zofii Banaszak studencka uniwersytetów Trzeciego Wieku, Chór ZUTW „Moderato” pod dyrekcją Bernarda Grupy, aktorzy – Małgorzata Wower – archanioł, Sławomir Krzywiżniak – doradca Heroda i Herod – Marcin Wiśniewski. W scenariuszu pojawiła się nowa, pasterska scena. Pod opieką choreografa i za zgodą Tomasza Siemińskiego dyrektora RCAK, scenę pasterską żywiłowo odegrali mali aktorzy, tancerze z Lubuskiego Zespołu Pieśni i Tańca im. Ludwika Figasa i uczennice Gimnazjum nr 6 jako anioły pod opieką katechety Grzegorza Klimka Żołnowskiego w Orszaku w roli św. Józefa. Serdecznie też podziękowaliśmy za poprzednią gościnę dworu Króla Melchiora Leszkowi Kani – dyrektorowi Muzeum Ziemi Lubuskiej.

Eleonora Szymkowiak w wywiadzie prasowym „Gościa Niedzielnego” – *Jej spojrzenie na ideę Lubuskiego Orszaku* tak wspominała przygotowania:

Od wielu lat tworzymy wspólnie zespół organizacyjny Lubuskiego Orszaku Trzech Króli. Są w nim: ja – Eleonora Szymkowiak, Gerard Nowak, Małgorzata Wower, Piotr Wower, Anna Halicka, Grzegorz Halicki, Dorota Stelmach i Sylwia Gromacka-Staśko. Chyba tylko u nas, podczas Orszaku wydajemy uczestnikom ciepłe posiłki: zupy, kawę, herbatę, czekoladę, ciasto oraz słodycze dla dzieci. Od 3. Orszaku głównym reżyserem jest

Gerard Nowak. Za punkt honoru wzięłam sobie cel, aby w Orszaku szły żywe wielbłądy. Dwa lata, bez rezultatu, szukałam ich w całej Polsce, Czechach i Niemczech w ogrodach zoologicznych i cyrkach. Znalazłam je w końcu w prywatnej zagrodzie u kowala pod Legnicą. I od dwóch lat w naszym Orszaku są już najpierw dwa, a potem trzy prawdziwe wielbłądy.



VI Lubuski Orszak Trzech Króli, Zielona Góra 2017. Trzy wielbłądy w Orszaku, fot. Mariusz Kapała „Gazeta Lubuska”

Finałem Orszaku było wystąpienie Eleonory Szymkowiak i ks. biskupa Tadeusza Lityńskiego. Szczerze wzruszona Eleonora powiedziała

Składamy serdeczne podziękowania i niezmiernie się cieszymy, że jesteście z nami i chcecie nas wspierać całymi rodzinami Waszą obecnością. Nasze Stowarzyszenie prócz organizacji radosnego święta Objawienia Pańskiego, święta Trzech Króli, swoją uwagę skupia na ratowaniu zdrowia i życia ludzkiego, zarówno w sposób bezpośredni, jak również prowadząc szeroko rozumianą profilaktykę oraz działania w zakresie promocji zdrowia i życia ludzkiego. Każdy z Was może dać szansę innym na normalne życie i spełnianie marzeń. Chylimy czoła i dziękujemy z całego serca! Dziękuję moim przyjaciółom pracującym w sztabie Orszaku.

Również słowami podziękowań, religijną refleksją, modlitwą i błogosławieństwem Orszak zwieńczył ks. bp Tadeusz Lityński.



Eleonora Szymkowiak, JE ks. bp Tadeusz Lityński, posłowie na Sejm RP prof. Jacek Kurzępa, Jerzy Materna, mec. Gwido Makarowicz, proboszczowie ks. Włodzimierz Lange i ks. Mirosław Maciejewski. VI Lubuski Orszak Trzech Króli, Zielona Góra 2017. Scenę 2. (z tabliczką) prowadzi asystent-uczeń III LO, fot. Mariusz Kapała „Gazeta Lubuska”

O recepcie Eleonory Szymkowiak na bycie wszędzie i zawsze liderem wypowiedziały się pośrednio media po VI Lubuskim Orszaku Trzech Króli:

(...) Siarczysty mróz nie odstraszył zielonogórczan, którzy tłumnie witali Trzech Króli. W ruch poszło 15 tys. papierowych koron. Największym zainteresowaniem cieszyły się oczywiście wielbłądy: Aladyn, Tamara i Kacper. Lubuski Orszak [Trzech Króli](#) ruszył z niewielkim opóźnieniem z placu Bohaterów. Tam też zlokalizowana została scena pastuszków, którzy otworzyli barwny pochód. Druga, króla Heroda, powstała na balkonach SKO obok Teatru Lubuskiego. Nie zabrakło żywej szopki, w której można było zobaczyć m.in. osła, kozy, owce i kucyki. Po drodze grała orkiestra dęta [Zastal](#) oraz bębniarze z zielonogórskiej budowlanki. Orszak zatrzymał się przy fontannach, gdzie po raz pierwszy pojawili się pastuszkowie z Lubuskiego Zespołu Pieśni i Tańca. Tu na podwyższeniu, swoich towarzyszy oraz Gwiazdy

Betlejemskiej wypatrywał Baca – Góral Bukowiński z Watry. Na wielbłądach dumnie prezentowali się tradycyjnie: Krzysztof Machalica, zielonogórski radny PO, który tego dnia był Baltazarem oraz Edward Gramont, dyrektor teatru Terminus A Quo z [Nowej Soli](#), czyli Kacper, oraz Król Melchior – Ireneusz Gorzelanny z Sulechowskiego Domu Kultury¹.

Orszak wpisał się na stałe do kalendarza lubuskich imprez i każdego roku przyciąga coraz większą liczbę uczestników.

¹ Od redakcji, „Gazeta Wyborcza” 2017, 7/8 stycznia.

Małgorzata Masłowska

OGÓLNOPOLSKIE STOWARZYSZENIE „NERKA” W ZIELONEJ GÓRZE 1994-2017. IDEA ORAZ WYBRANE DATY

Sztuczna nerka to zestaw pomp, które umożliwiają przepływ krwi i płynu dializacyjnego przez dializator. Dzięki temu można oczyścić krew chorego, gdy już nie potrafią tego własne nerki. Pierwsze dializy wykonano w latach 40. XX wieku w Holandii. Od tamtej pory sztuczne nerki są wciąż udoskonalane. Skrócił się czas dializy i zwiększyła jej efektywność.

Potrzeba powołania stowarzyszenia, które pomoże ludziom z chorobami nerek oraz ich rodzinom, pojawiła się, gdy 8 marca 1975 roku w szpitalu w Zielonej Górze powstał zakład dializy pozaustrojowej. Pierwsza dializa pozaustrojowa odbyła się 15 marca, trwała 10 godzin. Zakładem kierowała wtedy dr Alicja Kosińska, dysponowała dwiema sztucznymi nerkami o nazwie AUE. Każdy chory był dializowany 10-12 godzin dwa razy w tygodniu. Z czasem przybywało stanowisk dializacyjnych, zwiększała się ilość osób dializowanych i kierowanych na przeszczep. Pierwsza transplantacja u pacjenta zielonogórskiego zakładu dializ, Stanisława Gawanowskiego, odbyła się w 1983 roku. Przeszczepiona nerka spisywała się bardzo dobrze przez 10 lat.

Przełomem był rok 1994, kiedy Benedykt Jareczkowski rzucił pomysł, by powstało stowarzyszenie nastawione na problemy

chorych na nerki, o charakterze ogólnopolskim z oddziałami terenowymi i siedzibą zarządu w Zielonej Górze. Latem B. Jareczkowski, Eugeniusz Boski oraz Jerzy Zając przygotowali list intencyjny kierowany Do Osób Cierpiących i im Pomagających, który miał zachęcić osoby dializowane i chore do wspólnych działań:

Stowarzyszenie powinno konsolidować działania samych chorych, ich rodzin, służby zdrowia oraz innych sił w kraju i za granicą. Inspiracją do powstania stowarzyszenia „Nerka” jest brak silnego reprezentanta naszego środowiska w życiu społecznym, gospodarczym i politycznym, szczególnie w okresie narastających trudności bytowych i słabej pozycji ochrony zdrowia.

Do listu dołączony został projekt statutu i zaproszenie do współdziałania.

Zebranie założycielskie „Nerki” odbyło się 24 września 1994, wzięło w nim udział 19 osób, wybrano pierwszy zarząd: B. Jareczkowski – prezes, Jacek Felisiak i Kazimierz Pańtak – wiceprezesi, Waław Dybek – sekretarz, Krzysztof Grabski – skarbnik, Jerzy Zając i ks. Konrad Herrmann – członkowie. Pierwsze hasło Stowarzyszenia brzmiało „Transplantacja to drugie życie. Kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat”. 15 listopada Wydział I Cywilny Sądu Wojewódzkiego w Zielonej Górze wpisał „Nerkę” z siedzibą przy ul. Ptasiej 2 do rejestru stowarzyszeń po numerem 485.

Początkowo praca polegała na doposażeniu oddziału nefrologii i stacji dializ w szpitalu w Zielonej Górze, dbaniu o bezwzględna higienę, właściwym zabezpieczeniu w lekarstwa, np. w Eprex, zwiększeniu dostępności do dializ. Stowarzyszenie stało się pośrednikiem w kontaktach dializowanych z kierownictwem, lekarzami i personelem medycznym. Z zarządem współdziałali ordynator dr A. Kosińska, lekarze – dr Jacek J. Felisiak, dr Ireneusz Habura, później dr Dorota Rajca, dr Ewa Szewczyk i dr Sylwia Sobotkiewicz-Cyran. „Nerka” było jedną z pierwszych organizacji w Polsce, która reprezentowała chorych z terminalną niewydolnością nerek, dializowanych, po transplantacji nerek i ich rodziny. Pod kierownictwem B. Jareczkowskiego stowarzyszenie działało do lipca 2000 roku. W tym czasie w szpitalu dializowano 68 osób z czterech powiatów.

2000

Nowy zarząd od 2000 roku działał w składzie: Lesław Batkowski – prezes, J.J. Felisiak – wiceprezes, Elżbieta Kędzior – członek, Kazimierz Esmund – sekretarz, J. Zajac – skarbnik, B. Jareczkowski i Jan Błoch – członkowie. Komisja Rewizyjna: Adam Kudła – przewodniczący, Mariola Gołędziowska i Jolanta Urbanek – członkinie. Ustalono składki członkowskie na 5 zł miesięcznie.

Do zrealizowanych pilnych zadań stowarzyszenia należy zaliczyć wymianę okien na szczelne, zamontowanie klimatyzatorów lub wiatraków w salach dializacyjnych, zaopatrzenie oddziału w odpowiednie dializatory, cewniki, stazy, szafki przyłóżkowe, stoliki „zabiegowe”, zorganizowanie szatni dla pacjentów (stąd obowiązkowe przebieranie się wszystkich pacjentów), zakup aparatów do mierzenia ciśnienia do każdej sali i zakup nowego sprzętu do dializ, tzw. nerek, zakup niezbędnych środków opatrunkowych, środków do tamowania krwi (Spongostan), cienkich igieł, plastrów opatrunkowych dla każdego pacjenta. Ważnym tematem dyskusji było zwiększenie liczby średniego personelu medycznego (pielęgniarek), popularyzacja wśród pacjentów i potencjalnych pacjentów literatury na temat leczenia nerkozastępczego, informacja o możliwościach wypoczynku i wyjazdach gościnnych do innych ośrodków dializacyjnych, sporządzenie bazy takich miejsc, zwiększenie oddziaływania systemowego na ZUS, by pacjenci dializowani obligatoryjnie otrzymywali I grupę rentową. Najważniejszym zadaniem było powiększenie oddziału nefrologii poprzez budowę od podstaw stacji dializ w pomieszczeniach obok izby przyjęć, co rozwiązałoby problemy zakładu dializ i wskazało potrzebę stworzenia „sztucznej nerki” w Zielonej Górze.

2001

„Gazeta Lubuska”, 3 lipca [tami] donosiła o pomocy stowarzyszenia „Nerka”:

Fotel zamiast łóżka. Pacjenci oddziału nefrologicznego Szpitala Wojewódzkiego w Zielonej Górze są dializowani, siedząc wygodnie w fotelach niemieckiej firmy „Kronopol”. Pięć foteli do

dializ trafiło na oddział dzięki stowarzyszeniu „Nerka”, które zakupiło je za pieniądze sponsorów i Urzędu Miejskiego. Koszt jednego fotela wynosi 4 tys. marek. Ułatwiają one pracę obsłudze szpitala, są łatwiejsze w utrzymaniu i wygodniejsze dla pacjentów. Ci, którzy dializowaniu są w fotelach, nie chcą wrócić do tradycyjnego leczenia.

Siedziba stowarzyszenia od czerwca 2000 mieściła się w Zielonej Górze przy ul. 1 Maja 11/4. Trzy razy następowała zmiana miejsca. Kolejne adresy to: Szpital Wojewódzki, ul. Zyty 26 na Oddziale Nefrologii i Stacji Dializ, następnie ul. Sienkiewicza 9 w firmie „Fair” i ostatnia na ul. Lisowskiego 1-3, I piętro, pokój nr 7. Firma Auditingu i Rachunkowości „Fair” prowadziła obsługę księgową „Nerki” od 21 sierpnia 2000 do 2013 roku. Potem zajęła się tym wolontariuszka Halina Kamińska. Od 2005 stowarzyszenie jest organizacją pożytku publicznego, rozlicza się z otrzymywanego 1% podatku.

2002

W kwietniu w ośrodku dializowane były 74 osoby. Dr Felisiak, ordynator nefrologii i stacji dializ, informował, że w obecnej sytuacji „nie ma możliwości nowych przyjęć pacjentów również z Zielonej Góry”. Powstał problem nowej stacji z większą ilością stanowisk „sztucznej nerki”.

2008

W listopadzie prezesem stowarzyszenia „Nerka” została Bogumiła Burda, wiceprezesem J.J. Felisiak. Do zarządu weszli Leszek Olejnik – sekretarz, J. Zając – skarbnik, E. Kędzior i Andrzej Diaczk – członkowie. Członkowie zarządu pełnili od samego początku swoje funkcje społecznie. Do prac włączyła się Małgorzata Masłowska. „Nerka” rozwiązywała bieżące problemy, wynikające z harmonogramu dializ. Wprowadziła rotacyjną zmianę dializ co trzy miesiące i ustanowiła niedzielę jako dzień wolny.

2009

15 czerwca za zgodą rektora Uniwersytetu Zielonogórskiego stowarzyszenie przygotowało i przeprowadziło akcję promocyjną

„Przeszczep darem życia” podczas pikniku dla pracowników UZ. 9 i 20 czerwca „Nerka” współorganizowała V Lubuskie Spotkania Dializoterapeutyczne w Iłowie Żagańskiej. Tematem była dializa otrzewnowa. 15-lecie Stowarzyszenia obchodzono w Janowcu w Karczmie Taberska. Członkowie „Nerki”, ich rodziny, zaproszeni goście, osoby po przeszczepach zwiedzili wtedy zabytkowy kościół pw. Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny w Klepsku.

29 września „Nerka” i Stowarzyszenie Amazonki przygotowały dzień otwarty dla mieszkańców Zielonej Góry, wykorzystując hasła „Przeszczep darem życia” i „Nie daj się rakowi”. W tym czasie „Nerka” nawiązała współpracę z firmami Roche Polska i Fresenius Medical Care Polska oraz z Ogólnopolskim Stowarzyszeniem Osób Dializowanych w Krakowie.

2011

5 października na zielonogórskim deptaku odbył się dzień otwarty pod hasłem „Przeszczep darem życia. Transplantologia – jestem na tak”. W listopadzie odbyło się walne zgromadzenie. Z prac w zarządzie zrezygnowali Leszek Olejnik i A. Diaczuk, sekretarzem została M. Masłowska, członkiem zarządu Krzysztof Orpel.

2012

W lutym 2012 roku uzyskano ponad 700 kilogramów darów od pana Krzysztofa Hnata, które rozdysponowano na stacji dializ wśród członków stowarzyszenia i osób dializowanych. W czerwcu został ogłoszony konkurs na scenariusz zajęć, lekcji wychowawczych dla nauczycieli i wychowawców pt. „Przeszczep darem życia. Transplantologia jestem na tak”. We wrześniu i październiku w ramach projektu „Przeszczep darem życia. Transplantologia jestem na tak” odbyły się wykłady w szkołach ponadgimnazjalnych w Zielonej Górze: w Zespole Szkół Technicznych, Zespole Szkół Ekonomicznych i Zespole Szkół Budowlanych, Projekt był współfinansowany przez Miasto Zielona Góra. We wrześniu w ramach projektu „Nie jesteś sam. Powiedz o tym innym” odbył się piknik rodzinny „Poznajemy kulturę Regionu Kozła” i „Wszystko o ziemniaku”. Do członków „Nerki” dołączył zespół ze Zbąszynka. Wydano oświadczenie woli

o przekazaniu narządów po śmierci z logo „Nerki”. Wydrukowano tzw. zeszyty pacjenta.

2013

Przez rok, od 9 czerwca do 22 czerwca 2014 roku zarząd OS „Nerka” pracował w składzie: B. Burda – prezes, J.J. Felisiak – wiceprezes, J. Zając – skarbnik, M. Masłowska – sekretarz, E. Kędzior, K. Orpel – członkowie. Komisja Rewizyjna: Maria Stasińska – przewodnicząca, Zofia Nodzyńska – zastępca, A. Kudła – członek komisji.

Od 14 do 16 czerwca w Hłowie Żagańskiej odbyły się VII Lubuskie Spotkania Dializoterapeutyczne. 31 sierpnia w siedzibie przy ul. Lisowskiego szkolono pacjentów w zakresie dializy otrzewnowej. Akcję zorganizowali: oddział nefrologii, stacji dializ oraz firma Medical.

30 września i 1 października w gimnazjach nr 6 i 7 w Zielonej Górze odbyły się wykłady lekarza nefrologa E. Szewczyk w celu przybliżenia młodzieży idei transplantacji. Wyjaśniono pojęcia przeszczep, dializa otrzewnowa, przeszczep jako problem społeczny, przeszczep rodzinny. „Nerka” przygotowała reportaż wyemitowany przez TVP 3.

2 października stowarzyszenie zorganizowało dla mieszkańców Zielonej Góry dzień otwarty. W Lubuskim Teatrze rozstrzygnięto skierowany do młodzieży konkurs wiedzy o transplantacji. Wykład o przeszczepianiu narządów wygłosił dr Wojciech Światała. 19 października roku w Centrum Integracji Społecznej w Zielonej Górze przy ul. Staszica 4 odbył się wykład anestezjologa dr. Bartosza Kudlińskiego pt. „Długotrwałe dostępy naczyniowe do dializ. Cewniki”. Wykładu wysłuchali członkowie stowarzyszenia, lekarze, personel nefrologii i stacji dializ.

23 października odbyło zebranie wyborcze członków OS „Nerka” z Żar, na którym powołano zarząd w składzie: Anna Przydatek, Lesław Żaba, Włodzimierz Szymczak.

Do zielonogórskiej stacji dializ i na oddział nefrologii zakupiono ultrasonograf w kwocie 55 tys. zł (do zapłaty w trzech ratach).

2014

W styczniu zarząd OS „Nerka” uczestniczył w obchodach Światowego Dnia Transplantacji w szpitalu w Gorzowie Wlkp.

17 lutego na zebraniu zarządu omówiono kwestię użyczenia na trzy miesiące urządzenia BCM, które sprawdza stan nawodnienia pacjentów hemodializowanych (koszt urządzenia 36 tys. zł). Umowę zawarto z Medical Fresenius Care.

17 marca „Nerka” spotkała się z młodzieżą Gimnazjum im. Jana Pawła II w Świdnicy, którą opiekuje się Małgorzata Furmanek, propagatorka idei wolontariatu. Tematem były przeszczepy i życie po przeszczepie. 21 marca B. Burda, Nela Urbańska i K. Orpel wzięli udział w konferencji „Przeszczep darem życia” w Gimnazjum im. Henryka Brodatego w Nowogrodzie Bobrzańskim.

8 czerwca członkowie stowarzyszenia wzięli udział w pikniku zdrowia na terenie Wojewódzkiego Ośrodka Sportu i Rekreacji w Drzonkowie.

Od stycznia 2014 do 31 maja 2015 zarząd pracował w składzie B. Burda – prezes, dr I. Habura – wiceprezes, J. Zajęc – skarbnik, M. Masłowska – sekretarz, E. Kędzior i K. Orpel – członkowie. Skład Komisji Rewizyjnej nie zmienił się. Członkowie honorowi to B. Jareczkowski, Piotr Różański, Andrzej Toczewski, L. Batkowski.

30 września odbył się na zielonogórskim deptaku dzień otwarty z pokazem pierwszej pomocy i wykładem pt. „Przeszczep darem życia, choroby nerek i dializa” lekarza nefrologa E. Szewczyk w siedzibie rektoratu UZ.

26 października w Muzeum Ziemi Lubuskiej odbyły się obchody 20-lecia „Nerki”; wręczono statuetki Przyjacieli Ogólnopolskiego Stowarzyszenia „Nerka”. 29 października członkowie Stowarzyszenia wzięli udział w konferencji „Becenny dar, można, warto, trzeba. Transplantacja i krwiodawstwo”, zorganizowanej przez Uniwersytet Zielonogórski. 21 listopada odbyło się szkolenie z dializy otrzewnowej, które prowadziła dr S. Sobotkiewicz-Cyran z oddziału nefrologii.

2015

7 kwietnia to jubileusz 40-lecia stacji dializ. 13 maja odbył się dzień otwarty i konsultacje medyczne z nefrologiem, pielęgniarkami z nefrologii i stacji dializ.

31 maja na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym członków „Nerki” z Zielonej Góry i Żar powołano dwie komisje: skrutacyjno-mandatową w składzie A. Kudła, A. Przydatek, Maria Sałacińska oraz uchwał i wniosków w składzie L. Żaba, Marek Osyczka, Marek Pentek.

Również 31 maja w Filharmonii Zielonogórskiej odbył się koncert charytatywny na rzecz naszego przyjaciela i pacjenta dializowanego Krzysztofa Orpela. Podczas koncertu wystąpił Żeński Chór „Polirytmia” z Młodzieżowego Centrum Kultury i Edukacji „Dom Harcerza” w Zielonej Górze.

21 czerwca podczas rejsu po Odrze w Cigacicach członkowie stowarzyszenia spotkali się na pikniku integracyjnym. Szkolenia z dializy otrzewnowej odbyły się 27 sierpnia (prowadziła Ewa Gudaniec, pielęgniarka ze stacji dializ) oraz 4 grudnia (Izabela Popławska z Fresenius Medical Care). 27 października „Nerka” uczestniczyła w uniwersyteckiej konferencji „Bezcenny dar, jaki będzie w przyszłości”.

2016

12 lutego miały miejsce lubuskie obchody Światowego Dnia Transplantacji, zorganizowane przez Urząd Wojewódzki w Zielonej Górze. Na konferencji wystąpili dr hab. n. med. Maciej Głyda, konsultant wojewódzki w dziedzinie transplantologii, Izabela Brzychcy, koordynator ds. transplantacji Wojewódzkiego Szpitala Wielospecjalistycznego w Gorzowie Wielkopolskim. Podopieczna OS „Nerka” Kasia Matysik opowiedziała swoją historię choroby – miała dwa przeszczepy nerki. Głos zabrał ks. dr Mariusz Dudka z diecezji zielonogórsko-gorzowskiej, przypominając o słowach poparcia papieża Jana Pawła II dla idei przeszczepów i ratowania w ten sposób ludzkiego życia.

12 marca odbył się I Lubuski Zjazd Osób Po Przeszczepie Nerek, w tym wspólne rozmowy lekarzy, pielęgniarek i pacjentów

Klinicznego Oddziału Nefrologii i Stacji Dializ w Zielonej Górze, porady psychologa Moniki Kawki. 18 maja odbył się na deptaku dzień otwarty, który niezmiennie cieszył się zainteresowaniem mieszkańców miasta.

Wiele radości w życie chorych dializowanych wnoszą pikniki, które od wielu lat odbywają się na terenie Ziemi Lubuskiej, wyjazdy turystyczne, np. do parku Mużakowskiego, bale charytatywne z loterią i aukcją jako sposobami zdobywania pieniędzy dla zaspokojenia potrzeb osób dializowanych oraz zielonogórskiej stacji dializ. Dlatego działania te będą przez stowarzyszenie kontynuowane.

Marek Budniak

**STANISŁAW JABORSKI, SKAZANY
NA KARĘ ŚMIERCI ZA SZPIEGOSTWO
W ŚWIELE DOKUMENTÓW WOJSKOWEGO
SĄDU REJONOWEGO W ZIELONEJ GÓRZE**

24 marca 1954 roku o godz. 20.05 w więzieniu przy ul. Łużyckiej w Zielonej Górze, został rozstrzelany Stanisław Jaborski. Wyrok wykonano zgodnie z decyzją Wojskowego Sądu Rejonowego w Zielonej Górze z dnia 24 października 1953 roku¹. Skazanemu zarzucono, że będąc urzędnikiem państwowym (pracownik Polskich Kolei Państwowych), „działając na szkodę Państwa Polskiego, gromadził i przekazywał wiadomości, stanowiące tajemnicę państwową”; współpracował z wywiadem amerykańskim².

W zasobach archiwalnych Oddziału Poznańskiego Instytutu Pamięci Narodowej znajduje się dokumentacja sądowa, wyjaśniająca okoliczności tej tragicznej sprawy. Składają się na nią przede wszystkim protokoły przesłuchań, akt oskarżenia, protokół rozprawy głównej, wyrok, protokół wykonania kary śmierci³. Na ich podstawie podjąłem próbę rekonstrukcji wydarzeń, mając głównie

¹ Instytut Pamięci Narodowej, Oddział Poznań [dalej: IPN Po], Zespół Archiwalny Wojskowego Sądu Rejonowego w Zielonej Górze, sygn. 401/23, k. 301, *Protokół z wykonania kary śmierci Stanisława Jaborskiego*.

² *Ibidem*, k. 283, *Wyrok z dnia 24 października 1953 r.*

³ *Ibidem*, *Sprawa karna przeciwko Stanisławowi Jaborskiemu*.

na celu poznanie motywów, ale także zrozumienie sensu działań podejmowanych przez Stanisława Jaborskiego – kolejarza ze Świebodzina, męża i ojca dwójki dzieci, który w okresie największego terroru stalinowskiego, świadomie podjął działalność przeciwko Polsce Ludowej. Chciałbym ustalić, czy na to, że współpracował z wywiadem amerykańskim miały wpływ jego poglądy, postrzeganie świata, wrogi stosunek do systemu komunistycznego; co ostatecznie zaważyło, iż podjął się tak ryzykownej działalności?

Urodził się 22 października 1919 roku w Pałędziu, województwo poznańskie, w rodzinie katolickiej Franciszka i Genowefy Jaborskich. Wychowywał się wśród pięciorga rodzeństwa. Ojciec pracował na kolei. Stanisław Jaborski po ukończeniu w 1936 roku Szkoły Wydziałowej im. Karola Libelta w Poznaniu rozpoczął pracę w Zakładach Przemysłowych „Herkules” w Poznaniu, tam również był zatrudniony przez cały okres wojny. Po jej zakończeniu zgłosił się do pracy na kolei, gdzie pracował z ojcem i starszym bratem. Najpierw zatrudniony był w Pałędziu, a następnie przeniesiono go służbowo na stację Rzepin (1947 roku). Wraz z żoną Janiną i dwójką dzieci zamieszkał w służbowym mieszkaniu na stacji kolejowej w Świebodzinie. Po ukończeniu kursu ajenta został skierowany do odpraw pociągów na Punkcie Zdawczo-Odbiorczym PKP we Frankfurcie nad Odrą (1950 roku)⁴.

We Frankfurcie nad Odrą poznał Czesława Przybylskiego, który w lutym 1952 roku uciekł do Berlina Zachodniego, gdzie nawiązał kontakt z wywiadem amerykańskim i zaczął z nim współpracę. Zorganizował siatkę agentów, w której m.in. znalazło się niemieckie rodzeństwo Schusterów, Günter i Gerda z Frankfurtu nad Odrą. W kwietniu 1952 roku Günter Schuster dotarł do Stefana Jaborskiego z pisemną prośbą od Przybylskiego, aby skontaktował się z jego żoną i synem, mieszkającymi w Rzepinie, przekazując informację o jego dobrym zdrowiu i bezpiecznym pobycie w Berlinie Zachodnim⁵. Miał również wziąć od Władysławy Przybylskiej książeczkę

⁴ *Ibidem*, k. 11, *Protokół z przesłuchania Stanisława Jaborskiego z dnia 24 stycznia 1953 r.*

⁵ *Ibidem*, k. 12.

wojskową, metrykę urodzenia oraz legitymację partyjną – nie udało się ustalić czy była to PZPR czy może nie istniejące już PSL. Przybylskiemu dokumenty te były potrzebne do uwiarygodnienia swojej osoby przed wywiadem amerykańskim i formalnym rozpoczęciem współpracy. Stanisław Jaborski dotarł pod wskazany adres i przekonał Przybylską, aby wydała dokumenty męża, które następnie przez łączniczkę Gerde Schuster trafiły do Berlina.

Zanim Jaborski zaczął regularnie wykonywać zadania agenta wywiadu amerykańskiego, kilka razy przyjął zlecenia nielegalnego przewiezienia przez granicę dolarów amerykańskich, zegarków szwajcarskich oraz chustek szyfonowych. Otrzymywał za to pieniądze.

W połowie lipca 1952 roku Czesław Przybylski, poprzez łącznika, przedstawił Jaborskiemu formalną propozycję wykonywania zadań na rzecz Ośrodka Wywiadu Amerykańskiego w Berlinie Zachodnim. Była również mowa o pieniądzach. Jaborski zgodził się po kilku dniach namysłu. Zgodnie z procedurą jako nowy agent musiał dostarczyć Przybylskiemu swój życiorys, przygotować spis krewnych. Pierwsze zadanie Jaborskiego polegało na zorganizowaniu we wskazanych miastach sieci ukrytych skrzynek, służących do przekazywania meldunków i utrzymywania kontaktu operacyjnego z innymi agentami wywiadu.

Jaborski poradził sobie z tym zadaniem bez większych problemów – założył skrzynki kontaktowe oraz wykonał szkice ich lokalizacji, o czym zameldował do centrali przez łącznika z Frankfurtu. W siatce przez niego założonej znalazły się: Poznań, Wrocław, Zielona Góra, Świebodzin, Krosno Odrzańskie. Ukryte skrzynki znajdowały się najczęściej w parkach, przy ostatnich przystankach tramwajowych, stadionach sportowych, w okolicach torów kolejowych itp. W każdym z miast były dwie skrzynki⁶. Wiele razy, w następnych miesiącach, Jaborski umieszczał i odbierał z nich przesyłki, m.in. różne dokumenty, zaświadczenia o zameldowaniu i pracy, instrukcje, pieniądze polskie i zagraniczne. Był bardzo sprawny organizacyjnie i szybko przemieszczał się między miastami. Będąc kolejarem,

⁶ *Ibidem*, k. 14.

posiadając mundur, legitymację mógł poruszać się, korzystając z komunikacji kolejowej, czasami także korzystał z autobusów.

W grudniu 1952 roku przystąpił, zgodnie z poleceniem centrali, do zorganizowania sieci skrzynek w kolejnych miastach Polski: Szczecin, Bydgoszcz, Gorzów Wlkp., Gubin. Innym ważnym zadaniem, nad którym zaczął pracować już od listopada 1952 roku było zbudowanie siatki szpiegowskiej w dyrekcjach Polskich Kolei Państwowych w Poznaniu, Bydgoszczy oraz w oddziale zielonogórskim. Z protokołów przesłuchań nie wynika, aby zadanie to zostało ukończone. Być może przeszkodziło mu w tym aresztowanie, które miało miejsce 23 stycznia 1953 roku.

W czasie współpracy z wywiadem, od połowy lipca 1952 roku do 23 stycznia 1953 roku, Stanisław Jaborski przekazał przez łączników 25 meldunków szpiegowskich – średnio jeden na tydzień⁷. Zgodnie z instrukcją znajdowały się w nich przede wszystkim informacje na temat ruchu pociągów na linii Frankfurt n. Odrą – Brześć, rodzaju przewożonego ładunku, ilość wagonów itp. W meldunkach umieszczał również inne cenne wiadomości, które udało mu się zdobyć, np. opisał sposób wydawania dowodów osobistych w Polsce, przedstawił szczegóły dwóch katastrof kolejowych, komentując, że zostały zorganizowane przez podziemie antykomunistyczne⁸.

Bogatym wątkiem wielokrotnie poruszonym w meldunkach są dane personalne osób, pracujących w kolejowych granicznych punktach zdawczo-odbiorczych Urzędu Celnego w Kunowicach. Wskazał osoby podatne „na werbunek” do współpracy z wywiadem amerykańskim⁹. Rozpracował wywiadowczo jednostkę Wojsk Ochrony Pogranicza w Kunowicach.

Szczegółowo informował o wszystkich nowych zarządzeniach władz w obszarze kolejnictwa polskiego. Zdobywał i przekazywał wiadomości gospodarcze. Jednym z jego informatorów był kierownik biura wagonowego w Czerwieńsku, Sylwester Fabiś¹⁰,

⁷ *Ibidem*, k. 246, *Akt oskarżenia*.

⁸ *Ibidem*, k. 246.

⁹ *Ibidem*, k. 247.

¹⁰ Został aresztowany, a następnie skazany przez WSR w Zielonej Górze za nieuprawnione przekazywanie wiadomości, do których miał dostęp

od którego uzyskał dane na temat produkcji w Zaodrzańskich Zakładach Przemysłu Metalowego im. Marcelego Nowotki w Zielonej Górze oraz ruchu pociągów tranzytowych na stacji Czerwieńsk. Z terenu województwa zielonogórskiego podał również informacje o Fabryce Mebli w Świebodzinie i Fabryce M-12.

W meldunkach szpiegowskich znalazł się też bardzo ciekawy raport na temat transportów do Związku Radzieckiego rudy uranu, wydobywanego w Kowarach koło Jeleniej Góry¹¹. Jaborski interesował się także sprawami wojska. Pozyskał i przekazał informacje na temat jednostek rozlokowanych wzdłuż Odry.

W akcie oskarżenia skierowanym do Prokuratury Wojskowej znajduje się zdanie, że „Jaborski otrzymał od wywiadu amerykańskiego polecenie dokonywania aktów sabotażu i dywersji na odcinku kolejnictwa”¹². Jednak to oskarżenie nie znalazło potwierdzenia w zeznaniach Jaborskiego. Wydaje się, że było ono samodzielnie dodane przez ubeckich śledczych.

Główną drogą kontaktu Stanisława Jaborskiego z centralą wywiadowczą w Berlinie Zachodnim byli łącznicy, rodzeństwo Schusterów, z którymi spotkał się we Frankfurcie. W listopadzie 1952 roku zaczęto przygotowywać alternatywne sposoby kontaktów w formie listów z „utajnionymi” informacjami. Miały one wejść w momencie przerwania kontaktów z łącznikami. Przekazano Jaborskiemu specjalny proszek do sporządzania niewidzialnego atramentu i adresy berlińskie¹³. Do momentu aresztowania jednak nie musiał korzystać z tego rozwiązania. Meldunki, które przygotował i przekazał przez niemieckich łączników, podpisywał dużą literą „E” oraz dopisywał kolejne liczby rzymskie. Ostatni oznaczył: „E – XXV”¹⁴.

Wywiad amerykański w ciągu półrocznej współpracy przesłał Jaborskiemu łącznie 5900 zł oraz cztery zegarki ręczne. Gotówka

jako urzędnik państwowy – IPN Po, sygn. 2/2002, *Sprawa karna przeciwko Sylwestrowi Fabiś*.

¹¹ *Ibidem*, k. 248, *Akt oskarżenia*.

¹² *Ibidem*, k. 247.

¹³ *Ibidem*, k. 248.

¹⁴ *Ibidem*, k. 249.

była przekazywana – średnio po 1000 zł – przez Schusterów¹⁵. Większość tych pieniędzy i zegarki znaleziono w czasie rewizji w jego mieszkaniu w Świebodzinie.

W okresie współpracy z Amerykanami, Jaborski kilka razy przewiózł również przez granicę, w celach zarobkowych, kilkaset dolarów oraz kilkadziesiąt zegarków ręcznych. Ten proceder organizował „Wujek”, mieszkaniec Berlina¹⁶.

Działalność szpiegowską Jaborski prowadził do momentu aresztowania, które miało miejsce 23 stycznia 1953 roku. Tego dnia przyjechał rano do Poznania, aby odebrać pod wskazanym adresem meldunek. Kiedy tam dotarł, poinformowano go, że niczego dla niego nie ma. Wrócił po kilku godzinach, jednak przesyłki nadal nie było. Postanowił więc wrócić do domu. Na Dworcu Zachodnim w Poznaniu został aresztowany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Wszystko wskazuje, że była to akcja zaplanowana. Zatrzymanie nie miało charakteru przypadkowego. Został umieszczony w areszcie śledczym Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu¹⁷. Tutaj odbyły się pierwsze przesłuchania (24 stycznia 1953 roku). Oficer śledczy ppor. Gałęcki, wiedział, że przesłuchuje szpiega amerykańskiego, ponieważ kazał mu opowiedzieć o działalności szpiegowskiej¹⁸.

Z protokołu przesłuchania wynika, że Jaborski przyznał się do szpiegostwa już na samym początku, nie można jednak wykluczyć, że zmuszono go do tego siłą. Szeroko przedstawił okoliczności, w jakich doszło do nawiązania jego współpracy z Amerykanami; opisał szczegółowo swoją działalność, podał nazwiska osób, z którymi się kontaktował oraz sposób kontaktów, łącznie z tym, że wskazał miejsce poznańskich skrzynek kontaktowych¹⁹. Protokół został napisany przez oficera przesłuchującego ręcznym piśmem na dziewięciu

¹⁵ *Ibidem*.

¹⁶ *Ibidem*.

¹⁷ *Ibidem*, k. 11, *Protokół z przesłuchania Stanisława Jaborskiego z dnia 24 stycznia 1953 r.*

¹⁸ *Ibidem*.

¹⁹ *Ibidem*, k. 13.

stronach. Na każdej figuruje podpis Stanisława Jaborskiego. Wszystkie strony są czytelne i dobrze zachowane.

Po kilku dniach Jaborski został przewieziony do Zielonej Góry i tu kontynuowano śledztwo w WUBP przy ul. Wazów. Pierwszy protokół przesłuchań pochodzi z 28 stycznia 1953 roku. Dopiero jednak 12 sierpnia 1953 roku postanowiono pociągnąć go do odpowiedzialności karnej, zarzucając płątną działalność szpiegowską na rzecz wywiadu amerykańskiego, a także, że „jako urzędnik kolejowy uchylając się od kontroli dewizowej, systematycznie przeprowadzał przez granicę Państwa Polskiego wartości dewizowe i materialne”²⁰.

Jako podstawę prawną przywołano zapisy artykułów: 6, 7, 15 Dekretu z 13 czerwca 1946 roku dotyczące prowadzenia działalności szpiegowskiej przez funkcjonariusza państwowego. Za to przestępstwo groziła kara śmierci²¹. Z kolei w przypadku przestępstwa dewizowego podano art. 2 § 1, 2, 3 Ustawy karnej dewizowej²² oraz art. 48 § 1 Dekretu z 11 kwietnia 1947 prawo karne skarbowe²³. W przypadku tych przestępstw groziła mu kara do pięciu lat więzienia i finansowe grzywny.

Postanowienie o pociągnięciu do odpowiedzialności karnej podpisał ppor. Stefan Suterski, funkcjonariusz WUBP w Zielonej Górze. Postać ta towarzyszyła Jaborskiemu przez cały okres zielonogórskiego śledztwa. To S. Suterski przesłuchiwał, samodzielnie protokółował jak również sformułował akt oskarżenia. Nie ma wątpliwości, że używał bardzo brutalnych metod, ponieważ składne zeznania są szczegółowe i obszerne, padają też nazwiska osób, z którymi Stanisław Jaborski współpracował. W trakcie rozprawy, Jaborski stwierdził, że zeznania były na nim

²⁰ *Ibidem*, k. 231, *Postanowienie o pociągnięciu do odpowiedzialności karnej Stanisława Jaborskiego*.

²¹ *Dekret z 13 czerwca 1946 r. o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy Państwa*, Dz.U. 1946, nr 30, poz. 192.

²² *Ustawa karna dewizowa z dnia 28 marca 1952 r.*, Dz.U. nr 21 poz. 134.

²³ *Dekret z 11 kwietnia 1947 r. Prawo karne skarbowe*, www.isop.sejm.gov.pl [dostęp: 26.06.2017].

wymuszane²⁴. Z informacji, jakie również podał Piotr Jaborski, brat Stanisława, wynika, że w lutym 1953 roku, był on wiele razy nago zamykany w karcerze i zmuszany do spania na betonie. Szantażowano go także mówiąc, że jak będzie zeznawał, to żona zostanie uwolniona²⁵.

Wśród archiwaliów źródłowych znalazłem kilka bardzo starannie wykonanych przez Jaborskiego planów ukrycia szpiegowskich skrzynek kontaktowych m.in. w Poznaniu, Wrocławiu, Zielonej Górze oraz Świebodzinie. Odnaleziono wszystkie te miejsca i wykonano dokumentację fotograficzną²⁶. Zostały dokładnie opisane kolejne czynności, jakie wykonał organizując w sierpniu 1952 roku dwie skrzynki kontaktowe w Zielonej Górze na ulicy Ptasiej i Kilińskiego²⁷.

25 sierpnia 1953 roku sporządzono akt oskarżenia. Powtórzono w nim wszystkie zarzuty z dokumentu o postawieniu do odpowiedzialności karnej. Kolejny etap polegał na skierowaniu sprawy do Rejonowej Prokuratury Wojskowej w Zielonej Górze, która po zapoznaniu się, podejmowała decyzję o jej dalszym biegu. Prokurator mógł ponownie przesłuchać oskarżonego, jak również świadków, ale mógł również od tego odstąpić. W tym przypadku, kpt. Jan Kaluba podjął decyzję o uzupełnieniu materiału dowodowego o przesłuchanie w charakterze świadka Janiny Jaborskiej, żony Stanisława. Jednak do tego nie doszło, ponieważ uciekła ona ze Szpitala Psychiatrycznego w Obrzycach, w którym była przetrzymywana. Wysłano za nią listy gończe²⁸. Jak podał później Piotr Jaborski, we wniosku do Sądu Najwyższego z marca 1996 roku, w którym zwracał się o unieważnienie wyroku brata Stanisława, nie doszło do skazania jej na więzienie, choć przez jakiś czas była przetrzymywana przez UB²⁹.

²⁴ IPN Po, sygn. 401/23, k. 265-266, 269, *Protokół rozprawy głównej z dnia 23 października 1953 r.*

²⁵ *Ibidem*, k. 360, *Wniosek Piotra Jaborskiego do Sądu Najwyższego w Warszawie.*

²⁶ *Ibidem*, k. 183-225, *Fotografie.*

²⁷ *Ibidem*, k. 74, *Protokół z przesłuchania z 31 stycznia 1953 r.*

²⁸ *Ibidem*, k. 254, *Notatka służbowa.*

²⁹ *Ibidem*, k. 310, *Wniosek Piotra Jaborskiego do Sądu Najwyższego z dnia 12 marca 1996.*

Prokurator Wojskowy przesłał sprawę Stanisława Jaborskiego do ostatecznego rozpatrzenia przez Wojskowym Sądem Rejonowym w Zielonej Górze. Rozprawa odbyła się 23 października 1953 roku w siedzibie Sądu przy ul. Chrobrego. Przewodniczył jej kpt. Mieczysław Mirski. W składzie orzekającym znaleźli się również: sędzia wojskowy por. Henryk Adamiec oraz ławnik, chor. Wacław Wilczyński. Z ramienia Rejonowej Prokuratury Wojskowej oskarżał sam jej szef, kpt. Zbigniew Domino³⁰. Zażądał kary śmierci dla oskarżonego. Postępowanie sądowe trwało jeden dzień. Mimo iż Stanisław Jaborski próbował odwoływać swoje zeznania mówiąc m.in., że żadnych skrzynek kontaktowych nie zakładał, a wszystko, co powiedział w czasie śledztw, było wymuszone na nim siłą, to jednak sędzia Mirski nie zakwestionował ustaleń śledztwa prowadzonego przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa³¹. W ostatnim słowie Stanisław Jaborski prosił Sąd o karę dożywocia – musiał zdawać sobie sprawę z tego, w jak w trudnej sytuacji się znalazł.

Wyrok został ogłoszony następnego dnia, 24 października 1953 roku; kara główna – wyrok śmierci, kary dodatkowe – pozbawienie praw publicznych i honorowych na zawsze oraz przepadek mienia³². Skład orzekający sporządził także swoją opinię na temat tego, czy skazany zasługuje na prawo łaski. Była ona dla Stanisława Jaborskiego bardzo nieprzychylna. Znalazły się w niej następujące sformułowania:

(...) z uwagi na to, że skazany dopuszczał się zdrady Ojczyzny przez dłuższy czas, zaprzedał interesy narodowe Polski Ludowej wywiadowi imperialistycznemu, wskazując przy tym duże nasilenie złej woli, że przestępstw swych dopuścił się z niewiści do Polski Ludowej – na ułaskawienie nie zasługuje³³.

Zgodnie z prawem wyrok wykonywano dopiero, po tym jak Prezydent Bierut lub Rada Państwa ewentualnie skorzystali z prawa

³⁰ *Ibidem*, k. 262, *Protokół rozprawy głównej*.

³¹ *Ibidem*, k. 272.

³² *Ibidem*, k. 280, *Wyrok*.

³³ *Ibidem*, k. 286, *Opinia składu sędziowskiego*.

laski. Procedura w tym wypadku trwała do 27 marca 1954 roku, wtedy WSR w Zielonej Górze otrzymał pismo z Najwyższego Sądu Wojskowego, informujące o odmowie ulaskawienia i zarządzające bezzwłoczne rozstrzelanie Stanisława Jaborskiego.

Prawdopodobnie Stanisław Jaborski cały ten okres (od października 1953 roku do 27 marca 1954 roku) spędził w więzieniu przy ul. Łużyckiej w Zielonej Górze. Zgodnie z procedurami nie mógł już przebywać w zwykłej celi. Był umieszczany w celi śmierci, w której poddawano go dalszym torturom, np. w nocy musiał spać przy zapalonym świetle.

Na podstawie protokołu wykonania wyroku śmierci wiemy, że został on wykonany w więzieniu w Zielonej Górze 27 marca 1954 roku o godz. 20.05. Obecni przy tym byli sędzia Mirski, prokurator Domino, naczelnik więzienia (podpis nieczytelny), dowódca plutonu egzekucyjnego (podpis nieczytelny) oraz lekarz Egon Dąbrowski. Z ilu osób składał się pluton egzekucyjny nie wiemy, ale dowódcą mógł być jeden z funkcjonariuszy WUBP w Zielonej Górze, ponieważ stosowano taką praktykę³⁴. Nie był obecny ksiądz, do którego miał prawo skazaniec. Czy znaczy to, że nie miał takiego życzenia, czy nie dano mu z tego prawa skorzystać – nie wiadomo³⁵.

Stracenie musiało się odbyć zgodnie z obowiązującymi procedurami. Opisał je ksiądz Hieronim Lewandowski, uczestnik 112 wyroków śmierci w latach 1945-1952 w Poznaniu³⁶:

Rozstrzelanie przebiegało w następujący sposób: potwierdzeniu tożsamości skazańca, wyprowadzano go z celi (...) przywiązywano do słupa, następnie prokurator po podaniu komendy

³⁴ Ustaliłem to na podstawie innych protokołów wykonania kar śmierci w Zielonej Górze, w których czytelne są nazwiska dowódców.

³⁵ Ustaliłem na podstawie sześciu protokołów wykonania kar śmierci w więzieniu w Zielonej Górze latach 1950-1954, że w żadnym nie uczestniczyła osoba duchowna, choć wszyscy straceni byli wyznania rzymskokatolickiego.

³⁶ H. Lewandowski, *Byłem kapelanem więziennym w latach 1945-1952*, „Biuletyn Informacyjny Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Okręgu Wielkopolska”, marzec 1992, nr 1.

baczność czytał (...) wyrok. Po zawiązaniu opaski na oczach skazańca pluton egzekucyjny składający się z co najmniej pięciu osób oddawał strzały. Lekarz badał skazańca; w wypadku stwierdzenia, że skazaniec żyje, dowódca plutonu miał obowiązek dobić go strzałem z broni krótkiej w skroń³⁷.

Ksiądz Lewandowski stwierdził również, że przebiegały one często jednak zupełnie inaczej, niż przewidywał regulamin, np. strzelano skazańcowi w tył głowy.

Kilka miesięcy temu, zbierając materiał badawczy, miałem możliwość wejścia na teren byłego więzienia, a obecnie aresztu śledczego w Zielonej Górze. Niestety, nie zdobyłem tam żadnych informacji na temat miejsca straceń sprzed 60 lat.

Sprawa Stanisława Jaborskiego w nie kończy się jednak na wykonaniu wyroku. W dokumentach źródłowych znajdujemy postanowienie Sądu Najwyższego – Izby Wojskowej w Warszawie z dnia 16 lipca 1996 r., unieważniające wydany wyrok śmierci³⁸. Wnioskodawcą w tej sprawie był Piotr Jaborski, brat Stanisława. Pół roku wcześniej zwrócił się do Sądu Garnizonowego we Wrocławiu, który odmówił postępowania i nie widział żadnych okoliczności, uzasadniających zastosowanie Ustawy z dnia 23 lutego 1991 r. o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego³⁹. Wówczas Piotr Jaborski zdecydował się sprawę skierować do Sądu Najwyższego w Warszawie. W uzasadnieniu, unieważniającym karę śmierci, Sąd Najwyższy nie przywołał ww. ustawy, lecz wskazał na uchybienie proceduralne WSR w Zielonej Górze w postępowaniu sądowym z 23 października 1953 roku, polegające na tym, że w składzie orzekającym było tylko dwóch sędziów i jeden ławnik, a powinno być trzech sędziów lub jeden sędzia i dwóch ławników⁴⁰.

³⁷ *Ibidem*, s. 9.

³⁸ IPN Po 401/23, k. 382-386, *Wyrok w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 16 lipca 1996 r.*

³⁹ Dz.U. 1991 nr 34 poz. 149, <http://isap.sejm.gov.pl/> [dostęp: 27. 07. 2017].

⁴⁰ Przywołano tu art. 18. *Dekretu z 23 września 1944 r. prawa o ustroju sądów wojskowych*, Dz.U. nr 6 poz. 29.

Dla historyka badającego problem oporu i walki z systemem komunistycznym na ziemiach polskich w latach 1945-1956, a którego częścią była również działalność szpiegowska na rzecz wywiadu amerykańskiego – takie rozstrzygnięcie Sądu Najwyższego po latach dziwi i jest zaskakujące.

Nie ma żadnych wątpliwości, że oskarżenie o szpiegostwo było jedną z najcięższych „zbrodni” przeciwko ówczesnemu Państwu Polskiemu – wskazywał na to najwyższy wymiar kary. Inne przestępstwa, których również się dopuścił Jaborski, mają na pewno znamiona zwykłej działalności kryminalnej – miał za to trafić do więzienia. Analiza skali popełnionych przestępstw – z jednej strony mamy skrajną działalność wymierzoną w ówczesny porządek państwowy, z drugiej typowe przestępstwa z materii nielegalnego dorabiania się – powodują, że nie możemy naszego bohatera jednoznacznie ocenić, choć życie odebrała mu władza komunistyczna za działalność przeciwko państwu. Uważam, że należy raczej Jaborskiego umieścić w panteonie „zwykłych ludzi”, którzy nie zawsze byli „kryształowo czysti”, dopuszczali się wykroczeń, ale w tych najbardziej istotnych sprawach udało się im stanąć po właściwej stronie. Musiało to wypływać przede wszystkim z braku akceptacji ówczesnej rzeczywistości politycznej i chęci przeciwstawiania się jej.

Jakie były główne motywy szpiegowskich działań Stanisława Jaborskiego? Czy na podstawie zebranego materiału badawczego można jednoznacznie je określić? Czy był rzeczywiście wrogiem Polski Ludowej? Śledczy i sędziowie jednoznacznie go ocenili, skazując na najwyższy wymiar kary. Historyk, badający dokumenty, potwierdza, że Stanisław Jaborski był agentem obcego wywiadu i działał na szkodę Polski Ludowej, za co otrzymywał pieniądze. Polska Ludowa nie była państwem suwerennym ani demokratycznym, działalność przeciwko niej była walką o jej niepodległy byt. Czy w takim razie przyjmowanie korzyści finansowych za działalność na jej szkodę możemy uznać za moralnie dopuszczalną? Czy Stanisława Jaborskiego można umieścić wśród narodowych bohaterów? Pojawia się problem, którego nie jesteśmy w stanie jednoznacznie rozstrzygnąć. Nie wiemy, jakie były prawdziwe przyczyny podjęcia działań szpiegowskich przez Stanisława Jaborskiego, czy

chodziło o zarobienie jeszcze większych pieniędzy, czy też rozpoczął on świadomą walkę z państwem, które zniewalało swoich obywateli? Jednak bez względu na pobudki przyczynił się do osłabienia komunistycznego państwa.

Izabela Korniluk

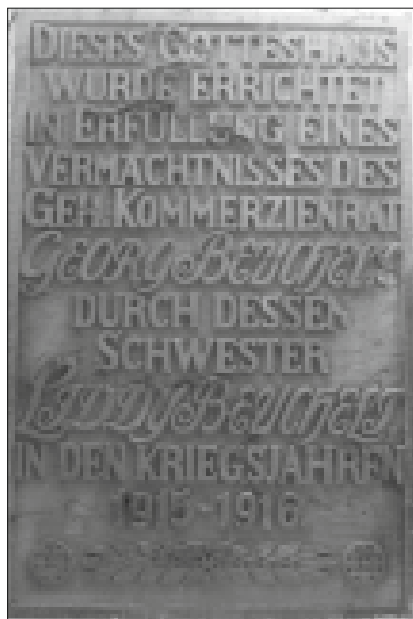
BUDOWA KOŚCIOŁA PW. ZBAWICIELA (ERLÖSERKIRCHE) W ZIELONEJ GÓRZE NA NIEZNANYCH FOTOGRAFIACH

W 2017 roku kościół pw. Najświętszego Zbawiciela w Zielonej Górze obchodził swój 100. jubileusz. Z tej okazji Dział Historyczny Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze przygotował wystawę poświęconą dostojnemu jubilatowi.

Na ekspozycję w Muzeum poświęconą kościołowi złożyły się m.in. plansze przedstawiające dzieje obiektu, parafii oraz działalność poszczególnych proboszczów, plany architektoniczne oraz przedwojenne i powojenne zdjęcia świątyni. Dzięki uprzejmości ks. Mirosława Maciejewskiego, obecnego proboszcza kościoła, zaprezentowano kilka cennych eksponatów, a wśród nich kielich mszalny, zabytkową monstrancję, pierwszą pieczętkę używaną od 1949 roku przez proboszcza Wincentego Kowalskiego i medal pamiątkowy wydany z okazji 50-lecia autorstwa Józefa Stasińskiego. Muzealnikom udostępniono także archiwalne dokumenty, wśród których znalazły się prawdziwe „perełki”. Do najcenniejszych należała dokumentacja techniczna przechowywana w oryginalnych teczkach z logo firmy Beuchelt & Co., która była odpowiedzialna za budowę kościoła. Można sądzić, po doskonałym stanie dokumentów i planów, że akta te znajdowały się w parafialnych pomieszczeniach ponad 100 lat. Kilka teczek było posegregowanych i opisanych

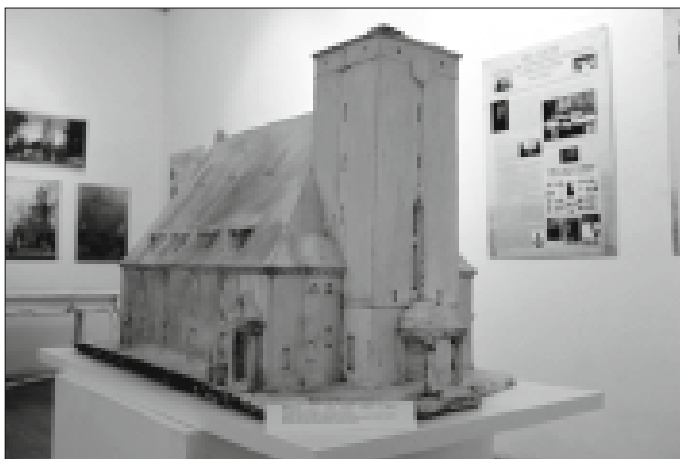
w języku polskim, najprawdopodobniej przez poprzedniego proboszcza parafii – ks. Konrada Herrmanna. Wśród archiwaliów warto odnotować dokumenty techniczne, oferty, kosztorysy, korespondencję z poszczególnymi firmami oferującymi swoje usługi, szkice czy dokładne plany architektoniczne poszczególnych fragmentów budynku. Z archiwaliów dowiadujemy się o poszczególnych etapach budowy świątyni.

Kościół, który miał być wotum błagalnym za poległych na frontach I wojny światowej żołnierzy, zaczęto wznosić w trakcie działań wojennych. Kamień węgielny pod budowę położono 21 marca 1915 roku. W kolejnym roku ukończono budowę. W niemieckim Grünbergu kościół otrzymał nazwę Erlöserkirche (Kościół Zbawiciela). Uroczyste poświęcenie świątyni nastąpiło 3 stycznia 1917 roku, w rocznicę urodzin Georga Beuchelta. Przypomina o tym tablica erekcyjna wmurowana w jedną ze ścian kruchty kościelnej. Tablica znajduje się cały czas na swoim pierwotnym miejscu, choć obecnie przysłonięta jest obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej.



Tablica erekcyjna: Kościół ten został wybudowany w spełnieniu zapisu testamentowego tajnego radcy handlowego Georga Beuchelta przez jego siostrę Liddy Beuchelt w latach wojny 1915-1916

Prawdziwym rarytasm wystawy okazała się 100-letnia gipsowa makieta kościoła, znaleziona w jednym z pomieszczeń wiodących na wieżę kościelną. Makieta znakomicie odwzorowuje zewnętrzne detale architektoniczne bryły świątyni, choć w niektórych aspektach rzeczywistość odbiega od projektu.



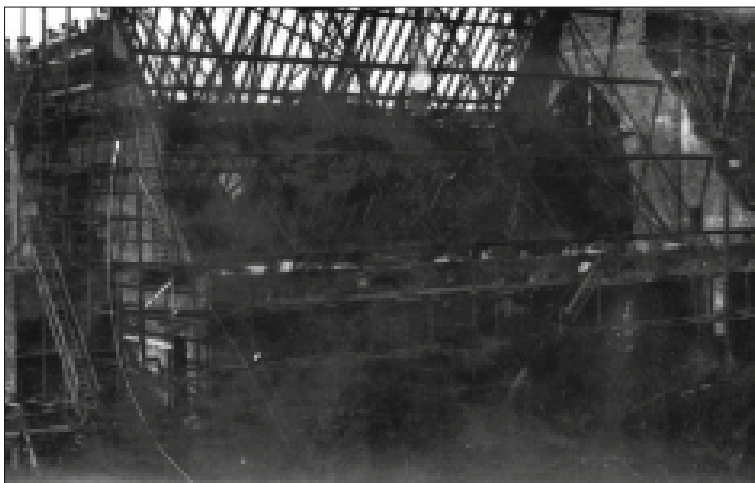
Makieta Kościoła pw. Zbawiciela

Część dokumentacji technicznej, zwłaszcza rysunków czy rzutów detali architektonicznych powiększono i przedstawiono na wystawie w postaci wydruków. Można było zobaczyć m.in. projekt wieży kościelnej, szkice ambony przy ołtarzu głównym, projekty dzwonnów, szkic świątyni od strony wejścia głównego czy projekt ołtarza głównego.

Całość przedwojennych materiałów archiwalnych, udostępnionych muzealnikom, przedstawia poszczególne etapy budowy świątyni, którą śledzić możemy dzięki zachowanej korespondencji. Podczas przygotowywania wystawy muzealnicy dotarli także do nieznanych do tej pory zdjęć z okresu wznoszenia budowli. Stanowią one wyjątkowy i jedyny w swoim rodzaju materiał źródłowy. Mowa tu o pięciu fotografiach udostępnionych Muzeum Ziemi Lubuskiej przez Eugeniusza Lutycza z Krosna Odrzańskiego.

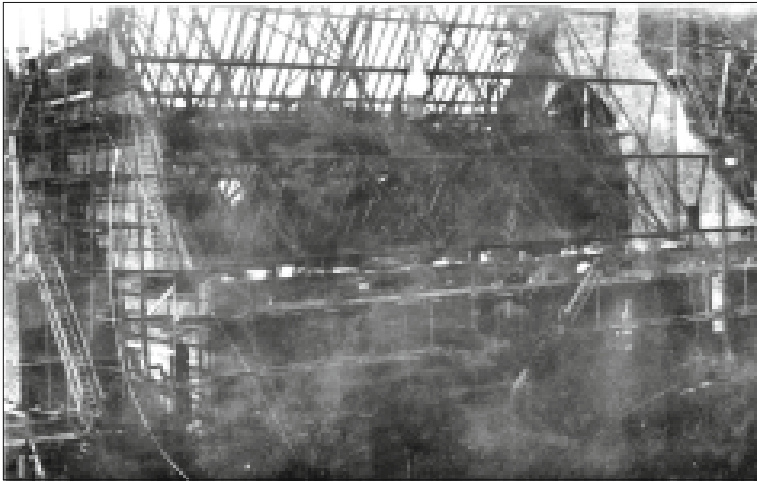
Fotografia numer 1

Z lat 1915-1917, czyli z okresu budowy kościoła przy dzisiejszej alei Niepodległości, nie posiadamy zbyt wielu ujęć. Jedno z najbardziej znanych, i jedyne, które jest w posiadaniu Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, przedstawia budowę dachu świątyni latem 1916 roku, a zrobione zostało z dachu domu sąsiadującego z parcelą, na której trwały prace budowlane. Uzyskane przez Muzeum dotąd nieznanie fotografie rzucają nowe światło na to właśnie ujęcie i pozwalają domniemywać, że zostało ono nieprawidłowo odbite ze szklanej płyty. Fotografia ze zbiorów E. Lutycza z okresu wznoszenia kościoła jest podobna do muzealnego ujęcia, lecz niezbyt wyraźna i bardzo prześwietlona. U każdej osoby interesującej się historią i odkrywaniem śladów przeszłości sytuacja taka powoduje napięcie, że oto udało jej się odkryć namacalne świadectwo dokumentujące miniony czas, ale jest bardzo nieczytelne i trudno je wykorzystać. Dodatkowy stres powoduje też fakt, że domyślamy się, iż fotografia pokazuje budowę kościoła latem 1916 roku, kiedy to świątynia była jeszcze bez dachu i wykończonej ściany od strony alei Niepodległości.



Fotografia numer 1

Jak widać niewiele można odczytać z ujęcia, choć pewne zarysy bryły kościoła, dachu i ścian bocznych są widoczne. Wiedząc na co patrzymy domyślamy się co może znajdować się na zdjęciu. Jednak po opracowaniu zdjęcia w programie graficznym wyszły na jaw i inne detale, niewidoczne przed obróbką komputerową.

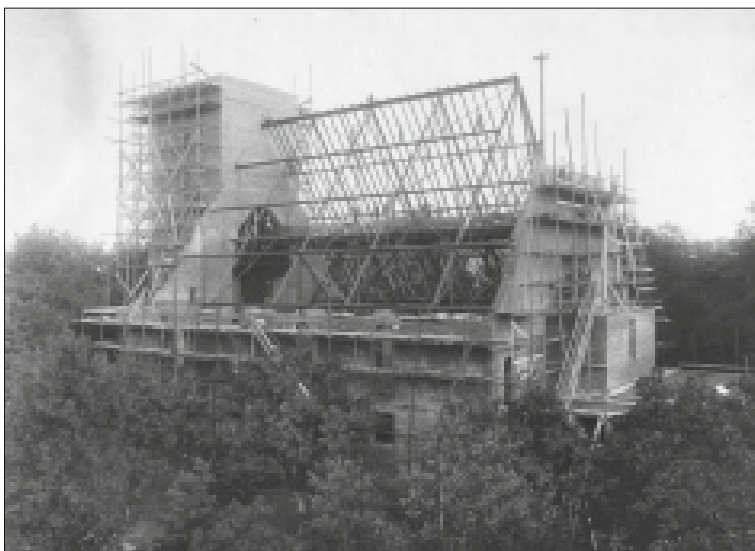


Fotografia numer 1 po rozjaśnieniu w programie graficznym

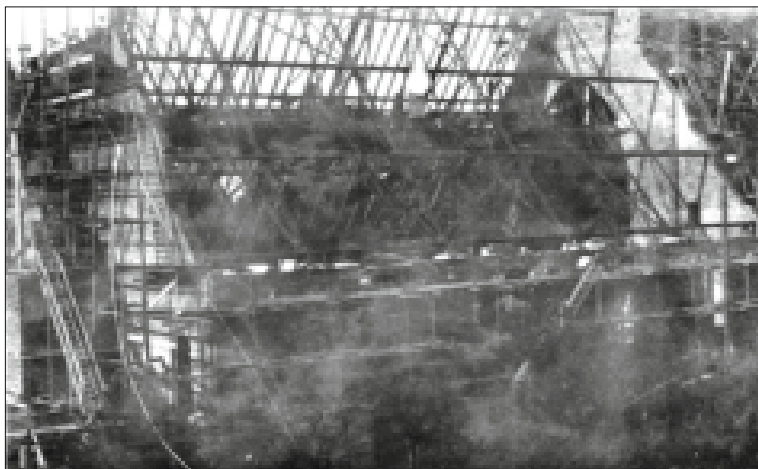
Teraz dostrzegamy co przedstawia fotografia. Ogólne zarysy kościoła i budowanego dachu zostały wyostrzone i wyraźnie zauważalne jest rusztowanie, wnętrze budynku, drabiny prowadzące na rusztowanie oraz – jeśli powiększymy zdjęcie – materiały budowlane zalegające na poszczególnych piętrach bryły. I to, co cieszy najbardziej, to widok znajdujących się na fotografii ludzi. W lewym górnym rogu świątyni mamy robotników pozujących do zdjęcia. W tym przypadku są oni bardzo niewyraźni, ale – po dokładniejszym przyjrzeniu się na powiększeniu – można doliczyć się dziewięciu mężczyzn zwróconych w stronę fotografa. Nie widać dokładnie ich twarze, a jedynie zarysy postaci w kapeluszach lub czapkach. Niezbyt widoczni na fotografii, ale po bardzo dokładnym przyglądnięciu się, dostrzec także można innych pracowników na

samym szkielecie dachu. Ujęcie zostało zrobione od strony alei Niepodległości od strony budującej się zakrystii. Tutaj wprawdzie nie widać dokładnie wieży, jedynie jej niewielki fragment, ale znając dokładnie bryłę obiektu wiemy, gdzie ona powinna się znajdować.

Wspomniałam wcześniej, że jedyne dotychczas znane zdjęcie z budowy Erlöserkirche w świetle tego odkrytego przez muzealników, mogło zostać źle odbite ze szklanej płyty. Przedstawia ono to samo ujęcie kościoła, zrobione jednak z większej odległości, co zdjęcie numer 1 i jest jego lustrzanym odbiciem (odbita została błędnie strona pozytywu, a nie negatywu). Fotografia numer 1, jak opisano powyżej, prezentuje i ludzi i szkielet rusztowania, choć nie widać wieży. Natomiast to popularne i znane zielonogórzanom zdjęcie znajdujące się w zbiorach Muzeum prezentuje ten sam obiekt z nieco dalszej perspektywy. Widać zarówno pozujących na szczycie mężczyzn, pracowników na szkielecie dachu, drabinki, jak i materiały budowlane. Gdyby jednak odwrócić fotografię lub też odbić ją w negatywie zdjęcie byłoby takie samo, tylko prezentowałoby świątynię z innej odległości.



Fotografia ze zbiorów Muzeum Ziemi Lubuskiej



Fotografia ze zbiorów Lucjana Lutycza z Krosna Odrzańskiego

Fotografia numer 2

Każdy z nas zapewne niejednokrotnie widział to bardzo znane na świecie zdjęcie zatytułowane *Lunch na dachu drapacza chmur* autorstwa Charlesa Ebetta z 1932 roku, na którym uwieczniono 11 nowojorskich robotników siedzących na metalowej belce, zawieszanej 230 metry nad ziemią, powstającego Rockefeller Center. Mężczyźni w roboczych strojach nonszalancko *nie-pozują* do zdjęcia, natomiast w tle widać oszałamiającą panoramę ówczesnego Nowego Jorku. Każdego zapewne zastanawia historia tego zdjęcia, przyczyny jego powstania oraz sami bohaterowie. Bez względu na okoliczności powstania tego ujęcia, wzbudza ono w nas zawsze emocje i z przejęciem patrzymy na uśmiechniętych i zdawałoby się wcale nieprzerazonych pracami na wysokościach mężczyzn.

Nasze zielonogórskie zdjęcie z budowy świątyni jest podobne w konwencji. Widzimy na nim grupę 30 mężczyzn sfotografowanych podczas przerwy w pracy. Bohaterowie ujęcia najwyraźniej pozują ustawieni do fotografii, zgromadzono ich na dachu przyszłej świątyni. Zdjęcie wykonano w 1916 roku, a wiemy o tym od świadka uwiecznionego na nim. Chodzi o mężczyznę w dolnym lewym rogu zdjęcia. Nazywał się Franz von Winckler, urodził się

w 1898 roku w Grünbergu i całe swoje życie, do śmierci w 1974 roku, mieszkał przy dzisiejszej ulicy Sienkiewicza w Zielonej Górze. Jako młody chłopak, w wieku 19 lat, odbywał praktyki w zakładach Beuchelta zdobywając tam wiedzę i umiejętności w dziale dokumentacji konstrukcji metalowych. Gdy w 1914 roku wybuchła I wojna światowa Franz był za młody, by wstąpić w szeregi armii Rzeszy Niemieckiej, dlatego też kontynuował przez lata wojny swoją edukację i dzięki temu, w roku 1916 znalazł się na dachu powstającego budynku i uwieczniony został na niniejszej fotografii.

Wraz z nim, na zdjęciu widzimy i innych, w większości młodych chłopców oraz kilku starszych mężczyzn. Nasz bohater ubrany jest zupełnie inaczej niż reszta pozujących. Ma na sobie białą koszulę i pulower. Robotnicy natomiast pozują w strojach roboczych, w jakich przebywali na budowie. Franz von Winckler nie był więc jednym z robotników, a przedstawicielem-wysłannikiem z biura dokumentacji mającym zdobywać praktyczną wiedzę, bezpośrednio na budowie, na temat zastosowania i montażu wielkich metalowych konstrukcji na obiektach budowanych przez firmę Geoga Beuchelta.



Fotografia numer 2

Zdjęcie, jak wspomniałam, zostało zrobione na dachu powstającego kościoła, jednak w tle, inaczej niż na nowojorskim kadrze, nie widzimy panoramy niemieckiego Grünberga, lecz olbrzymie metalowe konstrukcje z charakterystycznymi nitami. Przyglądając się fotografii mamy wrażenie, że pauza na przysłowiowego papierosa i czas na zrobienie wspólnego pamiątkowego zdjęcia zaraz dobiegnie końca, a robotnicy rozejdą się po dachu, by montować stalowe pręty. Tym bardziej, iż jeden ze starszych mężczyzn, stojący w prawym, dolnym rogu fotografii, który z racji wieku, wyglądu, a także i ubioru, zdaje się być majstrem lub kierownikiem brygady, nie pozuje i wygląda na nieco zniecierpliwionego przedłużającą się przerwą. Inni pracownicy mają zadowolone, pogodne i uśmiechnięte oblicza. Zapewne była to nietypowa chwila podczas ciężkiej i wymagającej pracy na szczycie budynku.

Bardzo ciekawie przedstawia się również historia odkrycia tego zdjęcia. Franz von Winkler był bratem babci właściciela fotografii, stąd też posiadamy tak wiarygodne informacje dotyczące daty jego wykonania. Omawiana fotografia została znaleziona, w komplecie z innymi omawianymi w niniejszym artykule, przez pana Eugeniusza i jego innego wuja, na początku lat 70. w jednym z pomieszczeń należących niegdyś do dawnej fabryki Zastal. W lokalu tym wuj pana Eugeniusza chciał otworzyć magazyn, dlatego też poprosił swojego krewniaka o pomoc w uprzątnięciu zalegających tam śmieci. W pewnym momencie panowie natknęli się na pudełko ze szklanymi płytami. Po ich dokładnym obejrzeniu zorientowali się, że mają do czynienia z prawdziwym unikatem, wiekowymi pamiątkami związanymi z dawnym Grünbergiem. Po wykonaniu papierowych styków¹ ukazały się oblicza pracowników zakładów Beuchelta na dachu kościoła. Pan Eugeniusz rozpoznał swojego wuja Franza i natychmiast udał się do niego z niniejszą fotografią. Franz von Winkler – jak opowiadał pan Lutycz – był niezwykle zdumiony znaleziskiem, ale i wzruszony, iż po latach odlaża się tak ważna dla

¹ Stykówka – odbitka fotograficzna, uzyskiwana w konsekwencji położenia naświetlonej błony fotograficznej bezpośrednio na papier światłoczuły.

niego pamiątka. Podzielił się także ze swoim krewnym informacjami na temat okoliczności powstania tego kadru.

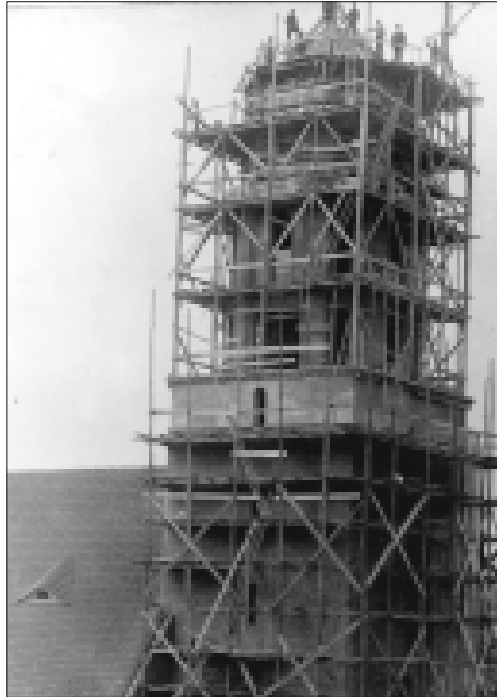
Zastanawia jednak fakt, dlaczego taki rarytas związany z dziejami Winnego Grodu nigdy nie ujrzał światła dziennego. Dlaczego na fali tak olbrzymiego, fanatycznego wręcz zainteresowania dawnym, przedwojennym Grünbergiem fotografia nie została nigdzie opublikowana. Otóż zdjęcie to przez lata było traktowane jako zwykłe, pamiątkowe zdjęcie rodzinne, prezentujące jednego z członków rodziny von Winckler w latach jego młodości. Nie dopatrywano się w nim niczego wyjątkowego i nie traktowano tej fotografii jako zjawiska pokazującego ważny moment w dziejach Zielonej Góry. Dopiero wnikliwa analiza ujęcia poparta opowieścią pana Eugeniusza Lutyca pozwoliła na odkrycie i przekonanie, że oto pojawił się nadzwyczajny, fenomenalny i jedyny w swoim rodzaju kadr, który nie tylko prezentuje historię, ale przede wszystkim pokazuje ukryte dotychczas przed nami oblicza zwyczajnych ludzi niemieckiej Zielonej Góry. Dzięki temu mamy namacalny dowód, że wspaniała historia Winnego Grodu to dzieło zarówno tych znanych postaci, opisywanych i rozslawiających w świecie Zieloną Górę, ale także i tych normalnych, zwykłych, przeciętnych i najczęściej anonimowych ludzi tu właśnie pracujących i, tak jak my dziś, przemierzających codziennie ulice naszego miasta.

Fotografia numer 3

Trzeciego, nieznanego dotychczas ujęcia z budowy Erlöserkirche nie można już porównać z innym, znanym zdjęciem, ale jest równie fascynujące, co poprzednie, gdyż są na nim też uwiecznieni zielonogórzanie – budowniczy świątyni. Omawiane zdjęcie prezentuje wieżę obiektu, całą w rusztowaniach, a na samym jej szczycie widoczni są pracownicy.

Przyglądając się ujęciu, a szczególnie ośmiu osobom na nim uwiecznionym znowu mamy wrażenie, że panowie ustawili się specjalnie do tego zdjęcia. Pozują na szczycie budynku zwrócenie twarzami do robiącego zdjęcie. W powiększeniu nie widać dokładnie ich rysów, ale z póż i ustawienia domyślamy się, że zostali zaskoczeni podczas pracy (niektórzy z nich mają narzędzia w rękach)

i poproszono ich, by na chwilę ją przerwali i zapozowali do zdjęcia. Siedmiu z mężczyzn to robotnicy, natomiast jeden z nich, drugi z prawej strony, to ktoś z kadry technicznej (jest ubrany w garnitur i stylowy kapelusz). Być może ta osoba przyniosła na szczyt wieży informację o prośbie fotografa i dzięki temu też została uwieczniona na ujęciu.



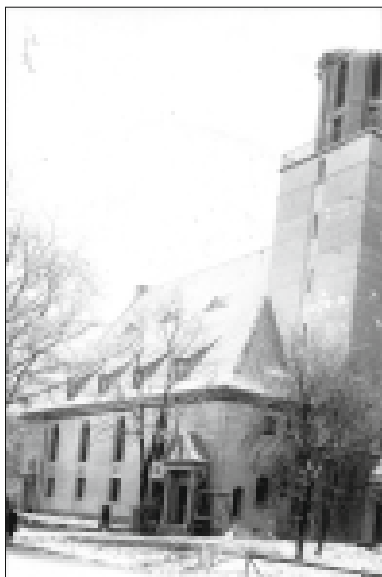
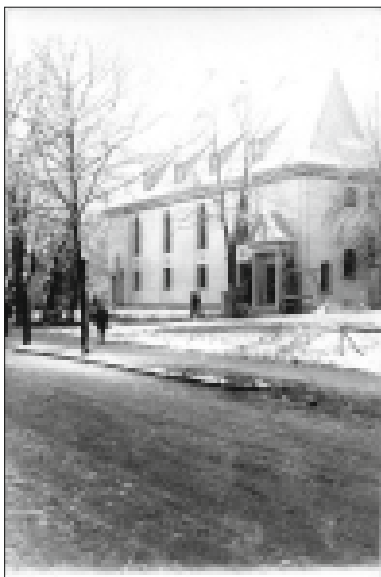
Fotografia numer 3

Fotografia została zrobiona późną jesienią 1916 roku, w końcowej fazie budowy. Cały dach przykryty jest już dachówką i trwają prace wykończeniowe związane z wieżą, a właściwie jej samym szczytem. Obiekt przykryty rusztowaniem będzie zapewne malowany lub bielony wapnem, gdyż dokładnie widać jeszcze cegły. Analizując zdjęcie dostrzegamy drabinki wiodące na wieżę, ustawione od ziemi aż na samą górę. Sugeruje to, iż prace wewnątrz wieży nie były jeszcze zaawansowane, i nie można było od wewnątrz dostać

się na górę. Drabinki pozwalają również przypuszczać, iż na czas budowy parcela musiała być w jakiś sposób zabezpieczona ogrodzeniem lub płotem, by uniemożliwić chętnym wchodzenie na szczyt obiektu i podziwianie panoramy miasta. Ujęcie zostało wykonane od strony Bahnhofstrasse (dzisiejsza al. Niepodległości) z okna lub dachu domu naprzeciwko wieży kościoła.

Fotografie numer 4 i 5

Ostatnie dwa zdjęcia kościoła pod wezwaniem Zbawiciela zrobione zostały zimą 1917 roku. Świadczy o tym leżący na ulicy śnieg oraz postać ucznia jednej z zielonogórskich szkół pozującego na zdjęciach, a ubranego dość ciepło. Dwa zdjęcia zestawiałam razem, gdyż pokazują kościół w dwóch podobnych ujęciach. Na jednym z nich widać budynek świątyni z wieżą i częścią ośnieżonej parceli, natomiast druga fotografia to świątynia (bez widocznej wieży) oraz fragment ulicy Bahnhofstrasse.



Fotografie numer 4 i 5

Wspomniałam, że zdjęcia zrobione zostały zimą 1917 roku, zapewne niedługo po 3 stycznia, gdy kościół został już oddany do użytku. Na placu przed świątynią widzimy jeszcze pozostałości po budowie m.in. drewniane koziółki, drabiny, resztki cegieł, taczkę i inne narzędzia pomocne podczas końcowego etapu budowy, a także fragment ogrodzenia (prawy dolny róg fotografii numer 4). Poza tym działka, na której stoi obiekt sprawia wrażenie jakby „przed chwilą” opuścili ją robotnicy pracujący na budowie. Świadczą o tym nie tylko pozostałości z budowy, ale i to, że całość gruntu jest jeszcze niepograbiona i wybrudżona. Dopiero, gdy nadejdą wiosenne dni i ziemia stanie się miękka nastaną prace porządkowe oraz ogrodnicze, gdyż w planach budowy na posesji przewidziane były trawniki i rabatki z kwiatami. Sroga zima 1917 roku uniemożliwiła jednak podjęcie jakichkolwiek działań ogrodniczo-porządkowych na posesji.

Jak wspomniano, kamień węgielny pod budowę kościoła położono 21 marca 1915 roku, a 3 stycznia 1917 roku, w dniu urodzin fundatora świątyni, kościół został poświęcony i oddany do użytku. Jak na owe czasy (okres I wojny światowej, a więc trudności w apro wizacji w materiał budowlany, wzrost cen, brak wykwalifikowanej siły roboczej itp.) obiekt powstał w rekordowo szybkim tempie. Nie oznacza to jednak, że od 3 stycznia 1917 roku budynek był w pełni wyposażony, działający na 100% i mogący zadowolić wszystkich użytkowników. Jak pozwalają stwierdzić odkryte w archiwum parafii przedwojenne materiały z budowy świątyni, a szczególnie jeden z dokumentów przetłumaczony na potrzeby wystawy zatytułowany *Protokół z narady odbytej w zakrystii Kościoła pw. Zbawiciela dnia 12 III 1917 roku* można wnioskować, że w samym funkcjonowaniu obiektu – szczególnie związane z ogrzewaniem i oświetleniem – były jeszcze mankamenty i niedociągnięcia. Trudno, w świetle odnalezionych dokumentów, nie oprzeć się wrażeniu, iż pospieszono się nieco z oddaniem do użytku kościoła. Nie mniej jednak prace wykończeniowe przy obiekcie mogły trwać jeszcze długo, natomiast w samej świątyni bez przeszkód mogły odbywać się nabożeństwa. Można więc przyjąć, iż kościół służył niemieckim mieszkańcom Zielonej Góry od 3 stycznia 1917 roku. Zdjęcia numer 4 i 5 świadczą o tym, iż w omawianym właśnie okresie obiekt był gotów do

użytku, mimo iż sam teren wokół kościoła mógł przypominać nieco plac budowy.

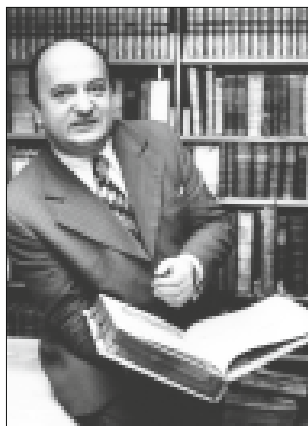
Na fotografiach uwiecznione zostały dwie postaci. Pierwszą jest, wspomniany powyżej, chłopiec, uczeń jednej z zielonogórskich szkół. Świadczy o tym dobitnie związany sznurkiem pakuńek z książkami (widoczny w przybliżeniu), który trzyma w lewej ręce. Widoczny jest on na obu fotografiach (na fotografii numer 4 w lewym dolnym rogu widoczna jest połowa postaci), natomiast na zdjęciu numer 5 widzimy całą sylwetkę. Został on prawdopodobnie poproszony przez fotografa, by pozował. Usłuchany młodzieniec stanął w miejscu i z cierpliwością (mimo mrozu) ustawił się do zdjęcia. Druga osoba to być może robotnik, stojący przy jednym z muryowanych słupków widocznych na środku parceli. Jego sylwetkę widać na obu fotografiach. Stoi on poniżej trzeciego okna świątyni licząc od lewej strony. Obok niego widoczny jakiś sprzęt budowlany, więc po tym wnoszę, że był on prawdopodobnie pracownikiem z budowy. Stoi odwrócony tyłem do fotografa. Być może nawet nie był przez niego zauważony lub też był tak zajęty swoją pracą, iż nie miał ochoty od niej się odrywać i pozować do zdjęć.

Każde znalezisko dokumentujące niemiecki Grünberg jest dla badacza jego przeszłości niezwykle cennym rarytatem. Po „odkryciu” zbioru pana Eugeniusza Lutycza z Krosna Odrzańskiego zadajemy sobie pytanie czy być może gdzieś jeszcze w zakamarkach strychów ponemieckich domów w Zielonej Górze znajdują się jakieś nieodkryte skarby. Tym bardziej, że powyżej opisane i przedstawione fotografie tylko „zaostrzają” nasz apetyt na wiedzę o przedwojennym mieście. Firma Beuchelt & Co. była bardzo rzetelną i świetnie prosperującą fabryką. Zachowana dokumentacja z budowy obiektu w parafii pw. Najświętszego Zbawiciela w Zielonej Górze świadczy o tym, iż każda notatka, list, oferta, rysunek czy projekt był analizowany i co najistotniejsze skrupulatnie przechowywany w dokumentacji Fundacji Beuchelt. Można domniemywać, że fotografie wykonane na zlecenie Fundacji świadczące o postępach budowy również były wykonywane i gromadzone i należy mieć nadzieję, że w przyszłości zobaczą jeszcze światło dzienne.

SYLWETKI

Dawid Kotlarek

GRZEGORZ CHMIELEWSKI (1929-2014) – BIBLIOFIL, REGIONALISTA, DYREKTOR WIMBP IM. C. NORWIDA W ZIELONEJ GÓRZE



Grzegorz Chmielewski,
fot. z archiwum rodzinnego

W roku 2017 Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida w Zielonej Górze obchodzi jubileusz 70-lecia istnienia. Na bogatą historię zielonogórskiego bibliotekarstwa składa się dorobek wielu zasłużonych bibliotekarzy. Wśród nich niewątpliwie postacią wyróżniającą się jest dr Grzegorz Chmielewski, który kierował księżnicą przez ponad 30 lat. Stworzył prężnie działającą i nowoczesną instytucję kultury, która swoimi działaniami wykroczyła poza klasycznie rozumianą rolę biblioteki.

Grzegorz Chmielewski urodził się w 1929 r. w Radomiu. Jego ojciec Michał z zawodu był cholewkarzem. Matka Konstancja (z domu Karpowicz) zajmowała się domem i wychowywaniem dzieci. Grzegorz Chmielewski miał pięcioro rodzeństwa, siostry Danutę, Krystynę oraz braci Jana, Macieja i Franciszka, który zmarł będąc jeszcze dzieckiem. W latach 1934-1939

Chmielewscy mieszkali w Lesznie, następnie przeprowadzili się do Poznania. W okresie okupacji młody Grzegorz pracował w warsztacie swojego ojca, a od 1944 roku do końca wojny zatrudniony był w niemieckiej firmie ortopedycznej F. Torster. W 1947 roku ukończył Gimnazjum im. Bergera w Poznaniu, a dwa lata później Liceum Humanistyczne im. Marii Magdaleny w Poznaniu. Po zdaniu egzaminów maturalnych podjął studia na kierunku historia sztuki na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Tytuł magistra obronił w 1954 roku. Będąc jeszcze studentem podjął pracę w Muzeum Narodowym w Poznaniu. W latach 1953-1954 kierował biblioteką Zakładu Historii Sztuki UAM, a następnie przeszedł do pracy w Bibliotece Głównej tejże uczelni. Pełnił funkcje kierownika pracowni kartograficznej oraz kierownika referatu zbiorów zabezpieczonych. W 1960 roku objął stanowisko dyrektora Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Zielonej Górze.

W pierwszych latach pracy na tym stanowisku Grzegorz Chmielewski skupił się na rozwoju sieci placówek bibliotecznych miejskich i terenowych. Województwo zielonogórskie jako jedyne już w 1962 roku posiadało pełną sieć bibliotek w miastach i na wsi. Dzięki temu Zieloną Górę zaliczano wówczas do najbardziej rozczyszczonych miast wojewódzkich w Polsce. Dużym wyzwaniem, przed którym stanął dyrektor Chmielewski był projekt budowy nowej siedziby Biblioteki Wojewódzkiej. Już na początku lat 60. pojawiły się pierwsze koncepcje wzniesienia gmachu Książnicy. Czasy nie sprzyjały jednak urzeczywistnianiu tego typu inwestycji. Ówczesna władza skupiona była wokół realizacji projektów oświatowych, w ramach akcji Tysiąc Szkół na Tysiąclecie Państwa Polskiego. Dyrektor Chmielewski zastosował wówczas pewien zabieg. W celu wpisania budowy Biblioteki w „oświatowy” nurt, jako cel inwestycji wpisał wzniesienie siedziby Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej, w której miejsce miała znaleźć również WiMBP. Budowa ruszyła w 1968 roku i trwała 7 lat. G. Chmielewski wspominał, że o przedłużających się pracach zadecydowały m.in.: „niedostateczne moce przerobowe Zielonogórskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego, nietypowość obiektu i jego konstrukcji oraz nienajlepsza organizacja pracy i niedostateczny nadzór, prowadzące do błędów w sztuce

budowlanej”¹. Oficjalne otwarcie nastąpiło 6 czerwca 1975 roku. Charakterystyczny gmach w centrum Zielonej Góry to swoisty pomnik, który pozostawił po sobie dyrektor. Dziś stanowi jeden z najważniejszych ośrodków kultury i życia społecznego mieszkańców.

Grzegorz Chmielewski poświęcał się również pracy naukowej. Specjalizował się w pracach bibliograficznych. Pod koniec lat 50. XX w. wszedł w skład zespołu Bibliografii Wielkopolski i Ziemi Lubuskiej. Od samego początku kierowania zielonogórką księżnicą przyświecała mu idea „Biblioteki Narodowej w regionie”, jako instytucji gromadzącej wydawnictwa naukowe, informacje o dziejach oraz dorobku kulturalnym i społecznym Ziemi Lubuskiej. Z jego inicjatywy utworzono Oddział Zbiorów Naukowych, rozwinęto prace nad bibliografią regionalną. W 1967 roku powołał Oddział Bibliografii Regionalnej, a w 1976 – Wojewódzkie Centrum Informacji, specjalizujące się w zakresie gromadzenia i udzielania informacji o regionie. Jest redaktorem wydanych drukiem „Bibliografii Ziemi Lubuskiej” za lata 1960, 1977-1979. Jest również autorem licznych opracowań bibliograficznych, m.in.: *Bibliografii archeologii Ziemi Lubuskiej (województwa zielonogórkiego) za lata 1945-1964* (Zielona Góra 1967), *Bibliografii Ziemi Świebodzińskiej*, na którą składają się dwie odrębne części, obejmujące piśmiennictwo polskie (Świebodzin 1998) oraz piśmiennictwo niemieckie (Świebodzin 2002), *Bibliografii Ziemi Nowosolskiej do roku 2007* (Nowa Sól 2010), a także licznych bibliografii specjalnych i regionalnych, publikowanych w czasopismach branżowych i wydawnictwach zbiorowych.

Zajmował się także badaniami nad historią książki i bibliotek na Środkowym Nadodrzu. Głównym tematem jego naukowych dociekań była problematyka dziejów bibliotek ludowych na ziemi babimojskiej i międzyrzeckiej. Wieloletnie kwerendy bibliograficzne i archiwalne oraz badania terenowe zostały uwieńczone wydaniem drukiem pracy *Polskie biblioteki ludowe na pograniczu zachodnim w rejonie babimojsko-międzyrzecko-skwierzyńskim w latach 1880-1939* (Zielona Góra 2002).

¹ G. Chmielewski, *Jak budowano norwidowską bibliotekę*, „Pionierzy” 2003, nr 3, s. 15.

Historia sztuki to kolejny obszar badawczy Grzegorza Chmielewskiego. Jest autorem kilku artykułów naukowych, m.in. o pocysterskim kościele w Kołbaczu, któremu poświęcił również dysertację doktorską, obronioną w 1972 roku na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Na dorobek wydawniczy dyrektora Chmielewskiego składa się blisko 200 publikacji naukowych i popularnonaukowych poświęconych głównie regionalnej historii książki i bibliotek oraz katalogi wystaw.

Przeszukując antykwariaty, kiermasze, piwnice i strychy niejednokrotnie wśród starych ksiąg odkrywał „białe kruki” lub cenne księgozbiory. W 2001 roku pisał: „przeglądanie starodruków, zabytkowej kartografii i grafiki w poszukiwaniu rzadkich poloników, dzieł słynnych oficyn wydawniczych i artystów grafików – jest swoistą przygodą intelektualną i estetyczną”². Jego upór i bibliofilska intuicja prowadziły wielokrotnie do sensacyjnych znalezisk. Dzięki jego staraniom zielonogórska Biblioteka wzbogaciła się m.in. o cenne inkunabuły (np. *Sermones* papieża Leona Wielkiego), a także zbiory druków śląskich (w tym kronikę Joachima Curaeusa z 1601 roku) oraz bogate zabytkowe zbiory kartograficzne. W toku badań terenowych i archiwalnych dr Grzegorz Chmielewski odnalazł w zagrodzie chłopskiej w Dąbrowie pod Zieloną Górą prywatne archiwum oraz część księgozbioru z biblioteki cesarzowej Herminy von Reuss, drugiej żony ostatniego cesarza Niemiec, Wilhelma II. Zbiór zawierał 2700 listów i dokumentów związanych z osobą cesarza oraz rodami Reussów i Schoeneichów. Grzegorz Chmielewski wspomina moment, kiedy dotarł do miejsca, gdzie przechowywane było znalezisko:

Odchyliłem wrota. W stajni stały dwa masywne perszerony, za nimi – w pewnej odległości – stos książek, obok skrzynia, a właściwie duża, pojemna szuflada pełna dokumentów. Przełamując strach, przecisnąłem się między końmi i zacząłem przeglądać książki. W większości zaopatrzone były w ekslibris-

² G. Chmielewski, *Tajemniczy inkunabul*, „Pionierzy” 2001, nr 2, s 25.

sy biblioteki w Zaborze oraz znaki własnościowe z literą „H” – inicjałem Herminii³.

Innym ważnym odkryciem Grzegorza Chmielewskiego było odnalezienie księgozbioru oraz dokumentacji archiwalnej Towarzystwa Czytelni Ludowych z rejonu babimojskiego i międzyrzeckiego, które organizowało biblioteki polskie w okresie zaborów.

Zgromadzone przez lata zabytkowe zbiory stały się podstawą do utworzenia w 1977 roku unikatowego w skali kraju Muzeum Książki Środkowego Nadodrza. Ekspozycja dokumentowała dzieje książki na terenach Środkowego Nadodrza, od średniowiecza po współczesność, ze szczególnym uwzględnieniem akcentów kultury polskiej. W Muzeum zgromadzono cenne eksponaty, m.in. inkunabuły: *Kronika świata* Hartmanna Schedla z 1493 (Liber chronicarum. Nurnberg 1493) oraz *Mariale* Bernarda de Bustis z 1498 r. (*Mariale eximii viri Bernardini de busti ordinis seraphici Francisci. Argentinae [Strassburg] 1498*). Wystawiono tu cenne starodruki i rękopisy z XVII-XVIII w., m.in. bogato zdobiony XVIII-wieczny antyfonarz z pieczęcią Stalagu VIII C w Żaganiu, świadcząca o wykorzystaniu go przez jeńców podczas II wojny światowej. Na uwagę zasługiwały również drukowane teologiczne dzieła Jonasza Szlichtynga czy prace z zakresu historii i pedagogiki Joachima Pastoriusa. Cenną kolekcję stanowił również księgozbiór druków Towarzystwa Czytelni Ludowych z bibliotek dawnego powiatu skwierzyńskiego. Wyeksponowano tu także książki przywiezione przez pierwszych osadników, wydawnictwa z pionierskich wypożyczalni, m.in. zielonogórskich: Alfonsa Bogaczyka i Wiktora Rodowicza oraz pierwsze druki wytłoczone w Zielonej Górze, w tym *Plan miasta Zielonej-góry* z informatorem z 1945 roku. W 1978 roku zbiory WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze zaliczono do Narodowego Zasobu Bibliotecznego.

Grzegorz Chmielewski zainicjował pomysł organizowania w Bibliotece wystaw uznanych artystów ilustratorów. Przy tej okazji

³ G. Chmielewski, *Jak odkryłem archiwum cesarzowej*, „Pionierzy” 2000, nr 2, s. 18.

pozyskiwał cenne dzieła do zbiorów Książnicy. W 1980 roku uruchomiono Galerię Polskiej Ilustracji Książkowej XVI-XX wieku. Kolejnym, dość oryginalnym pomysłem dr. Chmielewskiego było utworzenie Galerii i Wypożyczalni Malarstwa, Rysunku i Grafiki. Za niewielką odpłatnością miłośnicy sztuki mieli możliwość wypożyczenia oryginalnych prac artystów lubuskich oraz reprodukcji oprawnych malarstwa polskiego i światowego.

Dyrektor Chmielewski był również nauczycielem wielu pokoleń bibliotekarzy. Przyczynił się do uruchomienia w Zielonej Górze w 1966 roku Wojewódzkiego Punktu Konsultacyjnego Państwowego Ośrodka Kształcenia Korespondencyjnego Bibliotekarzy w Warszawie oraz w 1974 roku Zakładu Bibliotekarstwa i Informacji Naukowej w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze, gdzie przez wiele lat prowadził zajęcia dydaktyczne. Od 1976 roku kierował filią Centrum Ustawicznego Kształcenia Bibliotekarzy, którą utworzono przy WiMBP.

Wojewódzką i Miejską Biblioteką Publiczną w Zielonej Górze zarządzał do 1991 roku. Następnie kierował Oddziałem Bibliografii przy Wojewódzkim Centrum Informacji. W 1994 roku przeszedł na emeryturę. Nadal jednak współpracował z WiMBP, m.in. jako specjalista do spraw naukowo-badawczych. Do końca swojego życia prowadził kwerendy, badania bibliograficzne oraz publikował teksty naukowe. Jest autorem *Bibliografii Zielonej Góry za lata 1995-2001, 2003-2007* publikowanej w „Studiach Zielonogórskich” w latach 1997-2009). Jego ostatni artykuł *Glosa do biografii Herminy von Reuss* ukazał się na łamach „Zielonogórskich Studiów Biblioteczno-znawczych” w 2013 roku w z. 5.

Bibliofilską pasją towarzyszyła dyrektorowi przez całe życie. Nie sprowadzała się jedynie do bycia kolekcjonerem rzadkich dzieł. Był również introligatorem-amatorem, który posiadał niezwykłą umiejętność restaurowania zniszczonych ksiąg. Własnoręcznie oprawiał i zdobił zdefektowane wydawnictwa. Z czasem zaopatrywał się nawet w małą prasę introligatorską. Jak wspominają jego córki, zbierał zużyte skórzane torebki oraz obicia mebli, które następnie wykorzystywał przy tworzeniu oprawy. Jego kolekcjonerskie zamiłowanie nie zamykało się tylko w kręgu książek. Posiadał także

zbiory filatelistyczne oraz kolekcję ekslibrisów, które starał się systematycznie uzupełniać.

Poza książkami, sztuką, historią interesował się również sportem i to nie wyłącznie jako kibic, ale także jako entuzjasta aktywności fizycznej. Pracownicy Biblioteki z sentymentem wspominają lata 70. XX w., kiedy podczas przerw w pracy grali wraz z dyrektorem w piłkę siatkową na zaimprovizowanym boisku na podwórzu instytucji. Grzegorz Chmielewski szczególnie upodobał sobie tenis stołowy. W latach 80. XX w. regularnie rozkładano w holu Biblioteki stół do tenisa i organizowano pracownicze rozgrywki. Świetnie grał również w brydża.

Grzegorz Chmielewski był aktywnym działaczem społecznym oraz członkiem towarzystw naukowych i kulturalnych, w tym Lubuskiego Towarzystwa Kultury, Lubuskiego Towarzystwa Naukowego, Towarzystwa Przyjaciół Zielonej Góry i Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich, w którym był członkiem Zarządu Głównego w latach 1985-1989 i prezesem Zarządu Okręgu w latach 1960-1961. Z jego inicjatywy utworzono Towarzystwo Współpracy Polsko-Niemieckiej w Zielonej Górze. Trudno wymienić wszystkie wyróżnienia i odznaczenia, które otrzymał za osiągnięcia w zakresie bibliotekarstwa oraz działalności kulturalnej i społecznej. Wśród nich znajdują się m.in.: Srebrny Krzyż Zasługi (1964), „Zasłużony Działacz Kultury” (1966), Lubuska Nagroda Kulturalna (1966), odznaka: 1000-lecie Państwa Polskiego (1967), Odznaka Honorowa Za Zasługi w Rozwoju Województwa Zielonogórskiego (1969), Medal za zasługi dla miasta Zielonej Góry (1975), Nagroda Kulturalna Miasta Zielonej Góry (1979), Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1984), Medal 40-lecia Polski Ludowej (1984), Nagroda III stopnia im. Heleny Radlińskiej (1986).

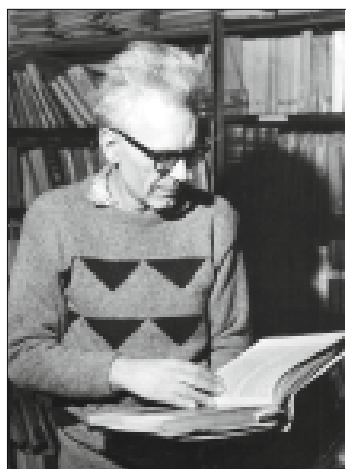
Dr Grzegorz Chmielewski zmarł 20 września 2014 roku i został pochowany na cmentarzu komunalnym w Zielonej Górze. 6 maja 2015 roku pracownicy Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. C. Norwida w Zielonej Górze uczcili pamięć dr. Grzegorza Chmielewskiego, nadając jego imię Sali Wykładowej mieszczącej się w budynku Książnicy.

Bibliografia

- Akta osobowe w Archiwum Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. C. Norwida w Zielonej Górze.
- Chmielewski G., *Jak budowano norwidowską bibliotekę. Ze wspomnień dra Grzegorza Chmielewskiego, dyr. zielonogórskiej WiMBP im. C. Norwida w latach 1960-1991*, „Pionierzy” 2003, nr 3.
- Chmielewski G., *Jak odkryłem archiwum cesarzowej*, „Pionierzy” 2000, nr 2.
- Pawlikowska E., *Grzegorz Chmielewski. Laureaci Nagrody im. Heleny Radlińskiej za wybitne osiągnięcia w zakresie bibliotekoznawstwa i bibliotekarstwa w r. 1986*, „Poradnik Bibliotekarza” 1986, nr 10.
- Siatecki A., *Pro libris* [Wywiad z Grzegorzem Chmielewskim], „Nadodrze” 1987, nr 9.
- Zasłużeni bibliotekarze – emeryci. WiMBP Zielona Góra*, „Bibliotekarz Lubuski” 2002, nr 2.

Igor Myszkiewicz

O MOIM OJCU. WIESŁAW MYSZKIEWICZ (1932-2014)



Wiesław Myszkiewicz,
fot. C. Łuniewicz

Wiesław Myszkiewicz urodził się 22 sierpnia 1937 roku w Tarnowie. Dzieciństwo i wczesną młodość spędził w rodzinnym majątku w Mikułowicach (woj. świętokrzyskie, powiat opatowski). Najwcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa, o jakim mówił to widok nocnego nieba oglądany z leja po bombie, w którym, licząc – zgodnie z prawami statystyki – na ochronę ukrywali się członkowie rodziny podczas kolejnych bombardowań. Więcej opowiadała mi moja babcia, Maria Zofia Czarnecka – historie o parku, którego strzegły kamienne

lwy, drewnianym dworku, herbach i krętych genealogicznych splotach prowadzących do znanego z kart historii hetmana. Ojciec nie lubił tych opowieści ani przywoływania szlacheckich korzeni. Mówił, że z Mikułowic pamiętał też czworaki i że nie było to wspomnienie chwalebne. Być może tu należałoby szukać korzeni

jego późniejszych lewicowych przekonaniach? Dziś po dworze nie został nawet ślad, lwy natomiast strzegą bramy Muzeum Historyczno-Archeologicznego w Ostrowcu Świętokrzyskim.

Po wojnie Wiesław Myszkievicz ukończył V Liceum Ogólnokształcące w Radomiu, a następnie, w latach 1954-1958, studiował na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Do Zielonej Góry trafił przypadkiem, z powodów właściwie... estetycznych. Wspominał, że będąc w mieście przejazdem w lipcu 1959 roku zachwycił się jego wyglądem:

Wyszedłem na piękną al. Niepodległości. Zobaczyłem szpaler drzew, ogródki przy domach, wszystko kwitło. I postanowiłem tu zostać. Takie były to czasy, że dla mojego pokolenia cała Polska stała otworem. Na mieszkanie z przydziału w Zielonej Górze czekało się dwa lata. I wszędzie szukano fachowców, nawet od historii¹.

W opisach Zielonej Góry z tamtego okresu powtarza się to samo – było to miasto młodych ludzi, cieszące się od niespełna dekady statusem stolicy województwa i intensywnie starające się temuż statusowi sprostać. Wiesław Myszkievicz podjął pracę w Muzeum Okręgowym, początkowo jako asystent w Dziale Oświatowym, ale szybko objął stanowisko kierownika Działu Historycznego. Muzeum wtedy również przechodziło znaczące zmiany, otrzymało właśnie i adaptowało nową siedzibę przy al. Niepodległości. Powstawały w regionie także inne placówki muzealne. Ojciec uczestniczył w tworzeniu Muzeum Wilhelma Piecka w Gubinie i Muzeum Martyrologii Alianckich Jeńców Wojennych w Żaganiu. Co ciekawe, w placówce zielonogórskiej nie było wtedy ani w dekadach późniejszych stałej ekspozycji prezentującej dzieje miasta, wynikało to w dużej części z powodów politycznych i niechętnego stosunku ówczesnych władz do zagłębiania się w dzieje niedawno jeszcze niemieckich miast. Poszukiwania historyczne koncentrowały się

¹ <http://zielonagora.wyborcza.pl/zielonagora/56,35182,19100102,wieslaw-myszkievicz,,9.html>.

raczej na czasach piastowskich i miały cel doraźny, potwierdzenie odwiecznej polskości Ziemi Odzyskanych...

Wiesław Myszkiwicz był chyba najmłodszym z ówczesnych pracowników merytorycznych. Ten jego pierwszy okres w Muzeum nie trwał długo. W 1962 roku rozpoczął działalność w Związku Młodzieży Wiejskiej, zajmował się działalnością kulturalną i animatorską, organizował w okolicznych miejscowościach zespoły i klubokawiarnie. Jak wspominał „przez sześć lat wyżywał się w kulturze”. Są to też lata zielonogórskiego boomu kulturalnego i artystycznego, w mieście działało dynamiczne środowisko plastyczne, od 1961 roku odbywały się Sympozja Złotego Grona.

Potem przez trzy lata (1969-1971) Wiesław Myszkiwicz był zastępcą dyrektora Wojewódzkiego Domu Kultury, skąd przeszedł do Biura Wystaw Artystycznych, w 1972 roku został jego szefem. Dekada pracy w BWA to okres intensywnej współpracy z artystami. Ojciec włączył się, jako sekretarz Komitetu Organizacyjnego, w prace nad kolejnymi sympozjami Złotego Grona. Był to czas, kiedy z tej sztandarowej imprezy kulturalnej o ogólnopolskiej już randze wycofali się, zarówno jej inicjator Marian Szpakowski, jak i merytoryczny patron wydarzenia przez kilka ostatnich lat, profesor Juliusz Starzyński. Złote Grono znalazło się w pewnym impasie i konieczne było wypracowanie nowej formuły. Jednym z pomysłów było nadanie imprezie bardziej przeglądowego charakteru poprzez organizację cyklicznej prezentacji „Laureaci festiwali i konkursów”, drugim poszukanie jakiejś przewodniej idei. Ojciec zaprosił do współpracy Krzysztofa Kostyrkę, redaktora naczelnego „Sztuki”, ten jako wiodący temat kolejnych sympozjów i plenerów postawił zagadnienia kształtowania przestrzeni społecznej jako całościowego projektu architektów, artystów i urbanistów. Jednym z efektów takiego podejścia była choćby Karta Łagowska z 1974 roku, dokument autorstwa Stefana Pappa i Jana Berdyszaka, zawierający wizję świadomego kształtowania przestrzeni miejskiej. Temat wyszedł zresztą poza teorię, czego świadectwem były realizacje przestrzenne (pokłósia wystawy *Moje miasto – propozycje i impresje*, 1975 i Zielonogórskich Spotkań Rzeźbiarskich, 1976-77) czy zmiana podejścia do projektowania kolorystyki zielonogórskich ulic. Wiesław

Myszkiwicz brał też udział w spotkaniach, powołanego w 1977 roku przez prezydenta Stanisława Ostrege, Zespołu Projektowania Przestrzeni Społecznej, zrzeszającego urbanistów, architektów i plastyków.

Dekadę pracy Wiesława Myszkiwicza w Biurze Wystaw Artystycznych zakończyło wprowadzenie w 1981 roku stanu wojennego, a dokładniej dość radykalny idealizm mojego Ojca. Jego poglądy polityczne nie szły nigdy w parze z postawą konformistyczną, w grudniu '81, mimo wspomnianej już wcześniej lewicowej orientacji światopoglądowej, Wiesław Myszkiwicz oddał legitymację partyjną i nie dał się przekonać do ponownego przemyślenia tej decyzji. Władze zareagowały likwidacją z dniem 31 grudnia 1981 roku zielonogórskiego BWA, którego mienie, zadania i dzięki wstawiennictwu dr. Jana Muszyńskiego, także pracowników, przejęło Muzeum Ziemi Lubuskiej.

I tak, po dwóch dekadach, Wiesław Myszkiwicz powrócił do Muzeum, ponownie do Działu Historycznego. Pamiętam jak go od-



Wiesław Myszkiwicz, lata 80.,
fot. z archiwum autora

wiedziłem wtedy w tej starej/nowej pracy. Biuro Ojca pełne było dawnej broni, pod ścianami stały szeregi glevii, halabard, włóczni, nad jego fotelem górował stojak z kolczugą (obecnie eksponaty Lubuskiego Muzeum Wojskowego w Drzonowie), stare sztychy, mapy... Miejsce było absolutnie magiczne, chyba właśnie wtedy, w wieku może siedmiu lat, pomyślałem, że chciałbym tu pracować. Prasa stanu wojennego tak skomentowała powrót Wiesława Myszkiwicza do Muzeum: „...więc można być przeciw Polsce

Ludowej, a potem schować się za szafą w Muzeum”, jednak jak pokazały następne lata, był to powrót bardzo owocny i sensowny. Kierownictwo Działu Historycznego Ojciec objął w roku 1987. Zaczął zgłębiać historię Zielonej Góry i szybko stał się w tej dziedzinie niekwestionowanym autorytetem. Współpracował z pionierami, pozyskiwał eksponaty. Brał udział w pracach nad utworzeniem ekspozycji stałej poświęconej dziejom naszego miasta; miała się ona mieścić w budynku dawnego więzienia przy Placu Powstańców Wielkopolskich. Powstała koncepcja, plany, przeprowadzono prace archeologiczne. Tu pojawia się wspomnienie Ojca, który pokazuje mi odsłonięte w ścianie głębokiego wykopu dzieje Zielonej Góry, warstwy coraz starszych bruków, ciemne krechy pożarów sprzed kilku stuleci... Ostatecznie Muzeum Zielonej Góry wtedy jeszcze nie powstało, na fali transformacji ustrojowej budynek przekazany został Kościołowi jako rekompensata za odebrany w 1960 roku Dom Katolicki.

Nie spowodowało to jednak porzucenia przez Ojca tematyki zielonogórskiej, przeciwnie. Ojciec czytał wszystko, korzystał ze źródeł polskich i niemieckich, archiwów prasowych i wspomnień mieszkańców. Na prośbę Instytutu Zachodniego Wiesław Myszkiewicz pisał o zielonogórskich ulicach, opracował kalendarium zmian ich biegu i nazw na przestrzeni stuleci. Znów powrócił tu temat przestrzeni miejskiej, tym razem w ujęciu historycznym, jako jedynego łącznika z przeszłością. Kiedy w 1998 roku dyrektorem Muzeum został dr Andrzej Toczewski, powróciła również idea utworzenia stałej ekspozycji poświęconej zielonogórskiej historii i tym razem została wreszcie ucieleśniona. Jednym z pierwszych etapów była praca nad odtworzeniem wyglądu dawnej Zielonej Góry, jej owocem jest (zbudowana przez Cezarego Ciesielskiego) makieta XVIII-wiecznego miasta. Już jako pracownik Muzeum przygotowywałem do niej szkice pod kierunkiem Ojca, który analizując ręcznie malowany plan Büttnera, odczytywał rozkład dawnych kwartałów, bieg murów, położenie cmentarzy i winnic. Później powstały jeszcze dwie kolejne makiety przedstawiające Zieloną Górę średniowieczną i współczesną. Były to pierwsze kroki prowadzące do utworzenia w ramach struktury MZL Muzeum Zielonej Góry, żelaznego dziś

punktu dla zwiedzających naszą placówkę. Pierwsza odsłona ekspozycji powstała w roku 2001, kolejna w 2006, a obecna w 2009 roku.

Ojciec starał się też niejako przywrócić pamięci potocznej zielonogórzan wiedzę o odbywających się w naszym mieście w XVII wieku procesach czarownic, z jego inicjatywy zorganizowaliśmy dwukrotnie, w latach 2000-2001, inscenizację plenerową na deptaku.

Z wiedzy Wiesława Myszkiewicza korzystało wielu piszących o naszym mieście, dziennikarzy, regionalistów, historyków i pasjonatów. Choć sam nie pozostawił wielu publikacji, to przyczynił się do powstania licznych książek i artykułów. Wizja dawnej Zielonej Góry, która obecnie funkcjonuje w masowej wyobraźni jest więc po części efektem również i jego pracy.

Pamiętam, że opowiadając o przeszłości zawsze sięgał głębiej, do wydarzeń śmiesznych lub groteskowych, do pomijanych przez podręczniki różnych punktów widzenia, relacji osobistych, anegdot... Do małych ludzkich historii, z których dopiero potem, kiedy już się splotły, wyłaniała się ta Wielka Historia. Do jej szlachetnej, podręcznikowej formy miał zawsze stosunek krytyczny, irytował go i zarazem bawił patos i spiż, uważał, że prawda o czasach jest gdzieś w rechocie historii. Uwielbiał i potrafił opowiadać. Podczas dyskusji nie mógł usiedzieć w miejscu, najlepiej myślało mu się, gdy chodził, stąd rozmowy z nim miały zawsze perypatetyczny charakter.

W Muzeum pracował do 2003 roku, do przejścia na emeryturę. Potem zawsze gotów był służyć wiedzą piszącym o zielonogórskich dziejach, współpracował z Pionierami. Z jego wiedzy korzystałem i ja, kiedy nieprzypadkowo przecież, zielonogórskie motywy zaczęły się pojawiać w mojej twórczości plastycznej i literackiej.

Nie udało się natomiast Ojcu wciągnąć mnie do swojej drugiej pasji, jakiej oddawał się przez szereg lat, czyli do działalności politycznej. Po 1989 roku znów odezwał się w nim niekoniunkturalny idealizm i przez blisko dekadę poświęcał swoją energię i czas Polskiej Partii Socjalistycznej, organizacji o tak niemodnie w nowych czasach lewicowej, prospołecznej orientacji.

Był też namiętym brydżystą, zdobywcą licznych tytułów i wyróżnień, przez całe dziesięciolecia dwa wieczory w tygodniu zawsze rezerwował na spotkania brydżowe, a mając na emeryturze

więcej czasu, Wiesław Myszkiewicz dodał do tego także udział w rozgrywkach internetowych.

Ojciec zmarł 1 grudnia 2014 roku, po ciężkiej chorobie. Do końca zachował jasność umysłu i mimo cierpienia, poczucie dystansu i pogodne spojrzenie na świat. Podczas tych ostatnich, już szpitalnych rozmów starał się jak najszybciej pominąć „obowiązkową” część dotyczącą jego samopoczucia i stanu zdrowia i przejść do rzeczy bardziej go zajmujących – pierwszych kroków wnuka, wrażeń z lektury mojego opowiadania, zagadki historycznej, nad którą wspólnie się głowiliśmy.



Wiesław Myszkiewicz z synem Igorem, 1984 rok, fot. C. Łuniewicz

Obok swej pracy i pasji był człowiekiem głęboko rodzinnym, kochał ogród i dużo czasu poświęcał jego pielęgnacji. Tonami pożerał książki, oczywiście głównie historyczne, ale także i fantastykę, historie niedokonane. Pierwszą książką, jaką od niego dostałem do samodzielnego czytania był *Don Kichot* Cervantesa. Rok z tym to-miszczem walczyłem, ale potem poprosiłem o więcej.

Jak już wspomniałem wcześniej, Tata nie lubił wielkich słów, ko-
turnowości i patosu. Zdawał się być na to uodporniony, we wszystkim

starał się też zachowywać właściwe priorytety, hierarchie i kolejność między rodziną, pasją, pracą i obowiązkiem. Kiedyś zadał mi proste pytanie:

– Jak sądzisz, po co żyje człowiek?

Z wyżyn mojej piętnastoletniej egzaltacji wyrecytowałem coś o ciągłości gatunku i obowiązkach wobec cywilizacji. Uśmiechnął się.

– E tam. Po to, żeby był szczęśliwy.

Proste.

Bogdan Idzikowski, Elżbieta Kołodziejaska,
Ewa Narkiewicz-Niedbalec

CZŁOWIEK DOBRY, CZYLI O PROFESORZE EDWARDZIE HAJDUKU WSPOMNIENIE JEGO UCZNIÓW

Fot. z archiwum E. Kołodziejaskiej



Profesor Edward Hajduk

*Bywa tak, że dzieło chwały mistrza broni.
Bywa tak, że dzieło chwałę mistrza trwoni.
Bywa tak, że mistrz broni dzieła swojego.
Bywa tak, że jest mistrz a nie ma dzieła jego¹*

Profesor Edward Hajduk to wyjątkowa postać zielonogórskiego środowiska uniwersyteckiego. Był filozofem, socjologiem, pedagogiem. Sam chyba uważał się za metodologa o socjologicznej orientacji, chociaż seria ostatnich jego prac wyraźnie osadzona była w dyskursie pedagogicznym. Nie lubił stygmatyzacji, przypisywania do orientacji, szkół, modnych paradygmatów. Po prostu robił swoje – badał, publikował, recenzował, a pytanie, czy wpisuje się to w jakiś wyrazisty nurt refleksji naukowej nie

¹ Maksyma przywoływana przez prof. E. Hajduka, której treść autor dołączył także do swojej książki *Człowiek dobry*.

zajmowało go szczególnie. Jeśli w ogóle interesował się jakkolwiek klasyfikacją i afiliacją, to w kategoriach, czy jest to metodologicznie poprawne i naukowo/poznawczo nośne.

Profesor był osobą wymykającą się jednoznaczności: pisząc teksty pedagogiczne czynił to z socjologicznej perspektywy, co szczególnie widoczne jest w języku opisu. To unikanie jednoznaczności w przypisywaniu do dyscypliny naukowej było chyba obroną przed zamknięciem w ciasnym gorsecie dyscyplinowym, przypisaniem do określonej korporacji, która nakłada zawsze jakieś ograniczenia i formułuje roszczenia. Widoczne jest to w stylu wypowiedzi Profesora, szczególnie w unikaniu sformułowań jednoznacznie rozstrzygających i nadmiernie akcentujących odmiennosć/konkurencyjność zgłaszanych wypowiedzi.

Urodził się 27 listopada 1932 roku we wsi Gnieździska na Kielecczyźnie, a zmarł 9 marca 2015 roku w Zielonej Górze. Z domu rodzinnego wyniósł przyzwyczajenie do systematycznej, ciężkiej pracy i upór w dążeniu do celu. Skromność i niebywała pracowitość pozostały znakiem rozpoznawczym Profesora do końca jego drogi życiowej i zawodowej. Ta ostatnia zakończyła się mniej więcej na półtora roku przed śmiercią.

W 1959 roku ukończył studia na Wydziale Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. Kierunek filozofia zawierał profil socjologiczny, który przez ówczesne władze partyjne nie był mile widziany. Ten okres swojego rozwoju, kontakt z wybitnymi postaciami polskiej filozofii: Władysławem Tatarkiewiczem, Leszkiem Kołakowskim, Tadeuszem Kotarbińskim oraz socjologami: Marią i Stanisławem Ossowskimi wielce sobie cenił i wszystkie te postaci wspominał z ogromną atencją.

Kolejny etap awansu naukowego to uzyskanie w 1976 roku, decyzją Rady Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, stopnia doktora nauk humanistycznych w zakresie pedagogiki. Rozprawa doktorska dotyczyła procesu uspołecznienia studentów, kandydatów do zawodu nauczycielskiego.

W roku 1982 Rada Wydziału Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego nadała Profesorowi na podstawie dorobku naukowego oraz monografii *Przemiany społecznej osobowości studentów*

stopień naukowy doktora habilitowanego w zakresie socjologii wychowania. Nominację profesora nauk humanistycznych otrzymał z rąk Prezydenta Rzeczypospolitej Aleksandra Kwaśniewskiego w 1997 roku.

Z zielonogórskim środowiskiem naukowym profesor Edward Hajduk związany był od początku lat 70. do końca swoich dni. Po przybyciu do Zielonej Góry po krótkim okresie pracy w Gorzowie Wielkopolskim, Profesor budował i rozwijał zielonogórskie środowisko naukowe, szczególnie aktywnie uczestniczył w tworzeniu zielonogórskiej pedagogiki oraz socjologii. Rozpoczął (1971-1974) jako wykładowca Wyższej Szkoły Nauczycielskiej, zakończył karierę jako profesor Uniwersytetu Zielonogórskiego.

W swojej pracy zawodowej w Wyższej Szkole Pedagogicznej pełnił wiele funkcji. W roku akademickim 1982-1983 powstała Katedra Pedagogiki Społecznej, którą Profesor współtworzył i kierował przez następne lata. W jej ramach strukturalnych działał Zakład Pedagogiki Kulturalno-Oświatowej (przekształcony w latach 90. w Zakład Animacji Kultury i Andragogiki). Współtworzył podstawy programowe kształcenia na kierunku pedagogika dla dwóch specjalności: pedagogika kulturalno-oświatowa, przekształconej później w pedagogikę w zakresie animacji kultury oraz praca socjalna, która od 2011 roku jest samodzielnym kierunkiem studiów na Uniwersytecie Zielonogórskim.

Profesor był w latach 1984-1990 Prorektorem ds. Nauczania i Wychowania WSP. W tym czasie, dzięki Jego inicjatywie i staraniom nadano Uczelni w 1989 roku imię Tadeusza Kotarbińskiego, a w uroczystości i konferencji prakseologów, zorganizowanej z tej okazji uczestniczyła i wygłosiła wykład żona profesora Kotarbińskiego Janina Kotarbińska.

Profesor Hajduk był współzałożycielem i pierwszym dyrektorem Instytutu Pedagogiki Społecznej (1991-1993). Funkcję tę sprawował ponownie w latach 2000-2003. Edward Hajduk był również współzałożycielem Zakładu Metodologii Badań Społecznych, którym kierował w latach 1996-2003. W tym okresie powołał zespół do prowadzenia wieloletnich badań panelowych procesu socjalizacji młodzieży polskiej i niemieckiej. Zespół zrealizował dwa projekty

badawcze z badaczami niemieckimi, czeskimi, węgierskimi, greckimi i rosyjskimi, działającymi pod kierownictwem profesora Hansa Merkena z Freie Universität w Berlinie (1992-1996, 2000-2003). Ta współpraca badawcza okazała się niezwykle owocna szczególnie w partnerstwie dwóch zespołów: z Freie Universität Berlin i WSP Zielona Góra, co często publicznie podkreślał jej główny koordynator, prof. Hans Merkens. Trwała najdłużej, bo od 1992 do 2003 roku w obszarze badań, a zważywszy na liczne konferencje naukowe upowszechniające rezultaty badań oraz publikacje monografii autorskich, prac zbiorowych i wielu artykułów w czasopismach – jej efekty obecne były znacznie dłużej. Miarą uznania dla wkładu Profesora Hajduka w tę współpracę była także obecność prof. Hansa Merkena na jubileuszowej konferencji dedykowanej Profesorowi Hajdukowi z okazji jego osiemdziesięciolecia.

Przez dwie kolejne kadencje przypadające na lata 1993-2000 Edward Hajduk pełnił funkcję dziekana Wydziału Pedagogiki. Za jego kadencji Wydział uzyskał w 1994 roku prawo nadawania stopnia doktora nauk humanistycznych w zakresie pedagogiki. W tym czasie także powstał Instytut Socjologii (1994).

Profesor Edward Hajduk aktywnie uczestniczył także w pracach uczelnianych wydawnictw naukowych, był członkiem: kolegium redakcyjnego czasopisma „Rocznik Lubuski” (od 1986), Rady Redakcyjnej Wydawnictwa Uczelnianego WSP (1987-1990) oraz Rady Redakcyjnej „Prakseologii” (od 1990).

Jako prorektor, a później dziekan, wspierał wszelkie formy aktywności studentów. Uważał, że Uczelnia będzie dobrze rozpoznawana nie tylko przez dorobek kadry naukowej, ale również osiągnięcia artystyczne studentów. W tym okresie (listopad 1984), studenci WSP i absolwent WSI (Władysław Sikora) utworzyli kabaret Potem, doskonale rozpoznawany na rynku rozrywki, dający podwaliny tzw. Zielonogórskiego Zagłębia Kabaretowego. W 1990 roku zespół Raz Dwa Trzy wyjechał do Krakowa na 26. Studencki Festiwal Piosenki, który wygrał, zbierając bardzo pochlebne opinie. Na niektórych koncertach odbywających się w Zielonej Górze, lider zespołu Adam Nowak wspominał, iż Profesor Hajduk jako prorektor ds. studenckich podjął decyzję o dofinansowaniu tego wyjazdu,

ponieważ członkowie nie dysponowali wystarczającymi środkami finansowymi. Był to swoisty eksperyment artystyczny nieznanego jeszcze zespołu, co świadczy o otwartości Profesora, który nie bał się ryzyka nietrafionego wsparcia finansowego. Być może dlatego, że Edward Hajduk był orędownikiem kreatywnego rozwoju podmiotów i różnorodnych form kultury studenckiej. Wspierał kluby studenckie, będąc prorektorem promował między innymi powstanie Spółdzielczo-Uczelnianego Domu Kultury „Mrowisko” (1985), na utworzenie którego Zielonogórska Spółdzielnia Mieszkaniowa przekazała lokal, a Uczelnia zapewniała wsparcie kadrowe, programowe i finansowe. Po likwidacji Domu Kultury „Mrowisko” obiekt stał się siedzibą Zakładu Animacji Kultury i Andragogiki, w którym nadal odbywają zajęcia student specjalności animacja kultury.

Za swoją pracę i pełnione funkcje Profesor otrzymał odznaczenia państwowe: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia (1991), Złoty Krzyż Zasługi (1980) oraz Medal Komisji Edukacji Narodowej (1978). Za pracę naukową uzyskał także nagrodę Prezydenta Miasta Zielona Góra (1998) oraz liczne nagrody Rektora WSP.

Profesor Hajduk był nauczycielem kilku pokoleń studentów. Wypromował ośmiu doktorów. Troje z nich: Bogdan Idzikowski, Ewa Narkiewicz-Niedbalec oraz Maria Zielińska będąc dziś profesorami Uniwersytetu Zielonogórskiego, kontynuuje Jego dzieło.

Był autorem i współautorem kilkunastu monografii i ponad stu kilkudziesięciu artykułów. Jego publikacje to między innymi wznawiana wielokrotnie (1988, 1993, 1994, 1996), wydana w Zielonej Górze książka, poradnik dla studentów pt. *Hipoteza w badaniach pedagogicznych*. Inne prace to: *Przemiany społecznej osobowości studentów* (1982), *Struktura społeczna a socjalizacja* (1990), *Człowiek dobry* (1992), *Wzory przebiegu życia* (1996), *Układy społeczne i ich funkcje socjalizacyjne* (1999), *Kulturowe wyznaczniki biegu życia* (2001). Wspólnie z żoną, dr Barbarą Hajduk, opublikował trzy pozycje, w tym wydaną w 2001 roku, w krakowskiej oficynie wydawniczej Impuls, książkę pt. *Pomoc i opieka: różne postacie*. Ostatnią publikacją Profesora była, przygotowana wspólnie z synem Fabianem, wydana w 2013 przez Wydawnictwo Wyższej Szkoły Bezpieczeństwa w Poznaniu, książka *Szkice z socjologii sportu*.

Obszerniejszy wykaz jego publikacji można znaleźć w pracy zbiorowej przygotowanej z okazji jubileuszu Jego 70. urodzin (E. Miąnowska, Paprzycka 2003).

Dominują teksty o wyraźnie empirycznym rodowodzie, ale też takie pisane z potrzeby osobistej zadumy nad kondycją człowieka i instytucji: edukacji, kultury, nauki i samych ludzi nauki, którzy doświadczają poczucia nieadekwatności założeń swojej misji z tym, co sami mogą zrobić. Są to refleksje jakby przednaukowe, które sygnalizują nowe obszary warte podjęcia jako pola badawcze. Jest autorem pozycji pełniących funkcje wspomagające proces dydaktyczny w kształceniu wyższym – z zakresu metodologii, pomocy społecznej, uczestnictwa w kulturze.

Dla najbliższych współpracowników był Mistrzem inspirującym, niezwykle skromnym, zawsze gotowym do pomocy, dyskusji naukowej, pełen ciepła, życzliwości, poczucia humoru i dystansu do siebie. Profesor Edward Hajduk bardzo strzegł swojej prywatności, nie widział powodu, aby się nią dzielić. Uważał, że o pracowniku naukowym powinny świadczyć wyłącznie jego dokonania naukowe, publikacje, badania. Z okazji 80. urodzin Profesora została wydana publikacja pt. *Przy herbacie. Rozmowy z Edwardem Hajdukiem* (Kołodziejska 2012), która zgodnie z Jego zastrzeżeniem nie jest biografią, ale zapisem rozmów. Przygotowanie książki zajęło autorce ponad dwa lata. Każda rozmowa starannie zaplanowana, oparta na wybranym zestawie lektur, trwała kilka godzin, dotyczyła różnych obszarów nauki i życia społecznego, przez co pozwoliła pokazać różne oblicza Profesora. Bohater publikacji był z niej zadowolony, co wyraził słowami: „u datne to dzieło – jestem kontent”. Dla osób znających powściągliwość Profesora oznaczało to wyraz satysfakcji, a dla autorki było największą pochwałą i nagrodą. To podkreślenie wkładu autorki w powstanie książki nie służy narcystycznej autoprezentacji, a ma specyficzny kontekst związany z osobowością Profesora. Unikał starannie wszelkiej prywaty, upubliczniania wątków biograficznych i emocjonalnej ekspresji – szczególnie na forum publicznym. Dlatego też skłonienie Jubilata do takiej rozmowy, a następnie opracowanie słów Profesora do wersji wzbudzającej Jego akceptację, stanowi także miarę kompetencji jednej z Jego

uczennic. Prywatnie Profesor lubił i podziwiał perfekcjonizm we wszystkim. Lubił wysiłek fizyczny: spacery po górach, długodystansowe pływanie w basenie lub jeziorze, wiosłowanie łodzią. Lubiał sztukę kabaretu. Podziwiał Charlesa de Gaulle'a jako niezwykle skutecznego przywódcę i skromnego człowieka. W ogóle cenił talent i pracowitość, a jeśli były one wsparte skromnością, to wzbudzały tym większe uznanie.

Uzupełnieniem wielowymiarowego wizerunku Profesora okazała się wiedza o nim zyskana już po jego śmierci od żony Barbary Hajduk. Podczas pierwszego Seminarium Metodologicznego, zorganizowanego z okazji rocznicy urodzin Profesora (29 listopada)², dr Barbara Hajduk przedstawiła jego „Zauważenia” – zbiór uwag, refleksji, powiedzonek, spostrzeżeń, które Profesor zapisywał, a których odbiorcami byli jedynie członkowie najbliższej rodziny. Zapiski te zostały opublikowane w czasopiśmie Wydziału Pedagogiki, Psychologii i Socjologii „Relacje” (Hajduk, Hajduk 2016). Natomiast wspominając Profesora podczas II Seminarium dedykowanego jego pamięci (28.11.2016) dr Barbara Hajduk zaskoczyła nas, współpracowników jeszcze bardziej, prezentując wiersze Profesora. Jeden z nich *Wierzę w człowieka*, zamieszczony na końcu naszych refleksji, wyraża stosunek do ludzi i równocześnie celnie rysuje credo Profesora pełne wiary w innych.

Profesor Hajduk niewątpliwie zasługiwał na miano spolegliwego nauczyciela, które to określenie ukuł jeden z Jego mistrzów Tadeusz Kotarbiński. I takie właśnie rozumienie tego pojęcia stosował Profesor w życiu. Zajęcia prowadził w sposób zajmujący, zarówno wykłady, na których słuchacz winien był podążać za prezentowaną myślą, co nie było aż tak trudne, ponieważ prof. Hajduk potrafił bardziej skomplikowane zagadnienia ilustrować odpowiednimi przykładami, zarówno z literatury naukowej, ale także z życia codziennego. Potrafił również dobrze poprowadzić dyskusję. Umiał słuchać interlokutora, nigdy nie reagował emocjonalnie (choć być może niektóre sytuacje do tego prowokowały, co my – uczniowie mogliśmy

² Odbyło się 26.11.2015 roku w auli C w Kampusie B, przy Wojska Polskiego 69.

odczytać z lekkiego mrużenia powiek lub ledwo słyszalnego cmoknięcia). Kierował się zasadą T. Kotarbińskiego – nie krytykuj, przedstaw swój punkt widzenia. Jeśli masz inny, to nie sygnalizuj tego słowami: *ja się z panem nie zgadzam*, a przedstaw autorskie rozumienie. Jeśli adresat jest refleksyjny (a na takich Profesorowi zależało, takich cenił) sam odczyta zawartą w wypowiedzi krytykę. Jeśli nie, to i tak nie warto mitrzyć energii na przekonywanie oponenta, zwykle niezdołnego do zmiany rozumowania. Lubił czytać, był na bieżąco z literaturą socjologiczną, częścią psychologiczną i pedagogiczną. Interesowały go także rozważania bardziej ogólne, dotyczące kondycji współczesnego świata. Teksty współpracowników, chcących skonsultować swoje artykuły, rozdziały książek czy doktoratów czytał bardzo szybko. Ale nawet na etapie przygotowywania przez „uczniów” dysertacji doktorskiej pozostawiał mu dużą swobodę, stawiając co najwyżej znak zapytania na marginesie lub robiąc krótkie uwagi do omówienia przy najbliższym spotkaniu. Na sprawdzone rozdziały lub teksty nie czekało się dłużej niż dzień lub dwa. Profesor umiał się cieszyć z sukcesów swoich „uczniów”, współpracowników, ale nigdy, niczego nie lubił celebrować. Unikał wszelkich ceremonii, oficjalnych eventów, konwentykli, podniosłych uroczystości ku czci. Bronił się przed fetowaniem kolejnego jubileuszu, ponieważ nie lubił być w centrum zainteresowania. To dzisiaj niezwykle rzadko spotykana cecha. Wolał, żeby o nim zaświadczały jego dzieła. Cechowała go skromność i czasem wręcz niezrozumiały dla nas umiar. Nie był menedżerem swoich myśli. Publikował książki, redagował prace zbiorowe, ale nie tworzył „szumu” wokół nich, być może wychodząc z założenia, że myśli – jeśli ktoś po nie sięgnie – obronią się same. Był człowiekiem poprzedniej generacji, w czasach której spotkania autorskie odbywały się raczej z literatami, natomiast promocji książek naukowych albo nie było, albo też zastępowała je krytyka naukowa na różnych forach – konferencjach, w publikacjach naukowych, recenzjach. Ta nowa forma pojawiła się wraz z transformacją po 1989 roku, kiedy powstało wiele wydawnictw zarabiających na pracach naukowych, podręcznikach akademickich. Musiały one jednak być redagowane zgodnie z upowszechnionymi na Zachodzie standardami dla studentów, masowo

podejmujących studia. Tego nowego wymiaru pracy naukowej i dydaktycznej Profesor chyba nigdy nie polubił, chociaż zaakceptował jako znak czasów.

Uwypuklony w tytule tego rysu wspomnieniowego „człowiek dobry” ma tu potrójny sens. Raz, bo odnosi się do postawy Profesora. Dla wielu, którzy mieli okazję z nim współpracować, był po prostu dobrym, życzliwym człowiekiem. Szczególnie taki był w relacjach ze swoimi uczniami. Dwa, gdyż jest to figura zaczerpnięta przez Profesora z koncepcji jego mistrza – Tadeusza Kotarbińskiego, co sygnalizuje rodowód myślowy Edwarda Hajduka. I po trzecie – myśl tę rozwijał Profesor w swoich pracach. Szczególnie w jednej (*Człowiek dobry*, 1992) zawarł w syntetycznej formie sposobu udziału ludzi w biografii innych osób. Znacząco wyżej cenił sobie w dyskursie naukowym i w praktyce społecznej dwie strategie: pomagania innym przez utrudnianie oraz pomagania przez tworzenie dzieł. W pierwszej, mimo zawartego w niej oksymoronu, zaakcentował potrzebę takich zabiegów socjalizacyjnych, które budują samodzielność, niezależność i zdolność do rozwiązywania problemów przez wychowanków. Jest to podejście konkurencyjne do rozpowszechnionego w praktyce społecznej, pomagania przez wyęczenie, co utożsamiane jest z postawą dobrego samarytanina i cenione społecznie, ale kreuje jednostki zewnątrzsterowne, dlatego takiej strategii Profesor nie cenił. Jednak najwyższą wagę przypisywał tworzeniu dzieł – każdych wytworów, nie tylko artystycznych. To trwały ślad, który pozostaje po ludziach, a dobrze wykonana robota (dzieło) najlepiej pomaga innym. Może dlatego tak bardzo wspierał studentów i nas, swoich uczniów w działaniach przynoszących dobre rezultaty?

Język Profesora miał szczególny, specyficzny rys, co może być interesującym wyzwaniem dla językoznawczej analizy. Jako Jego uczniowie doświadczyliśmy przyjemności, ale także trudności w percypowaniu składni, charakterystycznych zwrotów, szyku przestawnego, powściągliwości, a nawet puryzmu w używaniu metafor, ozdobników, unikania nadużywania przymiotników i figur/fraz gramatycznych nacechowanych emocjami. To niemal wzorcowy język deskryptywny. Do repertuaru charakterystycznych słów Profesora

należą: *domysł/zamysł, potomek, ochoczo, udatnie, dobra robota, jestem rad, roztropność* itp.

To, czego w warstwie językowej w dyskursie naukowym uniikał Profesor, zbalansował metaforą i osobistymi emocjami w swoim wierszu:

Wierzę w człowieka

Kiedy innych zniewala despota, złość mnie ogarnia, drga lewa powieka
 Wzbraniam się stanowczo przed wymierzeniem ciosu – wierzę w człowieka
 Kiedy książki nie mam obiecałej, niesłowność mi dopieka
 Tłumię w sobie słowa prawdy – wierzę w człowieka
 Kiedy doskwiera mi potwarz, plotka potem już ocieka
 Oszczercy rękawicy nie rzucam – wierzę w człowieka
 Kiedy wiwaty wznosi niecnota, łatwowiernym zabija ćwieka
 Sumienie karce, niecnoty nie besztam – wierzę w człowieka
 Kiedy nieuk żwawy i rzutki książkę do ręki brać przyrzeka
 Posłuch u mnie wywołuje miłe słowo – wierzę w człowieka
 Kiedy buty do szewca oddaję a terminowość on przyrzeka
 Spieszę po odbiór i cóż mnie czeka? Wiara w człowieka
 Kiedy w urzędzie składam podanie a urzędnik się postara
 Pytam, nie ponaglę, powściąga mnie też w człowieka wiara
 Kiedy diariusz wieści przynosi – „za zmiany nie odpowiadam” – prawda to stara
 Nie oczekuję wyjaśnień, powstrzymuje mnie stanowcza – w człowieka wiara
 Kiedy leniwa chcę zachęcić do wysiłku aż pot mi ocieka
 Rezygnuję z przymusu, nacisku – wierzę w człowieka
 Kiedy myśli moje uznasz czytelniku za marne, złe czary
 Osądź łagodnie, ponownie rozważ – w człowieka nie trać wiary
 A kiedy posłuch dałeś podszeptom, morał cię czeka bez postury
 Słyszac słowa mistrza Jakuba – człowiek dobry z natury
 Odważnie, zwyczajnie pytaj mistrza – który?

Bibliografia

- Hajduk B., Hajduk D. (2016), *Edward Hajduk – Zauważenia*, „Relacje. Studia z Nauk Społecznych”, nr 1, s. 199-217.
- Kołodziejska E. (2012), *Przy herbacie: Rozmowy z Edwardem Hajdukiem*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego.
- Mianowska E., Paprzycka E. (2003), *Bibliografia prac Edwarda Hajduka*, [w:] *Młodzież polska w nowym ładzie społecznym: księga pamiątkowa z okazji*

siedemdziesiątej rocznicy urodzin profesora Edwarda Hajduka, red. nauk.
B. Idzikowski, E. Narkiewicz-Niedbalec, M. Zielińska, E. Papiór, Oficyna
Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Hajduk E. (1992), *Człowiek dobry*, Wydawnictwo WSP, Zielona Góra.

Stanisław Kowalski

**JAN MUSZYŃSKI (1932-2017)
ZIELONOGÓRSKI HISTORYK SZTUKI,
MUZEALNIK**

Jan Muszyński należy do grona osób, które wniosły niezwykle znaczący wkład w rozwój województwa lubuskiego. Zasłużył się szczególnie dla kultury, zwłaszcza w sferze ochrony zabytków, organizacji nauki i rozwoju muzealnictwa.

Niniejsze wspomnienie zawiera nutę prywatności ponieważ nasza przyjaźń z Jankiem trwała nieprzerwanie od 1952 roku. Była to przyjaźń bardzo bliska i niezawodna. Dla mnie znaczyła bardzo dużo i niejednokrotnie w trudnych sytuacjach stanowiła psychiczną podporę.

Poznaliśmy się na egzaminie z rysunku, gdy zdawaliśmy na historię sztuki w Poznaniu. Już po wymianie kilku zdań czułem się w Jego obecności tak, jakbym Go znał z podwórka, tymczasem On mieszkał w starożytnym Gnieźnie, a ja na wsi, w Jędrzejewie koło Trzcianki.

Na studia o kierunku historia sztuki przyjęto szesnaście osób, w tym czternaście dziewczyn. Liczebna dominacja płci pięknej wpłynęła zapewne na scementowanie naszej przyjaźni, jak się później okazało, na całe życie.

Nasze studia przypadały na ponure czasy stalinowskie, kiedy nauka była tylko jednym z obowiązkowych obowiązków studenta, obok tzw. pracy społecznej. Janek udzielał się w Kabarecie

Studenckim Żółtodziób, a wcześniej włączyliśmy się do zespołu „artystycznego”, który wyjeżdżał na wieś z „koncertami”. W grupie byli studenci polonistyki, historii i muzykologii. Leszek Zieliński, późniejszy dziennikarz Zielonogórskiej Rozgłośni Radiowej, grający na akordeonie, jego wyższa o głowę narzeczona (recytacja) oraz chór z repertuarem pieśni masowych. My obaj, kompletnie upośledzeni, jeśli chodzi o słuch muzyczny, występowaliśmy właśnie w chórze.

Dzięki wrodzonemu optymizmowi i wesołemu usposobieniu Janka, przymus takiego działania traktowaliśmy w kategorii zgrywy. A pomijając tę stronę studenckiego życia, mimo wszystko marginalną, studia na historii sztuki były wielce satysfakcjonujące, dostarczające dużo duchowej przyjemności.

W czerwcu 1956 roku Jan Muszyński zdał egzamin magisterski. Napisał pracę dyplomową o renesansowym drzeworytnictwie. Na bazie tej rozprawy powstała później, wydana w Wydawnictwie Poznańskim, książka pt. *Ze studiów nad renesansowym drzeworytnictwem książkowym w Poznaniu w XVI wieku*. Zaraz po dyplomie znalazł pracę w Urzędzie Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Zielonej Górze i osiadł tu na stałe. Zawiadomił mnie, że mogę również zostać zatrudniony. Byliśmy znowu razem, w tej samej pracy, a naszym szefem był Klemens Felchnerowski, niewiele od nas starszy. Z wykształcenia konserwator zabytków i artysta malarz. Jako zwierzchnik Klemens był wymagający, ale przyjazny i stwarzający warunki do swobodnego działania, dzięki czemu szybko nauczyliśmy się samodzielności w pracy. W roku 1960, gdy Klemens objął funkcję dyrektora Muzeum, Jan Muszyński został Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków.

Praca w sferze ochrony zabytków jest w ogóle mało wdzięczna, bo dotyczy delikatnej i zawsze kontrowersyjnej społecznie idei. W latach powojennych obciążona była dodatkowymi trudnościami z powodu zniszczeń wojennych, ogólnej biedy, powszechnej indolencji administracji terenowej, w warunkach obowiązującej doktryny politycznej. Na terenie tzw. Ziemi Odzyskanych, z racji świeżej pamięci o wojennych zbrodniach niemieckich, obciążeniem dla idei ochrony była ponadto powszechna nienawiść społeczna do

wszelkich materialnych śladów germańskiej spuścizny kulturowej. W kontrakcji, dla ratowania zagrożonych zabytków, służby konserwatorskie stosowały nieuprawnioną często retorykę, nadużywając w określaniu obiektów terminów: piastowski, narodowy, polski. Oczywiście określenia takie bardzo często nie miały uzasadnienia merytorycznego, ale były skuteczne. Świadomy, że miejscowe władze administracyjne i polityczne pozbawione są możliwości zweryfikowania Jego ustaleń, Muszyński ponad miarę szafował terminem „zabytek piastowski”. O warunkach pracy w latach 50. Muszyński pisał:

(...) początki były trudne z powodu braku umiejętności przystosowania się do obsługi administracji i do doktryny, która nijak nie pokrywała się z głoszonymi oficjalnie poglądami. To może był najtrudniejszy okres, ta konieczność zrozumienia, że czym innym było werbalizowane deklarowanie intencji, a zupełnie czymś odmiennym praktyka¹.

(...) Jestem pewny, że działalność konserwatora w moich czasach, to przykład kompromisu między doktryną reżimu, a dostosowaniem się do niej w praktyce².

Wymagało to oczywiście umiejętności balansowania, którą Jan Muszyński opanował, czego dowodem są uratowane pomniki kultury.

Groźne dla ochrony zabytków stało się hasło „Cały naród odbudowuje stolicę”, bowiem w odniesieniu do terenu Ziemi Odzyskanych oznaczało pozyskiwanie cegieł z rozbiórek uszkodzonych, bądź opuszczonych budynków, głównie kamienic. Utworzono specjalne Powiatowe Grupy Rozbiórkowe, zobowiązane do wykonywania określonych planów. Sytuację pogorszyło wydanie w 1955 roku Uchwały Prezydium Rządu w sprawie usuwania zniszczeń

¹ J. Muszyński, *Z doświadczeń w służbie konserwatorskiej*, [w:] *Wokół niemieckiego dziedzictwa kulturowego na Ziemiach Zachodnich i Północnych*, red. Z. Mazur, Poznań 1997, s. 244.

² *Ibidem*, s. 232.

wojennych, co oznaczało intensyfikację prac rozbiórkowych. Do realizacji postanowień uchwały powołano Powiatowe Komisje z udziałem Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Doceniając bystrość, elokwencję i talenty dyplomatyczne Janka, Felchnerowski obarczył Go zadaniem uczestniczenia w pracach tych gremiów, z zadaniem pilnowania, by rozbiórkami nie objęto obiektów zabytkowych. Była to niełatwa misja, bo w czasie dyskusji i ustaleń miał przeciwko sobie niemal wszystkich.

Zorientował się, że argumenty o wartościach kulturowych obiektu trafiały zazwyczaj w próżnię. Stosował zatem niekonwencjonalne metody obrony zabytków, z dzisiejszego punktu widzenia niedopuszczalne, ale w ówczesnych warunkach jedynie gwarantowane. Renesansowe i barokowe kamienice w Żaganiu, Żarach, Koźuchowie przetrwały dzięki nadaniu im metryki piastowskiej. W przypadku XVI-wiecznych domów we Wschowie naciąganie faktów było zbędne, skoro to królewskie miasto znalazło się poza granicami Rzeczypospolitej dopiero w wyniku drugiego rozbioru (1793). Identyczny status posiadały także zabytki z rejonów Babiostu, Międzyrzecza i Skwierzyny.

W okręgu Gubina, Lubska i Żar, czyli historycznych Łużyc, Muszyński przypisywał zabytkom rodowód łужицький. Sprawie sprzyjały nagłośnione po wojnie odkrycia archeologiczne z epoki zwanej kulturą łужицькą (ok. 1300-1100 p.n.e.), uważanej mylnie za prasłowiańską, co różnym doktrynerom kojarzyło się pozytywnie. W Żarach usilnie dążono do zburzenia uszkodzonej fary i otaczających ją renesansowo-barokowych domków. W obronie świątyni Muszyński nazywał ją najstarszą budowlą bratniego narodu łужицький, zasłużoną dla podtrzymywania przez wieki języka i kultury tego ludu. Gdy przyszła kolej na sąsiadujące domy, sięgnął do argumentów polityczno-ideologicznych: rozbiórka tych obiektów odsłoni bryłę kościoła, który stojąc na rozległym placu będzie najbardziej rzucającym się w oczy obiektem w mieście. Takie uzasadnienie było nie do podważenia.

Wyjątkowo cenny zespół zabudowy skupiony przy Rynku w Bytomiu Odrzańskim skłonił do działania Klemensa Felchnerowskiego. Jego starania o remont kamienic kontynuował Jan

Muszyński. Mimo przyznanych już środków z budżetu Ministerstwa Kultury i Sztuki na remont hotelu Pod Złotym Lwem, całej sprawie ostro przeciwstawił się przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej w Nowej Soli. Janek miał sprzymierzeńca w osobie gospodarza miasta Michała Winogrodzkiego, musiał jednak szukać dodatkowego wsparcia, nagłaśniając sprawę w prasie. Dekoracyjne fasady wykluczały nazwanie domów piastowskimi. Janek głosił zatem, że zabudowa bytomskiego Rynku to czysty przykład nawiązania do tradycji architektury polskiej.

Istniało silne parcie władz powiatowych Nowej Soli na wyburzenie uszkodzonego wojną ratusza w Kozuchowie. Stawiając na odbudowę Janek znalazł sojusznika w osobie przewodniczącego Rady Miasta Czesława Chabury, który zorganizował spotkanie zainteresowanych stron przy obiedzie. Padały argumenty za ratowaniem zabytku i przeciwnie. Nie widząc szansy na rozstrzygnięcie sporu Janek wytoczył skuteczny argument. Jest brak mieszkań – dowodził – tymczasem wiele domów mieszkalnych zajmują różne instytucje, które po odbudowie znajdą lokum w ratuszu. Nie zawsze dla ratowania zabytków można było akcentować względy społeczno-gospodarcze. W zmaganiach o pałac w Brodach przydała się naciągana historia – Janek podał, że budowlę wzniosł minister króla polskiego Augusta III, przemilczając jednak, że ów minister, dostojnik saski, wzbogacił się przestępczo kosztem Skarbu Państwa.

Pałac w Żaganiu drażnił władze jako budowla opuszczona, nieprzydatna społecznie, zatem nadająca się tylko do rozbiórki, wbrew opinii konserwatora zabytków. W takich przypadkach dla eliminowania racji konserwatorskich wykorzystywane były media. Nie dali się w to wciągnąć dziennikarze „Gazety Zielonogórskiej” ani miejscowej rozgłośni radia, ale znalazł się publicysta w Krakowie. Bogdan Drozdowski ogłosił w „Życiu Literackim” gorący apel o pilną rozbiórkę żagańskiej budowli, nazywając zabytek „junkiersko-pruskim gmaszyskiem”. Artykuł opublikowany w szacownym tygodniku spowodował ogromną presję na służbę konserwatorską w celu wyrażenia zgody na zburzenie zabytku. Nie pomagał argument o wielkiej wartości kulturowej pałacu ani tkwiące w jego murach relikty zamku piastowskich książąt żagańskich. Szukając pomocy

Muszyński informował o zagrożeniu Ministerstwo Kultury i Sztuki. O ratunek zwrócił się równocześnie do dr. Józefa Lepiarczyka z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pamiętał jego wykład w Złotorzy o rezydencji żagańskiej, wygłoszony do studentów przebywających na wakacyjnej praktyce po trzecim roku. Doktor Lepiarczyk zareagował publikacją artykułu akcentującego wyjątkowe wartości pałacu w architekturze europejskiej. Uczona opinia umocniła stanowisko konserwatora, przerywając napór burzycielski.

Największym wyzwaniem dla Muszyńskiego, jako Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, było pojawienie się w 1960 roku listy 113 zabytków sakralnych do rozbiórki. Wykaz zawierał obiekty opuszczone, różnej wartości kulturowej, ale także budowle użytkowane, w tym wiele bardzo cennych. Na liście znalazły się np. zespół pocysterski w Gościkowie, dawne klasztory w Głogowie, Wschowie i Żaganiu, kościoły farne w Głogowie, Gubinie, Ośnie Lubuskim i Żarach, kościoły drewniane w Bukowcu i Trzebuli. Dziś wiadomo, że listę sporządził Wydział do Spraw Wyznań, a zatwierdziła Egzekutywa Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Akcja miała charakter odwetu za Wypadki Zielonogórskie – masowego protestu mieszkańców miasta przeciw przejściu przez władze Domu Katolickiego.

Sytuacja przedstawiała się groźnie. Muszyński zwrócił się do Ministerstwa Kultury i Sztuki z prośbą o interwencję. Równocześnie nawiązał kontakt z Instytutem Sztuki Polskiej Akademii Nauk, gdzie pozyskał rzeczoznawcę, który przeprowadził terenowe rozpoznanie obiektów. W przedstawionej opinii zdecydowaną większość z nich określił jako cenne, podlegające ochronie. Pomysł rozbiórki tyłu budowli nazwał błędem politycznym – wodą na młyn propagandy niemieckich rewizjonistów. Sprawa upadła, chociaż niezupełnie, bo polityczna presja zmusiła Ministerstwo do zgody na rozbiórkę pięciu budowli sakralnych w Głogowie.

Zarysowana wyżej sylwetka Jana Muszyńskiego, jako konserwatora zabytków, pokazuje osobę traktującą powierzone zadania z dużym poczuciem obowiązku. Warunki polityczne i społeczne, w jakich przyszło Mu pracować stwarzały skomplikowane wyzwania, którym nie zawsze mógł sprostać. Jednak dzięki kreatywnemu korzystaniu z posiadanej wiedzy, trafnemu wyczuwaniu spraw

dotyczących ośrodków lokalnych, pomysłem w interpretacji rzeczywistości oraz śmiałym decyzjom, bilans korzyści góruje zdecydowanie nad stratami. Dzięki temu uszkodzony wojną krajobraz kulturowy Środkowego Nadodrza uniknął dodatkowej destrukcji, bo przetrwały takie perły przestrzenne i architektoniczne, jak Bytom Odrzański, Wschowa, a także zespoły klasztorne oraz liczne kościoły.

Zdarzały się również nieuniknione straty i gorzkie porażki osobiste. W Gubinie, gdy Janek próbował przekonać przewodniczącego PRN do zabezpieczenia zrujnowanej fary, urzędnik przerwał konserwatorski wywód radą, żeby tę ruinę wziął sobie na plecy i zaniósł do Zielonej Góry. W Sulechowie, gdzie bronił przed wyburzeniem opuszczony zbór kalwiński (dziś dom kultury), miejscowy dostojnik, zawiedziony postawą konserwatora, pytał wielokroć podniesionym głosem – to od czego my was mamy?

Kościół zabiegał o odbudowę zrujnowanej świątyni w Sulęciniu, zaś tamtejsze władze dążyły do rozbiórki obiektu. Na spotkaniu w tej sprawie ważny urzędnik przyjął Muszyńskiego, próbując ustalić wspólny front przeciw planom Kościoła. Gdy usłyszał, że ze względów konserwatorskich rozbiórka nie wchodzi w rachubę, wyraził gromkim głosem pretensję w duchu: Polska Ludowa dała wam wykształcenie, a wy się tak odpłacacie?

Tego rodzaju zdarzenia Janek traktował jako oczywistą uciążliwość w pracy. Boleśnie przeżył natomiast niepowodzenie związane z zamkiem w Krośnie Odrzańskim. Na odbudowę tego zabytku miał już przyznane środki z budżetu centralnego. Chodziło jeszcze tylko o formalność czyli zaopiniowanie planu przez odpowiednią komisję Wojewódzkiej Rady Narodowej. Pomny sukcesu odniesionego u decydentów w Warszawie Muszyński posłużył się przed komisją identyczną argumentacją o historycznej wartości zamku, powołując się na kronikę biskupa Thietmara. Błąd polegał na tym, że zacytował z pamięci fragment kroniki dotyczący Krosna w oryginale – po łacinie. Efekt był odwrotny od oczekiwanego. Zapanowała konsternacja, szept, a w ślad za tym stwierdzenie przewodniczącego: „Nie będziecie nam tu wyjeżdżać z biskupami i ministranturą?”. Gdy inny członek komisji dowodził, że nie można wydawać pieniędzy na ruiny, jeśli istnieją braki na przedszkola, niekorzystny obrót sprawy

został przesądzony. Tę porażkę, wynikłą z błędu taktycznego, Muszyński przeżywał boleśnie, czuł się winnym. Niewykluczone, że z tego poczucia winy zrodziło się naukowe zainteresowanie Krosnem, które zaowocowało doktoratem, obronionym na Uniwersytecie Poznańskim w 1971 roku oraz opublikowaną przez Wydawnictwo Poznańskie monografią historyczną miasta (1972).

W czerwcu 1962 roku przy Lubuskim Towarzystwie Kultury utworzono Ośrodek Badań Naukowych, a jego sekretarzem i organizatorem został Jan Muszyński. Na zmianę pracy dał się namówić, licząc słusznie, że stworzy ona szersze możliwości twórczego działania. Ośrodek powstał w atmosferze autentycznego zapotrzebowania społecznego, przy poparciu ówczesnych władz wojewódzkich. O konieczności zorganizowania takiej placówki mówiono i pisano w prasie od lat.

W Zielonej Górze liczono się już wtedy z możliwością powstania wyższych uczelni. Chodziło więc o kształcenie własnej kadry naukowej, czemu miał służyć Ośrodek. Cel został zatem określony, ale sposób realizacji zarysowany był mgliście. Nowo powołany sekretarz Ośrodka rozpoczął pracę od zapoznania się ze strukturą organizacyjną i pracą merytoryczną najstarszych polskich pozauczelnianych placówek naukowych: Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk i Płockiego Towarzystwa Naukowego. Nawiązał także kontakty i pozyskał dla sprawy uczonych z kręgów uniwersyteckich Poznania, Wrocławia, Krakowa i Warszawy. W krótkim czasie powstało dziewięć sekcji kierowanych przez specjalistów z różnych dziedzin wiedzy, przyjeżdżających systematycznie do Zielonej Góry z wykładami i prowadzących seminaria doktorskie.

Dynamiczny rozwój Ośrodka Badań Naukowych sprawił, że w niedługim czasie funkcjonowania jego statutowa formuła wymagała zmiany. W 1964 roku powołane zostało Lubuskie Towarzystwo Naukowe, którego sekretarzem naukowym został Jan Muszyński. Jego osiągnięcia na tym stanowisku zostały omówione w publikowanych opracowaniach. Tutaj ograniczę się zatem do zacytowania fragmentów artykułu Henryki Doboszowej, która w dziesięciolecie Lubuskiego Towarzystwa Naukowego napisała o Muszyńskim:

Organizator i animator ruchu naukowego, naukowiec, działacz, artysta. Jest w lubuskiej kulturze postacią dosyć wyjątkową, trudną do zdefiniowania. W ogóle jest człowiekiem wymykającym się próbom zaszkladkowań... Jego przewrotna inteligencja (niezycieliwi mówią inteligentna przewrotność) dostarcza satysfakcji intelektualnej jednym, innych denerwuje... Jan Muszyński wykreował lubuską naukę. Właśnie tak – nie zorganizował i nie stworzył, lecz wykreował; był jednym z tych, którzy umieli sobie wyobrazić jej prężny rozwój wówczas, gdy w województwie pojawiały się dopiero pierwsze jaskółki badań, przyczynki naukowe, zapowiedź autentycznych naukowych ambicji i możliwości. Z entuzjazmem artysty, z ogromną pasją... obleka swoje wizje w kształt działalności porządnie zorganizowanej, przemyślanej precyzyjnie w najmniejszych szczegółach, zapiętej na ostatni guzik... W rozwoju miejscowego środowiska naukowego osobowość jego animatora odegrała rolę, z której wielu ludzi nie zdaje sobie może nawet sprawy. Potrafi na przykład rozmawiać z ludźmi tak, by ich porwać, przekonać dla sprawy, która wydaje mu się słuszna. Potocznie to się nazywa, że Muszyński jest elastyczny i umie rozmawiać z „profesorami”. Tajemnica tkwi prawdopodobnie w jego bogatej osobowości, pełnej wewnętrznego napięcia, zdolnej oddziaływać twórczo na innych, w elemencie niespodzianki, którą z sobą niesie, w barwności wyobraźni. Muszyński jest artystą w nauce ponieważ jest artystą w życiu – z temperamentu, charakteru, uzdolnień³.

W tym samym tekście Doboszowej znajdujemy akapit charakteryzujący jeszcze jedną cechę Jana Muszyńskiego:

Potrafi też – jak może nikt inny – z wrodzonym sobie zacięciem aktorskim i wesołością wprowadzić w atmosferę prowincjonalnego zadęcia i galopującego patosu – odświeżający zgrzyt zgrzyw, przywracając rzeczom właściwe proporcje. Robi to bez złośliwości, z wdziękiem kawalarza...⁴

³ H. Doboszowa, „Nadodrze 1973, nr 1.

⁴ *Ibidem*.

To prawda, złośliwość Janka nigdy nie była wyrazem wrogości, nawet wobec tych ludzkich przywar, których nie znosił szczególnie: ządęcia, fałszu, zadufanej niekompetencji, karierowiczostwa, działania na pokaz w imię kreowania własnej osoby.

Profesor Jan Wąsicki, prezes Lubuskiego Towarzystwa Naukowego, oceniając wysoko pracę Muszyńskiego w tej instytucji podkreślił ponadto, że „zyskał sobie wielu przyjaciół, jak każdy, kto godność osobistą i charakter ceni wyżej aniżeli koniunkturalne układy”.

W marcu 1976 roku Muszyński został dyrektorem Muzeum Ziemi Lubuskiej. Zastał placówkę wymagającą gruntownej reorganizacji. Miał wizję muzeum, którego trzonem będzie, obok winiarstwa, polskie malarstwo współczesne. Aby stworzyć do tego warunki należało wyprowadzić z gmachu dwa działy. Zrealizował to tworząc z nich odrębne placówki – Muzeum Etnograficzne w powstającym skansenie budownictwa ludowego w Ochli i Muzeum Archeologiczne w wyremontowanym właśnie renesansowym pałacu w Świdnicy. Pozbawiony wówczas większych zbiorów dział wojskowy znalazł pomieszczenie w pałacu w Drzonowie. Dzięki umiejętności pozyskiwania pieniędzy na zakupy rosła kolekcja dzieł sztuki współczesnej, stając się jedną ze znaczących w Polsce.

Z przemyśleń nad niebanalną formułą ekspozycji dzieł zrodziła się idea galerii autorskich. Prezentowanie dzieł wybranego artysty, ciągle uzupełniane nowymi pracami, wiązały konkretnych twórców z Muzeum przez całe lata. Na gruncie polskim był to pomysł pionierski. Muszyński nawiązał bliskie kontakty z wyróżniającymi się artystami i zyskał ich przyjaźń, a ich dzieła wzbogacają muzealne zbiory.

Z upływem czasu galerie autorskie stawały się zamkniętymi i obok artystycznych – zyskiwały wartości historyczne. Dotyczyło to zwłaszcza ekspozycji, których twórcy odchodzili na zawsze. Po śmierci Mariana Kruczka zorientowano się, że w jego rodzinnym Krakowie pozostało niewiele dzieł. Wymowę tego faktu zinterpretowało „Życie Literackie”:

W znanym z wysokiego poziomu, znakomitych pomysłów i energii, tudzież szybkości działania MUZEUM ZIEMI LUBUSKIEJ W ZIELONEJ GÓRZE otwarto GALERIĘ MARIANA KRUCZKA. Wstyd dla Krakowa, i to duży. Bo jakże to, Kraków, gdzie Kruczek studiował, pracował i umarł, zamyka jego pracownię, a Zielona Góra otwiera jego Galerię? A na dodatek wydaje monografię artysty!⁵.

Wymieniona monografia nie jest nią w pełni tego słowa znaczeniu. Książki nie można nazwać katalogiem, chociaż sam autor tak ją określa. W rzeczywistości jest to poetycka opowieść o artyście, wysnuta z doświadczeń długiej z nim przyjaźni i współuczestniczeniu w wielu procesach twórczych.

Jan Muszyński, oprócz wspomnianych wyżej książek o drzeworytnictwie renesansowym w Poznaniu i monografii historycznej Krosna Odrzańskiego, współautorstwa w opracowaniu monografii Kożuchowa, jest autorem ponad 150 artykułów dotyczących ochrony zabytków, historii i układów przestrzennych miast oraz szeroko pojętego ruchu artystycznego. W publikacjach odnoszących się do sztuk plastycznych do szczególnie cennych należą liczne katalogi, będące w rzeczywistości formą oryginalnej, autorskiej prezentacji życiorysów artystycznych twórców sztuki.

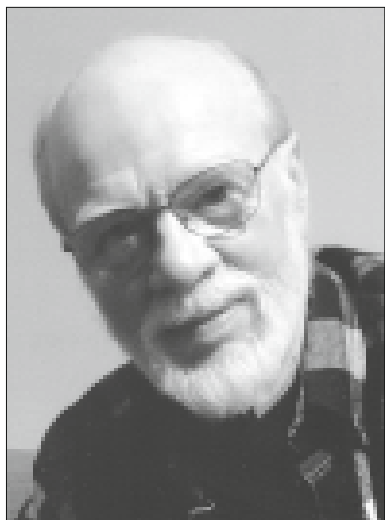
Pracę zawodową Muszyński traktował zawsze poważnie i odpowiedzialnie. Jednak twórcze podejście do podejmowanych zobowiązań powodowało, że dla Niego była nie tylko obowiązkiem. Była także intelektualną przygodą, a po części radosną zabawą.

Osobliwością zasług Jana Muszyńskiego dla kultury regionu jest ich wielopłaszczyznowy wymiar. Skutecznie zapisał się w ochronie i zachowaniu krajobrazu kulturowego, miał wybitny udział w tworzeniu podstaw lubuskiego życia naukowego, zreformował i rozwinął sieć muzealną w Zielonej Górze i okolicy.

⁵ „Życie Literackie”, 20 października 1985.

Leszek Kania

WSPOMNIENIE O JANIE MUSZYŃSKIM (1932-2017)



Jan Muszyński, 2012 rok,
fot. L. Kania

Gdyby nie Janek Muszyński, nie byłbym muzealnikiem, tylko Jemu to zawdzięczam. Najważniejszy człowiek mojego życia.

Jan Muszyński przyjechał do Zielonej Góry, kiedy się rodziłem, w 1956 roku. A poznaliśmy się w roku 1982. Był styczeń, pierwsze tygodnie stanu wojennego. Ogólnie ponuro. Janek to przeżywał. Opisywał w kronice, jak dzielił karpie dla załogi, a było ich za mało. Urządził losowanie, co uznał za poniżające.

Decyzją władz akurat BWA, gdzie pracowałem, rozwiązano i naszą galerię wchłonęło Muzeum. Jak to powiedziano „z całą substancją ludzką”. A w niej m.in. Wiesław Myszkievicz, Ewelina Felchnerowska. Byłem i ja, młody 25-letni człowiek. Trudno było przewidzieć, co z tego wyniknie. Galeria sztuki współczesnej nie

bardzo pasowała do szacownego Muzeum. Na szczęście jego szefem był Janek Muszyński. U jego boku przeszedłem wszystkie szczeble zawodowe. Od skromnego asystenta przez kierownika działu, po wicedyrektora, którym mnie sam mianował.

W ogóle miał sentyment do ludzi, u których widział iskrę talentu. Jeżeli ją zauważył, starał się podsycać. Z apteki do Muzeum wyciągnął Czesława Łuniewicza, potem z niebytu grafika Stanisława Parę. Gdy utalentowany malarz Zbigniew Szymoniak był studentem, Janek już kupował jego obrazy. Nie czekał, aż okrzepnie i ktoś go wcześniej zauważy.

Miałem szczęście, że się pojawił. Pierwsza rozmowa przypominała szkolny egzamin. Badał i to nie kurtuazyjnie, co ja wiem z historii sztuki. Zwracał się „Leszczku”. Ja mu „szefie”. Po kilku latach przeszliśmy na „ty”. W Muzeum przy al. Niepodległości w każdym miejscu widzę Jego ślady. Nie ma Go już, a jest obecny wszędzie – w gabinecie, w którym teraz urzęduję, w Sali Witrażowej, którą stworzył od podstaw. Czujemy Jego obecność.



Jan Muszyński i Leszek Kania, Poznań 2014 rok,
fot. z archiwum autora

Janek początkowo nie widział mnie w dziale sztuki współczesnej. Chciał umieścić w oświatowym, żebym krzewił kulturę plastyczną, ale w końcu się ugiał. Ostatecznie wylądowałem tam, gdzie chciałem, obok Armanda Felchnerowskiego, Anny Ciosk i Miry Szczegóły.

Janek, choć wykładał historię sztuki na WSP, był bardziej typem gawędziarza i wychowawcy. Stronił od naukowej nowomowy. Dużo było w tym pasji, publicystyki, anegdoty. Może dlatego studenci lubili jego wykłady. Przychodzili na nie także historycy, poloniści, kaowcy. Potrafił dotrzeć do wszystkich. Bywałem na tych wykładach, ale chyba mnie specjalnie nie pamiętał.

Sztuka i życiorys w toalecie

Czasy były ponure, ale praca stała się przyjemnością. Jan zdecydował, że wyrzuci z Muzeum filcowe kaptcie, nieodłączny atrybut muzealnych placówek w PRL. Nie chciał widzieć u siebie ludzi w kaptciach. – Bo jesteśmy w świątyni, twórcy są kapłanami, a dyrektor i jego współpracownicy ministrantami – mawiał. Przekonywał, że nie interesuje go życie „na przeczekanie”. Mógł sobie trwać i w nic się specjalnie nie angażować, a on wymyślił galerie autorskie. Coś oryginalnego w skali kraju. Takich galerii w ogóle nie było. Wybrał sobie artystów i zaczął z nimi współpracować. Oni, jak Kajetan Sosnowski, Jan Berdyszak, Andrzej Gieraga czy zielonogórzanin Józef Burlewicz, dali się przekonać i nagle staliśmy się potentatami, jeśli idzie o zbiory wybranych twórców. Do szczególnych postaci należał Marian Kruczek, jego ukochany artysta. Janek odwiedzał go w Krakowie w jego pracowni w Kramach Dominikańskich. Kruczek budował swoje prace z odpadków. Muszyński dodawał, że z socjalistycznych. Kruczek zaczął przyjeżdżać do Zielonej Góry w 2. połowie lat 70. Mieszkał w chacie w skansenie w Ochli, odwiedzał złomowiska i pchle targi. Dlatego znaczna część jego prac powstała z materiałów z miejscowych złomowisk. Janek zaaranżował mu miejsce w Muzeum. Dziwaczne, bo to była przestrzeń po toalecie. Po prostu, jak tłumaczył, zaanektował kibel do celów artystycznych. Obiekty umieścił na rurach kanalizacyjnych. Miejsce stało się głośnie w kraju. Kruczek zmarł przedwcześnie w 1983 roku.

Kraków, gdzie mieszkał, tworzył i wykładał na uczelni, zazdrościł nam, że kilkaset kilometrów dalej, w Zielonej Górze mamy coś tak niepowtarzalnego.

Ludzie przychodzą i od ponad 30 lat oglądają galerię Kruczka. Ona jest poza czasem. Obiecuję sobie, że nigdy jej nie ruszę, niczego nie zmienię.

Janek pozostawił po sobie jeszcze jedną toaletę. Chyba najśłynniejszą. Galeria-toaleta powstała już po 1989 roku. Odreagował w niej z wielką radością upadek socjalizmu. W Zielonej Górze funkcjonowało coś takiego jak ruski rynek. Chodził tam namiętnie i kupował wszelkie pamiątki po NRD i ZSRR. Lenin jako dzieciątko, Lenin dorosły, do tego odznaki, chorągiewki. Robił z nich obiekty, wykorzystując pudełka po czekoladkach. Plastikowe wytłoczki wypełniał gadżetami z bratnich krajów. A toaletę wytapetował donosami, jakie na niego pisano do komitetu wojewódzkiego. Jakimś cudem je zdobył, skserował i okleił ściany. Pisali, że jest pijakiem, łajdakiem, uderza w ustrój. Mówił, że wie, kto pisał najwięcej, ale nie ujawnił nigdy.

Poczet królów z nasiadówki

Rocznik 1932, urodzony w Gnieźnie. Ojciec kolejarz, powstaniec wielkopolski i AK-owiec. Mama prowadziła dom. Janek jako student UAM grał w kabarecie Żółtodziób, urodzony parodysta. Powtarzał, że jest Wielkopolaninem z urodzenia, poznaniakiem z wykształcenia i Prusakiem z charakteru. Liczyła się lojalność, praca, dyscyplina. Dziwne, bo miał wielką słabość do artystycznego trybu życia. Godził to w sobie tylko znany sposób.

Do Zielonej Góry przyjechał w 1956 roku, zaraz po studiach w Poznaniu i zaraz po rozruchach czerwcowych. W mieście działał już Klem Felchnerowski, był pierwszym wojewódzkim konserwatorem zabytków. Janek tam trafił i za chwilę ściągnął swojego najlepszego kumpla ze studiów Stasia Kowalskiego. Ci trzej panowie, w zasadzie rówieśnicy, od zera zbudowali instytucję konserwatorską na „dzikim zachodzie”. Przyjechali jak stali, młodzi, wykształceni, liczący na życiową przygodę. Zostali na dziesięciolecia.

Muszyński był typem dyrektora muzeum, który dziś nie mógłby tak funkcjonować. Żeby powiększyć kolekcję o cenne eksponaty, trzeba było nieraz sprawy opierać o bufet. Janek świetnie rozumiał, jak działa PRL-owski system mecenatu państwa. Potrafił zaskarbić sympatię towarzyszy z komitetu, wojewódzkiej rady narodowej i urzędników z Ministerstwa Kultury.

Czasy socjalizmu obfitowały w długie narady, w których musiał brać udział. Te nudne posiedzenia Janek ożywiał w ten sposób, że rysował karykatury i satyrę i puszczał w obieg, co nieraz kończyło się wybuchami śmiechu. Stworzył satyryczny poczet królów Polski. Jego przyjaciel Stasiu utrzymuje, że ocalał tylko jeden obrazek, Mieszka Starego, ale z powodów cenzuralnych i obyczajowych nie mógłby się on ukazać.

„Wziąć towarzysza na cienki drucik”

Umiał się dogadywać z notablami, kochali go. Poruszam się w mętnej wodzie – powtarzał. Umiał to robić i chyba sprawiało mu to przyjemność.

Wykorzystywał ich i brał „na cienki drucik”, a oni się nabierali. Określenie z drucikiem wziął od prof. Jana Wąsickiego, szefa Lubuskiego Towarzystwa Naukowego. Muszyński był u niego sekretarzem i czasem próbował profesora wziąć „pod włos”, coś załatwić, pchnąć. Potem Wąsickiego parodiował: „Panie Jasiu, panie Jasiu, niech mnie pan nie bierze na cienki drucik...”

Ten drucik działał jak słynny zaczarowany ołówek. Nawet nie wiemy, ile mu zawdzięczamy. To, że wielka fara w Gubinie stoi jeszcze, klasztor w Paradyżu również stoi, z rynku w Bytomiu Odrzańskim zrobiono perełkę – to w dużej mierze zasługa konserwatorskiego trio Janka Muszyńskiego, Klema Felchnerowskiego i Stasia Kowalskiego. To ich dzieło.

Do historii przejdzie anegdota, którą Janek opowiedział kiedyś dziennikarzom „Wyborczej”. Szło o odbudowę zamku piastowskiego w Krośnie Odrzańskim. Janek przygotowywał projekt do władz województwa. Od ministra kultury wydebił sam z pięć milionów. Miał to na papierze. I od szefa komisji finansów wojewódzkiej

radę narodowej usłyszał: – Mówienie o tym, że tu coś było przed Chrobrym, to jest pieprzenie bez sensu. Tu były bagna i puszcze.

Janek mówił, że ten urzędnik to była dziwna persona. Do 1956 roku, przysięgał, mówił do niego tylko po rosyjsku „Szczto u was, job waszu mat”.

Dalej to tak szło:

Przewodniczący: – Zaraz, zamek w Krośnie mówicie? Te ruiny?

Muszyński: – To zamek związany z polityką repolonizacji Henryka Brodatego, który 105 miast założył.

Przewodniczący: – Towarzyszu, dajcie spokój. Nie mówcie nam o jakimś Brodatym, tylko powiedzcie, co z tym zamkiem.

– Więc w czasach Bolesława Chrobrego zamku jeszcze nie było, bo był gród. Jak gród stracił na znaczeniu, to władza przeniosła się do zamku.

– Aaa, to znaczy, że w czasach Bolesława Chrobrego było tam błoto i woda.

– Nie, tam był gród obronny.

– A skąd to wiecie?

– Mówi na ten temat biskup merseburski Thietmar.

– Co? Biskup, jaki?

– Biskup merseburski Thietmar.

– Co? Niemiec? No, towarzyszu, a co on tam mówi?

Janek zacytował kronikę Thietmara po łacinie.

– Won! Za drzwi! Co nam będziecie ministranturę zasuwać! – wydarł się przewodniczący komisji.

Janek się z tego śmiał, ale tak naprawdę bolało go, jak państwo może obchodzić się z kulturą, sztuką, zabytkami. Będzie mi Go zawsze brakowało.

*Powyższy tekst pod tytułem *Janek brał na cienki drucik* ukazał się 27 stycznia 2017 r. w „Gazecie Wyborczej”, Magazyn Lubuski – Akademia Opowieści, s. 4-5.

Mirosława Szott

PARĘ SŁÓW O JANUSZU KONIUSZU, BUDOWANIU Z DREWNA, BARACH MLECZNYCH I LOKALNYM TERRORYZMIE



Janusz Koniusz, Biblioteka
Uniwersytetu Zielonogórskiego,
2016 r., fot. Mirosława Szott

Miał 20 lat, kiedy znalazł się na Ziemiach Zachodnich z nakazem pracy. Urodził się w 1934 roku w Sosnowcu w rodzinie górniczej. Rozpoczął naukę i działalność literacką w Katowicach. Studia magisterskie kończył już w Poznaniu. Oburzał się, gdy ktoś mówił, że pochodzi ze Śląska i poprawiał: z Zagłębia Dąbrowskiego. Jako młody chłopak z „orientacją organizacyjną” (jak powiedziałby Andrzej K. Waśkiewicz) zrobił więcej dla środowiska literackiego Zielonej Góry na etapie jego powstawania niż ktokolwiek inny

później. Wielu traktowało go jak Mistrza. Ja także.

Kiedy w towarzystwie obecny był Janusz Koniusz, uwaga (nie tylko kobiet) skierowana była wyłącznie na niego. Potrafił barwnie opowiadać o Władysławie Broniewskim (że przyjął tylko jeden kwiatek od zapłakanej dziewczynki, a resztę bukietów zostawił)

czy Julianie Przybosiu. Zawsze miał coś w zanadru. I nigdy nie odkrywał wszystkich kart. Przychodził czasem na spotkania Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Pochylał się nad wierszami i wyłuskiwał kilka błędów, banałów. Z wielkim taktem wyjaśniał autorce/autorowi, że „piórko anioła” czy „srebrny księżyc” już były i lepiej poszukać czegoś innego. Dostrzegał też fragmenty błyskotliwe. Utwór – jak twierdził – powinien być zbudowany z jednego materiału. Jeśli zaczynasz pisać w kamieniu, to pisz dalej w kamieniu, jeśli w drewnie – to do końca w drewnie; to jest sztuka, bracie – podkreślał. Może nie do końca się z nim zgadzałam w tej jednolitej architekturze wiersza, ale, przyznaję, podobała mi się jego argumentacja. Co tu dużo pisać – mógłby mnie przekonać niemal do wszystkiego. Po spotkaniu odprowadzaliśmy Mistrza z całą zmierzającą Zieloną Górą. Robił przystanki i opowiadał np. o „Nadodrze”. Przysiadł kiedyś przy stoliku Klema i pogłaskał go po ręce. Zawstydział się trochę, kiedy zauważył, że widzimy ten przyjacielski gest.

Rzadko był dumny ze swoich tekstów, poprawiał je namiętnie, afektywnie (kreślił nawet te wydrukowane). Podobnie chciał ze swoim życiem. Czasem żałował, że nie może już niczego zmienić (mógł na przykład napisać doktorat, miał już nawet promotora – prof. Zygmunta Dulczewskiego na UAM). Na spotkaniach autorskich widać było, że czuł się dumny z metafory „katedra kopalni”. Przyznawał się też do wiersza *Droga* (jednego z pierwszych) opublikowanego w 1951 roku i dedykowanego pewnej Mirce. Szło to mniej więcej tak (nie znam jednak podziału na wersy, więc zdaję się na intuicję): „Była Mirko droga / droga”. I czasami jeszcze powtarzał „droga-droga, droga-droga”, żeby uwypuklić homonim. Był to zapewne wpływ Tymoteusza Karpowicza, ale Koniusz nie kontynuował tej lingwistycznej ścieżki w swojej twórczości.

Lubił dyskutować o Papuszy. Był na bieżąco z książkami i filmami na jej temat. Chwalił się, że tomik cygańskiej poetki z dedykacją sprzeda kiedyś za 1000 zł. Za każdym razem powtarzałam, że jest wart kilka tysięcy. Mówił, że w *Wiązaniach pamięci* (które bardzo lubię) zmieniłby wszystko poza tekstem o Papuszy. Sprawa jego debiutu też mnie zawsze interesowała. *Papierowe trzewiki*, gotowe i złożone do druku w „Iskrach”, nigdy nie zostały wydane.

Po październiku 1956 roku wydawnictwo zwróciło tomik autorowi. Koniusz cieszył się, że dzięki temu nie musi, jak wielu jego kolegów, wstydzić się tekstów pisanych w duchu tamtych czasów. Jak go pytałam o maszynopis, mówił: „Mira, chyba pora na dłuższą rozmowę”. Zadebiutował więc arkuszem *Tempo krążenia* w 1958 roku (to także pierwszy lubuski debiut literacki). Dla mnie był w jakimś stopniu poetą bez debiutu.

Myślał i pisał dużo o Bogu, choć nazywał siebie agnostykiem. Bawiło go to, że żaden wierzący nie słucha tyłu nabożeństw w radiu, co on. Był po prostu filozofem, nie wystarczały mu dogmaty.

Decyzja

Dostałam kiedyś od Koniusza poważny mail zatytułowany „decyzja”. Przekonałam się wtedy, że nie wszystkie ostateczne decyzje są nieodwołalne. Jedną z nich (bezprecedensową) udało mi się anulować. Mail był napisany językiem administracyjnym, więc oszczędnym i jednocześnie absurdalnym i komicznym (zaczynając choćby od przypisanych mi tytułów naukowych). Brzmiał on tak:

Szanowna Pani
prof. dr hab.
Miroslawa Szott
w miejscu aktualnego pobytu

Na podstawie par. 187/354/90/946 Konstytucji RP wydziedziczam Panią z funkcji Prawnuczki z Wyboru w związku z zupełnym nieinteresowaniem się od dłuższego czasu losem i kondycją psychiczną niżej podpisanego pradziadka z wyboru. Równocześnie odbieram Pani wszelkie prawa do posługiwania się moim dorobkiem metafizycznym, gdyż fizycznego ani materialnego nie posiadam. Niniejsza decyzja jest ostateczna i nie podlega zaskarżeniu.

m. p. 15 sierpnia 2016 r.

nieczytelno-czytelny podpis złożony
w przytomności notariusza

Rzecz jasna odwołałam się i powód (naprawdę poważny) został przyjęty, choć nie było to takie pewne. To właśnie cały Janusz Koniusz, który kiedyś nazwał się całkiem dobrowolnie moim Pradziadkiem z wyboru (przekonałam go, że jednak nie jestem taka młoda, a on taki stary, więc lepszy okazał się tytuł: Dziadek z wyboru) i zakazał mi mówić do siebie „pan”, co wprawiało mnie w kłopoty za każdym razem, gdy do niego się zwracałam. Ale skoro tak sobie życzył, tak było.

Z przymrużeniem oka

Robienie wywiadu z Januszem, nagrywanie jego głosu i robienie zdjęć było czystą przyjemnością, ale ustalenie tytułu wywiadu stało się dużo trudniejsze (wprost: koszmarne). Żadna wersja nie była odpowiednia (przynaję mu dziś rację). Aż w końcu powiedziałam, że nie mam już cierpliwości na wymyślanie tytułów. I zgodził się na ostatnią propozycję. Ale od tego momentu zwracał się do mnie „terrorystka”. Innym razem jako „karę” polecił mi wybrać 10 najlepszych jego wierszy z tomiku z 2014 roku, a pozostałe pokreślić, pomazać, poprawić i pokazać mu jako dzieło sztuki współczesnej.



Janusz Koniusz i Mirosława Szott, Łaski Odrzańskie 2015 r.,
fot. Janusz Łastowiecki

Z jego wierszy najbardziej lubiłam te osobiste – o sobie, o ojcu. Konteksty kulturowe interesowały mnie mniej. Nieraz mu mówiłam o tym ciężącym intelektualizmie. Wtedy on odpowiadał: „Słusznie, Mira nie podobają ci się te wydumane wiersze, ale żyję już w swoim zamkniętym świecie, prawie nie wychodzę”. Dopiero teraz zaczęłam zwracać uwagę na te wiersze, które wcześniej pomijałam. Zauważyłam też kilka świetnych erotyków dedykowanych żonie (których niestety nie powtórzył w książce pt. *Na własne podobieństwo*). Janusz stwierdził kiedyś, że miał obsesję na temat mleka (w okresie wojny nie był to towar łatwo dostępny), pisał nawet wiersze o barach mlecznych. Koniusz z wariacjami najbardziej mnie intrygował.

* * *

Nie widziałam Janusza przez okres pięciu miesięcy przed śmiercią. Nie chciał, żeby go odwiedzano, krępowała go choroba, bezradność. Rozumiałam to wycofanie. Wyemigrował wewnętrznie. Wtedy poczułam jakby już go nie było fizycznie. Ale maile od JanKo w środku nocy stanowiły jakiś pocieszający ślad z innego już świata.

Usilnie próbuję się domyślić, co Janusz by powiedział na to wspomnienie o nim. Pewnie poprawiłby jakąś datę albo nie przyznałby się do decyzji. Liczyłabym na jakiś komentarz z przymrużeniem oka lub pytanie: „A skąd niby to wiesz? Chyba czas na dłuższą rozmowę”. Wysłałam mu to wspomnienie mailem, ale – jak na razie – bez odpowiedzi. Kiedyś usiądziemy do tego razem i naniesiemy poprawki.

Alfred Siatecki

POZOSTANIE PO NIM WIĘCEJ NIŻ „JEDEN WIERSZYK”

Janusza Koniusza poznałem najpierw jako autora opowiadania. Było to w połowie lat 60. XX wieku. Nasza polonistka kazała nam, uczniom liceum, przeczytać jakąkolwiek pracę współczesnego polskiego autora. Jedna część dziewczyn rzuciła się na *Lato nagich dziewcząt* Fleszarowej-Muskat, druga na coś wtedy modnej Krystyny Siesickiej. Chłopaki w większości czytali tomy z Tomkiem Szklarskiego, nieliczni coś Paukszty albo Żukrowskiego. W Chojnie, gdzie znajdowało się moje liceum, a to dawne województwo szczecińskie, czytałem redagowane i wydawane w Zielonej Górze „Nadodrze”. Do kiosku na dworcu kolejowym przychodził jeden egzemplarz tego dwutygodnika. Chyba byłem jedynym czytelnikiem „Nadodrza” w powiatowej Chojnie. Kioskarka odkładała pismo pod ladę, bo miała pewność, że co dwa tygodnie, zawsze w czwartek po lekcjach, przyjdę z 2 złotymi. Raz w miesiącu w tym samym kiosku kupowałem „Twórczość” i „Poezję”. Gdy więc polonistka kazała przeczytać coś współczesnego autora, akurat „Nadodrze” wydrukowało opowiadanie Janusza Koniusza. Preczytałem je, podczas lekcji wyjaśniłem poruszony problem i powiedziałem kilka zdań o autorze. Młoda polonistka, absolwentka Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, nie słyszała o Koniuszu, więc pokazałem „Nadodrze”. Całą stronę zajmowało opowiadanie *Portret* z ilustracją Klema Felchnerowskiego.

W 1972 roku byłem już po studiach, mieszkałem w Boczowie koło Rzepina. Stamtąd posłałem do „Nadodrza” maszynopis opowiadania *Głupi Stach*. Ukazało się w numerze 8 (253) z dopiskiem „debiut”. To nie był mój debiut. Mój debiut jako autora tekstu literackiego miał miejsce trzy lata wcześniej w szczecińskich „Wiadomościach Zachodnich”. Kierujący działem literackim „Nadodrza” Janusz Koniusz wtedy tego nie wiedział. Powiedziałem mu to rok później, kiedy zostałem mieszkańcem Zielonej Góry. Jak napisał Zygmunt Trziszka, o rok młodszy od Koniusza, Zielona Góra była

wtedy najlepszym miejscem na ziemi, gdzie można było uprawiać „selfmademaństwo”. We wszystkich branżach wyzwolonych – dziennikarstwie, literaturze, nauce – doszli do głosu samoucy. (...) Wojewódzka Zielona Góra chciała zafundować sobie własne środowisko twórcze, więc aura sprzyjała samoukom. Z tego eksperymentu miasto ma dziś własnych profesorów i docentów, poetów i dziennikarzy... Wydaje mi się, że w pisarstwie akurat samouctwo jest najwłaściwszą szkołą¹.

Autor *Wielkiego świnobicia* dodał, że w latach 1962-1966 zetknął się z wolną wszechnicą pisarską w Zielonej Górze, której kierownikiem administracyjnym był Janusz Koniusz, wtedy sekretarz Lubuskiego Towarzystwa Kultury.

Pierwszy raz uściśnałem rękę Koniusza jesienią 1973 roku. O tym, co robił wcześniej w Zielonej Górze, wiem niewiele. Raz tylko, gdy razem chodziliśmy po Bukareszcie, przyznał się, że po studiach w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Katowicach dostał nakaz pracy do Sulechowa. To był 1955 rok. Tam wygrzebał wiadomość, że 28 września 1828 roku, kiedy Sulechów nazywał się Züllichau, w mieście zatrzymał się dylizans jadący z Berlina do Poznania. Wysiadł z niego osiemnastoletni Fryderyk Chopin i w domu pocztmistrza dał króciutki koncert, co przedstawił Maurycy Krasowski w pracy *Młodość Fryderyka Chopina*. Do 2. połowy lat 40. XX wieku fakt ten potwierdzała tablica niemieckojęzyczna na ścianie domu

¹ Z. Trziszka, *Mój pisarz*, Warszawa 1979, s. 43.

przy ulicy Okrężnej 17/19. W dobie niszczenia wszystkiego, co nie było polskie ani piastowskie, tablicę usunięto. Zresztą dom także. W 1958 roku, w 130. rocznicę wizyty Chopina w Sulechowie, na ścianie ratusza zawisła tablica, tym razem po polsku, z fragmentem poematu Cypriana Norwida *Fortepian Chopina*. Inicjatorem tego był Koniusz.

W 2011 roku wydałem zbiór opowiadań historycznych *Trzeci klucz do bramy*, umieściłem w nim *Koncert, którego snadź nie było*. W oparciu o najnowsze badania dowodziłem, że Chopin nie mógł dać koncertu w Sulechowie w 1828 roku. Dylizans z Poznania do Berlina jechał najkrótszą drogą, czyli przez Pniewy, Międzyrzecz, Sulęcín i Frankfurt nad Odrą. Tą samą drogą wracał. Prawdopodobnie wydarzenie opisane przez Krasowskiego miało miejsce w Sulęcínie, który wtedy nazywał się Zielenzig. Krasowski mógł pomylić Zielenzig z Züllichau, tym bardziej że na jedno miasto warszawiacy mówili Cielencin, na drugie Zulichów lub Cylichów. Koniusz nigdy nie przyznał mi racji, ale i sam miał wątpliwości, tym bardziej że poznański muzykolog Henryk F. Nowaczyk także powątpiewał w pobyt Chopina w Sulechowie. Jego zdaniem nie było możliwe, żeby dylizans zmienił trasę zatwierdzoną przez administrację pruską².

W sulechowskiej szkole Koniusz uczył króciutko. Ówczesne władze uznały, że tam się marnuje, dlatego powinien pracować w wojewódzkiej Zielonej Górze. Czy na pewno z powodu kolorowych skarpetek komuś podpadł i gdzie, tego Koniusz nigdy nie wyjaśnił. W 1957 roku zawiązało się Lubuskie Towarzystwo Kultury, którego został sekretarzem (nieetatowym), czyli wykonawcą tego wszystkiego, co wymyślili inni. Nie była to najważniejsza funkcja dla poety. Zresztą on sam też tak uważał. Sekretarzem był aż do 1982 roku, kiedy został redaktorem naczelnym „Nadodrza”.

Skoro był sekretarzem na etacie, to i musiał być urzędnikiem. Z tym szło mu nie najlepiej, to znaczy jako urzędnikowi szczebla wojewódzkiego, ponieważ LTK było federacją stowarzyszeń

² H.F. Nowaczyk, *Chopin nie grał w Sulechowie*, „Ruch Muzyczny” 1996, nr 1 i 2.

regionalnych. Nie znam poety, który by się orientował w przepisach tak, jak tego wymagają rewidenci, a Koniusz był bardziej poetą niż urzędnikiem. W LTK się męczył. Na jego szczęście cały ruch społeczny męczył się z paragrafami, z czego zdawali sobie sprawę zawodowi urzędnicy. Gdyby społecznicy robili tak, jak tego oczekiwali rewidenci, nie powstałyby izby pamięci w Babimoście i Dąbrówce Wielkopolskiej, nie byłoby „Nadodrza” i „Rocznika Lubuskiego”, nie ukazałyby się tomiki w serii Lubuskie Arkusze Poetyckie. Nie byłoby Lubuskiego Klubu Filmowego i filmów o tamtych czasach. We wszystkich tych inicjatywach maczał swoje palce Koniusz.

Męczył się także jako redaktor naczelny „Nadodrza”, szczególnie po stanie wojennym. A było tak. Po zwolnieniu Tadeusza Kajana z tego stanowiska, co stało się w połowie 1980 roku, gabinet szefa redakcji długo stał pusty. Ci, którzy mieli zdecydować, kto będzie redaktorem naczelnym, namyślali się ze trzy, cztery miesiące. Jedni chcieli Koniusza, drudzy mnie. Pierwsi mieli większe wpływy. Koniusz był z „Nadodrzem” od jego powstania, to i jako naczelny raczej kontynuował to, co wprowadził Bolesław Soliński. Czas, kiedy redakcją zarządzali Witold Niedźwiecki i Tadeusz Kajan-Jankowski nowy naczelny uznał za epizod. Koniusz jednak przewidział, że po Sierpniu 1980 będzie dużo trudniej dotrzymać tradycji i sprzedać „Nadodrze” co do egzemplarza. Po ogłoszeniu stanu wojennego redakcja została zamknięta. Pismo wróciło do kiosków i prenumeratorów dopiero w kwietniu 1982 roku. I wtedy się okazało, że sporo czytelników odwróciło się od „Nadodrza”. Nie pomogło wzmocnienie zespołu, jak tłumaczył wydawca, Zenonem Łukaszewiczem jako zastępcą naczelnego. Niewiele pomogły wymyślone przez niego „sceny erotyczne w literaturze”. Koniusz się miotał, zmieniał decyzje w ostatniej chwili, starał się, rozumiał, że musi być inaczej, ale nie wiedział jak. Chciał po nowemu i chciał zachować „Nadodrze” takie, jakie było za Solińskiego. Łukaszewicz mu nie przeszkadzał, ale i nie pomagał. Był, jak komentowano, komisarzem. Uważał się za najlepszego krytyka literackiego nad środkową Odrą. Do historii literatury w regionie przeszedł jednak jako autor paszkwilanckiej książki *Mój alfabet albo pstryczki i potyczki*. Twierdził, że Koniusz „pragnął o wszystkim zdecydować, nawet

o kropkach i przecinkach w tekstach”³. Kilkanaście linijek dalej pisze tak: „Janusz Koniusz był zarazem człowiekiem przyzwoitym i dbającym o zespół”, z czym się zgadzam. Jeszcze jedno zdanie z tej książki: „Gwoli sprawiedliwości trzeba też dodać, że – chociaż nie zdołał sobie wypracować autorytetu redaktora naczelnego – to wyrobił sprawne pióro publicysty i komentatora, potrafiącego niezłą polszczyzną napisać na każdy temat”⁴.

W 1987 roku odszedłem z „Nadodrza” do „Gazety Lubuskiej”. Odszedłem przede wszystkim dlatego, że nie rozumiałem, do czego zmierza Łukasiewicz. I nie rozumiałem większości decyzji podejmowanych przez Koniusza. Wydawało mi się, że na jego decyzje największy wpływ miała Halina Ańska, żona dyrektora wydawnictwa. Odszedłem po serii moich tekstów o tym, co się wydarzyło w Muzeum Ziemi Lubuskiej. Wydarzyło się to, że zastępca dyrektora okradł muzeum ze zgromadzonych tam szabli, pistoletów, świeczników, historycznych atlasów. W sprawę byli zamieszani wyżsi rangą milicjanci, uczeni i kolekcjonerzy. Pewnie dlatego jedyną karą, jaką poniósł złodziej, było to, że przestał być zastępcą dyrektora. Od Koniusza jego polityczni nadzorcy domagali się pozbycia się mnie z redakcji, co mi powiedział. Dlatego sam odszedłem. Odszedłem do redakcji „Gazety Lubuskiej”.

„Nadodrze” lawinowo traciło czytelników. W zatrzymaniu ich nie pomagały coraz odważniejsze „sceny erotyczne w literaturze” ani zmiana częstotliwości ukazywania się z dwutygodnika na tygodnik. W czerwcu 1990 roku czasopismo zostało zamknięte. Tytuł przejęła spółka wydawnicza Lubpress z zapowiedzią, że będzie kontynuowała wydawanie czasopisma, co się nie stało. Kilka lat później zaczęło się ukazywać „Lubuskie Nadodrze”, bardzo różniące się od tamtego „Nadodrza”. Koniusz związał się z zielonogórskim oddziałem Towarzystwa Walki z Kalectwem i z wydawanym przez nie miesięcznikiem „Serce i Troska”. Nie będąc redaktorem naczelnym, znakomicie wywiązywał się z tego, co robił. Pisał dużo i zajmująco.

³ Z. Łukasiewicz, *Mój alfabet albo pstryczki i potyczki*, Zielona Góra 1993, s. 86.

⁴ *Ibidem*.

Czasopismo utrzymywało się na rynku czytelniczym jeszcze długo po śmierci poety Gustawa Łapszyńskiego, który nim zarządzał.

Kiedy w 1985 roku zostałem członkiem Związku Literatów Polskich, Koniusz był prezesem oddziału w Zielonej Górze. Razem pojechalśmy na wycieczkę literacką do Nowogródka, Wilna i Kowna. Jeździliśmy do Łużyczan w Chociebużu i Budziszynie, do Niemców we Frankfurcie nad Odrą. Na początku lat 90. zostałem prezesem oddziału tylko dlatego, że Koniusz przekonał członków, że skoro Polska się zmieniła, również powinien się zmienić prezes. Później, kiedy ewolucja-rewolucja przygasła, zgodził się być w zarządzie oddziału jako wiceprezes, a może bardziej jako doradca, ekspert, konsultant, autorytet. Trzy lata temu, kiedy zaczął narzekać na zdrowie, został prezesem honorowym zielonogórskiego oddziału ZLP. To tylko godność, bo w zasadzie zawsze był tym, który chciał doradzić i potrafił tak to zrobić, że nikt spośród członków zarządu nie miał powodu mu się sprzeciwić.

Raz, tylko raz jechałem z nim jego samochodem. Miał go dlatego, że podczas spotkania twórców kultury w Opolu, na które i ja byłem zaproszony jako młody pisarz, podszedł do nas ówczesny minister kultury i sztuki Zygmunt Najdowski, wcześniej przez kilka lat mający adres zielonogórski. Najpierw z obu stron padły zdania grzecznościowe, potem minister spytał, czy ktoś z nas potrzebuje jakiejś pomocy. Koniusz wspomniał o aucie. Kilka tygodni później listonosz przyniósł mu list z pieczęcią Ministerstwa Kultury i Sztuki. W środku był talon na fiata 126 p. Tym autkiem Koniusz wiozł mnie do Klenicy, gdzie u Bogusławy i Jerzego Chłodnickich, wtedy gospodarzy pałacu, czasem spędzaliśmy soboty i niedziele. Nie dowiózł, bo na zakręcie nie wyrobił i uderzył w płot. Od tamtego zdarzenia nie siadał za kierownicą. Zresztą niedługo później i ja w ramach przedpłaty stałem się posiadaczem fiata 126 p. Wozilem Koniusza. W ostatnich latach nawet bardzo często. A to do Kargowej, gdzie obaj byliśmy jurorami konkursu literackiego, a to do Gorzowa, Krosna, Gubina, Szprotawy, Żar, Wilkanowa. Pod koniec 2016 roku pojechalśmy do Babimostu na uroczystość z okazji półwiecza Towarzystwa Miłośników Ziemi Babimojskiej. Koniusz był tam witany, pozdrawiany, podziwiany między innymi dlatego,

że przy jego udziale w 1966 roku powstało to najstarsze w regionie lubuskim i czynne do dziś stowarzyszenie regionalne. Każda taka podróż oznaczała rozmowę. Lubiłem go słuchać, szczególnie że chciał opowiadać o tym, czego ja nie wiedziałem, a co wiązało się początkami środowiska literackiego na Środkowym Nadodrzu.

Na półkach mam większość książek autorów lubuskich, wśród nich wszystkie prace Koniusza. Jest tam zbiorek *Po wyjściu z arki*, w nim dedykacja „Alfredowi – jako skromny rewanż za jego bravurę i błyskotliwą *Noc poślubną* na dalszą, serdeczną przyjaźń”. Byliśmy bardziej kolegami po piórze.

Pod koniec września 2016 roku, kiedy wracaliśmy z Kargowej, Janusz Koniusz powiedział, że chciałby, aby pozostał po nim chociaż jeden wierszyk. Tak powiedział. Pewnie tak się stało.

„Pozostanie po mnie tylko / akt zgonu / napisany cudzą ręką / mój jedyny wiersz / w którym każde słowo / będzie ostateczne / jak życie / i śmierć” – przypomniałem sobie jego *Akt zgonu* 7 kwietnia 2017 roku na zielonogórskim cmentarzu, kiedy ksiądz modlił się nad urną z prochami poety, prozaika, dramaturga, publicyisty, redaktora, działacza.

Robert Rudiak

**JANUSZ KONIUSZ (1934-2017).
WSPOMNIENIE O PISARZU – PRYWATNIE
I LITERACKO**

W drugiej połowie lat 80. ubiegłego wieku rozpocząłem studia na polonistyce w zielonogórskiej WSP, gdzie udzielałem się dziennikarsko w redakcjach pisma „Faktor” i akademickiego radiowęzła (Akademickie Studio Radiowe „Maczek”, potem „WySPa”) oraz pisarsko w Klubie Literackim Lubuskiego Towarzystwa Kultury i w Grupie Działań Artystycznych „Budowa II”. To właśnie spotkania literackie w LTK pozwoliły mi osobiście poznać wielu zielonogórskich literatów, w tym pioniera lubuskiego piśmiennictwa Janusza Koniusza, ówczesnego redaktora naczelnego „Nadodrza”. To w tym piśmie, organie LTK większość rozpoczynających kariery literackie twórców zaczynała swoją przygodę, przeważnie od publikacji wiersza. Nie inaczej było w przypadku większości członków Klubu Literackiego LTK, któremu prezesował Jerzy Przybecki, a opiekował się merytorycznie Czesław Sobkowiak. To wówczas miałem możliwość poznać Janusza Koniusza, tego wielkiego Koniusza, o którym wcześniej tylko czytałem, słyszałem i widziałem, znając jego wizerunek z okładek książek.

Kiedy wydałem, jeszcze w trakcie studiów, drugi tomik wierszy, otrzymałem propozycję od Janusza Koniusza wstąpienia do Związku Literatów Polskich. I tak w 1992 roku zostałem przyjęty

do ZLP. „Nadodrże” już nie istniało, ale Koniusz wraz z Gustawem Łapszyńskim prowadzili kolejne czasopisma „Głos z Regionów”, potem „Zachód”. Poprzez moją obecność, a potem działalność w oddziale zielonogórskim ZLP miałem możliwość bliższego poznania Koniusza. Pracowałem wówczas w szkole i zapraszałem go na tzw. pogadanki, czyli spotkania z młodzieżą. Pan Janusz lubił opowiadać o swoich związkach ze znanymi pisarzami, autorami szkolnych lektur. Dzięki jego opowieściom tacy twórcy jak Nałkowska, Borowski, Przyboś, Broniewski, Andrzejewski, Iwaszkiewicz, Wańkiewicz, Ważyk przestawali być li-tylko nazwiskami zniżnymi z okładek lektur; uczniowie chętnie poznawali interesujące historie z ich życia, ciekawie przekazane, dzięki czemu postacie te stawały się im bliższe, prawdziwe... Koniusz miał dar oratorski. Potrafił pięknie i bardzo plastycznie, emocjonalnie opowiadać, chciało się go słuchać, umiał intrygować i zachwycić słuchaczy.

To właśnie te spotkania w szkole, na zebraniach związkowych, na wieczorach autorskich i imprezach literackich zbliżyły nas. Ponieważ mieszkalem praktycznie przecznicę dalej, Koniusz wychodząc na spacer z psem do pobliskiego Parku Tysiąclecia odwiedzał mnie. A jako, że bardzo interesowała mnie historia regionu i powstania miejscowego życia literackiego, które Koniusz współtworzył, mieliśmy wspólne tematy. Z czasem zakres tematyczny naszych spotkań rozszerzał się, ewoluował. Dużo rozmawialiśmy o historii chrześcijaństwa, o Parandowskim, Kosidowskim, samej Biblii. Wiele utworów poetyckich Koniusza oscyluje wokół tematów religijnych, biblijnych, nawiązuje do mitów i symboliki świata judeochrześcijańskiego. Wystarczy spojrzeć na tytuły jego tomów poetyckich – *Z Kaina i Abla, Ład i chaos, Pierworodny grzech słowa, Moje stworzenie świata, Po wyjściu z arki* czy ostatni zbiór *Na własne podobieństwo*.

W 1995 roku postanowiłem zbierać materiały do monografii o życiu środowisk twórczych na Ziemi Lubuskiej. Bardzo pomocni w tej kwerendzie i zbieractwie okazali się Janusz Koniusz i Alfred Siatecki, do którego przychodziłem, kiedy mieszkał jeszcze w wieżowcu na Kaczym Dole. Opowieści Koniusza nagrywałem na taśmy magnetofonowe i później wykorzystywałem wywiady z nim

w mojej dysertacji, tworząc cykl wspomnień pionierów lubuskiej literatury.

Jeździliśmy wspólnie do Warszawy, czy to na zjazd Związku Literatów Polskich, czy też na Warszawską Jesień Poezji. To wówczas poznałem Piotra Kuncewicza, Aleksandra Nawrockiego, Bohdana Urbankowskiego, Adama Lizkowskiego czy Jana Pawła Gawlika, z którym raz dzieliliśmy pokój. W trakcie jednej z powrotnych podróży, kiedy wiedziałem już, że nie otrzymam dotacji z miejskich funduszy na wydanie mojej monografii o lubuskim środowisku literackim, J. Koniusz podrzucił mi pomysł, abym nie zniechęcał się i pisał swoją pracę dalej, a zamiast wydania jej drukiem, zasugerował, abym złożył ją w formie doktoratu. Jak wspominał – sam miał taką możliwość napisania pracy doktorskiej o znanym malarzu zielonogórskim z okresu baroku Tadeuszu Koniczu. W 1960 roku powstał jego esej „Taddeo Polacco z Zielonej Góry” z reprodukcjami malarskimi. Na jego bazie Koniusz mógł napisać dysertację, gdyż temat ten był mało wówczas zbadany. Posłuchałem mojego mentora i krótko po tej podróży spotkałem się z prof. Jackiem Łukasiewiczem, który gościł w Zielonej Górze na sesji mickiewiczowskiej. Profesora znałem z konkursu poetyckiego w Lubinie, gdzie był jurorem, a ja otrzymałem nagrodę. Temat zaintrygował profesora i zaproponował otwarcie przewodu. Ponieważ jednak nie mógł – z uwagi na dużą liczbę doktorantów, których prowadził – sam się zaangażować, poprosił, abym pisał pracę pod kierunkiem prof. dr hab. Joanny Pyszny, specjalizującej się w twórczości Marka Hłaski. A tego znał przecież Koniusz. W ten sposób Pan Janusz stał się ojcem chrzestnym mojego doktoratu na Uniwersytecie Wrocławskim.

Nie byłem pierwszym doktorantem prof. Pyszny, ale byłem pierwszym, który obronił pomyślnie pracę. To dodawało dumy. Wiele razy podczas spotkań z prof. Pyszny rozmawialiśmy o Koniuszu, a z Koniuszem o pani profesor, która bardzo interesowała się naszym środowiskiem i literaturą tworzoną w regionie lubuskim. Z naszym terenem kojarzyła właśnie Koniusza, Waśkiewicza, Trziszkę, Papuszę. Żałuję jednak, że Koniusz nie brał udziału w obronie mojej pracy, choć wiem, że bardzo chciał. Przyczyny, głównie finansowo-organizacyjne stanęły wówczas na przeszkodzie.

Dziś wydają się one błahe, ale nie wtedy, kiedy cały rok przebywałem na urlopie zdrowotnym, a moja matka doznała udaru mózgu, a później jeszcze połamala się.

Podczas naszych licznych spotkań namawiałem Koniusza do spisania swoich wspomnień ze spotkań ze znanymi pisarzami. Wcześniej takie książki napisali Bronisław Suzanowicz i Zenon Łukaszewicz, a przecież nie znali tej elity polskich twórców, co Koniusz. I udało się. Najpierw wyszedł zbiór opowieści *Kamień z serca*, a cztery lata później *Wiązania pamięci*. Choć i tak nie wszystkich pisarzy ze swoich wspomnień uwiecznił na kartach książek, czego można tylko żałować, gdyż zawsze barwnie o każdym opowiadał.

Miałem zaszczyt prowadzić wieczór autorski Koniusza, na którym promował swój ostatni tomik wierszy *Na własne podobieństwo*. Myślę, że ten tomik był w pewien sposób pożegnaniem poety z tym światem, a przynajmniej przecuciem nieuchronnego. Głęboka czerń okładki, jakby żałobna, biblijne motywy na zewnątrz i wewnątrz tomu pochodzące z inkunabułu *Liber chronicarum* Hartmanna Schedla, średniowiecznego humanisty, historyka, podróżnika i lekarza z Norymbergii, potęgowały ten nastrój. Ilustracje z dzieła Schedla doskonale współgrają z tematyką wierszy poety, ulubionymi motywami mitologicznymi, religijnymi, eschatologicznymi, soteriologicznymi. Koniusz pozostał na podobieństwo ojca i dziadka górnikiem słowa, przez lata rzeźbił w nim, szlifował, wyglądał niemal jak węgielny gład:

*i jak górnik
zagłębię się w niezgłębioną geologię kopalni
w majestat węgla
by w trójcy świętej ognia
na jeden oddech
ożyć*

Koniusz bawił się słowem i żył słowem, przekształcał słowo w poezję, kroił je, rozczłonkowywał i zaglądał do wnętrza, aby wydobyć z niego więcej niż ono samo sobą określało. Przez niemal

całe życie doskonalił warsztat (pisał już w siódmej klasie podstawówki, a mając niecałe 16 lat wygrał swój pierwszy konkurs na wiersz zorganizowany przez redakcję „Górnika”), doprecyzowywał każdy utwór, skracał go, minimalizował, aby za pomocą jak najmniejszej liczby słów wydobyć jak najwięcej ich znaczeń i przekazać maksimum treści¹. Świadczy o tym między innymi wiersz *Napis na murze*:

*Ziemia zapadnie się w ziemię
woda się utopi
ogień w ogniu spłonie
proch się w proch rozsypie*

O wcześniejszym tomiku *Nic nie było* z 2003 roku, liczącego ponad 120 tekstów, mającego podobny wydźwięk, co ostatni, Konrad Wojtyła zauważył, że jest to

materialny dowód tego, co było dla autora endemiczne, co zrosło się z nim przez lata w jedną, nierozzerwalną osobowość na poziomie wierszy. Tom to obszerny, w zasadzie „pośmiertny”, a co za tym idzie, trudny do jednoznacznych eksplikacji (...). Poeta brodzi w smudze cienia, rozlicza się z przeszłością. Przegląda się w lustrze minionej epoki, dostrzegając zarazem niepokojący kryzys wiary, wartości, kultury. Ten wybór wierszy (...) jest w zasadzie dopełnieniem twórczości Koniusza. Takie literackie pogrzebanie za życia².

Z kolei o całokształcie twórczości poetyckiej autora *Tempa krążenia* Małgorzata Mikołajczak napisała:

u Koniusza, który swoje liryczne światoodczucie lokalizuje w „łożysku słów”, istotny jest aspekt „exegimonalny” i refleksja nad możliwością (czy raczej niemożliwością)

¹ Por.: *Trwanie w dialogu. O twórczych pasjach z Januszem Koniuszem rozmawia Emilia Ćwilińska*, [w:] *Janusz Koniusz. W 70. rocznicę urodzin*, wstęp C. Sobkowiak, Zielona Góra 2003, s. 27-28.

² K. Wojtyła, *Jakbym kulę ziemską obracał w palcach*, „Pro Libris” 2004, nr 2, s. 104 i 106.

trwania – refleksja pesymistyczna, gdyż nawet ocalenie w słowie nie niesie pocieszenia³.

W wierszu *Ocalenie* poeta bowiem skonstatował:

*Za chwilę mnie nie będzie
Nikt tego nie zauważy*

Co istotne, przez cały czas pracy literackiej towarzyszył Koniuszowi syndrom „papierowych trzewików”, jakie zakładano do pochówku ubogim⁴. Pisarz często powracał do tematu ojca⁵, który zginął w kopalni (podobnie jak dziadek i stryj), do traumatycznych przeżyć z dzieciństwa naznaczonego wojną i okupacją oraz robotniczą biedą i głodem, do mitycznego fatum wiszącym nad losem górniczych rodzin⁶. O dramatycznych doświadczeniach, które były wszechobecne w jego pisarstwie wspomniała M. Mikołajczak:

Śmierć ojca to, w sensie dosłownym i przenośnym, pierwsza przyczyna poezji Koniusza. Sięgnięcie po pióro poeta tłumaczy po latach pragnieniem uniknięcia tragicznego losu, wymknięcia się fatalizmowi górniczych doświadczeń⁷.

W ostatniej książce poetyckiej Koniusza, która jest osobistym przeglądem jego życia, wspomnieniem dzieciństwa, lat młodości, przywołaniem matki, ojca, rodzinnego domu, szkolnych

³ M. Mikołajczak, *Słowo wstępne*, [w:] *Od słowa do słowa. Antologia poezja lubuskiej 2001-2006*, red. M. Mikołajczak, Zielona Góra 2006, s. 10.

⁴ Zob.: J. Koniusz, *Spalony gołąb*, [w:] *idem, Wiązania pamięci*, Zielona Góra 1998, s. 37.

⁵ Zob.: J. Koniusz, *Portret*, [w:] *idem, Dialog w domu. Opowiadania*, Poznań 1969, s. 23-31.

⁶ Por.: *Trwanie w dialogu. O twórczych pasjach z Januszem Koniuszem rozmawia Emilia Ćwilińska...*, s. 24.

⁷ M. Mikołajczak, „*Papierowe trzewiki*”. *Trop autobiograficzny w poezji Janusza Koniusza*, [w:] *Miejsce i tożsamość. Literatura lubuska w perspektywie poetyki przestrzeni i antropologii*, red. M. Mikołajczak, K. Gieby i M. Sobczak, Zielona Góra 2013, s. 348.

i studenckich lat nauki, często sparafrazowanych i ukazanych na tle antycznych, mitycznych lub parabolicznych wydarzeń i ponadczasowych przesłań. Bogata wyobraźnia liryczna i wyszukane obrazowanie przy minimalnej lub delikatnej metaforyce, a zwykle silnej i dobitnej poincie – to cechy warsztatowe Koniusza. Ostatnia, szósta część zbioru to również bardzo intymna i refleksyjna wypowiedź człowieka, który żegna się, który szykuje się do odejścia, który czeka na ostateczność. W wierszu *Krzyk* podmiot stwierdza:

*Chciałem swoją starość
Na śmierć
zakrzyczeć*

Z kolei w wierszu *Prośba do ciała* mówi otwarcie:

*Bądź mężne moje ciało o trzech wymiarach
gdy po dziesięciu plagach egipskich
dopadnie cię zewsząd
czwarty wymiar*

*Odejdź z podniesioną głową
i równym krokiem
jak na paradzie*

W posłowniu do tomiku *Na własne podobieństwo* Joanna Wawryk napisała, że to

Summa poezji Janusza Koniusza (...). Koniusz jest wierny wypracowanej przez lata poetyce, dąży do kondensacji znaczeń, swoistej jednorodności struktury i wyczyszczenia środków wyrazu ze wszystkiego, co zbyt liczne czy jałowe. Ostrze metafory ma być precyzyjne jak skalpel, bez zgrzytów i wahań w efekcie końcowym, poprzedzonym trudem i zmaganiem się z materią słowa (...). Cyzeluje najdrobniejsze elementy utworu (...) zbliżając do doskonałości, do i d e a l n e g o w i e r s z a⁸.

⁸ J. Wawryk, *Księga powrotu*, [w:] J. Koniusz, *Na własne podobieństwo*, Zielona Góra 2014, s. 111.

Niezwykle trudno – pamiętam – prowadziło mi się ostatnie spotkanie autorskie z Koniuszem – wolałem, kiedy opowiadał o swojej przeszłości, o Zagłębiu Dąbrowskim, Sosnowcu, Nivce, Trójkącie Trzech Cesarzy, emigracji na Ziemię Zachodnie, początkach swojego osiedlenia w Sulechowie, potem w Zielonej Górze i pracy społecznikowskiej w Lubuskim Towarzystwie Kultury, działalności organizacyjnej w Związku Literatów Polskich, pracy dziennikarskiej w „Nadodrze”, bowiem mówienie o jego ostatnich wierszach niedowołało pociągając ocieranie się o trudny temat starości, przemijania i śmierci. Teraz wydaje mi się, że Koniusz świadomie przygotowywał siebie i swoje otoczenie do tego momentu, niemal jak Leonard Cohen swoją pożegnalną płytą *You Want It Darker*, triumfalnie oznajmiając: *I'm ready, my Lord*.

W utworze *Moja ojczyzna* autor wyznaje:

*z chorągwią na znak starości opuszczoną do połowy masztu
z ciągnym brakiem powietrza (...)
moje ciało stało się całą moją ojczyzną
której granic nikt nie broni
przed nieustannym szturmem bakterii*

Nie inaczej brzmi skarga w liryku *Powrót do embrionu*:

*Spełnia się proroctwo
wygłoszone w każdym języku
o odejściu w tę stronę ziemi
skąd nikt nie powrócił (...)
w milczeniu dogasa moje ciało
poza którym nic nie istnieje (...)*

*Wzięty w krzyżowy ogień śmierci
kurczę się
jak embrion*

W niezwykle pięknie i mądrze napisanym posłowniu J. Wawryk napisała:

Starość to los prawie dokonany i żadna filozofia sprawy tej nie zmieni. Poeta jest szczery. (...) wskazuje na egalitaryzm śmierci. Nie ma wyjątku. Z heideggerowską mądrością, że człowiek jest bytem-ku-śmierci, nie ma potrzeby się kłócić, tylko można mężnie przyjąć przesądzone już los. Nie ma pocieszenia, żadnego *non omnis moriar*. Zostaje czekanie na kres w „ojczyźnie ciała”. Walka o (...) jeden wiersz, który by unieśmiertelnił poetę, przechodzi w przekonanie, że ostatecznym wierszem jest zapis śmierci⁹.

Stąd w tekście o wymownym tytule *Akt zgonu* poeta wyznaje:

*Pozostanie po mnie tylko
akt zgonu (...)
mój jedyny wiersz
w którym każde słowo
będzie ostateczne
jak życie
i śmierć*

W zamykającym tom wierszu *Ty* autor powiada, że każde życie jest wyjątkowe, jednorazowe, incydentalne i niepowtarzalne, jak owo „stworzenie świata”. Na końcu tego życia, zamykającego człowieka wędrówkę stoi zawsze śmierć. Ona wieńczy ziemską drogę i jak dodaje Wawryk:

jest zawsze drogą powrotną, prowadzi nie donikąd, lecz do siebie, swoich najgłębiej skrywanych przeczuć i absolutnej pewności – pewności śmierci. Koło się zamyka¹⁰.

To było swoiste credo Koniusza – poety, pisarza, dziennikarza, animatora i działacza kultury, pioniera lubuskiego ruchu literackiego, dodajmy – autora szesnastu zbiorów wierszy, czterech tomów

⁹ *Ibidem*, s. 115.

¹⁰ *Ibidem*, s. 116.

opowiadań, dwóch opowieści wspomnieniowych, dziewięciu słuchowisk radiowych i trzech szkiców historycznych, z którymi dwa były jego współautorstwa. Do tego dochodzi w jego biografii opracowanie redakcyjne czterech tomów pamiętników i wspomnień osadników z cyklu *Mój dom nad Odrą*, kilku tomów z serii lubuskich podań, legend i baśni, zbioru reportaży o Ziemi Lubuskiej, a także kilku antologii poetyckich autorów Środkowego Nadodrza.

Poeta pracował nad siedemnastym tomem poezji, być może, przy pomocy córki Donaty wiersze te zostaną zebrane i wydane pośmiertnie. Marzy mi się tablica na elewacji domu przy alei Niepodległości, gdzie całe życie mieszkał Koniusz i gościł wiele sław i znakomitości świata literatury; marzy mi się ulica jego imienia, a wreszcie marzy mi się pomnik pioniera lubuskiej literatury – pierwszy w Zielonej Górze pomnik miejscowego pisarza. Na to z pewnością Koniusz, nie tyle sobie zasłużył, co przede wszystkim zapracował.

Bogumiła Burda, Kazimierz Esmund

**LESŁAW (MIREK) BATKOWSKI (1946-2017).
POLITYK, DZIAŁACZ SPOŁECZNY, PASJONAT
ŻEGLARSTWA, MIŁOŚNIK PRZYRODY**



Lesław Batkowski,
fot. ze zb. I. Batkowskiej

Lesław Batkowski urodził się 17 października 1946 roku w Witnicy. W 1973 roku ukończył Wyższą Szkołę Inżynierską w Zielonej Górze (Wydział Elektryczny), a w 1985 – studia podyplomowe w Akademii Ekonomicznej w Poznaniu (Studium Zarządzania i Organizacji). Karierę zawodową rozpoczął jako technik w Wydziale Głównego Mechanika Zielonogórskich Zakładów Eksploatacji Kruszywa. W latach 1967-1969 był inspektorem ds. racjonalizacji w Wojewódzkim Związku Spół-

dzielni Pracy, a w latach 1969-1974 – głównym specjalistą ds. przygotowania dokumentacji w Zielonogórskim Inwestprojekcie. W latach 80. pracował jako kierownik robót elektrycznych w Zielonogórskim Przedsiębiorstwie Robót Instalacyjno-Montażowych, a w latach 90. był zatrudniony w Aromexie jako prokurent i Futu-
atexie jako likwidator.

Znany działacz społeczny, polityk, żeglarz, miłośnik i przyjaciel sportu. Od października 1999 roku – za prezydentury Zygmunta Listowskiego – był etatowym członkiem Zarządu Miasta, a w latach 2002-2005 – gdy prezydentem Zielonej Góry była Bożena Ronowicz – Przewodniczącym Rady Miasta. Miał własną koncepcję budowy strategii rozwoju – nie tylko Zielonej Góry, ale i całego województwa. Swoje wizje przyszłości Winnego Grodu przedstawił w publikacji *Rozwój Zielonej Góry widziany oczyma mieszkańca*¹, w której już w roku 2008 zachęcał do połączenia Zielonej Góry z gminą Zielona Góra:

Jestem zwolennikiem połączenia (nie mylić z przyłączeniem) gminy wiejskiej i miejskiej. Jednak nie za wszelką cenę i nie wbrew woli mieszkańców. Trzeba przeprowadzić dużą kampanię informacyjną, pokazać korzyści i zagrożenia. Jeżeli mimo tego mieszkańcy, podkreślam mieszkańcy, będą przeciwni połączeniu, należy szukać i realizować wspólnotę interesów. Doprowadzić do integracji, jeżeli nie administracyjnej, to gospodarczej i społecznej. Podobnie jestem za połączeniem powiatów ziemskiego i grodzkiego. W Zielonej Górze, na przestrzeni kilkuset metrów funkcjonują dwa urzędy gminne, dwa powiatowe i jeden wojewódzki. Kogo stać na taką rozrzutność? I to kosztem nas, podatników. Nie wszystko w reformie samorządowej było trafione².

Z perspektywy czasu można stwierdzić, że część jego postulatów zawarta prezentowanej wizji została zrealizowana.

W sprawach zasadniczych był bezkompromisowy i konsekwentny. Nie znosił niedomówień i niedoróbek. Na znak protestu wobec zmiany koncepcji budowy drogi ekspresowej S-3 zrezygnował z przewodniczenia Radzie Miasta. Dzisiaj, w momencie budowy drugiej nitki wymienionej drogi ekspresowej, możemy powiedzieć, że miał rację.

¹ L. Batkowski, *Rozwój Zielonej Góry widziany oczyma mieszkańca*, „Studia Zielonogórskie” 2008, t. XIV, s. 137-143.

² *Ibidem*, s. 140.

Uhonorowaniem społecznej działalności Lesława Batkowskiego na rzecz rozwoju Zielonej Góry było przyznanie mu Nagrody Redakcji „Studiów Zielonogórskich” *Laudant illa sed ista legunt*. Nagroda została wręczona laureatowi 18 kwietnia 2008 roku. Laudację na cześć L. Batkowskiego wygłosił prof. dr hab. Czesław Osekowski. Wręczenia nagrody dokonał dr Andrzej Toczewski. Zabierając głos, nagrodzony podkreślił, że wiadomość o przyznaniu wyróżnienia „Studiów Zielonogórskich” przyjął z wielką radością i satysfakcją. Stwierdził również, że nagroda stanowi jednocześnie uhonorowanie działalności Stowarzyszenia na Rzecz Rozwoju Miasta „Zielonogórskie Perspektywy”, a więc członków stowarzyszenia, którzy przygotowywali debaty o przyszłości Zielonej Góry, mieszkańców biorących udział w tych debatach, wykazując troskę o przyszłość Winnego Grodu, i dziennikarzy reprezentujących media patronujące debatom, informujących o nich i o problemach z tych debat wynikających³.



Lesław Batkowski – Laureat Nagrody Redakcji „Studiów Zielonogórskich” *Laudant illa sed ista legunt*, 18 kwietnia 2008 r., fot. ze zb. MZL

³ Lesław Batkowski, wystąpienie podczas wręczenia Nagrody Redakcji „Studiów Zielonogórskich” *Laudant illa sed ista legunt*, Muzeum Ziemi Lubuskiej, 18 kwietnia 2008 roku.

Sportowiec, miłośnik żeglarstwa zwierzał się redaktor Małgocze Masłowskiej:

Sport to moja pasja. Jestem fanem piłki nożnej. W morzu zakochałem się od pierwszego wejrzenia. W latach 50. byłem z rodzicami na wakacjach nad morzem i tam po raz pierwszy zobaczyłem jachty płynące pod żaglami. Żeglarstwo stało się moim marzeniem. Dowiedziałem się, że na Wągmostawie składowane są łódki ze Sławy i można zapisać się do klubu żeglarskiego. Dziesiątki razy tam chodziłem. Daremnie. Pasja odżyła w stanie wojennym, na przełomie 1981 i 1982 roku. Zacząłem namawiać na żagle kolegów z firmy Eltor, gdzie pracowałem. Rozmawiałem ze związkami zawodowymi, z kierownictwem, lecz nie mogłem znaleźć człowieka, który odpowiadałby za całość. Przełom nastąpił, kiedy w zakładzie pojawił się Włodzimierz Roszko, szef szkolenia żeglarskiego. W 1982 roku założyliśmy sobotnio-niedzielny obóz szkoleniowy na jeziorze Niesłysz. Ja zaś zacząłem swą karierę – już w pierwszym roku zrobiłem stopień żeglarza, w następnym sternika, po dwóch kolejnych latach sternika jachtowego o poszerzonych uprawnieniach, potem sternika morskiego. Wreszcie kapitana. Przepląnałem Atlantyk, Morze Północne, Morze Irlandzkie. Bałtyk znam prawie na pamięć. Wszystkie wakacje poświęciłem żaglom. Starsza córka płynęła ze mną w rejsie do Petersburga przez Helsinki. Młodsza pierwszy raz poszła w morze, gdy miała 13 lat⁴.

Mało kto pamięta, że w latach 1972-1976 Lesław Batkowski był wiceprezesem Okręgowego Związku Piłki Nożnej w Zielonej Górze. Sport był również częścią jego życia zawodowego. W latach 2009-2017 był zastępcą dyrektora ds. techniczno-eksploatacyjnych w Wojewódzkim Ośrodku Sportu i Rekreacji im. Zbigniewa Majewskiego w Drzonkowie. Zajmował się inwestycjami oraz sprawami technicznymi. W pracy jak w życiu – nigdy się nie poddawał. Z uporem i wytrwałością realizował krok po kroku wyznaczone

⁴ [mkm], *Ludzka twarz polityki: O miłości do morza i żeglarskich przygodach opowiada Lesław Batkowski – członek Zarządu Miasta Zielona Góra*, „Lubuskie Nadodrze” 2002, nr 23, s. 3.

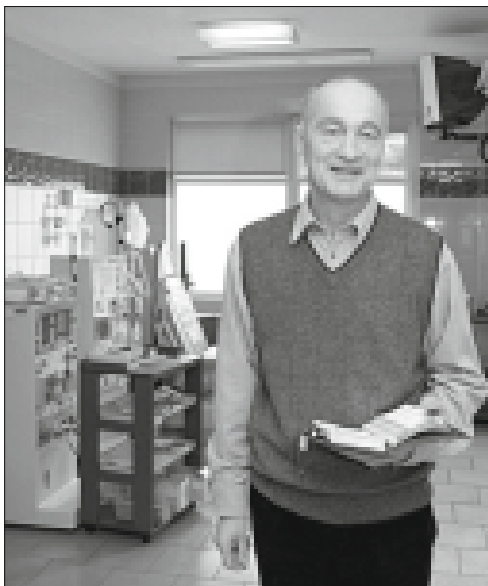
przez WOSiR cele. Zawsze powtarzał, że nie może zmarnować się żadna złotówka i należy skorzystać z każdej nadarzającej się okazji, aby zainwestować w Ośrodek. Pomimo ciągłej walki z chorobami (najpierw zawał, potem podejrzenie choroby nowotworowej, choroba nerek – a w związku z tym dializa i transplantacja, potem znowu choroba nowotworowa) dzielnie podejmował nowe wyzwania, które niesło życie i zajmowane stanowisko. Obecny wizerunek WOSiR-u w dużej mierze jest jego zasługą. Bardzo chętnie dzielił się swoją wiedzą i doświadczeniem ze współpracownikami. Często stawał w roli nauczyciela, nakłaniając wiele osób do rozwoju i samodoskonalenia w sprawach zawodowych. Jego bogate doświadczenie życiowe w wielu dziedzinach życia oraz duże zaangażowanie w kreowanie polityki regionalnej sprawiało, że zawsze był aktywny na wielu frontach⁵.



Lesław Batkowski pod żaglami, fot. ze zb. I. Batkowskiej

⁵ J. Młotkowska – wypowiedź podczas *Zielonogórskich Zaduszek* w Muzeum Ziemi Lubuskiej 6 listopada 2017 roku, nagranie wideo (autor K. Esmund).

Mieszkańcom Zielonej Góry znany był jako społecznik, wolontariusz i miłośnik miasta. W latach 2000-2008 był Prezesem Ogólnopolskiego Stowarzyszenia „NERKA” z siedzibą w Zielonej Górze. W wywiadzie, który we wrześniu 2009 roku w niespełna pięć lat po wymarżonym przeszczepie przeprowadziła z nim red. Katarzyna Borek zwierzał się: „Żyję z nerką 52-letniego mężczyzny. Żona – Irena – od lat ta sama, dwie wnuczki i dwie córki – waleczne babki”⁶ – chwalił się redaktorce, a za jej pośrednictwem czytelnikom „Gazety Lubuskiej”. O sobie mówił, że ma dwie pasje: Zieloną Górę i żeglarstwo. Ukochanemu miastu od wielu lat poświęcał czas i energię udzielając się społecznie, a żeglarstwo musiał czasowo „zawiesić” ze względu na stan zdrowia. W ostatnich latach nie pły-



Lesław Batkowski w nowej Stacji Dializ,
fot. Jolanta Kaniewska

wał, bo przy chorobie nerek, a szczególnie po przeszczepie trzeba żyć higienicznie, unikać wysiłku, przeziębień i... słońca. Ale – zarzekał się – żeglarska pasja nigdy nie minęła. Miał propozycję rejsu po Morzu Śródziemnym. Trudno odrzucić tak kuszącą propozycję komuś, kto uwielbia żeglarstwo i w młodości samotnie przepłynął ocean. Musiał się jednak uporać z nową sytuacją, jaka powstała po transplantacji:

⁶ K. Borek, *Dano mi dar – nerkę*, „Gazeta Lubuska”, 15 września 2009, także: <http://www.gazetalubuska.pl/styl-zycia/zdrowie/art/7812247,zyje-z-nerka-52letniego-mezczyzny,id,t.html>.

codzienne przyjmowanie leków immunosupresyjnych, utrzymywanie wagi ciała, dbanie o higienę, ciśnienie tętnicze, stałe konsultacje medyczne w ośrodku transplantacyjnym.... Ale to i tak było lepsze niż dializy.

Kiedy w 2000 roku trafił do zielonogórskiego szpitala na dializy – zabiegi oczyszczania krwi z toksyn – szybko zorientował się, że nie będzie tak łatwo: ściśle ograniczenia w spożywaniu płynów, specjalna dieta, zabiegi dializy trzy razy w tygodniu po cztery-cztery i pół godziny. Stałe „życie z maszyną” paraliżowało go. Najbardziej nie mógł się pogodzić z perspektywą utraty wolności i aktywności. Bał się, że wkrótce może zabraknąć sił, wytrwałości, samozaparcia, energii. Potrzebował wsparcia otoczenia. To właśnie dlatego (ale również z powodu niedoinwestowania dializoterapii i leczenia nerkozastępczego w Zielonej Górze) postanowił reaktywować założone w 1994 roku przez kolegę Benedykta Jareczkowskiego Ogólnopolskie Stowarzyszenie „NERKA”⁷. Na szczęście był osobowością silną, upartą i wytrwałą – zarówno w pracy (wtedy jako członek Zarządu Miasta Zielona Góra), jak i w życiu. Dopiął swego. Stowarzyszenie, przy wsparciu zespołu lekarskiego (w szczególności dr. Jacka Jana Felisiaka⁸), pielęgniarskiego (m.in. Marii Stasińskiej i Elżbiety Kędzior) oraz technicznego (Krzysztofa Grabskiego) – z Oddziału Nefrologii ze Stacją Dializ – ruszyło pełną parą jeszcze pod koniec 2000 roku.

Lesław często powtarzał: „Nie ma rzeczy niemożliwych. Jak się przepłynęło Atlantyk, to rzeczy niemożliwe mogą być tylko za nami. Te, co są przed nami trzeba tylko konsekwentnie pokonywać”. Jedną z tych niemożliwych rzeczy była nowa Stacja Dializ. To między innymi za jego sprawą i dzięki determinacji dr. Jacka Jana Felisiaka – ówczesnego ordynatora Oddziału Nefrologii ze Stacją Dializ w zielonogórskim szpitalu – powstał jeden z najnowocześniejszych ośrodków dializ w zachodniej Polsce. Żeby to osiągnąć potrzebne

⁷ B. Burda, K. Esmund, K. Orpel, *20 lat Ogólnopolskiego Stowarzyszenia „NERKA” w Zielonej Górze (1994-2014) Monografia*, Zielona Góra 2014, s. 7.

⁸ Dr Jacek Jan Felisiak zmarł 28 kwietnia 2013 roku.

były dziesiątki spotkań z tzw. Komitetem Sterującym, dyrekcja szpitala, mnóstwo pism, ponagieł, próśb, konsultacji, narad, spotkań służbowych... On, Lesław Batkowski – ten, który jeszcze kilka temu nic nie wiedział o dializoterapii, obecnie stał się niemal specjalistą w tej dziedzinie. Wiedział, gdzie mają być ścianki działowe w nowej stacji, jak mają być ułożone rury, przewody, kable, gdzie mają stać maszyny do dializ, gdzie ma powstać stacja uzdatniania wody, którędy woda ma być doprowadzona do sztucznych nerek. Wiedział nawet, że pacjenci z pewnymi schorzeniami powinni być dializowani w oddzielnych salach, a „drogi dializacyjne” chorych nie powinny się krzyżować. Pomagało mu w tym to, że z wykształcenia był inżynierem. Nowa Stacja Dializ została doposażona przez Stowarzyszenie w nowoczesne fotele dializacyjne, klimatyzatory, szafki i telewizory dla dializowanych pacjentów. W tym celu organizowano bale charytatywne, gromadzono fundusze z odpisów podatkowych, zachęcano darczyńców do wsparcia finansowego, wnioskowano do Urzędu Miasta o dofinansowanie przedsięwzięcia. Nowopowstała Stacja Dializ, a wkrótce po niej wyremontowany Oddział Nefrologii stały się chlubą i dumą zielonogórskiego środowiska nefrologicznego. Warunki dializowania i leczenia chorych na nerki polepszyły się nieporównywalnie.

Wytrwałość „Mirka” – bo tak był nazywany wśród przyjaciół – w dążeniu do osiągnięcia celów dodawały siły innym dializowanym i osobom po przeszczepie nerek. Za jego sprawą środowisko osób chorych na nerki, po przeszczepie nerek i ich rodzin zjednoczyło się i stało się społecznością gotową do wzajemnego wspierania się i pomocy w trudnych chwilach. Do dzisiaj wszyscy wspominają wycieczki, pikniki i spotkania integracyjne w Sieniawie, Drzonkowie, Starym Kisielinie, Przylepie, Ochli, Drzonowie, Janowcu, Górzykowie, Zaborze, Parku Mużakowskim, Spreewaldzie, Burgu...

Mirek lubił dzielić się z innymi swoimi doświadczeniami i przemyśleniami. Zawsze mówił, że dializy to nie wyrok. Są gorsze choroby. Dzięki geniuszowi ludzkiemu są już takie maszyny, które pomagają choremu przeżyć – i to we względnym komforcie – nieporównywalnie większym niż jeszcze 20-30 lat temu. Można nawet pracować. Ci, którzy są w dobrej kondycji i czują się dobrze (bo

każdy inaczej znosi dializy) mogą – jak on – w dzień normalnie pracować, a wieczorami przyjeżdżać do ośrodka na zabiegi. Mirek opowiadał, że jako członkowi Zarządu Miasta przychodziło mu często wyjeżdżać w różnych sprawach poza Zieloną Górę. I to nie rzadko na wiele dni. Załatwiał wtedy w NFZ-cie dializy w miejscowościach, do których wyjeżdżał. Po spotkaniach, rozmowach czy naradach inni szli na wieczorki integracyjne – on na dializę. Opowiadał o tym, by zachęcić innych do aktywności. Pokazywał swoim przykładem, że można. Tylko trzeba chcieć. I za jego sprawą wielu się uaktywniło. Teraz wyjeżdżających osób jest coraz więcej. Coraz więcej dializowanych pacjentów wyjeżdża na wczasy, wycieczki, turnusy rehabilitacyjne. I to nierzadko za granicę. Zachęcał też do wyrażania zgody na przeszczep. Był gorącym orędownikiem transplantacji – nie tylko nerek, ale i innych narządów. Twierdził, że dzięki maszynie można przeżyć, ale dopiero dzięki przeszczepowi można żyć pełnią życia: pracować, tworzyć, zwiedzać, budować. Mówił, że po przeszczepie zaczyna się drugie życie. Życie, którego nie można zmarnować. Mimo gruntownego wykształcenia i stosunkowo wysokiej pozycji społecznej posługiwał się językiem prostym, zwięzłym, wręcz technicznym – takim samym jak on sam: konkretnym, celnym, zdecydowanym, precyzyjnym



Lesław Batkowski – z-ca dyr. WOSiR w Drzonkowie, fot. ze zb. I. Batkowskiej

i dosadnym. Nie lubił dobierać pięknych słów, koloryzować, ubarwiać, upiększać. Liczyły się fakty, czyny, dokonania. Mirek nie rzucał słów na wiatr. Jak coś postanowił, to zrealizował.

Ale ten twardy polityk i działacz społeczny był jednocześnie sentymentalnym miłośnikiem przyrody. Szczególnie uwielbiał ptaki. Baczenie obserwował losy ptasich rodzin zamieszkujących jego przydomowy ogród. O ptasich zwyczajach mógł opowiadać godzinami, prezentując imponujący poziom ornitologicznej wiedzy.

Człowiek o nieprzeciętnych umiejętnościach organizacyjnych i interpersonalnych. Niezwykle komunikatywny, odpowiedzialny, operatywny, kreatywny. Doskonały organizator. Pomimo ciągłej walki z chorobą dzielnie podejmował liczne wyzwania, jakie niesło życie. Nigdy się poddawał. Jego ulubionym zajęciem jako człowieka polityki było kreowanie polityki regionalnej. Od 2005 roku pełnił funkcję Prezesa Stowarzyszenia na Rzecz Rozwoju Miasta Zielona Góra „Zielonogórskie Perspektywy” (którego był współtwórcą i aktywistą). Marzył, aby debata na temat rozwoju Zielonej Góry prowadzona była ponad doraźnymi sporami politycznymi i ponad zagadnieniami bieżących problemów zarządzania miastem. Stawiał sobie za cel budzenie intelektualnego fermentu związanego z długofalowymi perspektywami Zielonej Góry. Wielu pamięta prowadzone przez niego comiesięczne debaty Stowarzyszenia, podczas których prezentowano i spierano się o najbardziej pożądane kierunki rozwoju Winnego Grodu.

W 2008 roku, ze względu na stan zdrowia, Mirek musiał trochę zwolnić tempo życia. Przekazał kierowanie pracami stowarzyszenia „NERKA” koleżance Bogumile Burdzie. Zresztą, zawsze powtarzał: będę kierował stowarzyszeniem „NERKA” dopóty, dopóki nie nauczę następców, jak rzetelnie wykonywać stawiane przed nimi zadania, jak tworzyć nowe, jak budować, jak być silnym, jak być numerem jeden w życiu, w pracy, środowisku, jak dbać o dobro wspólne.

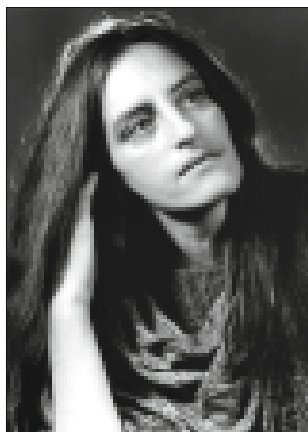
Tych „oczywistych oczywistości” uczył będąc członkiem Zarządu Miasta, Przewodniczącym Rady Miejskiej, zastępcą dyrektora Wojewódzkiego Ośrodka Sportu i Rekreacji im. Zbigniewa Majewskiego w Drzonkowie, prezesem Ogólnopolskiego Stowarzyszenia

„NERKA” z siedzibą w Zielonej Górze, czy prezesem Stowarzyszenia na rzecz Rozwoju Miasta „Zielonogórskie Perspektywy”.

Odszedł od nas 27 lutego 2017 roku. Przedwcześnie. Ale zdążył przekazać nam swoją siłę, determinację, energię, wiedzę i doświadczenie. Jest nadal wśród nas i zachęca do aktywności, wzajemnej pomocy, działania na rzecz innych.

Igor Myszkiewicz

IRENA BIERWIACZONEK (1951-2009). ARTYSTKA I NAUCZYCIELKA ARTYSTÓW



Irena Bierwiaczonek,
fot. C. Łuniewicz

Irena Bierwiaczonek urodziła się w Przemyślu. Studiowała na Wydziale Grafiki w Katowicach krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych; dyplom uzyskała w roku 1974, w pracowni grafiki książkowej i plakatu prof. Tadeusza Grabowskiego. W tym samym roku przyjechała do Zielonej Góry, z którą już na stałe związała swoje życie, pracę i twórczość.

Twórczość

Obecność Ireny Bierwiaczonek w Zielonej Górze zawdzięczamy pośrednio jej ojcu, Olgierdowi. Olgierd Bierwiaczonek (1925-2002) był jednym z najwybitniejszych polskich powojennych malarzy realistów. Znacomity portrecista, traktował sztukę z oddaniem i powagą; jak wspominała Irena „był artystą totalnym”, uznanym i docenionym – należy do czterech malarzy polskich, których obrazy znajdują się w Galerii Uffizi we Florencji. Był osobowością zdecydowanie dominującą, starał się artystycznie kształtować i prowadzić córkę. Irena Bierwiaczonek podjęła jednak

(jeszcze na studiach) decyzję o poszukiwaniu własnej drogi i wyrwaniu się z obszaru wpływu sztuki ojca, w sensie symbolicznym i... geograficznym. Zielona Góra była wystarczająco daleko.

Odrzucając ścisły realizm Artystka wkroczyła w malarstwo wyobraźni i podążała tą drogą konsekwentnie do końca życia. Oczywiście jej sztuka ewoluowała, zmieniała się, ale raczej technicznie, warsztatowo pozostając w ramach przyjętej na początku konwencji. Sama o swoim malarstwie tak pisała w katalogu do wystawy w Gallerii u Jadźki w 1994 roku:

Wygląda na to, że maluję już od dwudziestu lat... Nie prowadzę żadnej dokumentacji, nie wiem więc ile w tym czasie powstało obrazów olejnych, ile pastelii. Nie cyfry wydają mi się istotne. Istotna wydaje mi się tylko droga.

Nie musi być główna, nie musi krzyżować się z innymi, nie musi nikomu się podobać, nie musi też osiągnąć celu. Chcę tylko, żeby była moja własna. Obrazy, które maluję, nie powstają do Luwru i nie potrzebują adresata, choć czasem go znajdują. Są fragmentami spokojnej i szczerzej rozmowy, którą od lat prowadzę z sobą samą, nieznaną najbardziej. Dlatego niechętnie wystawiam, nie szykuję się też do pośmiertnej sławy. Nie interesuje mnie główny nurt, awangardy. Pragnę malować obrazy piękne, marzę o wielkiej formie, mistrzostwie warsztatowym, pewnej, błyskotliwej ręce... Nie pytajcie o treść moich obrazów, sama nie do końca je rozumiem. Przychodzą z daleka, nie wiem skąd. Jedyne, co mogę o nich powiedzieć, to to, że kiedyś (tak mi się zdaje) wyrażały lęk, dziś – spokój, ciszę, odległość od świata. Lubię je malować. Nie lubię ich kończyć – skończone, są już tylko przedmiotami, a z przedmiotami rozstać się można bez żalu. Ważny był tylko proces ich powstawania, ten szczególny czas nocnych godzin, ten czas spędzony poza sobą, a może najbardziej z sobą...? Nad czas stracony, nic bardziej nie boli – powiedział w jakimś wierszu Staff. Mam nadzieję, że czas zamknięty w obrazach to czas niestracony.

Bohaterami jej płócien były najczęściej dziewczęta i kobiety, nie były to jednak klasyczne, realistyczne portrety, raczej próby symbolicznej syntezy. Scenę wzbogacały czasem elementy

fantastyczne, magiczne zwierzęta, nierealne perspektywy, znaczące rekwizyty. Można by doszukiwać się tu inspiracji sztuką pre-rafaelitów i surrealizmem, jednak były to echa dalekie i autorsko przetworzone. Choć to malarstwo figuratywne, jednak nie był to klasyczny realizm, fotografia rzeczywistości, już raczej jej sublimacja i stylizacja, niebojąca się dekoracji czy ilustracyjnej narracyjności. Zawsze były to obrazy głęboko osobiste, operujące po części tylko czytelnym dla widza z zewnątrz kodem, ale też chyba nie dla każdego przeznaczone. Styl Ireny Bierwiazzonek stał się z czasem rozpoznawalny i ceniony, także za sprawą absolutnie perfekcyjnego warsztatu, coraz bardziej egzotycznego na tle radykalizującej się formalnie sztuki współczesnej. Artystki nigdy nie interesowało stanie się malarką modną, głośną, nie wpasowywała się w nośne trendy czy artystyczne frakcje. Niechętnie organizowała wystawy, stroniła od życia towarzyskiego środowiska. Mimo tego, świadomie utrzymywanego, dystansu jej sztuka zyskała w regionie dużą popularność, a nazwisko stało się marką, co przysparzało Artystce zleceń i zamówień. Do tego wątku za chwilę wrócimy.

Pod koniec swego życia ojciec Ireny Bierwiazzonek uznał słuszność jej artystycznych wyborów, ich relacje poprawiły się, dystans zmalał. Planowali wspólną wystawę, doszła ona jednak do skutku dopiero w 2004 roku (w Galerii u Jadźki), już po śmierci malarza. Wystawa *Mój tata Olgierd Bierwiazzonek i ja Irena Bierwiazzonek* była wydarzeniem symbolicznym, także dlatego, że połączyła nie dwie, ale trzy generacje – został na niej zaprezentowany także obraz Weroniki Polak, młodszej córki Artystki. Dziś Weronika, absolwentka Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych oraz Animacji Kultury Uniwersytetu Zielonogórskiego, też jest artystką...

Ważny nurt w twórczości Ireny Bierwiazzonek stanowiły obrazy i rysunki wykonywane na zamówienie, najczęściej było to malarstwo portretowe lub ilustracyjne, odnoszące się do konkretnych miejsc i wydarzeń, ukazujące wątki historycznych dziejów lubuskich miast (np. Kożuchowa, Kostrzyzna nad Odrą, Osna Lubuskiego). Choć sama wyraźnie rozgraniczała twórczość własną od obrazów malowanych „dla chleba”, to jednak również one odgrywają ważną rolę w kreowaniu tożsamości naszego regionu.

Przykładem mogą tu być liczne zamówienia wykonywane na zlecenie Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. Pierwsze zamówienia pochodzą jeszcze z 1984 roku kiedy to Muzeum zleciło Irenie namalowanie portretów dwóch wybitnych zielonogórskich artystów – Klema Felchnerowskiego i Hilarego Gwizdały. Powstałe wtedy płótna (*Klemowi i Malując Hilarego*) daleko wykraczają poza ramy zwykłego, „zleconego” portretu. Zlecenia muzealne wypełniły także ostatnie lata życia Artystki. Zrealizowała wtedy m.in. cykl obrazów nawiązujących do tematyki winiarskiej, które trafiły do powstającego wówczas Muzeum Wina (w tym także płótno o charakterze edukacyjnym *Proces produkcji zielonogórskiego wina*), serię portretów dyrektorów placówki, a także kopię słynnego obrazu *Fortuna* wybitnego malarza pochodzącego z Zielonej Góry, Tadeusza Kuntzego (1727-1793). Ten ostatni obraz stał się początkiem stałej galerii w zielonogórskim Muzeum poświęconej sylwetce dawnego malarza.

Pisząc o zamówieniach nie sposób pominąć monumentalnego (24 płótna realizowane w latach 2003-2004) *Pocztu piastowskich ksiąząt Śląska Lubuskiego*. Cykl, realizowany z inicjatywy Andrzeja Toczewskiego, ówczesnego dyrektora Muzeum, powstawał w ścisłej współpracy z Działem Historycznym (m.in. z pracującym tam wówczas Dariuszem Wieczorkiem), jeśli chodzi o wierność przedstawionych na obrazach detali, herbów, sztandarów, szczegółów broni i zbroi; poszukiwania źródłowe trwały długo, grobowce i sarkofagi części ksiąząt znajdują się za granicą, niektóre obrazy były kilkakrotnie przemalowywane w miarę poszerzania się naszej wiedzy o ich bohaterach. Sama Artystka dyplomatycznie określiła pracę nad *Pocztą* jako „próbę charakteru”, ale patrząc z perspektywy czasu było warto. Choć cykl był różnie oceniany jeżeli chodzi o jego wartość artystyczną, posiada niezaprzeczone walory edukacyjne, jest historycznie wiarygodny, a władający niegdyś tą ziemią ksiąźta niejako „otrzymali twarze”; w znakomitej większości opracowań i tekstów historycznych traktujących o dziejach regionu w charakterze ilustracji pojawiają się właśnie obrazy Ireny Bierwiaczonek, jej wizja lubuskich Piastów żyje już w naszej zbiorowej wyobraźni.

Podobną rolę spełnia także jej ostatni obraz. To znowu portret artysty, z braku źródeł raczej imaginacyjny, przedstawiający Tadeusza Kuntzego. Obraz został ukończony jesienią 2009 roku, na kilkanaście dni przed śmiercią Artystki.

Praca

Irena Bierwiazzonek zajmowała się malarstwem, rysunkiem i grafiką użytkową – realizowała plakaty towarzyszące wydarzeniom kulturalnym miasta i województwa, ilustracje książkowe, opracowywała graficznie wydawnictwa (m.in. foldery sztuk wystawianych w Teatrze Lubuskim czy publikacje zielonogórskiego Muzeum). Jednak to, co najmocniej zapisało się w ludzkiej pamięci to jej wieloletnia praca pedagogiczna, rozbudzanie miłości do sztuki w młodych duszach.

Praca zawodowa Ireny Bierwiazzonek zawsze była związana z kształceniem artystycznym młodzieży, było to jej pasją i niewątpliwym, rzadko spotykanym talentem. W latach 1974-1979 była instruktorem ds. plastyki w Wojewódzkim Domu Kultury, udzielała się także przez szereg lat jako konsultant plastyki amatorskiej przy Lubuskim Towarzystwie Kultury, uczestniczyła w pracach Rady Artystycznej „Lubuskiego Przeglądu Twórczości Nieprofesjonalnej”, pracowała także z młodzieżą niepełnosprawną. Organizowała swoim wychowankom wystawy, konkursy, pokazy...

W latach 1975-2003 Artystka pracowała jako nauczyciel przedmiotów zawodowych w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Zielonej Górze (przez rok pełniła także obowiązki dyrektora tej placówki). Spod jej ręki wyszły setki zarażonych sztuką wychowanków, z których wielu zdecydowało się potem na obranie trudnej drogi artysty. Warto wymienić tu kilka nazwisk twórców, dziś co najmniej rozpoznawalnych; uczniami Ireny byli między innymi Dorota Komar-Zmyślony, Agnieszka Graczev, Przemysław Gapiński, Basia Bańda. Można wymienić tych nazwisk więcej, dużo więcej, są one także przykładem jak różne osobowości artystyczne mają wobec Ireny Bierwiazzonek symboliczny dług. Sam również miałem zaszczyt być jednym z jej wielu uczniów. Irena była nauczycielem niezwykłym, obdarzona silną osobowością i charyzmą, bardzo

wymagającą, nie starała się równocześnie w żaden sposób zdominować swych podopiecznych, ani narzucić im/nam jedynie słusznej wizji sztuki. To czego wymagała, to przede wszystkim opanowania warsztatu, jako bazy do późniejszych artystycznych poszukiwań. Sięgała do samych podstaw – mieszania własnych gruntów, podstaw technologii malarstwa, właściwości farb, sposobów ich nakładania, podmalówek i laserunków. Nauczyła nas dostrzegać metafizykę malarstwa już w samej jego technologii, a to był dopiero początek... Ćwiczenia w zestawianiu kolorów, faktur, eksperymenty z doбором narzędzi; długie sesje rysunku z natury (martwej lub modela), podawany podczas korekt ogrom wiedzy o perspektywie, teorii koloru, anatomii, albo dla odmiany wykonywanie serii szybkich szkiców, gdzie pozujący zmieniali się co kwadrans... Powiedziała kiedyś do uczennicy: „Basiu, jeżeli w piątej klasie nie będziesz rysować jak Rafael, to ja się z tobą nie koleguję...”. Po kilku latach nauki odkrywaliśmy ze zdumieniem, że nie jest to oczekiwanie wygórowane!

Zajęcia nie ograniczały się tylko do godzin lekcyjnych, każdy z nas musiał też regularnie przedstawiać plik szkiców



Irena Bierwiazonek z uczniami, korekta na plenerze, Przytok 1993,
fot. I. Myszkiewicz

wykonywanych w domu i prezentować własną twórczość. Przybierało to formę cyklicznych przeglądów prac. Posłuchać korekt i omówień przychodzili czasem także uczniowie z innych pracowni. Przy całym tym nacisku na rzetelny, wręcz XIX-wieczny warsztat mieliśmy całkowitą swobodę jego późniejszego wykorzystania czy wręcz (jednak po wcześniejszym opanowaniu) odrzucenia. Irena była bowiem mistrzem autentycznie zainteresowanym tym, co kryje się w duszy ucznia, pomagała narodzić się pasji i odnaleźć własną drogę – stąd wśród jej wychowanków znajdziemy zarówno artystów tradycjonalistów, jak i przedstawicieli sztuki nowej. Stosunek Ireny do swoich uczniów był zawsze (mimo przecież ich wielkiej w skali czasu liczby) głęboko osobisty, oparty na życzliwości, ciekawości i absolutnie bezlitosnej szczerości. Pomagała nam też dostrzec nierozzerwalne, choć nie od razu uświadamiane, połączenie sztuki z życiem, pokazując malarstwo jako naturalny język refleksji i komunikacji, ale i zarazem sposób na depresję i samotność, drogę poznania samego siebie. Relacje z wychowankami stopniowo obrastały przyjaźnią utrzymywaną często już po latach nauki. A przy tej autentycznej otwartości zawsze pozostawał też między Nią a nami pewien dystans będący po części emanacją autorytetu, po części chyba wynikający z pewnej rezerwy, z jaką Artystka podchodziła do świata zewnętrznego.

Irena Bierwiazzonek była też dla nas nauczycielem/mistrzem artystycznie wiarygodnym, sprawdzalnym. W licealnej pracowni malarstwa obok naszych stała i jej sztaluga. Widzieliśmy jak rodzą się jej obrazy, od samego szkicu, warstwa po warstwie, zawsze była też gotowa, by o nich porozmawiać. Nigdy nie przedstawiała swojej twórczości jako wzorzec, każdy z nas miał za zadanie odnaleźć drogę własną. Być może także dlatego nie podpowiadała nam, co aktualnie jest na topie w sztuce współczesnej, jacy malarze są modni, a jaki sposób malowania właśnie się sprzedaje... Nie lubiła wpływów, gotowych recept, naśladowania trendów. Większość jej dawnych uczniów wkroczyła w swoje kariery artystyczne z niepodległymi duszami, co czasem w tychże karierach pomagało, a czasem wręcz przeciwnie.

Irena organizowała także wystawy prac wybranych uczniów poza siedzibą szkoły, choćby w salonie wystawowym zielonogórskiego Empiku, wielu z nas traktuje dziś te prezentacje jako swoje pełnoprawne artystyczne debiuty, wystawy pierwsze. Także część dyplomów odbywała się przy otwartej kurtynie – w zielonogórskich galeriach, w Muzeum, klubach muzyczno-artystycznych, w przestrzeni miejskiej.

Irena Bierwiazzonek była pedagogiem totalnym, uczyła malarstwa i rysunku, a poprzez nie po prostu życia. Po ukończeniu „Plastyka” spotkaliśmy, już na studiach, innych mistrzów, artystów często głośnych, o znanych nazwiskach zapisanych w historii sztuki polskiej, jednak żaden z nich nie wywarł już na nas takiego wpływu i żadnego nie będziemy tak długo i mocno pamiętać.

Po zakończeniu pracy w liceum plastycznym i przejściu na wcześniejszą emeryturę Artystka okazjonalnie powracała do zajęć z młodzieżą w ramach choćby plastycznych warsztatów i zabaw edukacyjnych organizowanych przez Muzeum Ziemi Lubuskiej.

Za wieloletnią pracę społeczną i pedagogiczną oraz osiągnięcia zawodowe w dziedzinie twórczości artystycznej Irena Bierwiazzonek została wyróżniona w 2006 roku Złotym Krzyżem Zasługi, a w roku 2009 Odznaką „Za zasługi dla Województwa Lubuskiego”. Pośmiertnie otrzymała (w 2010 roku) tytuł Honorowego Obywatela Miasta Zielona Góra. Może warto pomyśleć też o ulicy Jej imienia?

Artystka zmarła, po długiej i ciężkiej chorobie, 27 października 2009 roku. Jej prace znajdują się w zbiorach m.in. Muzeum Ziemi Lubuskiej, Uniwersytetu Zielonogórskiego, Pałacu w Żaganiu i w kolekcjach prywatnych w kraju i za granicą (Niemcy, Francja, Norwegia, Holandia, USA).

Wybrane wystawy indywidualne:

1976 – BWA w Zielonej Górze; Klub MPiK w Gorzowie Wlkp.

1977 – Malarstwo Ireny Bierwiazzonek, Koszalin, Słupsk

1987, 1994 – Galeria u Jadźki w Zielonej Górze

2004 – Mój tata Olgierd Bierwiazzonek i ja Irena Bierwiazzonek, Galeria u Jadźki w Zielonej Górze

2007 – Szkice do pewnego obrazu, Koźuchowski Ośrodek Kultury i Sportu

Ireneusz Habura, Kazimierz Esmund

JACEK JAN FELISIAK.
CZŁOWIEK – LEKARZ – HUMANISTA (1956-2013)
ORDYNATOR ODDZIAŁU NEFROLOGII ZE STACJĄ DIALIZ
WOJEWÓDZKIEGO SZPITALA ZESPOLONEGO IM. K. MAR-
CINKOWSKIEGO W ZIELONEJ GÓRZE W LATACH 2000-2013



Jacek Jan Felisiak
fot. ze zb. prywatnych

Jacek Jan Felisiak urodził się 24 grudnia 1956 roku w Sanoku. Młodość spędził w Poznaniu, gdzie w 1981 roku ukończył z wyróżnieniem Wydział Lekarski Akademii Medycznej. Po studiach związał się Zieloną Górą, podejmując pracę zawodową w Szpitalu Wojewódzkim w Zakładzie Dializy Pozaustrojowej, który w latach późniejszych – dzięki między innymi jego zabiegom – został przekształcony w Oddział Nefrologii ze Stacją Dializ.

W krótkim czasie od rozpoczęcia pracy zdał z wyróżnieniem egzaminy na I i II stopień specjalizacji z chorób wewnętrznych, a w 1997 roku – z nefrologii.

W roku 2000 – po przejściu na emeryturę dotychczasowej kierownik Zakładu Dializy Pozaustrojowej dr Alicji Dąbrowskiej-Kosińskiej – został kierownikiem, a następnie ordynatorem Oddziału Nefrologii ze Stacją Dializ.

Miłośnik herbaty z mlekiem i wina, fanatyk diety, wielbiciel poznawania świata. Dusza sportowca. Lubił dzielić się wrażeniami, ale też i pracą. Wierzył w moc zróżnicowanego zespołu. Sprawca wielu dobrych rzeczy. W latach 2000-2001 za fundusze przyznane z Regionalnego Komitetu Sterującego ds. Rozwoju, który przewodził lokalnemu programowi restrukturyzacji w ochronie zdrowia, przeprowadzono pod jego nadzorem roboty budowlano-instalacyjne w przyziemiu głównego budynku szpitala (pawilon „B”). Pozwoliły one zaadaptować niektóre pomieszczenia na szatnie dla hemodializowanych pacjentów. W maju 2005 roku, po rozpoczętych dwa lata wcześniej pracach remontowych, dr Felisiak uruchomił – również w przyziemiu pawilonu „B”, w miejscu po byłych poradniach przyszpitalnych i izbie przyjęć nowoczesną, szesnastostanowiskową Stację Dializ. Została ona wyposażona w sprzęt najnowszej generacji (supernowoczesne aparaty do dializ, ergonomiczne fotele dializacyjne) oraz dysponowała funkcjonalnym zapleczem socjalno-technicznym, zarówno dla pacjentów, jak i personelu: poczekalnią, pokojem badań, salką techniczną, korytarzem oraz podgrzewanym podjazdem dla niepełnosprawnych. W roku 2010 – po kilkunastomiesięcznym remoncie w ramach II etapu modernizacji – Jacek Felisiak doprowadził do wyremontowania pomieszczeń na półpiętrze pawilonu „B” stanowiących Oddział Nefrologii. Wprowadził nowoczesne metody diagnostyki i leczenia nefrologicznego: biopsję nerek (pierwszą biopsję nerki wykonał osobiście, w asyście prof. dr. n. med. Andrzeja Oko, 12 listopada 1999 roku), plazmaferezę (tę metodę oczyszczania osocza krwi po raz pierwszy dr Felisiak zastosował 17 maja 2005 roku), dializę otrzewnową (pierwszy zabieg DO wykonał 1 kwietnia 2009 roku), hemodiafiltrację (tę technikę dializacyjną po raz pierwszy zastosował 1 października 2010 roku). Łącznie dr Jacek Felisiak wykonał ponad 300 zabiegów.

Ordynator Oddziału Nefrologii i Stacji Dializ chętnie dzielił się swoim doświadczeniem, wiedzą i umiejętnościami z młodszymi

kolegami po fachu. Kierował specjalizacjami z dziedziny chorób wewnętrznych i nefrologii. Współpracował na co dzień z Klinikami Chorób Nerek w Poznaniu i Wrocławiu. Brał udział w wielu krajowych i międzynarodowych kongresach i konferencjach. Sam był organizatorem licznych zjazdów i spotkań naukowych na terenie województwa lubuskiego, między innymi V Wielkopolskich Wiosennych Aktualności Nefrologicznych – 30 lat nefrologii zielonogórskiej (20-22 kwietnia 2006 roku w Łagowie Lubuskim) i cyklu sześciu konferencji – Lubuskich Spotkań Nefrologicznych (organizowanych w latach 1999-2011).

Dzięki jego staraniom obecnie na oddziale można prowadzić specjalizacje w zakresie interny i nefrologii.

Dr Jacek Felisiak był aktywnym uczestnikiem wielu badań klinicznych, między innymi ogólnoświatowych „Treat”, czy też prowadzonych na skalę europejską „Cosmos”. Lubiany w środowisku polskich nefrologów za dobry smak, wspaniałą pamięć i wyśmienity dowcip.

Wspierał rozwój dializoterapii na terenie województwa lubuskiego. Dzielił się swoimi doświadczeniami przy tworzeniu nowych ośrodków dializacyjnych w regionie.

Niestrudzony propagator idei transplantacji nerek, ale też i innych narządów. Autor i współautor licznych publikacji z zakresu problematyki nefrologicznej i transplantologicznej. Doceniał rolę i znaczenie informacji o leczeniu nerkozastępczym w środkach masowego przekazu. Za jego sprawą w prasie lokalnej ukazało się wiele artykułów, wśród których na uwagę zasługują: *Choroba rozwija się po cichu, 30-lecie zielonogórskiej nefrologii, Rekordzista w dializowaniu poddaje się zabiegowi trzy razy w tygodniu od 19 lat. Życie z maszyną, Sahara w człowieku, Dializowy tercet, Na nowych stanowiskach.*

Dr Jacek Felisiak dał się poznać nie tylko jako ambitny lekarz, ale i aktywny działacz społeczny. Już w 1994 roku zaangażował się w tworzenie Ogólnopolskiego Stowarzyszenia „NERKA” z siedzibą w Zielonej Górze. Można powiedzieć, że Stowarzyszenie było jego oczkiem w głowie. Przez wiele lat był aktywnym jego działaczem i pełnił funkcję wiceprezesa. Wspólnie ze Stowarzyszeniem

doprowadził do zorganizowania sześciu balów charytatywnych, z których dochód został przeznaczony na doposażenie Oddziału Nefrologii i Stacji Dializ. Dzięki jego zaangażowaniu, wspólnie ze Stowarzyszeniem „NERKA”, odbyło się wiele spotkań integrujących zielonogórskie środowisko nefrologiczne. Wszyscy znają i pamiętają do dziś liczne pikniki, wycieczki i spotkania towarzyskie lekarzy, pielęgniarek, techników, dializowanych pacjentów i ich rodzin – w Sieniawie, Drzonkowie, Przylepie, Starym Kisielinie, Przytoku, Janowcu, Spreewaldzie i Burgu, Parku Mużakowskim...

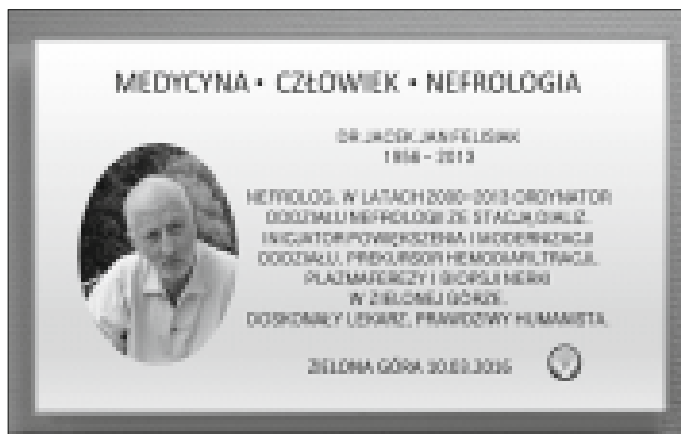


Wspólna fotografia zespołu lekarskiego i pielęgniarskiego z okazji 30-lecia Oddziału Nefrologii ze Stacją Dializ, 2005 rok, fot. ze zb. prywatnych

Niestety Doktor odszedł od nas przedwcześnie 28 kwietnia 2013 roku – w pięćdziesiątym siódmym roku swego życia – pokonany przez nieuleczalną chorobę.

Szerokie horyzonty myślowe, poczucie humoru, szczerłość, myślenie perspektywiczne, wrażliwość na łzy kobiet, całkowite oddanie pracy i cierpiącym – te cechy sprawiły, że dr Jacek Jan Felisiak stworzył coś więcej, niż nowoczesny Oddział Nefrologii i Stację Dializ – doprowadził do powstania trwałych więzi pomiędzy środowiskiem nefrologicznym i ludźmi cierpiącymi na choroby nerek

i ich rodzinami. Można powiedzieć, że za jego sprawą zielonogórski ośrodek nefrologiczny stanowi dzisiaj jedną wielką rodzinę.



Tablica pamiątkowa poświęcona dr. Jackowi J. Felisiakowi – ordynatorowi Oddziału Nefrologii ze Stacją Dializ Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Zielonej Górze w latach 2000-2013, fot. K. Esmund

W dowód uznania i szacunku dla swego Lekarza, Mentora i Przyjaciela, 10 marca 2016 roku na Klinicznym Oddziale Nefrologii i Stacji Dializ została odsłonięta tablica pamiątkowa poświęcona jego pamięci. Inicjatorem przedsięwzięcia był obecny kierownik Klinicznego Oddziału Nefrologii i Stacji Dializ – dr Ireneusz Habura, projekt tablicy wykonał pacjent Kazimierz Esmund, a ufundowało ją Ogólnopolskie Stowarzyszenie „NERKA” z siedzibą w Zielonej Górze.

Idalia Błaszczyk

DZIADEK TADEK. WSPOMNIENIE O REDAKTORZE TADEUSZU CEGIELSKIM (1931-2016)

Studio Polskiego Radia przy Malczewskiego w Warszawie. „Cztery Pory Roku”, albo „Lato z Radiem”?... Nie pamiętam.

Za mikrofonami Tadeusz Cegielski i Tadeusz Sznuć. Ramię w ramię. Ale trochę zwróćni ku sobie, żeby się widzieć. Okulary na czubku nosa, do czytania tylko, a ponad nimi można popatrywać, jeden na drugiego. Czytali na dwa głosy autentyczny pamiętnik oszusta matrymonialnego. Skąd? Jak? Nie wiem, skądś Dziadek Tadek ten „dokument” wydobyl.

W reżyserce przybywało ludzi. Wszystkich skręcało ze śmiechu. A oni czytali, jakby Gombrowicz powiedział – sobie czytali. Przepisy na uwodzenie, oszukiwanie, motanie, a ci... serio, na niskich tonach, z całą powagą. W przerwie usłyszałam sakramentalne – najmłodszy/a idzie po wódkę. Wpadłam do sklepu. Za ladami kilka kobiet. Cisza. Dopiero po chwili zorientowałam się, że one słuchają radia! I to jak słuchają!

Gdzie tylko się pojawił – świat zaczynał się szybciej kręcić. Natychmiast coś się działo. Telefony, sprawy, audycje, anegdota, kawały.

Dziennikarstwo jest rzemiosłem. Najlepiej uczyć się u mistrzów. Jeśli był w Rozgłośni, przesłuchiwał nasze „dźwięki do

dziennika”. Krótkie, dwuminutowe, czasem dwuipółminutowy, rozmowy, wypowiedzi, nagrania. Mówił, gdzie i co jest źle, ale mówił też dlaczego jest źle i jak to poprawić. I często pytał: a dlaczego o tym, dlaczego akurat to chcesz dać na antenę. Jeśli było dobrze, mówił krótko – dobrze.

Jeśli był w Rozgłośni.

Kiedyś wpadł niespodziewanie. Program już zrobiony, no to my, oczywiście, z nogami na biurkach, gramy w wyrazy. Cofnęła się za drzwi. Dostrzegłam – chyba – rozczarowanie w Jego oczach. Wrócił i powiedział tylko: „Poczekamy do dziesiątego”. Dziesiątego każdego miesiąca dostawaliśmy honoraria, czyli pieniądze za każdą rzecz zrobioną na antenę. Wystarczyło. Wzięliśmy się do roboty.

Często Go nie było. Wyjeżdżał na Olimpiady, mistrzostwa świata, czy Europy, na Wyścig Pokoju. Być może dzięki tym sprawozdaniom sportowym tak wspaniale mówił. Zawsze w punkt, ani słowa za dużo. Nie tak dawno słuchałam Jego wywiadu dla telewizji w Gorzowie. I nie tyle słuchałam o czym mówił, ale jak!

Szybciej przy Nim świat się kręcił, ale i życie warte było życia. Był mistrzem celebracji życia. Ciągle Go cieszyło. Udało Mu się kupić pralkę automatyczną – proszę bardzo, przyjęcie w łazience, na pralce!

Wyścig Pokoju. Z któregoś etapu w Czechosłowacji, Dziadek opowiada o trasie, o peletonie, o miasteczkach, przez które jadą i nagle słyszymy: „a przy szosie stoi mnóstwo karzełek”. Karzelki to był zbiorowy pseudonim kilku naszych redaktorów. Cała Polska słuchała, ale tylko my wiedzieliśmy, że to do nas!

Z tej Czechosłowacji nawet mi przywiózł prezent. A było to tak: lubiłam na weekend pojechać do domu, do rodziny. Dwie noce w pociągu, ale warto było. Chyba jeszcze pracowaliśmy w soboty, bo pytałam red. Cegielskiego o zgodę. Kilka razy przywiozłam zrobione przez siostrę, czy przez mamę, kruche babeczki. No to po którymś Wyścigu Pokoju dostałam pudełeczko foremek na te babki!

„Cztery Pory Roku”, albo „Lato z Radiem” nadawaliśmy albo z Zielonej Góry, albo z Warszawy. Roboty mnóstwo, godziny montowania, siedzieliśmy w Radiu do późnej nocy. Dziadek mieszkał

obok. Na trzecim albo czwartym piętrze. Przełaził przez dziurę w rozgłośnianej siatce (skąd ta dziura akurat tam....?) i odbierał koszyk z prowiantem: termos z kawą, kanapki, często i butelka wódki. Babcia Ela, czyli żona Dziadka spuszczała ten koszyk na linie z tego czwartego, czy trzeciego piętra. Można było po schodach? Jasne! Ale po co...

To od Dziadka dowiedziałam się, że w Poznaniu działa kabaret „Tey”. Przynosił nam kasety z ich nagraniami. Do dziś pamiętam skecz o zapleczu w przedwojennym sklepie: beczka śledzi, beczka ogórków i kawior w beczkach, tu czarny, tam czerwony. „I komu to przeszkadzało?”

Kiedyś pojechaliśmy do Świebodzina, do sanatorium czy szpitala. Rozmawialiśmy z wybitnym chirurgiem ortopedą. Komuna już się wtedy waliła. Profesor narzekał na brak klisz odpowiedniego formatu. Poszliśmy do sali, gdzie trwała sesja rehabilitacji pacjentów po amputacji nogi. Dziadek mnie ostrzegał: tylko mi nie zemdlej! No i sam trochę zasłabł! Musiał posiedzieć na gimnastycznej ławeczce.

Lubił pracę, lubił ludzi, ruch, akcje. Przy Nim zawsze był jakiś powód do śmiechu, do radości. Do celebrowania Życia.

Marek Staniszewski

TADEUSZ CEGIELSKI (1931-2016) – CZTERDZIEŚCI LAT PRZY MIKROFONIE



Tadeusz Cegielski, fot. z archiwum A. Cegielskiego

Tadeusz Cegielski – uczestnik ośmiu igrzysk olimpijskich i osiemnastu kolarskich Wyścigów Pokoju, a także wielokrotny sprawozdawca z mistrzostw świata na żużlu. Prowadził popularne audycje Polskiego Radia – *Lato z radiem* i *Cztery pory roku*. Reportaż o tej postaci, autorstwa Marka Staniszewskiego, wyemitowano w 2011 roku na antenie Radia Zachód w audycji *Portrety*.

Tadeusz Cegielski urodził się 3 lipca 1931 roku w Warszawie, ale w 1938 roku wraz z rodzicami przeniósł się do Sosnowca. Ojciec

Tadeusza Cegielskiego był piekarzem i cukiernikiem. – Ojciec należał do wędrowniczków. Będąc piekarzem pracował w Warszawie. Własnej piekarni nie miał i dopiero w 1938 roku przeniósł się do Sosnowca. Dlatego ja do szkoły poszedłem w Sosnowcu, ale udało mi się skończyć tylko pierwszą klasę, a potem zaczęła się okupacja. Ojciec w Sosnowcu pracował, miał swój zakład i w Sosnowcu

umarł – wspominał T. Cegielski. Potem losy poniosły Tadeusza Cegielskiego do Olsztyna, gdzie pracował w szkole jako nauczyciel matematyki. – Ożeniłem się bardzo szybko, bo nie miałem jeszcze dziewiętnastu lat. Siostra mieszkała w Olsztynku, niedaleko Olsztyna i zaproponowała mi przyjazd. Nie bardzo widziałem dla siebie perspektywy w Sosnowcu, mimo że chleb umiałem robić i upiec ciastka również. Podjąłem pracę i jednocześnie uzupełniałem naukę. Najpierw w liceum pedagogicznym, a potem pracowałem, najpierw, ale niezbyt długo uczyłem matematyki w szkole średniej w Morażu na Mazurach, a potem – do dziennikarstwa – mówił.

W 1952 roku w całej Polsce powstała sieć radiowęzłów, a Tadeuszowi Cegielskiemu zaproponowano pracę w tworzącej się ekspozyturze Polskiego Radia w Olsztynie. – Wtedy jeszcze odbiorniki radiowe nie tyle nie były w modzie, co ich w ogóle nie było. Prawie każdy został obdarowany wiszącym na ścianie pudełkiem. Natomiast polityczne instytucje utworzyły komitety redakcyjne w każdym mieście, gdzie był radiowęzeł. – Mi powierzono funkcję szefa takiego komitetu redakcyjnego i nadawałem program codziennie 15-20 minut. Oczywiście, było to wszystko pod opieką Polskiego Radia, a w naszym przypadku rozgłosił w Bydgoszczy. Wysyłało się napisane audycje do Bydgoszczy, a oni oceniali, czy przypadkiem jakichś błędów politycznych nie ma. Po dwóch czy trzech miesiącach przyjechał ktoś z Bydgoszczy i słuchali tego programu, bo szukali ludzi do pracy w radiu. Zaproponowali mi przejście do pracy w tworzącej się ekspozyturze Polskiego Radia w Olsztynie. Chcąc nie chcąc, zostałem organizatorem i założycielem przyszłej rozgłośni olsztyńskiej i tak się zaczęła moja przygoda. Nadawaliśmy program z sieciowych odbiorników, czyli głośników. Przepracowałem tam parę lat, a w międzyczasie skończyłem stacjonarną szkołę dziennikarską w Warszawie. Sytuacja polityczna w kraju się zmieniła i w pewnym momencie znalazłem się pod wozem. Wyrzucono mnie z pracy. Moja żona jest rodowitą mieszkanką Olsztyna i prowadziła tam kawiarnię. Politycznie to nie było zgodne z tym, co ja powinienem robić i na dwa lata dano mi przymusowy urlop – wspominał.

Do Zielonej Góry trafił za sprawą redaktora naczelnego rozgłośni Krzysztofa Wójtowicza. – Tu już była rozgłośnia radiowa,

a w Olsztynie jeszcze na antenę nie nadawano, tylko na te głośniki. Redaktor naczelny zielonogórskiej rozgłośni, Krzysztof Wójtowicz napisał do mnie, czy bym nie przyjechał. Przyjechałem i wtedy przygoda zaczęła się na dobre. Ponad czterdzieści lat przy mikrofonie. W ekspozyturach i w rozgłośniach nie było na początku czegoś takiego jak redakcja sportowa. Ja dodatkowo – będąc kierownikiem działu informacji i transmisji, bo tak się nazywał ten dział – zajmowałem się sportem – mówił.

Oprócz pracy w Zielonej Górze T. Cegielski współpracował m.in. z redakcją sportową Polskiego Radia w Warszawie. – W Warszawie już mnie trochę znali: Bogdan Tuszyński, Bohdan Tomaszewski czy Tadek Pyszkowski. Po przeszkoleniu sprawozdawców sportowych w Soplicowie załapałem się na imprezy światowe. Dostałem międzynarodową kartę mikrofonową i jeździłem do Warszawy na mecze piłki nożnej. Chciałem być pierwszy w piłce nożnej, ale do piłki nożnej garnęło się bardzo wielu ludzi. Ale w Zielonej Górze nie było drużyny ekstraklasy i dlatego nie mogłem się przebić. W młodości byłem piłkarzem w Olsztynku, a potem w Olsztynie. Jak przyjechałem na Ziemię Lubuską, nie rzuciłem piłki nożnej i zostałem sędzią. Jeździłem na ligowe mecze piłkarskie z sędziami Nowakiem z Nowej Soli i Garbajem z Zielonej Góry. Mam legitymację zasłużonego sędziego piłki nożnej. Sędziowałem ok. 500 spotkań, więc na piłce się znałem. Dlatego w 1972 roku na Igrzyskach Olimpijskich w Monachium powierzono mi transmisje wszystkich meczów piłkarskich. Monachium na zawsze pozostanie w sercu i w pamięci ze względu na finałowy mecz Polska – Węgry, który komentowaliśmy wspólnie z Tadeuszem Pyszkowskim – wspomina.

Podczas Igrzysk Olimpijskich ekipa radiowa liczyła kilkanaście osób w tym pięciu czy sześciu sprawozdawców. – Mieliliśmy napisane kilka dyscyplin sportu i czasami zdarzało się, że trzeba było zająć się dyscypliną, której nie robiłem nigdy. Tak było w Innsbrucku. Przychodzi Bogdan Tuszyński, bo on był wtedy szefem studia olimpijskiego, i mówi: słuchaj, „Tom” [Bohdan Tomaszewski – przyp. aut.] zachorował, a jutro jest mecz, masz hokej zrobić. Ja mówię, ty masz chyba coś z głową, bo ja nie lubię tej dyscypliny, a po drużynie nic o niej nie wiem. Tu jest regulamin i przepisy, masz jeszcze

24 godziny do meczu – powiedział mi Tuszyński. Komentowałem to spotkanie, nie wiem, czy dużo błędów popełniłem czy niedużo. On na szczęście oszczędzał mnie, bo nie wpuszczał mnie na dłuższe kawałki na antenę, tylko po trzy minuty i raczej opowiadałem o tym, co było. Miałem trochę szczęścia, bo trochę medali „zdobyłem” jako sprawozdawca. – wspominał T. Cegielski.

Jedną ze sztandarowych imprez był kolarski Wyścig Pokoju: Warszawa–Berlin–Praga. – Zdawaliśmy sobie sprawę, że audycja jest słuchana. Nie było żartów, a telewizję biliśmy na głowę ze względu na technikę. Mieliśmy tzw. wóz R-4. To był samochód, który jechał przy pierwszej grupie kolarzy i co pół godziny dawaliśmy meldunki z trasy. Telewizja nie miała w tym czasie takich możliwości, więc właściwie telewizja słuchała, co my mówimy i potem to powtarzali na swój sposób w transmisjach telewizyjnych. Byłem 18 razy na Wyścigu Pokoju. Po dwóch czy trzech imprezach, zostałem kierownikiem ekipy. W Zielonej Górze pracował redaktor Tomasz Florkowski. Mówi, że chciałby kiedyś na taki Wyścig Pokoju pojechać. Zabrałem go na kilka etapów niemieckich. Prawie w walizce go chowałem – mówił.

Jako sprawozdawca sportowy Tadeusz Cegielski zasłynął komentując podczas Igrzysk Olimpijskich w Moskwie w 1980 roku występ Jana Kowalczyka we wszechstronnym konkursie konia wierzchowego (WKKW). – Jako sprawozdawca „wpadek” nie miałem, a pomyłki zdarzały się z wynikami. „Wpadkę” polityczną miałem jedną, która o mało nie zakończyła się dla mnie bardzo źle. Dobrze, że w tej zawierusze pojawił się Wałęsa, bo nie wiem, czy by mi to darowali. W ostatnim dniu Igrzysk Olimpijskich w Moskwie, prowadziłem ostatnią konkurencję – WKKW i Kowalczyka. Właściwie wszyscy, i sprawozdawcy i oficjele i goście, byli już w ambasadzie i rozlewali co trzeba. Na stanowisku reporterskim obok mnie siedzieli Janek Ciszewski i Włodek Szaranowicz. No i tak się stało, że Kowalczyk zdobył złoty medal. Rozwijają ten czerwony dywan i będzie dekoracja, a wiadomo, że jak będzie dekoracja, to będzie hymn i flaga na najwyższym maszcie. Zbliżała się godzina dwunasta, a hejnał z Wieży Mariackiej, to była świętość. W Warszawie po drugiej stronie w studiu Bogdan Tuszyński, a mnie różne rzeczy przychodziły do głowy o tym Kowalczyku. On w tym wojskowym mundurze, mówię,

że to jedna z najpiękniejszych dyscyplin sportu, że to tradycja, że łałani. W słuchawce usłyszałem: ja Ci dam łałanów! Zbliżała się godzina dwunasta: na własną odpowiedzialność odwołuję hejnał z Wieży Mariackiej, bo tu rozbrzmiewać będzie Mazurek Dąbrowskiego. Dostałem taki „opeer” od Bogdana Tuszyńskiego. Powiedział, że koniec ze mną, pytał czy zwariowałem? To był okres, kiedy w Lublinie przyspawali tory i zaczynało się robić gorąco w kraju. Zresztą podczas Igrzysk mieliśmy codziennie w ambasadzie odprawy – prawie jak wojskowe – jak mamy komentować. „Ruchawka” w Polsce, więc wiadomo, że jesteśmy słuchani, bo to jest olimpiada i to w Związku Radzieckim – wspominał po latach.

Tadeusz Cegielski był także pierwszym sprawozdawcą w Polsce, który wprowadził na antenę Polskiego Radia żużel. Jeździł na mecze w kraju i za granicą, komentował finały mistrzostw świata. W książce „Radio i sport” Bogdan Tuszyński napisał, że na antenę Polskiego Radia żużel wprowadził Tadek Cegielski. To było bardzo ciężkie, ale nikt tego nie považał. Warszawa nie miała żużla, a uważano to za cyrk. Ja starałem się przekonać, że to nie jest tak i jeśli były transmisje w wieczornych wiadomościach sportowych – dział żużel, to dźwiękowy kawałek był zawsze z Zielonej Góry, a reszta wyników z Polski i od tego się zaczęło. Udało mi się namówić Warszawę, żeby za granicę jechać. Jak w Rybniku zdobyliśmy drużynowe mistrzostwo świata, to potem w Warszawie mówili: „Cegła” pojedziesz do Szwecji, albo do Danii na żużel. W 1973 roku prowadziłem finał mistrzostw świata, gdy wygrał Jerzy Szczakiel – mówił T. Cegielski.

Dziennikarz radia Zielona Góra prowadził nie tylko relacje z imprez sportowych. – Wszystkie pochody 1-majowe prowadziłem, i nie tylko w Zielonej Górze. Brali mnie także do Warszawy. Redakcja sportowa w Warszawie była obok drzwi sprawozdawców niesportowych. Tam poznałem Tadka Sznuka. Zaliczyli mnie do grona tych osób, które prowadziły wielkie audycje. Kilkanaście razy prowadziłem *Lato z radiem* i *Cztery pory roku*. Audycja *Lato z radiem*, pięć czy sześć razy nadawana była ze Sławy i mieszkańcy cieszą się, że tej Sławie przysporzyłem tyle... sławy – tłumaczył.

Tadeusz Cegielski jest także twórcą słów do piosenki: „Hej, Winobranie”, którą śpiewał Janusz Gniatkowski. – Pisywałem kuplety,

a w Zielonej Górze jakiś czas prowadziłem kabaret. Przyjechaliśmy tutaj krótko przed Winobraniami. Jak ja zobaczyłem, co tu się dzieje, to powiedziałem, że przydała by się jakaś piosenka. Jeden z urzędników miejskich, nazywał się Piórek napisał melodię. Wybrzdąkałem to na pianinie, a potem – słowo po słowie, zwrotka po zwrotce – napisałem tekst. Na koncerty do Zielonej Góry przyjechał Janusz Gniatkowski. Zналиśmy się wcześniej z Olsztyna. On wzięł tekst i melodię, pojechał do hotelu i mówi, że będziemy nagrywać. Przyjdź na koncert do Hali Ludowej. Janusz wykonał to i zostało do dziś – mówi współtwórca piosenki „Hej, Winobranie”.

Na emeryturze Tadeusz Cegielski zajmował się pisaniem tekstów do lokalnego pisma w Sławie. – „Sławski Partner. Gazeta całkowicie bezpartyjna” – tak się nazywa. Nie zajmuję się polityką, ale bieżącymi sprawami mieszkańców – mówił.

Mieszkał w Józefowie nad Jeziorem Sławskim, w domu, który wybudował przy pomocy rodziny. – Dom wybudowałem sam z żoną i dziećmi. Wtedy jeszcze chętnie pomagali, chociaż syn to do dzisiaj bardzo dobrze umie trzymać młotek, ale i córki po dachu śmigają i przybijają deski. Budowaliśmy bez żadnego fachowca. Potem dom ociepliłem i przygotowałem na zimę. Wybudowałem go dzięki narzędziom i nawet małym maszynom. Emerytura nie była za wysoka i trzeba było dorobić. Robiłem budki dla ptaków, karmniki, to szło jak woda i było z tego parę złotych, a na lekarstwa się przyda. – Najlepszy stolarz wśród sprawozdawców sportowych i najlepszy sprawozdawca wśród stolarzy – napisał o mnie Bogdan Tuszyński.

Z żoną Elżbietą przeżył w związku małżeńskim ponad 60 lat. – Prawie nigdy nie było go w domu. Niedziela, święta zawsze z dała od domu, ale ja to rozumiałam. My się bardzo kochamy i ja to rozumiem, tym bardziej, że było troje dzieci. Mąż to bardzo dobry człowiek i z nim nie można się nudzić. Gdy jestem smutna, to on mnie zawsze rozwesela – mówiła Anneliese Cegielska.

– Jak mnie ktoś zaczepia i pyta: jak się czuję, to odpowiadam, że jak na te lata, to za dobrze. Nie daję się. Trzeba wszędzie i zawsze zachować spokój, a jak się chce wskoczyć na głęboka wodę, to trzeba najpierw sprawdzić czy w basenie jest woda, bo można sobie głowę rozbić, a szczególnie w działalności politycznej. W tym czasie,

gdy byłem dziennikarzem, nie można się było nie włączać do spraw, które były w centrum zainteresowania władz krajowych – mówił T. Cegielski – jeden z trójki wielkich sprawozdawców sportowych do których red. Ryszard Malitowski z Radia Zachód zaliczył także Bogdana Tuszyńskiego i Bohdana Tomaszewskiego.

Andrzej Cegielski

NOTA BIOGRAFICZNA

Tadeusz Cegielski urodził się 3 lipca 1931 roku w Warszawie jako siódme dziecko piekarza, Jana Cegielskiego z Sosnowca. Po maturze, w roku 1950 rozpoczął pracę na Mazurach jako nauczyciel matematyki. W latach 1952 – 1960 pracował jako dziennikarz w Polskim Radiu w Olsztynie studiując jednocześnie dziennikarstwo w Warszawie. Był również piłkarzem i sędzią piłkarskim. W 1960 roku przeniósł się z rodziną do Zielonej Góry, gdzie przez blisko 30 lat pracował jako dziennikarz sportowy zielonogórskiej rozgłośni Polskiego Radia. Był sprawozdawcą sportowym na ogólnopolskiej antenie, relacjonował na żywo osiągnięcia polskich sportowców na ośmiu olimpiadach i 18 Wyścigach Pokoju oraz wielu mistrzostwach świata w żużlu i w pięcioboju nowoczesnym. Na olimpiadzie w Monachium w 1972 roku relacjonował w Polskim Radiu mecze złotej drużyny Kazimierza Górskiego. Ponadto prowadził wiele audycji *Lato z radiem* i *Cztery pory roku*. Był również autorem słów do znanego zielonogórczanom walca *Hej, Winobranie*. Po przejściu na emeryturę związał się ze Sławą i tamtejszą społecznością lokalną, gdzie przez kilkanaście lat był redaktorem naczelnym regionalnego czasopisma „Sławski Partner”. W ostatnim roku swojego życia, mimo ciężkiej choroby, pracował nadal i wydawał kolejne numery „Partnera”. W lipcu 2016 obchodził wraz ze swoją ukochaną żoną, Anneliese, 66. rocznicę ślubu. Miał troje dzieci, doczekał się sześciorgo wnuków i pięciorgo prawnuków. Odszedł od nas 7 grudnia 2016 roku w wieku 85 lat. W czerwcu 2017 roku Rada Gminy Sława przyznała mu pośmiertnie tytuł Honorowego Obywatela Miasta Sława.

RECENZJE

Stanisław Palonka

PRZEMYSŁAW KARWOWSKI I JEGO *OD LIKIERÓW DO LUKSUSOWEJ*

Zielona Góra w ostatnich latach ujawniła dwóch niespokojnych gigantów i to obu w bliskiej mnie przez całe prawie świadome życie części kultury materialnej związanej z alkoholem. Trzeba dodać, że dziedzina, nazwijmy ją żartobliwie trunkową, towarzyszy ludzkości od zawsze. Bo przecież gdyby Adam i Ewa nie najedli się przejrzałych i lekko przefermentowanych owoców, których w rajskiej roślinności i temperaturze mieli dookoła pełno, to z dużym prawdopodobieństwem nie wygłupiliby się z jabłkiem i wężem. Nic zatem dziwnego, że sporo osób przez wieki eksploruje tę interesującą tematykę. I tej właśnie specjalności poświęcili wiele lat pracy nienazwani dotąd giganci, czyli Mirosław Kuleba i Przemysław Karwowski.

Obaj Panowie wspólnie i w porozumieniu oraz także na swój rachunek opisać wszystko, co tyczy win i wódek (w szerokim znaczeniu), a ma jakkolwiek związek z Zieloną Górą i jej najbliższymi okolicami. Podzielili się oni historią Zielonej Góry w ten sposób, że M. Kuleba objął czasokres od powstania miasta, niezależnie kiedy to nastąpiło, aż do końca drugiej wojny światowej, a P. Karwowski czasy współczesne czyli to, co działo się w tej materii od roku 1945.

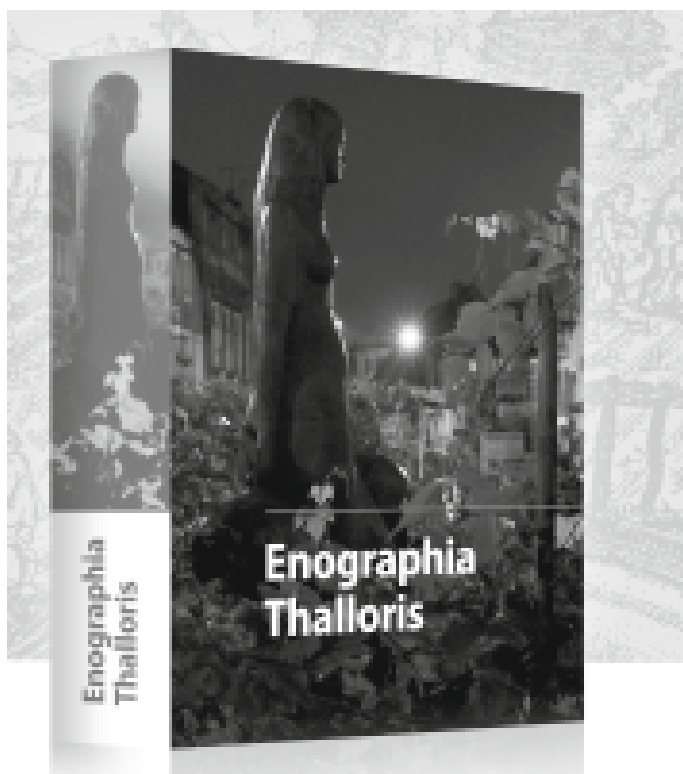
Naturalnie podział ten nie jest czysty, bo to nie byłoby możliwe, występują bowiem odniesienia łączące historię ze współczesnością

i odwrotnie. Kuleba o winiarstwie zielonogórskim napisał wszystko, co było możliwe, a czasem można odnieść wrażenie, że nawet więcej. Cały tom liczący sobie 942 strony wydanej w roku 2010 *Topografii winiarstwa Zielonej Góry*, jak sama nazwa wskazuje, tyczy winiarstwa od nasadzenia lub znalezienia pierwszych sadzonek aż do wyrafinowanego wytwarzania szampana. Nic się nie ukryło. Ale to nie koniec, to zaledwie początek, bo w roku 2013 ukazało się tegoż autora 1147-stronicowe dzieło pod nazwą *Enographia Thalloris*, która w większości poświęcona jest również winu, chociaż nie tylko, bo także powstałej na tle winiarstwa wytwórczości destylatów winnych i w konsekwencji winiaków oraz innych rodzajów napojów spirytusowych. Dzieło fundamentalne i monumentalne. Oczywiście maczał w nim palce Przemysław Karwowski.

W sensie historycznym, etnograficznym, enologicznym, duchowym, mistycznym nic tu już nie można dodać. Poszukując usilnie, co dałoby się wcisnąć od siebie pozostało mi jako człowiekowi w miarę praktycznemu tylko odniesienie się do ekonomii. Autorzy dowodzą, że ludność miasta i okolic jako źródło utrzymania przez wieki miała winiarstwo i sukiennictwo. Nie mam podstaw do negowania tych konstatacji, natomiast zachodzi pytanie, jakież to były te źródła. Dlaczego ten obszar będący pod różną zwierzchnością, a w konsekwencji jako część kraju o wysokiej cywilizacji i prężnie się rozwijającego, w gruncie rzeczy bogatego czyli Niemiec, był tak zaniedbany i biedny. Zabudowa Zielonej Góry poza obecną ul. Niepodległości i kilku obiektami w innych częściach miasta była ponura, wbita w ziemię, parterowa ze stryszkami, szara, odpychająca. Można wymieniać tu całe ulice – Lisia, Krakusa, Batorego, Dąbrowskiego, Jedności, Wandy, Sikorskiego, Botaniczna itd.

A zabudowa przemysłowa? Raetsch był solidnej konstrukcji, ale przodujący Buchholz to prawdziwa zgroza. Ani jednego metra kwadratowego utwardzonej nawierzchni dróg i placów, ani jednego prawdziwego fundamentu pod budynkami, a zamiast tego piasek i trochę kamieni polnych, ani jednej ocieplonej ściany lub sufitu, sporo drewnianych, łatwopalnych wiat i zadaszeń, żadna funkcjonalność, rozliczne różnice poziomów utrudniających komunikację. Podejmując pracę w 1956 roku miałem za sobą kilka praktyk i wizyt

w zakładach w różnych miastach i miasteczkach na ziemiach rdzenie polskich i ziemiach odzyskanych i nigdzie takiej lipy nie widziałem. To nie mogło świadczyć o dorobku i dobrostanie tej okolicy i tutejszych mieszkańców. A i przetwórstwo zielonogórskich czołowych zakładów winiarskich i spirytusowych w niewielkim stopniu korzystało z miejscowych zasobów surowców winiarskich. Ci, którzy chcieli zaistnieć wydierżawiali lub kupowali winnice nad Renem lub Mozellą albo kupowali wino lub destylaty winne z tamtych rejonów Niemiec i Francji.



Okladka książki Mirosława Kuleby *Enographia Thalloris*

Wracając do Buchholza, to od 1959 roku już jako zastępca dyrektora Lubuskiej Wytwórni Wódek Gatunkowych zacząłem te

poniemieckie budy wyburzać i w ciągu dziesięciu lat żadna z nich nie pozostała. Byłego właściciela pamiętają tylko budynki mieszkalne od ul. Jedności, które chociaż prymitywnie wyposażone, to konstrukcję mają solidniejszą niż obiekty fabryczne.

Kiedy w roku 1994 przyjmowałem grupę ok. 50 byłych mieszkańców Zielonej Góry, w tym członków rodzin Buchholzów i Raetschów, to przeprosiłem ich, że prawie nic z ich dorobku nie pozostało, bo nie przystawaliby do terażniejszości, ale także poinformowałem ich, że gdy znajdziemy się w niedługim czasie razem w Unii Europejskiej i będzie można swobodnie nabywać nieruchomości, to wartość LWWG będzie nieporównanie większa niż ten majątek, jaki legł u jej powstania. Niech więc gromadzą wielkie pieniądze. W tych przeprosinach w sposób specjalny ująłem Honorowego Obywatela Miasta Zielona Góra Eckeharda Gärtnera, któremu w zapędzie rozbudowy zakładu rozebrałem dom, gdzie się urodził, u zbiegu ul. Wandy i Jedności.

Poświęciłem tych kilka zdań o ekonomicznej stronie uprawy winorośli w naszej szerokości geograficznej w kontekście odrodzenia zielonogórskiego winiarstwa. Podziwiam ludzi, którzy tego szczytnego dzieła się podjęli. Wysoko oceniam już co najmniej kilka białych win naszych wytwórców, czego nie można powiedzieć o czerwonych. Ale pasja, pracowitość i cierpliwość czasem bywa nagradzana. Wprawdzie obecni winiarze musieli i muszą zainwestować zdobyte, zarobione lub odziedziczone pieniądze bez gwarancji ich zwrotu, ale robią rzeczy piękne i dla rejonu niesłychanie pożyteczne. Warto ich wspierać.

Znakomitym przykładem wyrażonej powyżej myśli jest bohater niniejszego eseju Przemysław Karwowski. Wracając do zasadniczego tematu, czyli pracy twórczej naszych bohaterów, to godzi się zauważyć, że Mirosław Kuleba, jak szacuje, tylko na zebranie materiałów do *Enographii Thalloris* poświęcił osiem lat pracy, a więc i życia. Przemysław Karwowski miał więcej szczęścia, bo zajmował się czasami nam współczesnymi, a ponadto przynajmniej w stosunku do wyrobów LWWG mógł skorzystać ze znacznej ilości zgromadzonych materiałów. Otóż w krótkim czasie po objęciu funkcji zastępcy dyrektora doszedłem do porozumienia z ówczesnym

kierownikiem działu administracyjno-gospodarczego Leonem Podolskim, repatriantem z Łucka z niepełnym wyższym wykształceniem prawniczym, oficerem II Armii WP, człowiekiem niesłychanie skrupulatnym, że konieczne jest dokumentowanie zdarzeń gospodarczych, społecznych i personalnych zakładu pracy i jego społeczności, czyli załogi nawet z sięgnięciem do spraw rodzinnych jej członków. Ustaliliśmy, że od tej chwili będzie kompletował materiały, odtwarzał zdarzenia z lat poprzednich, od rozpoczęcia życia firmy, a na mającej wkrótce nadejść emeryturze, zamieni to (za umówioną gratyfikacją) w początek Kroniki LWVG. Tak też się stało i trwało, naturalnie już z innymi autorami aż do roku 2004, czyli daty sprzedania firmy Szwedom. Drugi element ułatwiający pracę Przemkowi był taki, że rozwalając stare budy, o czym wyżej, i tworząc potrzebne obiekty i pomieszczenia, urządziłem obok laboratorium obszerny pokój degustacyjny, a w nim kącik archiwalny do gromadzenia egzemplarzy produktów z zawartością i w szacie zewnętrznej takiej, jaką dany wyrób prezentował w chwili pierwszego rozlewu.

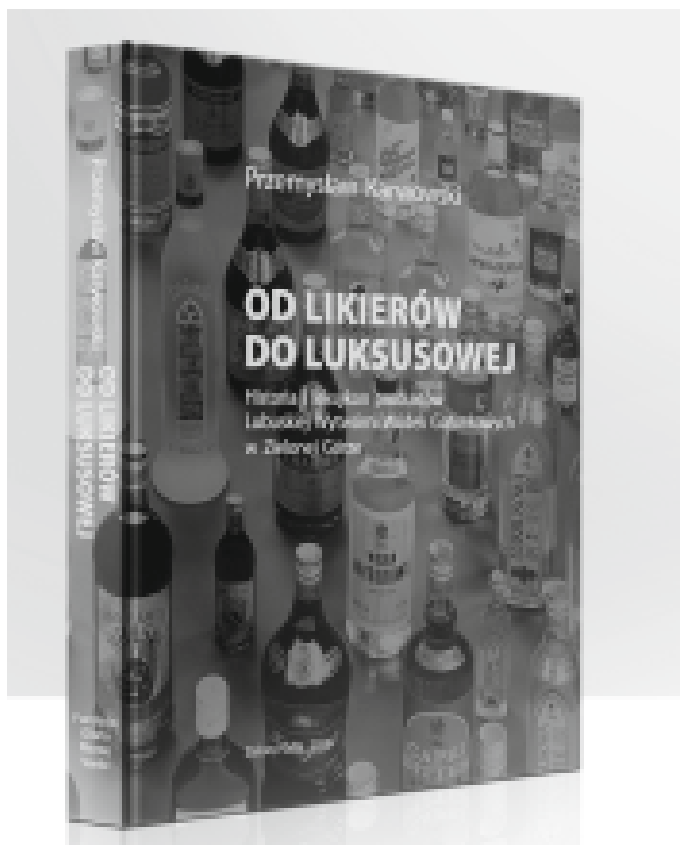
Jednakże były to elementy tylko ułatwiające pracę przyszlęmu autorowi, natomiast trzeba szukać przyczyny, dlaczego wzięty inżynier elektronik, absolwent renomowanej uczelni, pracujący z sukcesami przedsiębiorca, radioamator, krótkofalowiec stał się winiarzem, propagatorem i czynnym uczestnikiem rozwoju winiarstwa w regionie swojego urodzenia, ale miejscu zupełnie nowym dla jego rodziny. I tutaj już musimy wejść w sferę niematerialną, metafizyczną, w której tak dobrze czuje się Mirosław Kuleba. Tradycja rodzinna po rodzinie matki Przemka sięga Zaleszczyk, a jeżeli tak, to można powiedzieć – przedwojennej stolicy polskiego winiarstwa (jeżeli termin polskie winiarstwo nie jest megalomanią). Czyli wina zaleszczyckie wdarły się do genów rodziny mamy, a potem przeszły na rodzeństwo i w ten sposób Przemysław też miał imperatyw wewnętrzny. Widocznie nie miał sił, żeby się przed przeznaczeniem obronić i wpadł jak śliwka w kompot. Można zapytać, po co mu to było, ale my wiemy, że stało się najlepiej jak stać się mogło i powinno.

Wydana w roku 2016 przez Fundację Gloria Monte Verde książka Przemysława Karwowskiego pt. *Od likierów do luksusowej*, w sztywnej oprawie, na dobrym papierze, pięknie i bogato ilustrowana liczy 333 strony. Treść dzieła można podzielić na trzy główne wątki. Pierwszy to rys historyczny i tradycje produkcji wyrobów spirytusowych w Europie i w Polsce, drugi to opis powstania i działalności Lubuskiej Wytwórni Wódek Gatunkowych w Zielonej Górze wraz z wątkiem personalnym i trzeci – poświęcony wytwarzanym tam wyrobom.

Zarys tradycji europejskiej jest ciekawy i może przybliżyć czytelnikowi obraz kształtowania się wytwórczości produktów mocniejszych niż wino, czyli po kroku milowym w rozwoju tej dziedziny, jakim było uświadomieniu sobie, że podgrzanie wina lub innego płynu zawierającego alkohol i odzyskanie, czyli skroplenie powstałych przy podgrzaniu oparów daje produkt zupełnie nowy, nieznanym dotychczas, wchodzący mocniej do głowy, dający szybciej efekt rozweselenia, oszołomienia, euforii i tym podobnego wpływu na człowieka. Zabrało to jednak ponad 700 lat. Autor w tej części nawiązuje do produkcji zielonogórskich Niemców jako poprzedników LWWG i do bogatej wytwórczości polskich licznych przedsiębiorców. Szersze potraktowanie tej rozdrobnionej i licznej zarówno w Europie, jak i w Polsce sfery wytwarzania różnych rodzajów napojów alkoholowych wymagałoby odrębnego wydawnictwa. .

Natomiast u źródeł powstania LWWG ani historia, ani tradycja nie miały żadnego znaczenia. Zdecydowała twarda rzeczywistość podziału Europy i wytyczenia nowych granic państwowych. Administracja sowiecka przejęła wszystkie zakłady przemysłowe na ziemiach odebranych Niemcom, po czym przekazywała je stronie polskiej. Ta z kolei kierowała z ziem rdzennie polskich, w przypadku Zielonej Góry głównie z Wielkopolski, ekipy kompletowane z branż przemysłu pokrewnych tym profilom działalności zakładów, które miały być przejęte i reaktywowane. Ponieważ istniały poniemieckie zakłady spirytusowe, to trochę wcześniej lub później zostały przejęte przez delegaturę Polskiego Monopolu Spirytusowego. Tradycje niemieckie tak w winiarstwie, jak wytwarzaniu wyrobów spirytusowych nie tylko nie były kultywowane, ale wręcz się od

nich odcinano. Do tradycji sięgnięto po dziesiątkach lat. Produkcja w LWWG niezależnie od jej kolejnych nazw była podjęta bez żadnych związków z produkcją niemiecką, poza oczywiście obiektami,



Okładka książki Przemysława Karwowskiego *Od likierów do Luksusowej*

urządzeniami i naczyniami, głównie beczkami i kadziami. Asortyment wyrobów tworzono od nowa.

Drugi wątek, czyli Lubuska Wytwórnia Wódek Gatunkowych i ludzie ją tworzący zawiera udokumentowane fakty dotyczące dat, liczb, wielkości, asortymentu, jego ewoluowania, ciągłego rozwoju

powierzchni, infrastruktury, powstawania obiektów, postępu technicznego i technologicznego, zdobywanych wyróżnień, nagród, proporców, sztandarów, medali. Ta część nie wymaga specjalnego omawiania, z faktami nie warto dyskutować.

Jeżeli chodzi o zdobywanie wiedzy o tych zdarzeniach to autor dotarł do wszystkich możliwych źródeł. Wykazał maksimum staranności, cierpliwości, dociekliwości, krytycznego porównywania źródeł, nie szczędził czasu, zdrowia i pieniędzy, aby dotrzeć do prawdy obiektywnej. W mojej ocenie wykonał znakomitą i o nieocenionej wartości pracę.

Z wątkiem ludzkim tej części w podanym ujęciu można dyskutować. Decyduje tu subiektywna ocena i może być ona zróżnicowana w zależności od przyjętych kryteriów, co do ważności podejmowanych przez kierownictwa w danym czasie przedsięwzięć i ich wpływu na rozwój firmy. Wśród źródeł ważną część stanowiły wywiady z żyjącymi świadkami, wydarzeń, od których autor starał się obficie korzystać.

Jednym z takich źródeł była moja skromna osoba. Nie szczędziłem czasu, aby służyć zarówno posiadanymi zbiorami materiałów źródłowych, jak i przekazami z pamięci z czterdziestoletniej pracy w branży spirytusowej, po uprzednim specjalistycznym wykształceniu, w tym trzydziestu ośmiu latach decydującego wpływu na to, co w tym przedsiębiorstwie się wydarzyło.

Przemek słuchał godzinami i zrobił pierwszą wersję tekstu, z którą mnie uprzejmie zapoznał. Pierwsze wrażenie było takie, że albo mnie w ogóle nie słuchał, bo myślał o czymś innym, albo słuchał, ale nie słyszał. Zarysował utopijną firmę, w której szef siedzi szczęśliwy w swoim gabinecie, w kolejce ustawiają się pracownicy różnego szczebla i różnych specjalności, którzy przedstawiają gotowe propozycje rozwiązań, a jego zadaniem jest tylko nie przeszkadzać i czasem kiwnąć głową z aprobatą. Taki szef to ma klawe życie. Nie mogłem wyjść z podziwu, jak człowiek, który w ciężkim trudzie tworzył swoją firmę, przeniósł się do krainy szczęśliwości. A ja zarówno czytałem (wszystkie dzieła o organizacji pracy kładą na to nacisk), i doświadczałem, że jeżeli na czele organizacji nie stoi człowiek, który wie czego chce, ma wizję i program, umie się

poruszać w otoczeniu, ma charakter i odpowiednią dozę determinacji, to zarządzany podmiot może tylko jakiś czas dryfować, ale nigdy nie osiągnie sukcesu.

Nie mając już zaufania, że u Przemka skutek może odnieść mowa, nawet najpiękniejsza, przekazałem uwagi tekstem pisanim, które w znaczącej mierze uwzględnił, co z przyjemnością zapisuję na jego dobro.

Trzecia część książki Przemysława Karwowskiego – leksykon produktów LWWG – jest doskonała. Autor spenetrował wszystkie dostępne źródła, zebrał materiały, zadziwił nas – obecnych i byłych – Polmosowców szczegółami, których nikt z nas nie pamiętał. Dotyczyło to przede wszystkim wyrobów będących tylko efemerydami, bo się nie przyjęły na rynku albo nawet nie wyszły ze sfery przygotowawczej. Obudował wyroby dziedziną stosowanych, pozyskiwanych i przygotowywanych surowców i półfabrykatów. Dużo uwagi poświęcił opakowaniom. Znakomitą ich większość sfotografował, odszukał archiwa agencji, które projektowały i produkowały elementy opakowań, zajął się butelkami, karafkami, kamionkami, słowem wszystkim. Przedstawił maszyny, urządzenia, aparaturę, przemiany tych akcesoriów w czasie, konieczność szybkiej ich zmian wraz z postępem technicznym.

Gdyby nie tytaniczna praca Autora i jeszcze dobry, niespóźniony czas, to do wielu wyrobów i elementów opakowań nie udałooby się już dotrzeć, bo obecni, drudzy już po prywatyzacji właściciele mają inne priorytety produkcyjne i asortymentowe. Nie są oni związani sentymentami, chociaż trzeba dodać, że koncern Pernod-Ricard, w skład którego wchodzi Lubuska Wytwórnia Wódek Gatunkowych, dokonał w ostatnich latach znaczącego postępu technicznego, technologicznego i logistycznego w zakładzie. Odbłyło się to kosztem dużych nakładów finansowych. Wydaje się, że nic nie zagraża w obecnym stanie funkcjonowaniu zielonogórskiej firmy jako jednemu z zakładów produkcyjnych koncernu, a jedynemu rozlewającemu wyroby w Polsce. Dodajmy, że koncern zamknął bliźniaczy zakład produkcyjny w Poznaniu tłumacząc to lepszą infrastrukturą w Zielonej Górze i lepiej przygotowaną zawodowo i mentalnie załogą.

Tym większa z pewnością satysfakcja Przemka, że poświęcił uwagę nie nieboszczykowi, ale organizmowi, który żyje i ma się całkiem dobrze.

Przemysław Karwowski, *Od likierów do Luksusowej. Historia i leksykon produktów Lubuskiej Wytwórni Wódek Gatunkowych w Zielonej Górze*, Wyd. Fundacja Gloria Monte Verde, Zielona Góra 2016